

David Zurdo  
Angel Gutierrez

Tajny dziennik Leonarda da Vinci

(El Dario Sekreto de da Vinci)  
Przekład Ewa Morycińska-Dzius

Książkę tę dedykujemy wszystkim, którzy każdego ranka budzą się z pragnieniem, by dzisiaj stać się nieco lepszymi niż wczoraj, a gdy nadchodzi noc, cieszą się, że im się to udało, albo postanawiają próbować ponownie.

Pewna historia głosi, że w roku 1519, po śmierci Leonarda da Vinci, jego wierny uczeń Francesco Malzi otrzymał w spadku wszystkie notatki i pisma mistrza, oraz przedmioty użytku osobistego. Wśród nich był tajemniczy czarny kuferek, za życia mistrza zawsze zamknięty, z którym Leonardo nigdy się nie rozstawał. Tylko on znał jego zawartość; odmówił nawet pokazania jej nawet Franciszkowi I, królowi Francji i swemu protektorowi w ostatnich latach życia.

Kiedy w końcu Meli otworzył wieko, okazało się ku jemu wielkiemu zmartwieniu, że kuferek jest pusty. Tego co tam było już nie znalazł. Nigdy nie zdołał dojść, co znajdowało się w środku i dlatego Leonardo strzegł tego tak zazdrośnie; ze skrzynki ciągle jeszcze emanował dziwny zapach środków używanych przez alchemików, które Leonardo stosował przy swoich doświadczeniach.

Część pierwsza

Kamień odrzucony przez budujących stał się kamieniem węgielnym.  
Księga Psalmów 118,22.

1.

Lasy wokół Bolonii, 1503

Ta noc wydawała się taka sama jak wszystkie. Lato zbliżało się ku końcowi i kiedy słońce kryło się za horyzontem, temperatura spadała, ale wciąż jeszcze nie było zimno. Przynajmniej dla mieszkańców opactwa, które przycupnęło wśród gór pokrytych gęstym lasem i wyniosłych wzgórz północnych Włoch. Braciszek zakonny pracujący jako furtian spał jeszcze w swojej celi w pobliżu muru przy bramie klasztoru. W tej sielskiej ciszy nic nie zwiastowało mających za chwilę nastąpić wydarzeń.

– Otworzyć posłowi Rzymu!

Ten okrzyk i energiczne walenie pięściami w drewnianą bramę sprawiły, że braciszek zerwał się ze swego posłania ze słomy. Półprzytomny opasał się sznurem i pognął ku bramie.

– Kto tam? – spytał zaciekawiony, kto dobija się z takim impetem mimo nocy. Za bramą kilka pochodni oświetlało dziesięciu jeźdźców w wojskowych strojach z herbem na piersiach.

– Otwieraj, mnichu! Otwieraj posłowi Rzymu!

Braciszek zorientował się już, co się dzieje: sam Cezar Borgia, biskup i syn niedawno zmarłego papieża Aleksandra VI, przybył do opactwa. Od tego bezbożnika trudno byłoby oczekiwać czegokolwiek dobrego. Nie można jednak było uniknąć jego wizyty. Braciszek

wiedział, że młody Borgia dokonał już wielu zbrodni. Obecność żołnierzy wskazywała, że nie miał zamiaru odejść, nie osiągnąwszy celu. I cóż mógł począć biedny braciszek? O czym sam zdecydować? Bał się, co na to powie opat, ale nie miał czasu go uprzedzić. Ściągał już wiszący na grubych łańcuchach most zwodzony, gdy zatrzymał go jakiś głos za plecami:

– Kto to, bracie Ezio?

Pomocnik opata, brat Giacomo, młody, smukły zakonnik o surowym wyglądzie, przybył do klasztoru zaledwie kilka miesięcy temu. Opat uczynił go swoją prawą ręką, nie bez sprzeciwów ze strony wielu innych braci. Wiadomo, że zawiść w stosunku do nowo przybyłych jest zawsze największa, bo przecież najłatwiej sprzysiąc się przeciwko komuś takiemu.

– To... to... Borgia...

– Borgia? Tutaj!? – krzyknął młodzieniec zdławionym głosem, usiłując pohamować okrzyk strachu i zaskoczenie. Natychmiast wszystko zrozumiał. On znał powód tej wizyty. Trzeba było zyskać na czasie i powiadomić opata.

– Co się dzieje, mnichu?! Otwieraj w tej chwili! – Krzyki zza bramy były coraz gwałtowniejsze.

– Bracie Ezio – rzekł młody pomocnik opata energicznie, ale z opanowaniem. – Wstrzymajcie się minutę i otwórzcie bramę. Powiedzcie tym z zewnątrz, żeby poczekali na... Wymyślcie coś! Muszę powiadomić...

Nie zważając na przerażenie furtiana, brat Giacomo popędził, podkasując habit. Biegł, jakby go czart gonił. Furtian czuł, jak serce nieprzytomnie wali mu w piersi. Co powiedzieć? Co wymyślić? Był przecież prostym człowiekiem. Nie umiał czytać ani pisać, nawet najprostsze rzeczy sprawiały mu trudności. Czas naglił. Ale musiał coś zrobić – i to zaraz.

– Tak, już idę, już idę. Jaki jest powód waszej wizyty? Jest bardzo późno i...

– Głupi mnichu! Powiadam, otwieraj bramę posłowi Rzymu, bo ją wyważymy! I, na honor, to nie są czcze słowa!

Braciszek dostrzegł w głębi, nieco poza innymi żołnierzami, w słabym świetle księżyca i pochodni, postać na białym koniu. Ubrana była w ciemny, niemal czarny płaszcz, a jej głowę całkowicie zakrywał kaptur. Jeździec wychynął z ciemności i truchtem ruszył ku bramie klasztoru. Kiedy już był przy niej, zrzucił kaptur. W świetle pochodni mnich mógł dojrzeć twarz, której nigdy wcześniej nie widział, a mimo to rozpoznał ją od razu: twarz Cezara Borgii o twardych rysach, oblicze wcielonego zła i zawziętości.

Nie musiał wypowiadać ani jednego słowa. Sam jego widok wystarczył, by braciszek zdrętwiał z przerażenia. Drżącymi rękami odciągnął łańcuch i otworzył bramę. Jeszcze nie skończył, kiedy rozwścieczony dowódca pchnął go na ziemię.

Tymczasem brat Giacomo zbudził opata, uwielbianego przez wszystkich starca o długiej srebrnej brodzie. Obaj doskonale wiedzieli, co się stanie za chwilę. I chcieli temu za wszelką cenę zapobiec. Nawet za cenę życia. Mieli do spełnienia misję, ważniejszą niż ich własne bezpieczeństwo, o wiele ważniejszą niż klasztor, niż jakiegokolwiek poświęcenie. I choć byli pewni, że to poświęcenie niebawem nastąpi, działali z determinacją. Opat, brat Leon, wybiegł ze swojej celi do głównej sali budynku pośrodku wielkiego podwórca, który otaczał wspaniały romański klasztor – i nacisnął kamień ukryty pod wielkim dębowym stołem.

Cezar Borgia wpadł do klasztoru w tej samej chwili, w której zabrzmiał dzwonek kilka metrów pod ziemią, w podziemnym pomieszczeniu. Tam w dole trzymający straż przy olejnej lampce zakonnik, zmorzony snem, drgnął i spojrzął na dzwonek szeroko otwartymi oczyma. Nie było wątpliwości. Trzeba niezwłocznie ruszać. Zbudził swego towarzysza, z którym na zmianę stróżował. Żaden z nich nie nosił habitu. Byli ubrani w obcisłe kubraki, zamiast sandałów mieli na nogach wysokie buty. Przy pasach zwisały szpady. Wpadli do sąsiedniej izby i zbudzili dwoje siedemnastoletnich bliźnięt, chłopca i dziewczynę. To ich strzegli, nie

wiedząc, kim są. Wystarczyło, że przysięgli posłuszeństwo. Teraz musieli wyprowadzić ich stamtąd, nie tracąc ani chwili.

Na górze Cezar przelotnie zmierzył opata wzrokiem. Uwielbienie, jakie starzec budził w innych, w młodym Borgii budziło jedynie zazdrość. Najgroźniejszy jest człowiek mądry; bardziej niż odważny żołnierz czy chytry i nieustraszony zabijaka. Jego dwaj strażnicy czekali na zewnątrz, przed wejściem do kamiennego, kwadratowego, jednopiętrowego domku.

– Monsignore – rzekł w końcu opat wobec milczenia młodego Borgii. – Czemu zawdzięczamy waszą niespodziewaną wizytę?

Starął się okazywać gościnność. Wielka tajemnica, której strzegł, nie powinna wyjść na jaw tylko z powodu strachu. Chociaż wyglądało na to, że Borgia się czegoś dowiedział, inaczej nie wdzierałby się nocą do klasztoru, jakby sekundy czy minuty mogły zniweczyć jego plany lub pogrzebać je na zawsze. Kości zostały rzucone. Teraz najważniejsze, by zyskać na czasie.

– Bracie Leonie, nie obrażaj mnie, żądając wyjaśnienia tego, o czym wiesz, że ja wiem. Daj mi to, czego szukam, a za chwilę zniknę bez śladu.

– My nie...

– Przeciwnie – ciągnął Cezar o wiele groźniejszym tonem – zapewne czytałeś dzieła filozofów o gniewie...

Na dole cztery postaci otulone płaszczami biegły w milczeniu ciemnym korytarzem, wiodącym do lasu, poza mury klasztoru. Poruszali się w niemal całkowitych ciemnościach, ale tę drogę przebywali już wielokrotnie. Tym razem jednak nie była to zwyczajna próba. Ich życiu i czemuś jeszcze ważniejszemu od życia groziło wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie umiesz udawać, bracie Leonie. Uważasz mnie za głupca? – mówił dalej Cezar żartobliwym tonem, zdolnym zmrozić krew w żyłach żołnierza, a osłupiały opat milczał i nawet spuścił głowę, nie mogąc znieść wzroku Borgii. – O tak, zrobiliście to, co musieliście. A teraz ja uczynię to, co powinienem...

Cezar zbliżył się do starca. Zza pazuchy wydobył nóż i wbił wielebniemu prosto w gardło, jakby odcinał płat pieczeni. Z rany wytrysnął strumień krwi, plamiąc ręce i pierś młodego Borgii. Krew, która dołączyła do krwi tyłu ludzi, jaką już przelał ten człowiek i której nigdy nie zetrze z duszy. Im bardziej obmywały swoje ciało, tym silniej ślady zła przywarłyby do jego ducha.

Tymczasem trzech mężczyzn i młoda kobieta, uciekający tunelem, docierali już do lasu. Strażnik, który obudził pozostałych, zaalarmowany przez opata, z największą ostrożnością uchylił bramę wyjściową, drewnianą płytę, dobrze zamaskowaną gałęziami i warstwą ziemi, obok wielkiego stuletniego dębu. Korytarz kończył się kilkoma kamiennymi schodkami pokrytymi mchem, które cała czwórka pokonała ostrożnie, by się nie poślizgnąć i nie narobić hałasu. Tak ich nauczono, bo przejście tego ostatniego odcinka wymagało nadzwyczajnej ostrożności, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

– Stać! – szepnął nagle pierwszy mężczyzna, podnosząc lewą rękę i sięgając prawą do rękojęści szpady.

Drugi powtórzył jego gest. Wszyscy stali w milczeniu, wpatrując się w ciemność. Czy usłyszał coś wśród zarośli? Jakiś głuchy metaliczny dźwięk?

Był już pewien. Jego starania i zabezpieczenia nie zdały się na nic. Wszystko to na próżno wobec dziesięciu czy więcej żołnierzy Cezara Borgii, którzy wyłonili się z ciemności i otoczyli ich z dobytą bronią. Bracia usiłowali walczyć, ale ubito ich na miejscu, jak psy. Dwójkę młodych zaprowadzono na ścieżkę wiodącą do klasztoru. Tam spotkał ich Cezar, uśmiechnięty, przerażająco zadowolony. Jego oczy lśniły z zadowolenia, jak ślepie demona, mimo że przenikał go strach; ów strach, który ściska serce i zmusza do nowych zbrodni. Młodzi nie odezwali się ani słowem. O nic ich też nie pytano. Wszystko wydawało się

stracone. Chociaż... pozostawała jeszcze nadzieja, bo Opatrzność zawsze chroni sprawiedliwych.

Cezar wraz ze swoimi ludźmi opuścił klasztor, uwożąc ze sobą dwoje pojmanych w żelaznej klatce. Z dala, na wzgórzu, jakiś człowiek z zakrytą twarzą obserwował tę ponurą scenę w słabym świetle pochodni orszaku. Był tam cały czas i wszystko widział. Teraz łzy ściekały mu po policzkach i padały na ziemię, przeklętą przez ludzkie zbrodnie. Księżyc schował się za chmurę. Świat, już i tak ciemny, stał się jeszcze mroczniejszy.

2.

Gisors, maj 1944

- Będziecie wreszcie cicho?! – wrzasnął rozzłoszczony Claude. Po miesiącach pracy, po wielu nieudanych próbach, po nieprzespanych nocach nie miał już cierpliwości wysłuchiwać bezustannej gadaniny tych dwóch facetów. Zwracali się do niego z szacunkiem per „profesorze”, chociaż nigdy nie opowiedział im niczego o sobie. Claude zakładał, że tu wystarczyło tylko wyglądać na profesora, żeby cię za niego uważano. W każdym razie był pewien, że reszta wieśniaków, w tym i ci dwaj, wyzywali go za plecami. Bardzo prawdopodobne, że nazywano go między innymi kolaborancką świnią.

Wieśniacy natychmiast przestali się śmiać, choć w ich oczach ciągle jeszcze błyszczały iskierki humoru.

- Proszę wybaczyć, profesorze, ale musiałby pan usłyszeć kawał, który Lessenne...

- Nie płacę wam za słuchanie kawałów, Lhomoy – uciął sucho Claude. – Ani wam za ich opowiadanie, Lessenne – dodał, wbijając spojrzenie w drugiego mężczyznę, który aż spuścił oczy. – Dość już żartów. Dość głupich pogaduszek. Oszczędzajcie oddech, bo będzie wam potrzebny.

- Tak, profesorze – odparli jednogłośnie przyjaciele, już bez śladu uśmiechów na twarzach.

Claude znów zwrócił wzrok przed siebie. O niecałe pięćdziesiąt metrów przed nim wyrastała ciemna plama: zamek Gisors, forteca z XI wieku, która w swoich kamiennych murach skrywała niejednen sekret. O tak, Claude dobrze znał tajemnice tego na pierwszy rzut oka niepozornego miejsca. Przy odrobinie szczęścia zdoła odkryć jedną z nich, tę najważniejszą.

Wierzchem dłoni Claude otarł pot z czoła i policzków, i spływający, kropla za kroplą, z podbródka. Przez cały dzień panował piekielny, obezwładniający upał, który łagodniał dopiero z nadejściem nocy. Dlatego Claude zdecydował pracować od zachodu słońca do świtu. Jedynie tak można było znieść ciężką pracę. Ale nawet o tej porze, kiedy ostatnie promienie czerwonego światła znikwały na zachodzie, otaczający pejzaż wydawał się zdeformowany żarem bijącym z ziemi. To samo można było powiedzieć o zamku na urwistym, sztucznie usypanym wzgórzu.

Żaden z dwóch pomocników nie miał pojęcia, dlaczego Claude przybył do Gisors ani czego szukał na zamkowym podwórzu. Lhomoy miał na ten temat swoją teorię. Sądził, że profesor poszukuje skarbu templariuszy ukrytego, jak mówiono, w podziemiach fortecy. Sam też próbował go odnaleźć, ale bezskutecznie, a przy tym pokaleczył sobie nogę. Ale Lhomoy się mylił. Do pewnego stopnia. Praca jego i Lessenne'a ograniczała się do przeszukiwania studni i galerii w miejscach wskazanych przez Claude'a Penanta. Może i dobrze, bo są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

Przekroczyli zewnętrzne mury i jeden za drugim przeszli pod sklepionym przejściem przez wewnętrzny mur z Wieżą Pamięci, otaczający małe podwórze. Zatrzymali się pośrodku placu, w dużej części już zacienionego.

- Zapal latarnię – rozkazał Claude Lhomoyowi.

Podczas gdy mężczyzna zajął się latarnią, Claude otworzył swoją zniszczoną skórzaną teczkę. Nosił ją teraz zawsze zamkniętą na kluczyk, od czasu dziwnego i zarazem upokarzającego wydarzenia w wiejskiej karczmie, kiedy to skradziono mu stary manuskrypt. Na szczęście nie był mu już potrzebny, mimo to żałował straty.

Wydobył z teczki dwa duże arkusze cienkiego papieru o rozmiarach niemal metr na metr, na których za pomocą kalki zdołał już wiernie skopiować dziwne rysunki, znajdujące się w Wieży Więźnia, gdzie kiedyś zamykano szlachetnie urodzonych przestępców.

Razem z bibułkami Claude rozłożył szczegółową mapę fortecy, z wyrysowanymi różnymi liniami prostymi i łukowatymi, krzyżującymi się ze sobą; były to miejsca, w których prowadził już poszukiwania w ciągu ostatnich miesięcy. Lhomoy zaśwycił latarnię, czekając cierpliwie razem z Lessenne'em, aż profesor skończy odświeżać sobie pamięć. Bo o to właśnie chodziło. Taki człowiek jak Claude nie zwykł na miejscu tracić cennego czasu na obliczenia. Przynosił je już zawnazę przygotowane. To musi być tutaj – usłyszeli mamrotanie Claude'a.

To samo twierdził już kilka razy, ale żaden z mężczyzn nie miał zamiaru przypominać mu tego ani się sprzeciwiać.

– Chodźmy – rzekł Claude podekscytowany. – Czas nagli. – Czas zawsze naglił.

Claude poskładał dokumenty i skierował się szybkim krokiem do wejścia na wieżę. Pomocnicy ruszyli za nim. Reprimenda profesora sprawiła, że nie musiał już dziś prosić Lhomoya o paliki i łaty, bo mężczyzna pośpiesznie sam wydobył je z płóciennego worka.

– Wiecie już, co trzeba robić – stwierdził Claude.

Lhomoy sprawnie wbił jeden z pali pośrodku wejścia do wieży. Zaostrzony koniec drewna łatwo wszedł w ziemię; w tym samym miejscu poprzednio wbijali już podobne pale. Następnie mężczyzna skierował się do wejścia do wewnętrznego zamku. Tam wbił w ziemię drugi pał, także dokładnie w centralnym miejscu. Potem umieścił na pału latarnię.

Dobrze – mruknął Claude, widząc, jak Lhomoy wymachuje rękami, prosząc o sprawdzenie, czy latarnia jest prawidłowo umieszczona.

Profesor wy dostał z teczki urządzenie, wykonane domowym sposobem, ale niesłychanie skuteczne – połączenie kątomierza z prostą, długą iglicą. Iglicą można było przymocować kątomierz do małego imadła i obracać go wokoło niej, ale tylko ruchem zgodnym ze wskazówkami zegara, gdyż czubek iglicy nie pozwalał na ruch w lewo i na przekroczenie początkowej linii kątów. Urządzenie miało też dwa wizjery: jeden stały, nad wymierzonym już początkiem kątów, drugi ruchomy, zamontowany na szczycie iglicy. W obu znajdował się krzyżyk, niczym celownik w broni palnej. W sumie wyglądało to podobnie do astrolabium, chociaż o prymitywnym wyglądzie, a działaniu nieco innym i o wiele prostszym.

Claude położył się na ziemi, tak że jego nogi pozostały we wnętrzu wieży. Następnie umieścił swoje szczególne astrolabium na pału, starając się jak najdokładniej skoordynować początek kątów z jego centrum. Drugim okiem patrzył przez stały wizjer, poruszając astrolabium, aż środek krzyżyka natrafił na światło latarni. W ten sposób zyskał linię łączącą środki wejść zamku i wieży, pozwalającą się domyślić początku każdego kąta, który wskazywała iglica umieszczona na kątomierzu.

Prawidłowy kąt i odległość wyznaczył na podstawie rysunków Wieży Więźnia. Claude ustalił kąt na astrolabium, poruszając iglicą zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Kiedy profesor patrzył przez drugi wizjer, ten zamontowany na iglicy, Lessenne zapalił już drugą latarnię i czekał na dalsze rozkazy. Były to proste wskazówki. Mężczyzna przesunął się w prawo lub w lewo, aż w końcu jego latarnia znalazła się na linii wizjera na iglicy. Zamocuj tu pał – polecił w końcu Claude.

Jeszcze jedno małe sprawdzenie ustawienia wizjerów i minimalne korekty zagwarantowały Claude'owi, że latarnie Lhomoya wraz z palami tworzą odpowiedni kąt w stosunku do jego

pozycji. Nadeszła chwila wykorzystania drugiego obliczenia dokonanego na podstawie rysunków w Wieży Więźnia: odległości, jaka powinna być pomiędzy Wieżą Pamięci a punktem, którego szukał Claude na linii pomiędzy nim a Lessenne'em. Do tego celu posłużyła długa płócienna taśma metrowa, którą rozciągnęli pomiędzy tymi dwoma punktami.

– To musi być tutaj – powtórzył Claude, wbijając w ziemię ostatni pał. W ten sposób, o ile znów się nie pomylił, zaznaczył to, co od wieków było ukryte i co tak bardzo pragnął odnaleźć.

3.

Florencja, 1503

Monotonne uderzenia młotkiem w dłuto, powtarzane przez dziesiątki rąk, zmaćił inny dźwięk, dziwny i nieprzyjemny. Snop światła przedostawał się przez okno i rozświetlał pyłki marmuru, gęsto krążące w powietrzu. Była to pracownia Leonarda da Vinci, w centrum miasta w pobliżu Piazza della Signoria. Wszyscy ci młodzi ludzie byli uczniami praktykującymi u sławnego mistrza.

– Pamiętajcie, że wasze dusze także się rzeźbią wraz z każdym uderzeniem w kamień mówił im Boski.

W głębi obszernej hali, na jednym z potężnych drewnianych stołów, wystarczająco mocnych, by wytrzymać ciężar marmuru, Leonardo trzymał niemal ukończoną pracę, popiersie niezbyt powabnej florenckiej damy, Lisy Gherardini, zamówione przez jej męża, don Francesca di Bartolommeo di Zanobi, bogatego bankiera neapolitańskiego, któremu nadano tytuł markiza di Giocondo. Pozostawało już tylko wykończyć kształt nosa, nieco grubego i długiego, co było dosyć trudno osiągnąć, nie psując osiągniętej subtelności nadmiarem podobieństwa do oryginału. Oczy wyglądały zupełnie dobrze, bo trochę poprawił rzeczywistość. Szczęśliwie też udało mu się zmniejszyć puchowatość policzków damy, raczej potężnej tuszy, i zmiękczyć surowy układ jej ust leciuteńkim uśmiechem, a raczej zapowiedzią uśmiechu. Pozostawała do wykonania już tylko praca wykończeniowa, co wymagało odseparowania się od uczniów i hałasu ich młotków. Po kolejnym przyjrzeniu się popiersiu, z największą ostrożnością zbliżył koniec dłuta tam, gdzie powinien znajdować się nos i przesunął czubek młotka o parę milimetrów w bok, by kilkoma leciutkimi uderzeniami usunąć nadmiar kamienia: było to zadanie wymagające najwyższej dokładności.

– Mistrzu! – wrzasnął ulubiony uczeń Leonarda, Salai.

Leonardo podskoczył na stołku tak, że stracił równowagę i usiłując ją odzyskać, uderzył czołem w posąg i bezwiednie wałnął młotkiem w dłuto. Nos rzeźby odleciał daleko, aż pod ścianę komnaty. Salai, widząc, jak nabroił, uciekł pędem z pracowni. Pozostali uczniowie przerwali pracę. Zapadła martwa cisza, tylko w powietrzu unosiły się pyłki marmuru, a oczy wszystkich utkwione były w uszkodzonej rzeźbie. Leonardo także wpatrywał się w uszkodzony fragment szeroko otwartymi oczyma. Następnie rozległ się jęk, wydany przez Boskiego. W oczach mistrza zaśniły łzy wściekłości. Ale Leonardo nie wpadł w pasję. Zacisnął tylko wargi, otarł łzy rękawem tuniki, szarpnął się za włosy i za długą srebrzystą brodę, po czym objął popiersie i chwilę trzymał je w uścisku. W ostatnim uścisku, pożegnany. Po chwili bowiem z całej siły wałnął rzeźbą o ziemię. Przepiękny marmur pękł na dwoje, wiele kawałków rozprysnęło się po podłodze. Mistrzowskie dzieło z powodu jednego nieudanego szczegółu zostało zniszczone na zawsze.

– Salai! – krzyknął Leonardo najłagodniej, jak mógł. Idąc w kierunku wyjścia, rzucił pozostałym: – Pracujcie dalej.

Nie było czasu na szukanie chłopaka. W drzwiach Leonardo omal nie zderzył się z uczniem pilnującym wejścia, który niespodziewanie wybiegł z za rogu.

– Co tu się dzieje? wrzasnął Boski, wznosząc oczy ku niebu.

– Wybacz, mistrzu. Wiadomość dla was.

Młody syn słynnego w mieście kupca wręczył mistrzowi zalakowany list. Leonardo obejrzał pieczęć: była dziwna, po prostu zwykłe koło, wytłoczone w czerwonym laku.

– Kto to przyniósł?

– Służący. Dał mi to dla ciebie, mistrzu i odszedł bez słowa.

– Dobrze, wracaj na swoje miejsce – powiedział Leonardo obojętnie, próbując dociec, kto też przysłała mu tę wiadomość.

Przypatrywał się kartce kilka chwil, nie łamiąc pieczęci. Był jeszcze roztrzęsiony po utracie dzieła. Trzeba naprawić szkodę: zrobić nową rzeźbę albo może – jeszcze lepiej – namalować portret. Malowanie sprawiało mu większą przyjemność niż rzeźbienie: zresztą uważał, że ma większy talent malarski. Do wykonywania pompatycznych, napuszonych, ale niezmiennie doskonałych rzeźb najlepiej nadawał się Michał Anioł, ten zarozumialec, nieprzyjaciel, awanturnik, zuchwalec... i genialny artysta, którego Leonardo w równej mierze nienawidził, jak i podziwiał.

Mistrz postanowił przerwać te rozmyślenia, które w tej chwili do niczego nie prowadziły. Udał się do swojej izby i otworzył list. Tekst był krótki, ale Leonardo języka nie rozumiał, mimo że treść zapisano zwykłymi, łacińskimi literami. Chociaż właściwie... tak, to musiał być kod, tekst zmieniony w ten sposób, by nikt niepowołany nie mógł go przeczytać. Boski dobrze znał ten system kodowania i mógł nawet odczytać list – chociaż nieco wolniej – bez przenoszenia na papier litera po literze.

Z listu wynikało, że nie można tracić czasu. Leonardo zawsze starał się być powściągliwy w okazywaniu uczuć, ale nigdy nie opuściłby w niebezpieczeństwie serdecznego przyjaciela. Jeśli usuwał się w odosobnienie, to po to, by nie zostać skrzywdzonym. Był człowiekiem niezwykle wrażliwym, jak gąsienica, która wkręca się pod ziemię, by jej nie zdeptano, tak on ukrywał prawdziwe uczucia. Jego doświadczenie ze Świętym Oficjum ponad pół wieku temu było straszne: nigdy nie potrafił o nim zapomnieć. Został oskarżony o sodomie, którą karano śmiercią, i gdyby nie to, że wraz z nim oskarżono syna pewnego bogacza, z pewnością skończyłby na sznurze lub na stosie. Tak, musiał być ostrożny, uważny i unikać ryzyka. Wolał już zrezygnować z części swoich uczuć i nawet najbardziej intymnych kontaktów osobistych, by nie narazić się ponownie na takie niebezpieczeństwo. Jego życiem była sztuka, a sztuka mogła obejść się bez bogatego życia intymnego.

Owej chwili refleksji przeszkodziło ciche stukanie, które wyrwało go z zamyślenia. To Salai pukał do otwartych drzwi, niemal skryty za ścianą.

– Mistrzu, czy można?

Leonardo popatrzył na niego chwilę oczyma płonącymi gniewem na wspomnienie wydarzeń z popiersiem, ale natychmiast poskromił złość i ze swoją zwykłą łagodnością odparł:

– Tak, narowisty młodzieńcze, tak. Wchodź. Już się nie gniewam. Ale pamiętaj, niczego się nie nauczysz, jeżeli będziesz taki gwałtowny. Czy nigdy nie zrobisz z siebie artysty, nawet średniego?

– Tak mi przykro, mistrzu, wiesz przecież, że się staram...

– Wiem, mój kochany, wiem...

Leonardo podniósł się i poklepał chłopca po policzku; ten po uzyskaniu przebaczenia odzyskał humor.

– Teraz muszę się przygotować. Wybieram się w krótką podróż. Muszę zobaczyć się z pewnym przyjacielem, który jest w kłopotcie.

List leżał na stole obok księgi z przepisami kucharskimi, które Leonardo właśnie spisywał. Kiedy Leonardo opuścił izbę, Salai, zaciekawiony, wziął pismo i próbował je odczytać. Skrobał się po złotych lokach, ale nic nie rozumiał. Niezbyt się tym przejął. Jego dusza potrzebowała innych wrażeń. Cóż mógł go w końcu obchodzić jakiś tam list! Zapomniał już

o nim, kiedy szedł do kuchni, gdzie wziął sobie solidny kawał chleba i drugi, jeszcze większy, sera.

Raisofu enohu miupesfu, foxopu neitsu fi esvotvet, juncsi fi coip, tumodovu va ezafe dup ja nom fi dimisofef. Saihu e va nehpe qistupe rai edafe e no mmenefe. Hsexit dosdapvepdoet eto mu siraoisip.

Tepesu cuwodimmo

4.

Gisors, 6 czerwca 1944

Claude nie miał wiele czasu. Rozpoczynała się już inwazja aliantów na Europę. Oczywiście nie znał szczegółów. Cenzura nazistowska w dalszym ciągu przedstawiała Francuzom swoją, odpowiednio przykrojoną wersję wojny. Taką, w której istniały tylko zwycięstwa wojsk Trzeciej Rzeszy na wszystkich frontach, a klęska aliantów zawsze była nieuchronna. Claude nie wierzył jednak tym doniesieniom. Widział przecież jadące na zachód konwoje wojsk i pojazdów pancernych i słyszał pogłoski o nadpływających tysiącach statków i setkach tysięcy żołnierzy lądujących na plażach Normandii. I po raz pierwszy od dnia okupacji Francji spojrzenia niemieckich żołnierzy wyrażały strach i zwątpienie.

Zaczęło się... Czasu było coraz mniej.

Wojska, wcześniej czy później, zawsze szukają miejsca, w którym czują się wystarczająco bezpiecznie, by zwolnić strażę i odpoczywać. A wtedy nadchodzi ich koniec. I wojsko niemieckie nie jest tu wyjątkiem. Przetoczyło się jak lawina w roku 1940 przez Ardeny, przeganiając Anglików pod Dunkierkę i błyskawicznie unicestwiając wojsko francuskie. W tym pierwszym okresie Niemcy byli skoncentrowani i przewidujący, potem jednak popadli nieuchronnie w lenistwo i niedbalstwo. Przez zbytnią pewność siebie stracili czujność. Tym bardziej nie zwracali uwagi na skromne miasteczko Gisors. Właśnie dzięki temu aż do tej chwili Claude mógł w miarę bezpiecznie prowadzić swoje działania.

Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Oczywiście zawiniła inwazja aliantów. A także intensyfikacja działań Podziemnych Sił Francuskich, grup Resistance, jak je wszyscy nazywali. To wystarczyło, by zwrócić niepożądaną uwagę na Gisors. Tegoż ranka maguis\*[\* (franc.) zarośla; tu: oddziały partyzantki] skradli dwie ciężarówki kartofli, przeznaczone dla garnizonu niemieckiego; czyn niezbyt niepokojący na pierwszy rzut oka, ale zawsze przecież groźny pożar zaczyna się od maleńkiej iskierki.

Kiedy zatem alianci wejdą do Gisors – a niewątpliwie nastąpi to dość szybko, myślał Claude – wraz z nimi nadejdzie okres destabilizacji. Trzeba będzie wtedy odłożyć swoje poszukiwania na później, rozważał dalej Claude. Oczywiście jeżeli nie skończy w więzieniu albo martwy na ulicy, ukamienowany, oskarżony o kolaborację. Sprzedałby duszę diabłu, by opóźnić desant jeszcze o miesiąc. Zrobiłby to, gdyby miał jeszcze duszę do przehandlowania, bo przecież, czy już jej nie sprzedał, wiele razy, w wielu miejscach, by dotrzeć aż tutaj?

Mimo wszystko czuł jednak satysfakcję. Myślał sobie, że w końcu powinien być wdzięczny: ta noc należała do niego...

– To godzina czarownic – zanucił cichutko starą pieśń, którą znał z dzieciństwa, uśmiechając się niespokojnie. – Wszyscy śpią, a demony obiegają Ziemię.

Lhomoy i Lessenne popatrzyli na siebie bez słowa. Czasami woleliby nie mieć nic wspólnego z tym dziwnym facetem i jego interesami. Czasami się go bali.

5.

Gisors, 6 czerwca 1944



Z okrągłego szybu Claude widział część nocnego nieba. Pot spływający z czoła zamglił mu wzrok, przez co gwiazdy stały się plamami, a nie białymi punktami światła. Panował niemiłosierny upał. W samym piekle nie mogło chyba być goręcej niż w tym paskudnym szybie. Wykopywanie go zajęło im tydzień. W górze miał dwa metry szerokości i niecały metr na dole. Roboty była jeszcze trudniejsza niż poprzednio, chociaż z jakiegoś powodu rezultat bardzo uradował Claude'a: w czasie kopania natrafiali na mnóstwo kamieni, a w zasadzie kamiennych bloków wykonanych ludzką ręką. Wyglądało na to, że były to pozostałości jakiegoś przejścia lub podziemnej konstrukcji, która po latach się zawaliła. Kiedy dotarli na głębokość piętnastu metrów, ilość bloków zmniejszyła się gwałtownie; a nieco dalej zupełnie przestały się pojawiać. Claude postanowił więc wykopać boczny korytarz, który w tej chwili miał już około dziesięciu metrów długości. Decyzja okazała się słuszna, bo niebawem znów natknęli się na ślady kamiennych bloków.

Profesor z trudem przepychał się przez ten wąski tunel, niemal ryjąc nosem ziemię i rozdmuchując jej grudki zdyszonym oddechem. Na końcu korytarza Lhomoy i Lessenne na zmianę wykopywali i wynosili wydobytą ziemię na powierzchnię.

Tej nocy Claude po raz kolejny zmienił strategię. Zamiast iść naprzód poziomym korytarzem, zaczął kopać nowy szyb. Znowu kierował się kamiennymi blokami, które znaczyły mu drogę.

– Coś nowego? – spytał Claude Lessenne'a, gdy dotarł do pomocnika.

Lessenne, zmordowany, chwytając w płuca wielkie hausty powietrza, pokręcił głową. Oczy miał szeroko otwarte, bardzo białe na brudnej twarzy poprzecinanej strużkami potu.

– Nic.

– Do diabła! – wykrzyknął Claude. – Lhomoy!

Przez moment nikt nie odpowiadał; jedynym dźwiękiem były uderzenia żelazem o ziemię.

– Ej, Lhomoy! – zawołał Lessenne.

– Tak? – Walenie ustało na chwilę i powróciła cisza, niepokojąca, zakłócana tylko ciężkimi oddechami.

– Profesor chciał... – zaczął Lessenne, ale urwał, bo trzeba było oszczędzać powietrze.

– Wykopaliliśmy już cztery metry i nic – powiedział Lhomoy, który się domyślał, co chciał wiedzieć Claude.

– Kop dalej, Lhomoy, dalej – prosił Claude zdenerwowany. – I dodał szeptem: – Czas ucieka.

To była jego ostatnia noc, ostatnia okazja.

Znów zaczął pełznąć ku powierzchni, cofając się tyłem, bo nie było dość miejsca, by się obrócić. Przebył mniej niż dwa metry, kiedy to się stało: monotonne uderzanie metalu w ziemię zmieniło się nagle w inny dźwięk.

– Profesorze... tu coś jest!

Podniecony głos Lhomoya zabrzmiał zupełnie inaczej.

Jedynie Claude zorientował się, dlaczego: teraz słychać było echo.

– Czekaście na mnie na górze – rozkazał z nagłym ożywieniem.

Lessenne i Lhomoy niechętnie wycofali się aż do szybu, by zrobić profesorowi przejście. Chcieliby zobaczyć, co odkryli po trzech miesiącach ciężkiej pracy i czego z takim uporem poszukiwał profesor. Nie wiedzieli, że nie mogliby tej nocy zaspokoić swej ciekawości, gdyż Claude miał inne plany.

Zazdrośnie śledzili, jak profesor zagłębiał się w poziomy korytarz w kręgu światła, które powoli oddalało się i w końcu stało się już tylko słabym odbłaskiem, kiedy Claude zniknął w drugim szybie. Zaciekawieni bardziej niż kiedykolwiek, dwaj mężczyźni usłyszeli potem, jak Claude uderza w coś niewątpliwie twardszego niż ziemia.

– To ściana, profesorze? – dopytywał Lhomoy. – Jestem pewien, że to ściana.

Lessenne przytaknął. Uderzenia ustały i światło lampy Claude'a zamigotało nagle. Potem znikło zupełnie, pozostawiając pomocników w ciemnościach.

6.

Piza, 1503

Leonardo da Vinci przybył do Pizy własnym powozem, podarowanym mu dziesięć lat temu przez Lodovica Sforzę, zwanego Maurem. Powóz był niewielki, prosty i niezbyt stabilny, ciągnięty przez dwa konie. Wkrótce w oddali pojawiła się katedra. Wraz z otaczającymi ją budowlami tworzyła piękny zespół architektoniczny, nieco zeszpecony z powodu pochylonej wieży, czemu winien był zbyt miękki teren, nieodpowiedni do dźwigania tak wielkiego ciężaru na takiej małej powierzchni. Nie przewidzieli tego konstruktorzy przy projektowaniu, chociaż na szczęście zorientowali się na czas i w trakcie budowy zdołali zmniejszyć niebezpieczne odchylenie.

– Nie wytrwa nawet dwóch lat, panie da Vinci – mówił woźnica, gaduła, który nie wiedział o zaradczych środkach architektów.

– Pochyła się trochę – odparł Leonardo. – Ale ja wróżę jej o wiele dłuższy żywot. Według moich obliczeń, będzie trwała całe wieki.

Po krótkiej chwili powóz wtoczył się w gmatwaninę wąskich uliczek. W pobliżu centrum miasta znajdował się dom jednego z najznacniejszych i najślawniejszych w całych Włoszech, a nawet w całej Europie artystów: Alessandra di Mariano di Vanni Filipepi, bardziej znanego jako Sandro Botticelli. Jego pracownia znajdowała się we Florencji, podobnie jak pracownia Leonarda. Był starszy od mistrza zaledwie o kilka lat. Obaj wspólnie przeżyli wiele, co sprawiło, że ich szczerą przyjaźń przetrwała, choć nieco ochłodzona z powodu rzadkich kontaktów w ostatnich latach i pewnej rozbieżności przekonań, zwłaszcza w sprawach religijnych.

Powóz zatrzymał się przed fasadą domu. Na prośbę woźnicy służący Botticellego otworzył bramę wiodącą na podwórzec i wprowadził wóz do środka. Smutny, niemal żałosny wzrok chłopaka nie uszedł uwadze Leonarda. Co ten młodzik mógł wiedzieć o problemach swojego pana?

– Chłopcze – spytał, kiedy tamten otwierał mu drzwiczki powozu. – Co tu się dzieje?

– Och, nasz pan... zaczął młodzieniec, niemal płacząc.

Leonardo pogłodził go uspokajająco po twarzy. Chłopiec był bardzo ładny, chociaż trochę kulał – defekt, którego Boski nie był w stanie znieść. I to nie z powodu niskich pobudek ani wyniosłości, ale dlatego, że każdy objaw chronicznej choroby, dręczącego ludzi cierpienia, sprawiał mu ogromny ból. Dlatego na naukę przyjmował wyłącznie chłopców idealnie pięknych, co powodowało tyle plotek na temat jego skłonności.

– Powiedz, synku, co się dzieje z twoim panem? Gdzie on jest?

– Jest na górnym piętrze. Już od dawna nie chce wychodzić stamtąd za żadną cenę, tak że nawet posiłki musimy mu podawać ukradkiem, kiedy zdarzy mu się otworzyć na chwilę drzwi. Ale nie widzimy go nigdy, bo chowa się przed nami. Chyba coś bardzo złego... Niech pan mu pomoże, signore da Vinci, błagam!

– Nie obawiaj się, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

W tym momencie Leonardo zdał sobie sprawę, że inny chłopak, równie przygnębiony, wpatruje się w niego z kąta podwórza. Zdecydowany dojść, co tu się stało – a musiało to być coś poważnego, wnioskuje zarówno z sytuacji na miejscu, jak i listu przyjaciela – poprosił służącego, by poprowadził go do komnaty Botticellego.

Na górze Leonardo załomotał pięścią w drzwi. Odpowiedzią była cisza. Po kilku sekundach zapukał ponownie, jeszcze energiczniej.

– Precz! Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać! – rozległ się głos artysty, gardłowy, okropny, jakby wydobywał się z otchłani i odbijał echem o skały.

– Sandro! To ja, Leonardo.

Kilka pośpiesznych kroków poprzedziło szcęk otwieranej zasuw. Drzwi do komnaty otwarły się, a za nimi ukazała się twarz budząca przestach: obrzękła, z głębokimi cieniami pod oczyma; Botticelli miał włosy w nieładzie, a usta wykrzywione grymasem.

– Niebo wysłuchało moich modłów! Wchodź, przyjacielu, wchodź. Nie ma czasu do stracenia.

– Co...? – próbował dopytać Leonardo, ale Botticelli już chwycił go za tunikę i wciągnął do środka z impetem, jakiego trudno było się spodziewać po człowieku w tak okropnym stanie.

W komnacie panował smród nie do zniesienia. Okno zostało zabite deskami. Mimo że na dworze panował piękny dzień, wewnątrz jedyne światło pochodziło z lamp oliwnych, jeszcze bardziej przydających powietrzu duszności. Silnie śmierdziało też moczem.

– Leonardo, drogi przyjacielu, Leonardo, mistrzu... – powtarzał Botticelli.

Boski zauważył, że przyjaciel jest pijany. Przypatrywał mu się chwilę i ta chwila wystarczyła, by przypomnieć sobie mnóstwo rzeczy. Jak to się zmieniło! Wiele lat temu omal nie otworzył wraz z nim restauracji. Ale nade wszystko przypomnieć sobie najważniejszą przyczynę odsunięcia się od niego: sprawę fanatyka Girolama Savonaroli, szaleńca, który skończył na stosie za herezję, powieszony wobec całego ludu Florencji, a potem spalony. Sandro szedł za nim, jak owca postępuje za pasterskim psem. Choć Savonarola był raczej wilkiem. Nawoływał do ścisłego przestrzegania zasad moralnych. Zajadle krytykował za upadek obyczajów. Takie istoty jak on nigdy nie są zadowolone, bo radują się z cudzego nieszczęścia i poza maską dobroci skrywają żądzę władzy i zemsty.

Leonardo nie mógł pojąć, czemu jego przyjaciel przyjął tak skrajną postawę. W rzeczywistości Botticelli tuż przedtem został oskarżony o przeciwną naturę praktyki ze swoimi uczniami i chociaż wszystko potem ucichło, sprawa była poważna. Leonardo wiedział o tym aż za dobrze. Przyjaźń pomiędzy obu artystami osłabła i każdy z nich poszedł swoją drogą. Ale teraz ten zniszczony życiem człowiek o wyglądzie stracha na wróble, karykatura tego, kim był, potrzebował pomocy. Tak właśnie objawia się prawdziwa przyjaźń, w najgorszych chwilach. Przyjaźń, której nie wzmacniają miłe momenty i nie niszczą słabości. Prawdziwa przyjaźń nigdy się nie kończy. Jeśli Sandro go potrzebował, Leonardo gotów był mu pomóc. Zawsze.

– Co ci się stało, przyjacielu?

– Jakbyś nie wiedział...

– No dobrze, to dlatego mnie wezwałeś, tak?

– Tak. I bardzo mi przykro. Bo cię kocham, jak wiesz.

– Wiem, wiem. Ale nie trzymaj mnie w napięciu. Powiedz, co się stało. Botticelli usiadł na łóżku, a Leonardo pozostał pośrodku komnaty, patrząc na niego, wyprostowany jak posąg i coraz bardziej napięty.

– Leonardo, Leonardo... Jak tam w twojej szkole? Ile to już czasu, kiedy chodziliśmy razem do pracowni Verrocchia! Masz jakiegoś wybitnego ucznia? Ja mam. Rodzice przyprowadzili tego chłopaka z niedalekiej wsi i on...

– Sandro! Mów do rzeczy. Zaczynasz mnie irytować.

– Masz rację. Ale przedtem muszę się napić.

– Nie sądzisz, że masz już dosyć?

– Nie. Zapewniam cię, że to, co ci muszę wyjawić, to coś ważnego, i wymaga, żebym... nie. Nie mam dosyć. Muszę jeszcze... Boże mój...!

Leonardo zaczynał już tracić cierpliwość i chęć słuchania. Botticelli wybuchnął płaczem. Nie mógł opanować szłochu. Ledwo mówił.

– To straszne, straszne. Nie uwierzysz. To straszne. Biedne dzieciaki...

– Uspokójże się, przestań beczeć i mów jak człowiek! – rozkazał Leonardo, zdecydowany sprawić, żeby przyjaciel go usłuchał i by w końcu sprawy zaczęły się wyjaśniać.

– Dobrze, dobrze – odparł Sandro, ocierając twarz prześcieradłem, wyraźnie spokojniejszy.

– Nie uwierzysz. A to bardzo długa historia. Jak do tego doszło? Wiem, ale tak jakbym nie wiedział, bo nie rozumiem. Jak to się mogło stać? Jak?!

Nie mógł mówić dalej. Zmęczenie i alkohol w połączeniu z rozpaczą sprawiły, że wybuchnął nagle sardonicznym śmiechem i ...zemdłał. Leonardo, zmieszany i zaniepokojony, wezwał służącego, by pomógł mu rozebrać przyjaciela i wygodnie ułożyć w łóżku. Poprosił też o przygotowanie na później kąpieli i gorącego rosołu.

Co spowodowało aż taki zamęt w duszy przyjaciela? List nie wskazywał na wielkie niebezpieczeństwo, choć jasno mówił o potrzebie pośpiesznego działania.

Drogi przyjacielu Leonardo, boski mistrzu artystów, dobry człowieku, proszę o twoją pomoc jak najszybciej. Błagam twoją wielką osobę o wysłuchanie mojego wezwania. Ważne okoliczności tego wymagają.

Sandro Botticelli

7.

Gisors, 6 czerwca 1944

Lhomoy i Lessenne zaczęli się niepokoić. Profesor już zbyt długo tkwił we wnętrzu szybu. Zgodnie z jego poleceniem wyszli na powierzchnię. A chociaż chłód nocy i widok nieba nad głowami sprawiał im ulgę, coraz bardziej się denerwowali. Nie odrywali wzroku od wylotu szybu, ciągle oczekując, że Claude wysunie z niego głowę i powie, co kryje się tam na dole. Bardziej nerwowy i niecierpliwy był Lhomoy. W jego duszy na nowo zapłonął dawny ogień, pragnienie, które sprawiło, że zgodził się podjąć poszukiwania w zamku, iść śladami legendarnego skarbu templariuszy.

– Może coś mu się stało? – odezwał się Lessenne.

Lhomoy nic nie odpowiedział. Gwałtowny podmuch zimnego wiatru rozwichrzył mu włosy, a gołe spocone ramiona zadygotały. Niektórzy widzieliby w tym podmuchu prosty skutek jakiegoś zjawiska atmosferycznego, być może trudnego do przewidzenia, ale naturalnego. Inni jednak uznaliby to za znak, a nawet za ostrzeżenie. Legenda o skarbie templariuszy nie była jedyną, krążącą po okolicy. Były i inne, o wiele bardziej ponure. Starzy ludzie chętnie o nich rozprawiali z wielkim szacunkiem w głosie, tak jak się mówi o umarłych, a zwłaszcza tych, którzy pojawiają się żywym.

W zamku Gisors pokutowało wiele dusz. W większości były niegroźne. Najczęściej zjawiał się duch młodzieńca w stroju błazna, sprawiający wrażenie ciężko rannego. Z jedną ręką ułożoną na piersi, z drugą na prawym biodrze, przechodził obolały przez podwórze. Zawsze kierował się w to samo miejsce, gdzie przykucał i niby otwierał jakąś klapę, zanim zniknął pod ziemią.

To miejsce znajdowało się blisko otworu szybu. Wspomnienia o innych duchach również nie dawały dwóm mężczyznom spokoju – o tych groźnych, jak ten straszny demon, który, jak opowiadano, strzegł ukrytego skarbu w podziemiach zamku. Podobno można było pokonać go jedynie o północy dwudziestego czwartego grudnia...

Nagle serca zabiły im mocniej, a Lessenne omal nie krzyknął, kiedy zobaczyli wyłaniające się z ziemi ramię. To był Claude, który wychynął z szybu rzeczywiście jak zjawa. Błękitnawe światło księżyca w pełni oświetlało mu twarz, czarną od brudu, ale rozjaśnioną uśmiechem pełnym satysfakcji.

– Zbierajcie wszystko. Prędko – polecił niespodziewanie.

– Ależ, profesorze... – zaczął jękliwie Lhomoy.

– Jeżeli wam życie miłe, róbcie, co mówię.

Nie była to groźba, ale ostrzeżenie. Obaj pomocnicy zauważyli, że Claude nie miał przy sobie swego nieodłącznego płóciennego worka. I choć nie wiedzieli, co worek zawiera, sam jego brak już im wystarczył.

– Niczego ciekawego nie znalazłem – oznajmił profesor przeproszającym tonem.

Wybuch był gwałtowny i nagły. Nawet Claude, który się go spodziewał, skulił się odruchowo. Trzej mężczyźni byli już daleko po drugiej stronie zewnętrznych murów fortecy. Niemal natychmiast dał się słyszeć ostry dźwięk alarmu w garnizonie Niemców.

Wystraszone, jeszcze zaspane twarze pokazywały się w oknach kilku wiejskich domów.

Stało się... Claude westchnął. Wejście do kaplicy Świętej Katarzyny po raz drugi zostało pogrzebane. Szukał go tyle lat... Niemal przez całe życie. Ale wszystkie wysiłki, fałszywe tropy, niebezpieczeństwa i rozczarowania, cały ten okres wędrówki przez pół Europy – wszystko to opłaciła ta jedna noc.

Tajny dziennik Leonarda da Vinci w końcu należał do niego.

8.

Piza, 1503

Historia, którą ci chcę opowiedzieć, przyjacielu Leonardo, o ile mnie zawodna pamięć nie omyli i zdołam przedstawić wszystkie wydarzenia po kolei, zaczęła się przed wielu, wielu laty. Ty i ja byliśmy wówczas młodzi i pełni złudzeń, pragnień, chęci życia. Doskonale pamiętam nasze dyskusje na tematy religijne. Ja byłem nieprzejednanie wierzącym, ty – niepokornym ateistą. Mój umysł poszukiwał oświecenia w Bogu, twój w rozumie. Zawsze widziałem – i godziłem się z tym – że wzniosłeś się wyżej ode mnie. Dlatego dumny byłem z tego, co niektórzy święci ludzie myśleli o mnie – ci, którzy ciebie nie chcieli widzieć w swoim tajnym stowarzyszeniu. Nie ufali ci, nie tak, jak ja. Uważali, że jesteś niebezpieczny.

Ich doktryna miała chrześcijańskie korzenie i nie głosiła herezji. Ale prawda, której strzegli, była trudna do pojęcia. By ją poznać, trzeba byłoby podważyć podstawy całego świata.

A wtedy z pewnością doszłoby do obalenia stowarzyszenia, bo takiego ciężaru nie przyjąłby na swoje barki ani Kościół, ani jego wielcy. Mówię ci o największej tajemnicy świata; wartej każdego poświęcenia: mówię o Świętym Graalu, mój przyjacielu, o pokoleniu naszego pana Jezusa Chrystusa, zrodzonym z jego świętej małżonki, Marii Magdaleny...

Botticelli opowiadał, jak to wszystko się zaczęło. Był rok 1099, kiedy w Ziemi Świętej grupa szlacheckich rycerzy, przebywających w Jerozolimie, utworzyła zakon. Miał on strzec największego sekretu, jaki można sobie wyobrazić.

Oto ta historia:

Zakon Syjonu

Mijały już trzy lata, odkąd chrześcijańscy rycerze wyzwolili Ziemię Świętą spod władzy muzułmanów. Bóg dał wielką siłę ramionom walczących w Jego imię na całym świecie. Ale był pewien człowiek, ponad wszystkimi innymi, który miał prawo królować, choćby sam tego nie chciał. Jego wizja sprawiła, że inni poszli za nim walczyć w słusznej sprawie. To Gotfryd de Bouillon, obrońca Grobu Świętego.

Pierwsza wyprawa krzyżowa, podjęta w celu zdobycia Jerozolimy, tego po trzykroć świętego miasta, rozpoczęła się w roku 1096. Twarda walka niosła za sobą wiele okropności. Wojna rozbudzała w obu stronach to, co najgorsze, ale i to, co najlepsze. Wojna nie jest niczym wielkim i chwalebny, ale czasem daje rzadką okazję zaprezentowania prawdziwej

wielkości. Duch człowieka może ogarnąć cały świat, może też być mniejszy niż główka od szpilki. I nie zawsze to, co się wydaje, jest tym istotnie.

Gotfryd de Bouillon dobrze o tym wiedział. Należał do pokolenia pokoleń, pochodził od Jezusa z Nazaretu i Marii Magdaleny. A potomkowie tej linii byli – i zawsze będą – prześladowani. Wielu chętnie by odcięło jej odgałęzienia, dynastia przeżyła już liczne prześladowania. Okrutne i bezbożne. W tym także ze strony Kościoła. Władza zwykle rządzi wiarą, a odwieczna władza Kościoła niewątpliwie rządziła w owym czasie wiarą wszystkich ludzi. Papiestwo tonęło w intrygach. Złe światło Kościoła ukryło przesłanie Chrystusa jakby na dnie studni. Od góry grubą warstwą przesłoniło je błoto. Czysta, dobra do picia woda w dole była niewidoczna, zatem nikt jej nie pił. Były to ponure, krwawe, bezlitosne czasy. Gotfryd de Bouillon nie wątpił w to ani nie chciał otwarcie z tym walczyć. Nie był naiwny. Wiedział, że właściwa chwila – chwila jego dynastii – nadejdzie, chociaż być może nieprędko. Może w następnym tysiącleciu.

Nie chciał jednak porzucić walki czy zginąć. Przeciwnie: musiał strzec dynastii i świętej rodziny. Dlatego stworzył tajne stowarzyszenie, które miało kontynuować walkę, gdy Gotfryda już zabraknie. Założył je w roku 1099 na górze Syjon i nazwał Zakonem Syjonu. Tajna kongregacja mnichów, która chciała uczynić de Bouillona królem Jerozolimy, stała się załączkiem zakonu. Następnie dołączyli do niej nowi adepci szlachetnej i świętej sprawy. Wielu z nich było Francuzami, gdyż potomkowie Jezusa i Marii Magdaleny połączyli się z królewską rodziną Franków.

Zakon Syjonu niebawem stracił swojego założyciela. Gotfryd de Bouillon zmarł już po roku. Jego brat Baldwin przejął po nim przewodnictwo. Zgodził się zostać królem Jerozolimy i kontynuował prace nad założeniem nowej formacji, o której już Gotfryd rozmyślał: zbrojnego ramienia zakonu, które broniłoby dynastii. Obrońcy zakonu zyskali miano templariuszy, ponieważ zostali powołani do życia w Świątyni (po łacinie „templum”) Salomona w Jerozolimie.

Wszystkie te działania, mimo wielkiej potęgi pierwszych założycieli, musiały być prowadzone w największej tajemnicy. Kościół nie mógł o tym nic wiedzieć. Papież powinien wierzyć, że zakon templariuszy powstał celem opieki nad chrześcijańskimi pielgrzymami przebywającymi w podróży do Ziemi Świętej. Pewien święty człowiek zaoferował swą pomoc w rozproszeniu wątpliwości dostojników kościelnych. Był to Bernard de Clavarał, święty Bernard, reformator religijny zakonu cystersów. I tak oto zakon templariuszy zmienił się w zakon przyboczny cystersów, z bardzo zbliżoną regułą, ale złożony z mnichów-rycerzy.

Spisek został zawiązany. Zwinne dłonie tkaczy zaczęły wiązać nitki i pleść tkaninę. Wiele się zmieniało. Większość zakonników znała tylko historię zewnętrzną. Jedynie przed wybranymi odsłaniano prawdę; przed tymi, którzy byli godni ją znać. Podzakon cystersów miał zatem ochraniać pielgrzymów, ale także, co znacznie ważniejsze – strzec dynastii Chrystusa, Świętego Graala.

W późniejszym okresie templariusze nagromadzili ogromne bogactwa i zdobyli nadspodziewanie wielką władzę. Zapomnieli, że nie są niezniszczalni. W dwieście lat później nadszedł ich kres. Z dawnego zakonu niewiele zostało. Ukryto niezliczone skarby, ale to nie miało prawdziwej, najgłębszej wartości. Szukali ich tylko chciwcy. Dynastia się uratowała, chociaż nie było już zbrojnych, by ją chronić. O ile dawniej wszystko utrzymywano w tajemnicy, teraz zdwojono wysiłki, by prawda pozostała w ukryciu. Jak podziemna rzeka, dynastia zesłała pod ziemię, by pewnego dnia pojawić się ponownie, silna i czysta.

Chociaż prawdziwi templariusze zniknęli, ci którzy jeszcze się utrzymali, tułali się po Portugalii i Hiszpanii. Uszczuplony zakon ochraniał teraz inne relikwie – na przykład święty Całun. Ale już żaden z rycerzy nie znał zasadniczego celu. Jedynie Zakon Syjonu trwał niezmiennie, ale obecnie bardziej przykładano wagę do ochrony tajemnicy. Wymyślano kody,

by ukryć treść dokumentów. Jeśli pisma kiedykolwiek trafiłyby w niepowołane ręce, nikt nie potrafiłby pojąć ich sensu.

Kościół był zadowolony ze zniszczenia zakonu templariuszy. Ale jeszcze raz okazało się, że nie sposób wyciąć wszystkich odgałęzień dynastii. Drzewo Jezusa Chrystusa nadal rośnie, nie ustępując pod naciskiem władz ziemskich.

Ale ziemia straciła krew Boga i nadzieję na lepszą przyszłość, która nastanie, gdy ludzkość będzie do niej przygotowana. Czyż Jezus nie zapowiedział swojego ponownego przyjścia, tym razem już na zawsze? Zaistnienia w swoich potomkach, gdy nadejdzie odpowiednia chwila? Dlatego trzeba było strzec dynastii za wszelką cenę. Ponieść każdą ofiarę.

Sandro Botticelli nigdy nie był święty. Ale niepomiernie dużo dobra uczynił przez swoją służbę dla dynastii. Strzegł jej poprzez zakon. Dlatego został wielkim mistrzem. Chociaż właśnie za jego czasów następcy Jezusa przeżywali najtrudniejszy okres w historii. Najczarniejsze chmury gromadziły się już wówczas nad przyszłością świata...

– Ale dlaczego Cezar Borgia prześladowa tych, których nazywasz następcami Chrystusa? – spytał Leonardo po wysłuchaniu historii Zakonu Syjonu, starając się zrozumieć coś więcej.

Botticelli patrzył kilka sekund na przyjaciela, jakby szukał odpowiednich słów.

– Nie prześladowa ich, Leonardo. On chce po prostu wzenie się w dynastię.

Słowa te zabrzmiały w komnacie, niczym grzmot odbijający się echem.

Cezar Borgia, ten bezbożnik, chciał wejść do rodziny Chrystusa! Przynajmniej według słów Botticellego.

– Tak, mój przyjacielu. Widzę, jak cię to zdumiewa. Ale to prawda. Jego potęga się kończy. Rok temu otrzymał tajne dokumenty. Były zakodowane. I choć trudno to pojąć, zdołał je odczytać. Musiał mu pomagać ktoś bardzo mądry.

Leonardo zastygł jak rażony piorunem. Przypomniał sobie teraz fragmenty tekstu, które odczytywał dla Borgii dokładnie przed rokiem. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, bezwiednie przysłużył się złej sprawie... Znowu! Przysięgał sobie, że tego nie zrobi, już wtedy, kiedy Borgia dał mu inne zadanie: zrobić kopię świętego Całunu. Ale zło jest jak powój: gdy tylko zdoła się czegośkolwiek uczepić, wyciąga gałęzie i trzyma się najgłędszej nawet powierzchni.

– Mów dalej, proszę rzekł Leonardo do Sandra, gdy otrząsnął się nieco z ponurych rozmyślań.

– Borgia wiedział wszystko. A przynajmniej to, co najważniejsze. Że ja jestem obrońcą dynastii. Groził, że znowu oskarży mnie o niemoralne stosunki z mężczyznami. Nieprzystojny grzech – szepnął Botticelli, mrugając gwałtownie. – Mówił, że przedstawi fałszywych, ale wiarygodnych dla Świętego Oficjum świadków, bym tylko nie stawiał mu oporu. To niegodziwy człowiek, Leonardo. Znasz go dobrze, przecież pracowałeś u niego. Kiedy pomyślę o stryczku czy o stosie, ogarnia mnie potężny lęk. Chciałem być silny. Tak gorąco prosiłem o to Boga! Ale odwrócił się ode mnie, właśnie przez moje tchórzostwo... Wyznałem wszystko. Zniszczyłem to, za co tylu innych oddało życie. Zdradziłem ich, ja, bezecny szubrawiec.

Patrzyłem ze wzgórze, ukryty w lesie, płacząc; widziałem, jak Cezar schwytał dwójkę dzieci, bliźnięta, potomków dynastii. Potem ukryłem się tu, w Pizie, razem z moim grzechem. Aż dowiedziałem się przez posłańca zakonu, dokąd Cezar ich zabrał. Wtedy postanowiłem odkupić swoje winy. Jestem gotów umrzeć, jeśli trzeba. Nie zależy mi już na niczym poza misją, którą przysięgałem wypełnić, i na obronie dynastii Chrystusa. Potrzebuję od ciebie tylko niewielkiej pomocy: planów fortecy w prowincji Romagna, której system obronny projektowałeś dla Borgii. Zakon ma wielu prawych rycerzy, którzy zdołają uwolnić te dzieci, mimo potężnych fortyfikacji zamku.

Leonardo słuchał całej tej historii jak ktoś, komu objawiła się Matka Boska. Jego umysł nie wierzył ani jednemu słowu, a równocześnie serce mówiło mu, że to wszystko prawda. Czuł się dumny, że przyjaciel poprosił go o pomoc. A historia zakonu wydawała mu się pasjonująca. Zrozumiał też teraz, dlaczego Sandro musiał pomagać Savonaroli: był to sposób strzeżenia dynastii. Nic nie wydarzyło się przypadkowo; wszystko czemuś służyło. Ale w tej chwili sytuacja przedstawiała się bardzo ponuro. Nie, nie mógł odmówić przyjacielowi pomocy. Zwłaszcza że jasne było, iż cel jest szlachetny, a środki konieczne. Jedyne niebezpieczeństwo stanowił Cezar, zły, ale bystry człowiek. Z pewnością pamiętał, że Leonardo, projektant systemu obrony fortecy, przyjaźnił się z Botticellim. Te nitki łatwo było powiązać nawet komuś niezbyt błyskotliwemu, a cóż dopiero młodemu Borgii, który mógł rywalizować z najtęższymi umysłami swoich czasów. Mimo to koniec Cezara zbliżał się nieuchronnie. Śmierć ojca pozbawiła go wielkiej części władzy. A jeśli odbierze mu się następców dynastii Chrystusa, już po nim.

Jakże żałował Leonardo skopięcia Całunu dla Borgiaów rok temu... Okazał się słaby i tchórzliwy, jak teraz Botticelli, dlatego tak dobrze rozumiał przyjaciela. Pozostawało jeszcze uściślić szczegóły.

– Jedno pytanie, przyjacielu Sandro: skąd pewność, że dynastia Chrystusa istnieje, że to nie legenda przekazywana przez wieki, jak tyle innych? Czy nie jest to jeszcze jedna wątpliwa relikwia?

Leonardo użył tak ostrych słów nie dlatego, by urazić przyjaciela, ale by poruszyć jego sumienie i pozwolić mu przemyśleć sprawę raz jeszcze. Rzecz jasna, gotów był mu przyjść z pomocą, a ponieważ Cezar wierzył w dynastię, tym dwojgu niewinnym dzieciakom groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Leonardo, Leonardo, jak mogło ci umknąć coś tak oczywistego? Kiedy zakon skontaktował się ze mną, myślałem tak samo jak ty. W zasadzie przyłączyłem się do nich wyłącznie z powodu wiary. Ale potem, kiedy doszedłem do wyższego stopnia wtajemniczenia, miałem dostęp do pewnych dokumentów; początkowo nie znałem klucza, ale wielki mistrz powiedział mi, co zawierały. Tylko dwunastu z nas posiadało ten przywilej. Później stałem się jednym z trzech kierujących. W tej wybranej grupie znawców mogłem już sam czytać tajne pisma i wiarę zastąpić pewnością. Zobaczysz te dokumenty. Podam ci klucz. Teraz ja jestem wielkim mistrzem zakonu. Moi dwaj zastępcy zginęli z ręki Cezara.

– A zatem zgoda: jeśli chcesz, odbudujemy twój zakon albo zmienimy, co trzeba. Pomogę ci uratować te biedne dzieci...

– O, dziękuję ci, mój drogi. Kiedy obejrzysz dokumenty... – wtrącił gorączkowo Sandro, zrywając się na równe nogi. – Kiedy je przeczytasz... Ale nie mówmy o tym teraz. To płonna dyskusja. Mamy pilniejsze i ważniejsze sprawy. Musimy spotkać się z Martinem Fernandezem de Arjoną, hiszpańskim kapitanem kierującym innymi ludźmi w tej ryzykownej misji. Oby nie była próżna...

9.

Paryż, 2004

Catalina wyciągnęła z kieszeni wygniecioną kartkę i znów sprawdziła adres. Nieco zagubiona spojrzała na drugą stronę ulicy. Było chłodno jak na początek lata, a w każdym razie o wiele chłodniej niż w Madrycie, skąd przyleciała do Paryża tego ranka. Szare chmury stawały się coraz gęstsze. Za chwilę deszcz zmoczy dostojne budowle, a mokre kosztowne buty zostawią ślady na marmurowych schodach prowadzących do wejścia gmachu, którego szukała. Na drzwiach na mosiężnej plakietce widniał napis: D'Allaines & Monteux Advocats.



Trudno jej było zasnąć poprzedniej nocy, w przeddzień swoich trzydziestych trzecich urodzin; chrystusowy wiek, jak mówią. Catalina bardzo pragnęła już wiedzieć, co ją czeka tam, wewnątrz.

Dwa tygodnie temu odebrała niespodziewany telefon. Było to po południu, po powrocie z pracy w redakcji. Natychmiast zwróciła uwagę na miękki akcent swojej rozmówczyni: przedstawiła się ona jako sekretarka biura adwokackiego w Paryżu. Jego główny udziałowiec był wykonawcą testamentu dziadka Cataliny ze strony matki i musiał wypełnić specjalną klauzulę tego dokumentu. Zgodnie z zapisem Catalina miała otrzymać jakiś majątek po ukończeniu trzydziestu trzech lat i w związku z tym kancelaria życzyła sobie, aby spadkobierczyni przyjechała do Paryża.

Catalina była zaskoczona. Nie wiedziała prawie nic o swoim dziadku, zwanym przez większość rodziny Claude'em narwańcem. Słyszała tylko, że był historykiem czy archeologiem, czy też jednym i drugim, i że zmarł dwadzieścia pięć lat temu, kiedy ona nie miała jeszcze dziesięciu lat. Wpadł z prostego odcinka szosy na północ od Madrytu, bo jechał o wiele za szybko. Samochód rozbił się o drzewo, a dziadek zginął na miejscu. Wówczas wszystko, co posiadał, przypadło jego jedynej córce, matce Cataliny. To znaczy – tak uważała do dzisiaj. Okazuje się, że dziadek zatrzymał jednak coś dla wnuczki: jakieś „dobra”, jak powiedziała sekretarka kancelarii, które mogły być przekazane dopiero, kiedy Catalina ukończy trzydzieści trzy lata.

Pamiętała, że przez moment miała ochotę odłożyć słuchawkę. Podejrzewała, że to jakiś żart. Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, kto mógłby coś takiego wymyślić, słuchała więc dalej nieznanym kobiecie, która przemawiała bardzo oficjalnym tonem, z lekkim francuskim akcentem. A teraz, dwa tygodnie później, Catalina znalazła się w Paryżu, na wprost wytwornego wejścia do budynku przy ulicy Rivoli. Jeżeli to rzeczywiście był żart, to dała się nabrać.

Catalina podała swoje nazwisko portierowi, który zatelefonował do sekretariatu, zanim powiedział jej, na które piętro ma pójść. Catalina porozumiewała się z portierem bez problemu. Na szczęście nie zapomniła zbyt wiele z lekcji francuskiego, przy których upierała się jej matka.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze ze słodkim ding-dong. Na korytarzu czekała na Catalinę jakaś kobieta po pięćdziesiątce, o wyglądzie profesjonalistki.

– Dzień dobry, jestem Monique Bergier, sekretarka pana d'Allaines'a – przedstawiła się, podając Catalinie rękę. Dwa tygodnie temu dzwoniłam do pani... Panna Penant, prawda?

– Tak, to moje drugie nazwisko\*[\* W Hiszpanii każdy nosi dwa nazwiska: pierwsze jest pierwszym nazwiskiem ojca, drugie panieńskim nazwiskiem matki. Dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Poza tym kobiety nie zmieniają tam nazwisk, wychodząc za mąż.] – odparła Catalina. – Moja matka była Francuzką.

Sekretarka skinęła głową z uśmiechem, po czym poprowadziła Catalinę długim, okazałym korytarzem, z obrazami, oprawionymi w bogate ramy, i podświetlonymi. Wokół rozbrzmiewała przyjemna muzyka.

Gruby dywan tłumił odgłos kroków. Z korytarza wchodziło się do obszernego, funkcjonalnie umeblowanego salonu. Przy drzwiach stał nowoczesny stół, na którym wszystko było skrupulatnie poukładane, a na monitorze komputera wyświetlała się nazwa kancelarii.

– Proszę łaskawie poczekać chwilę – zwróciła się sekretarka do Cataliny. – Sprawdźę, czy pan d'Allaines może już panią przyjąć.

Sekretarka lekko zastukała w drzwi i weszła do szefa. Po kilku sekundach z pokoju wyszedł sam pan d'Allaines, niski, okrągły Francuzik o dobrodusznym wyglądzie, dobiegający osiemdziesiątki.

– Dzień dobry, panno Penant. Jestem Bernard d’Allaines. Witam w Paryżu – powiedział po hiszpańsku, wymawiając „r” jak „h” i akcentując słowa tak, że wydawały się ostro zakończone i krótsze, niż powinny być.

– To jest moje dr... Bardzo mi miło, panie d’Allaines. – Catalina znów chciała wyjaśnić, że „Penant” jest jej drugim nazwiskiem, ale zrezygnowała.

– Proszę, proszę wejść – zapraszał adwokat, przytrzymując drzwi. Sekretarka wycofała się, pozostawiając ich samych. Catalina przez chwilę podziwiała pokój, urządzony bardzo elegancko i luksusowo, ale bez ekstrawagancji. Było to miejsce pracy człowieka bogatego, którego rodzina już od szeregu pokoleń nie pamięta, co znaczy bieda. Za oknami, na ruchliwej ulicy, tłum ludzi śpieszył w różne strony. W ciszy i spokoju kancelarii przechodnie wydawali się odlegli i nierealni, podobnie jak deszcz, który właśnie zaczął padać.

Nad kamiennym kominkiem wisiał gobelin, przedstawiający scenę batalistyczną, konkurujący z cennymi obrazami, rozwieszonymi na pozostałych ścianach. Catalina próbowała rozpoznać któryś z nich, zastanawiając się, czy były to kopie, czy też oryginały. Salę wypełniały niewątpliwie bardzo kosztowne meble. Ich rozmieszczenie potwierdzało wytworny gust właściciela.

– Proszę siadać – powiedział pan d’Allaines, sadowiając się na swoim miejscu. Potem, niesłuchanie oględnie, z nadludzkim wysiłkiem, zwykłym u otyłych ludzi, sapnął: – Pozwoli mi pani obejrzeć jakiś dowód tożsamości? Proszę wybaczyć, to zwykła formalność. Nie mam żadnych wątpliwości, że jest pani wnuczką Claude’a – stwierdził, nagle zasmucony. – Ale zna pani przecież te wszystkie nudne biurowe przepisy.

Catalina studiowała dziennikarstwo. Jak przez mgłę pamiętała zajęcia z prawa na pierwszym roku i do tego ograniczała się jej znajomość tematu. A więc nie, nie знаła tych wszystkich biurowych przepisów, ale zdawała sobie sprawę, jakie mogą być straszliwie nudne.

– Oczywiście. Proszę. – Wyjęła dowód osobisty.

D’Allaines sprawdził dokument jednym przelotnym spojrzeniem, po czym zwrócił go Catalinie.

– Dobrze, a zatem, jako wykonawca ostatniej woli pani dziadka, mam obowiązek... – zaczął oficjalnie; niemal mechanicznie. Potem, po krótkiej pauzie, całkowicie zmienił ton i rzekł: – Wie pani, panno Penant, że byłem adwokatem Claude’a przez ponad dwadzieścia lat? Zawsze traktował mnie jak syna... więc jeśli pani sobie życzy, mogę pominąć niektóre formalności. Wyobrażam sobie, jak bardzo chce pani poznać ostatnią wolę dziadka.

– Panie d’Allaines, czyta pan w moich myślach. – Catalina puściła oczko do okrągłego adwokata.

Wyraźnie zachwycony tym śmiałym i do pewnego stopnia niewłaściwym gestem, adwokat wstał z fotela, tym razem niezwykle zwinnie, podszedł do sejfu w ścianie. Błyskawicznie wystukał kombinację liczb i otworzył masywne stalowe drzwiczki.

– Oto jest – oznajmił uroczyście.

Catalina poczuła ssanie w żołądku. Nie tylko z ciekawości czy zainteresowania. Miała dziwne, ale wyraźne przeczucie, że to, co zaraz nastąpi, będzie początkiem czegoś niezwykłego. Wstrzymując oddech, patrzyła, jak adwokat wraca na fotel z kopertą w rękę, potem z zaciekawieniem ogląda ręcznie pisane dokumenty.

– Gratuluję! – powiedział w końcu. – Zgodnie z testamentem wręczam pani akt własności budynku i należącej do niego parceli w miejscowości Gisors na północy Francji, jak również kwotę czterdziestu tysięcy ośmiuset franków. Muszę wyjaśnić, że ta suma została zwaloryzowana i wynosi aktualnie sześć tysięcy dwieście dwadzieścia euro. Aby wola pani dziadka weszła w życie, wystarczy podpisać zgodę na spadek. Powinna też pani wiedzieć, że na tej posiadłości nie ciąży żaden kredyt, dług ani serwitut. Trzeba jednak opłacić należne podatki i zarejestrować posiadłość na pani nazwisko, by wszystko było zgodne z prawem. –

Po tych wyjaśnieniach adwokat podniósł wzrok: jedno spojrzenie wystarczyło, by dostrzegł zawód na twarzy Cataliny. – Coś nie tak, panno Penant? Być może spodziewała się pani... hm, czegoś innego? – dodał, starannie dobierając słowa, by nie wydać się niegrzecznym.

Catalina westchnęła.

– Tak, chyba tak – odparła.

Wierzyła, że adwokat nie zrozumiał źle jej reakcji, na przykład jako przejawu skąpstwa. Była wdzięczna dziadkowi, że o niej pamiętał i nie spodziewała się niczego więcej. Prawdę mówiąc, jeszcze dwa tygodnie temu w ogóle niczego się nie spodziewała. A ponadto nie miała kłopotów finansowych. Jej rodzice zmarli, kiedy była dorastającą panienką, i cały majątek, włącznie z hojnym spadkiem, który dziadek Claude pozostawił matce, trafił w ręce osieroconej córki – ciotka, siostra ojca, opiekowała się Cataliną i jej dobrami aż do pełnoletności dziewczyny. A zatem, owszem, cieszyła się z tych sześciu tysięcy euro i posiadłości w Gisors, ale tak naprawdę spodziewała się czegoś innego, czegoś... nie wiedziała dokładnie, jak to opisać... mniej wymiernego. Nie mogła uwierzyć, że dziadek kazał zwlekać prawie dwadzieścia pięć lat, by dać jej dom i pewną sumę pieniędzy. Chociaż, czy nie twierdzono powszechnie, że był szalony?

Choć nie podzieliła się swoimi myślami, d'Allaines jednak pochylił głowę ze zrozumieniem. Ale czy naprawdę rozumiał?

– No cóż, są jeszcze dwie koperty do otwarcia. Może w nich znajdzie pani to, czego się spodziewa – pocieszył swoją klientkę.

– Dwie koperty...?

– Tak – potwierdził adwokat dziwnym głosem, jakby z tymi kopertami wiązało się coś niejasnego i kłopotliwego.

W ciężkiej, niemal bolesnej ciszy, d'Allaines otworzył swoją teczkę, zamykaną na klucz. Catalinę zastanowił fakt, że te dwie koperty nie były przechowywane w kancelaryjnym sejfie, jak pierwsza. Pan d'Allaines nie udzielił jednak żadnych wyjaśnień, a Catalina postanowiła na razie o nic nie pytać.

Ale znów się zdziwiła, widząc, że te dwie nowe koperty były zalakowane, w przeciwieństwie do poprzedniej.

– Proszę, niech je pan otworzy – domagała się niecierpliwie.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić... – odparł adwokat.

10.

Vinci, Toskania, 1503

Florencka pracownia Botticellego wydawała się bezpiecznym miejscem. Podobnie jak Leonarda. W Pizie też nie czuliby się bezpieczni. Boski za najlepszą kryjówkę uznał dom, w którym się urodził. Rodzinna wioska Vinci znajdowała się wiele kilometrów od Florencji. Tam mogliby pracować w spokoju. Leonardo poprosił Botticellego, by ten jak najprędzej przyjechał do Vinci razem z Martinem Fernandezem de Arjoną. On sam dojedzie później, już z planami fortecy Borgiów, by mogli je razem dokładnie przestudiować. Kapitan nie powinien jechać w asyście swoich ludzi, bo mały domek nie pomieści tak wielu gości. Potem jednak hiszpański kapitan będzie mógł wyjaśnić innym szczegóły opracowanego planu.

Botticelli pojawił się jednak z jeszcze jednym człowiekiem poza kapitanem: bratem Giacomo, pomocnikiem opata zabitego przez Borgia ową fatalną noc, kiedy porwano potomków Chrystusa. Zakonnik był człowiekiem wykształconym, znawcą starożytnych strategii. Wiedzę swą skrywał jednak przed innymi mnichami z klasztoru, aby bez przeszkód wypełnić misję. Oczywiście, wszystko przepadło. Borgia zjawił się z zaskoczenia i dzięki temu zwyciężył.

Ale na nic lamenty. Teraz należało działać. Zacząć przygotowania do kontrataku, stosując taktykę Borgii. Chociaż, aby próbować dostać się do fortecy, strzeżonej przez dziesiątki dobrze uzbrojonych żołnierzy, a nie do klasztoru pełnego mnichów, trzeba by ich zaskoczyć, atakując miejsca najmniej strzeżone, półukryte. Precyzyjny atak i absolutne zachowanie tajemnicy będą najlepszą bronią. Należało działać skrycie: uderzyć w cel i się wycofać, zanim przeciwnicy zdążą zareagować. W innym wypadku cały plan spełnie na niczym.

Leonardo rozłożył plany jednej z dziewięciu fortec w prowincji Romagna, którą na polecenie Borgii zaopatrzył w dodatkowe zabezpieczenia: fortecy w Cesenatico, portowej miejscowości nad Adriatykiem. Czterej mężczyźni zasiedli nad planami, by je dokładnie przestudiować. Kapitan miał opracować strategię na podstawie wyjaśnień udzielonych przez Leonarda. Brat Giacomo pomagał Hiszpanowi odczytywać wykresy.

– Tu jest wyjście z tunelu na pole. Ten tunel Cezar kazał mi zaprojektować specjalnie dla niego, żeby miał którędy uciekać w wypadku śmiertelnego zagrożenia – mówił Leonardo, wskazując miejsce drewnianą pałeczką.

– Ale to wejście jest strzeżone. Jeżeli nie przy wylocie, to na pewno przy wejściu od strony fortecy. Nic z tego – stwierdził zdecydowanie kapitan.

– Po obu stronach muru znajdują się wejścia do piwnic. Ale są zamknięte żelaznymi kratami.

Kapitan oglądał plan, uważnie wysłuchał Leonarda i przez długą chwilę się zastanawiał.

– Tak, te odpływy nie powinny być strzeżone przez wartowników, bo trudno tam się dostać...

– W biały dzień – wtrącił brat Giacomo.

– Właśnie – potwierdził don Martin. – Ale kraty...

– Czy nie można by ich wyłamać, przepiłować, wybić? – spytał Botticelli, chcąc pomóc, chociaż najmniej znał się na fortecach.

– Tego można by dokonać bez problemu – odparł kapitan. – Ale przy tym narobimy hałasu. Tylko tak zdołalibyśmy wejść...

– Chyba że wybijemy żołnierzy, z jeszcze większym hałasem – dodał Leonardo.

– Oczywiście, oczywiście, ale wtedy tracimy efekt zaskoczenia.

Sprawa była trudna. Właśnie systemy zabezpieczeń, zaprojektowane ongiś przez Leonarda jak zwykle po mistrzowsku, teraz utrudniały misję. Boski nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał pokonywać samego siebie, by dostać się na ten teren. Cóż za ironia losu!

– Trudno tam będzie wejść niepostrzeżenie. Z jednej strony jest otwarte pole, na którym nie można się ukryć, a z drugiej kanał przecinający miejscowość Cesenatico. Myślę, że zdołamy tam dojść, w ciemnościach i bardzo skrycie, ale nie damy rady przejść go w bród.

– Nie – rzekł Leonardo z zagadkowym błyskiem w oku. – To jest możliwe. Ale zajmie trochę czasu. Tygodnie.

– Mamy zaledwie kilka dni, drogi przyjacielu – wtrącił Botticelli, nie mogąc powstrzymać oznak radości, jaką budziły w nim słowa Leonarda dające nadzieję na rozwiązanie problemu, który wydawał się nie do pokonania.

– No, w tydzień można to zrobić – rzekł Leonardo, gładząc brodę. Wpadł na pewien pomysł. Tylko geniusz mistrza był w stanie pokonać genialny system obrony, niemal doskonały, owoc jego własnego umysłu.

– I jak to myślisz przeprowadzić, mistrzu? – dopytywał się kapitan, urażony w swojej dumie wojskowej.

– Narysuję wam...

Boski wziął kawałek węgla i kartę papieru. Pod jego dłonią pojawiał się zarys jakiejś istoty, postaci ludzkiej o niewyraźnych rysach.

– Och! – wykrzyknął brat Giacomo zdławionym głosem. Oglądał tę figurę, nic nie pojmując.

– To strój jaki wynalazłem – obwieścił Leonardo zgromadzonym. – Szczelne ubranie, w którym można iść po dnie rzeki, oddychając jak na powierzchni.

Ponowne „Ooch!” – tym razem donośniejsze i dłuższe, wyrwało się z gardła wszystkich trzech słuchaczy. Botticelli odchylił się w tył, jakby zobaczył ducha.

– W tym ubraniu – ciągnął Leonardo – ludzie mogą przejść przez kanał i wydostać się na powierzchnię już na terenie fortecy przez odpływy, nie budząc uwagi strażników. Nie rozwiązuje to nam wszystkiego, oczywiście, bo trzeba wykonać dostatecznie długie rury do oddychania, no i same ubrania. Ale tak, potwierdzam, można tego dokonać. Pod warunkiem że wrócimy zaraz do Florencji i natychmiast weźmiemy się do pracy.

– Czas biegnie na naszą niekorzyść – rzekł Botticelli i zacisnął wargi.

– Tak, mój przyjacielu, to prawda – przyświadczył Leonardo.

11.

Paryż, 2004

Catalina czuła narastające napięcie. Pulchny adwokat przyglądał się młodej kobiecie, czekając na odpowiedź.

– Dlaczego pan nie może otworzyć tych kopert? – spytała.

– Zgodnie z wolą pani dziadka wolno mi tylko zajrzeć do tej, która nie jest zalakowana.

A zatem... proszę.

Podał Catalinie pozostałe dwie koperty. Z wyraźną, choć trudną do zrozumienia, ulgą.

– Nie ważą wiele – zauważyła, podrzucając je na dłoni.

– Nie.

– I nie ma pan pojęcia, co w nich jest?

– Właśnie. – Być może strapiiony tym, że musi dawać takie odpowiedzi, dodał: – W końcu roku 1976 pani dziadek zmienił testament, wprowadzając specjalną dyspozycję, na mocy której otrzymała pani akt własności posiadłości w Gisors i określoną sumę pieniędzy.

A ponadto... ech...

D'Allaines się zawahał. Widać, niechętnie podejmował temat. Zwrócił na Catalinę wzrok, w którym zauważyła nagłe zmęczenie, a może smutek. Ważył w sobie myśl, czy warto powiedzieć wnuczce swojego dawnego przyjaciela i klienta coś, co może być dla niej bolesne.

– Proszę, niech pan mówi dalej.

– Zgoda. Zgoda – powtórzył, jakby dodając sobie animuszu. – Pani dziadek przyniósł mi te dwie zalakowane koperty właśnie wtedy, kiedy wprowadził ostateczną zmianę w testamencie, wskazując również panią jako spadkobiercę. I w pierwszej chwili nie życzył sobie żadnego... ech... specjalnego traktowania tych kopert. Decyzję zmienił dopiero po latach. Wie pani

chyba, że u kresu swoich dni pani dziadek przeżywał trudne chwile... czy też raczej chwile zamętu wewnętrznego. Naprawdę przykro było patrzeć, jak człowiek o takiej inteligencji, jak Claude, w błyskawicznym tempie staje się... Cóż, zaczął się zachowywać zupełnie

nieprawdopodobnie i robić rzeczy, które można określić jedynie jako paranoiczne. Proszę mnie nie wypytywać o szczegóły. – D'Allaines położył rękę na kopertach, po czym ją cofnął.

– No więc na miesiąc przed śmiercią w roku 1981 poprosił mnie, żeby mu je przynieść. Być może chciał wprowadzić jakąś zmianę, w końcu mi je oddał. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo pani dziadek nalegał, żeby tych kopert nie przechowywać tu, w kancelarii. Kiedy mu zaręczyłem, że będą w sejfie, odparł, że to niedostatecznie bezpieczny schowek; dokładnie tak się wyraził, „niedostatecznie bezpieczny”.

– D'Allaines znowu przerwał na moment. Chwilę patrzył w przestrzeń, jakby przypominał sobie te dawne wydarzenia. – Pani dziadek dał mi bardzo dokładne wskazówki, jak ukryć te koperty. Nikt nie mógł wiedzieć, gdzie są schowane, nawet mój wspólnik czy moja własna żona. Nie wolno mi było używać sejfu

bankowego, który można by skojarzyć ze mną lub z kancelarią. Co jakiś czas miałem zmieniać schowek... Mogę panią zapewnić, że spełniłem wszystkie te prośby i dotrzymałem słowa danego pani dziadkowi. Koperty cały czas były starannie ukrywane i ręczę, że nikt nie wie, co zawierają.

Catalina była tego pewna. Wzruszyła ją lojalność tego człowieka, który z samozaparciem i absolutną precyzją wykonał absurdalne zadanie wyznaczone przez człowieka niespełna rozumu.

– A gdzie były ukryte?

D'Allaines uśmiechnął się, odzyskując trochę dobrego humoru i odparł:

– Taki stary adwokat jak ja zna pewne triki, które czasami okazują się bardzo przydatne.

Nie uważam za stosowne wyjaśniać takiej młodej i uroczej osobie jak pani, na czym te brudne machinacje polegają.

– Niech zgadnę: to mogłoby zagrażać mojej niewinności, tak?

– Właśnie.

– Dobrze, zaufam pana ocenie, ale w zamian proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie.

– Zgoda.

– Czy w tym czasie, kiedy dziadek zmieniał testament, a może po jego śmierci zdarzył się tu jakiś napad?

– Nie – odparł kategorycznie d'Allaines.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– Pytam z czystej ciekawości. Nie mogę się powstrzymać, by nie zadać pytań, jakie mi się nasuwają. Tak było ze mną od dziecka. Pewnie dlatego zostałam dziennikarką.

– I nie wątpię, że jest pani profesjonalistką... – odparł grzecznie z dobroduszną miną

D'Allaines. – A zatem, do rzeczy. Były schowane przez dwadzieścia trzy lata, aż doczekały dnia dzisiejszego, w którym pani kończy trzydzieści trzy lata.

Czy przyczyną tak wielkiej tajemnicy było szaleństwo dziadka, czy nie, Catalinę coraz bardziej to wszystko intrygowało.

– Zauważył pan, że trzydzieści trzy lata to wiek chrystusowy? – spytała. Chociaż adwokat nie znał przyczyny takiego pytania – podobnie zresztą, jak sama Catalina – odpowiedział:

– Tak, tak, Chrystus umarł w wieku trzydziestu trzech lat... Catalina wpatrywała się w koperty.

– A zatem zobaczmy, co jest w środku.

– Chwileczkę, proszę.

Adwokat wstał z fotela i był już przy drzwiach, kiedy Catalina zrozumiała, co staruszek chce zrobić.

– Nie musi pan wychodzić.

– Zawartość tych kopert jest tajna.

– Ależ mnie nie zależy, żeby pan nie wiedział, co w nich jest.

– Pani nie, panno Penant, ale pani dziadkowi tak.

Catalina skinęła głową i zauważyła żartobliwie:

– Jest pan tak honorowy, że chyba nie utrzyma się pan długo w tym zawodzie.

Staruszek znów się uśmiechnął, zanim opuścił biuro i zamknął za sobą drzwi.

Catalina została sama. Rozerwała pierwszą z brzegu kopertę, gdyż napisy na nich nie wskazywały, którą należy otworzyć najpierw.

– Kolejność dodawanych liczb nie wpływa na sumę – zamruczała, przypominając sobie lekcje matematyki, o wiele dawniejsze i mniej wyraziście rysujące się w pamięci niż zajęcia z prawa.

W pierwszym momencie myślała, że koperta jest pusta. Dopiero gdy ją odwróciła i potrząsnęła, coś wypadło. Coś zupełnie niespodziewanego.

– Kawalek puzzla? – wykrzyknęła. Wzięła w palce niewielki przedmiot i obracała nim, by obejrzeć dokładnie.

Chociaż nie było wiele do oglądania: na górnej części kawałka widniał wyrysowany jakiś symbol, podobny do węzła marynarskiego, a po przeciwnej stronie można było rozróżnić niemal zatarty fragment jakiegoś wrytego słowa. Ani jedno, ani drugie nie pomogłoby w zidentyfikowaniu pełnego obrazu łamigłówki, której część stanowił ten kawałek. A choćby tak nie było, jakie przesłanie odczytać? – pytała sama siebie.

Zawartość drugiej zalakowanej koperty nie rozwiała wątpliwości, a nawet je pogłębiła, chociaż były to już bardziej zwyczajne przedmioty: egzemplarz popularnego wydania Wyspy skarbów Roberta Louisa Stevensona i plik kartek zapisanych na maszynie i zszytych z pewnością przez dziadka; zawierały przepisy i notatki kulinarne. Ta druga książka, jeśli tak można nazwać pozszywane kartki, nosiła patetyczny tytuł Codex Romanoff z błędem maszynowym, bo napisane było Codex RRomanoff, z dwoma „R” na początku, zamiast jednego. Catalina ze zdziwieniem odkryła, że w drugiej kopercie też znajdował się kawałek puzzla, taki sam jak pierwszy.

Położyła wszystkie cztery rzeczy na stole, jedną obok drugiej, i uważnie im się przypatrywała. Mimo to nie doszła do żadnego zadowalającego wniosku. Więcej, te dokładne oględziny sprawiły, że stanęło przed nią jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi: Dlaczego pierwszy kawałek puzzla był w jednej kopercie, a dwie książki i drugi kawałek w drugiej, skoro z pewnością wszystko mogło się zmieścić razem? W końcu – czyż kolejność dodawanych liczb ma zmienić sumę?

– I co teraz? – spytała pustych ścian.

Na to pytanie znalazła odpowiedź: Gisors.

12.

Cesendtico, Romania, 1503

Cezar Borgia obudził się zlany potem, dławiony okropnym niepokojem. Powracający już od dawna niemal każdej nocy sen znowu go dzisiaj dręczył i przejmował strachem. Widział w nim ojca w wielkim łożu w komnacie watykańskiej. Łoże było okryte purpurową kołdrą, obramowaną gronostajami. Wokół łoża dziesiątki białych świec rozjaśniały otoczenie żółtawym blaskiem. Papież konał; jego twarz się zapadała. Z gardła przez zwiędłe wargi wydobywał się słaby dźwięk. Cezar chciał zrozumieć, co ojciec mówi, ale słyszał tylko jakiś lament bez sensu. Wtedy nagle papież Aleksander podnosił ręce i krzyczał strasznie, mrozącym krew w żyłach głosem. Gromnice zmieniały się na czarne, a światło stawało się coraz jaśniejsze, aż wyraźnie oświetlało znajdujący się u wezłowia odwrócony pentagram, z którego sączyła się krew.

Serce Cezara zamierało z przerażenia, bo w tym śnie wyraźnie dostrzegał zbliżający się koniec swojej potęgi. Chory starzec, prawdopodobnie otruty, cierpiał potworne bóle, które teraz zmieniały się w silne spazmy, podobne do tych, które ogarniają opętanych przez demony. Z odległych zakątków komnaty, pogrążonych w ciemnościach, zaczęły pojawiać się rozmaite przerażające zjawy. Cezar dobrze znał wszystkie te postacie: byli to ludzie zabici z jego rozkazu lub z rozkazu ojca. Wracali, by wyrównać rachunki. Podchodzili do łoża śmierci człowieka, który wkrótce znajdzie się w piekle. Hymn śmierci rozbrzmiewał coraz głośniej i bardziej przejmująco.

– Aaach! – krzyk Cezara rozległ się wśród nocy żałobnym jękiem. Borgia zerwał się z posłania. Zatkanął uszy, by nie słyszeć potwornej pieśni.

Po chwili do komnaty wszedł służący.

– Co się z tobą dzieje, signore? – spytał wystraszony młodzieniec. Światło świec kandelabru, który trzymał w dłoni, drżało tak samo, jak jego głos.

– Och... – westchnął Cezar, półprzytomny.

– Panie! Boże święty...!

Chłopak ujrzał coś, co sprawiło, że aż wypuścił z dłoni kandelabr. Kawałki okazałego świecznika rozprysły się na wszystkie strony. Świece wypadły i, jeszcze zapalone, potoczyły się w stronę łoża Cezara. Natychmiast zajęła się kołdra. Kiedy płomień otoczyło łóżko, Cezar zdołał się otrząsnąć z otępienia i wyskoczył, by się ratować. Naprzeciw niego, w drzwiach, stał chłopak. Wyglądał jak rażony piorunem, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt i prawym ramieniem wskazującym ciągle to samo miejsce. Nie wymówił ani słowa nawet wtedy, gdy jego pan złażał go za wywołanie pożaru. Dopiero potężny policzek wyrwał go z transu.

– Panie, widziałeś to?! Widziałeś?!

– Co? – spytał Cezar ze strachem, nadal wstrząśnięty koszmarnym snem. Służący coś bełkotał. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że ujrzał coś, co nie istnieje, choć wydawało się tak realne... Pożar rozprzestrzenił się, był jak żywa istota, pożerająca wszystko na swojej drodze.

– Mów! – zażądał Cezar, potrząsając służącym za ramiona.

– To był... twój ojciec. Na krzyżu, w płomieniach!

Prawdziwe płomienie i gęsty czarny dym zaalarmowały innych służących, którzy pobudzili resztę i wkrótce pożar został stłumiony. Jeszcze chwila, a strawiłby wszystko.

Cezar wyszedł na zewnątrz. Słowa młodego służącego zmroziły mu serce. Ojciec w płomieniach, na krzyżu! I ten sen...! Takie widzenia nie pozostawiłyby nikogo obojętnym, może z wyjątkiem kogoś bardzo religijnego, kto zaufał Bogu. Ale Cezar się bał. Zastanawiał się, jakie ofiary powinien złożyć mściwemu, osądzającemu go Bogu, podobnemu do niego i jego czarnej duszy. Wszystko to na nic. Gromadzenie relikwii, włącznie z Całunem, nie wystarczało, by wstrzymać lub odwrócić upadek, nadciągający z oszałamiającą szybkością.

A teraz te okropne wróżby: krew, krzyż w płomieniach, zmarli wołający o sprawiedliwość.

Cezar spojrział na księżyc, zawieszony wysoko nad horyzontem jak krąg zmarzniętego, złodowaciałego śniegu. Czuł, że właśnie teraz popełnił największy ze wszystkich swoich grzechów, porwijąc dwójkę dzieci – potomków Świętej Krwi. Dzieci Chrystusa. A mimo to wierzył, że właśnie ten grzech oczyści go na zawsze i odnowi jego potęgę na ziemi.

Wrócił do środka. Krętymi schodami zszedł do piwnic fortecy. Tam były lochy. W jednej z cel, największej i najciemniejszej, siedział tylko jeden więzień: młodzieniec, którego porwano. Opierał się plecami o mur, na rękach miał kajdany. Gruby łańcuch, zaczepiony u pułapu, opasywał tors więźnia. Kiedy podciągano łańcuch, chłopiec musiał stać. Wyglądał żałośnie. Niemal nie jadł, a jego ubranie było podarte i brudne. Ale milczał i się nie skarżył. Jego twarz mimo warstwy brudu wciąż wyrażała nieskończoną godność.

Cezar chciał, żeby chłopak umarł z rozpacz. Nie odważył się go zabić ani wydać rozkazu dokonania zbrodni. Mimo tylu morderstw, jakie miał na sumieniu. Ale to byłoby zbyt niebezpieczne świętokradztwo. W swojej chorej wyobraźni uważał, że zostawienie chłopca w celi, z kromką chleba i odrobiną wody, które podawał strażnik, dzień po dniu aż do końca, nie jest zbrodnią równie ciężką, jak przecięcie gardła czy powieszenie na łańcuchu. Cezar Borgia zaczynał popadać w szaleństwo.

– Chłopcze! – zawołał do młodzieńca w niemal kompletnej ciemności celi.

Chłopiec nie spał, ale był bardzo słaby. Powoli podniósł głowę i spojrział, kto do niego mówi. Jego oczy wyrażały ból, ale nie nienawiść czy pogardę. Ta demonstracja siły woli i prawości wprawiła Cezara we wściekłość. Wołałby tysiąc razy nienawiść, pogardę czy nawet obrzydzenie. Chciał, żeby chłopak dał mu jakikolwiek powód do dalszego więzienia. Ale nie było najmniejszej szczeliny ani rysy, przez którą wsączyłaby się ulga do duszy Cezara. Z oczyma rozżarzonymi gniewem odwrócił się i opuścił celę.

Na górze z całej siły walnął pięścią w skałę. Poranił sobie kostki tak, że połała się z nich krew. Oblizywał ją jak zwierzę. Jego myśli biegły gdzieś daleko. Ale tylko przez krótką



chwile. Zaraz wrócił do rzeczywistości. Przypomnił sobie siostrę chłopaka. Ona też była uwięziona, ale zupełnie inaczej. Zapragnął zobaczyć dziewczynę. Trzymał ją w wytwornej komnacie, najwytworniejszej w całej fortecy. Drzwi strzegła warta, a okno Cezar kazał zamurować w obawie, by dziewczyna w ataku melancholii nie próbowała rzucić się w przepaść. Nigdy nie podejrzewał, że tak będzie. Ale zwykle innych mierzy się własną miarką. Niebudzący zaufania nie ufa nikomu, złodziej za wszelką cenę strzeże swojego mienia, ukrywający coś jest wrażliwy na każde najsubtelniejsze spojrzenie. Wielkość i małość przypieczętowują nasze życie; nie da się ich ukryć ani pozą, ani maską, które ukrywają człowieka jedynie powierzchownie.

W pomieszczeniu przylegającym do komnaty dziewczyny wywiercono w ścianie otwory. Siegały aż do dużego fresku na ścianie i były ukryte w oczodołach konia. Cezar zdjął drewniane klapki i przypatrywał się dziewczynie leżącej w łóżku. Wydawało się, że panna śpi, ale wkrótce usłyszał szlochanie. Cierpiała i płakała w ciszy. Jak bardzo Cezar chciał, żeby ta dziewczyna mu się oddała. Tak bardzo pragnął ją posiadać! Była piękna. Więcej niż piękna. Jej twarz rozświetlał niezwykle blask.

Jak łatwo byłoby ją zgwałcić... Ale, podobnie jak w wypadku chłopaka, Cezar bał się ostateczności. Musiał działać zgodnie z tradycją. Jeśli w ciągu kilku dni jej nie przekona, nakaze księdzu udzielić im ślubu. A wtedy, gdy dziewczyna będzie już własnością męża przed Bogiem, małżeństwo zostanie skonsumowane.

Cóż za farsa. Taki był Cezar Borgia. Dla niego ceremonia miała zastąpić uczucie. Ale oczy Boga, obecnego w niebiosach, mogły jedynie spłynąć łzami. Cezar już był żonaty, od 1499 roku, z Carlotą de Albret, siostrą króla Nawarry. Kobieta, której nie kochał więcej niż swego konia, ani mniej, niż jakiegokolwiek żebraka w swoim majątku.

13.

Północna Francja, 2004

Catalina jechała do Gisors. Właśnie straciła powrotny bilet do Madrytu, który miała zarezerwowany na ten dzień, na popołudniowy lot. Zadzwoiła już do redakcji, prosząc szefa o jeszcze jeden wolny dzień, piątek, tak żeby mogła wrócić do pracy dopiero w poniedziałek. Trudno go było przekonać; a wiedziała, że czeka ją jeszcze kolejna męcząca rozmowa z siostrą matki. Ciotka na pewno będzie chciała znać wszystkie szczegóły spotkania z adwokatami. Catalina planowała sprowadzić rozmowę do krótkiego oznajmienia: „Dziadek zostawił mi trochę ponad sześć tysięcy euro i jakąś posiadłość o siedemdziesiąt kilometrów od Paryża. Skoro więc już tu jestem i nie muszę wracać do pracy aż do poniedziałku, pomyślałam, że obejrzę swój majątek”.

Choć była to prawda, to jednak nie cała. Catalina nie zamierzała zdradzić informacji o kawałkach puzzli i książkach. Ciotka z pewnością powiedziałaaby: „Zawsze wiedziałam, że ten narwaniec Claude wymyśli coś nieprawdopodobnego”, albo poddałaby siostrzenicę surowemu przesłuchaniu. A na to Catalina zupełnie nie była przygotowana, między innymi dlatego, że sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, a przy tym jeszcze nie była pewna, czy dziadek istotnie nie postradał zmysłów.

W każdym razie chęć zaspokojenia własnej ciekawości, sprawdzenia, gdzie znajduje się posiadłość i zwiedzenia Gisors wydawała się zupełnie naturalna. Catalina pomyślała, że każdy podjąłby taką samą decyzję, choćby legat nie zawierał nic innego poza domem i pieniędzmi, bez tych dodatkowych tajemniczych przedmiotów. To wystarczyło, by opóźnić powrót do domu. Prawdopodobnie. A dla Cataliny, która była kobietą impulsywną i często kierowała się w życiu intuicją – w niejednym przypadku z fatalnymi skutkami, zwłaszcza w sprawach dotyczących mężczyzn – nie było innego wyjścia.

Po przemiłym obiedzie, na który mecenas d'Allaines usilnie ją zapraszał, sekretarka z kancelarii zajęła się wszystkimi szczegółami: wynajęła samochód, przygotowała plan dojazdu do Gisors z Paryża, a także podała dokładny adres posiadłości. Pozostawało tylko uprzedzić dozorcę domu, monsieur Mourela, który opiekował się posiadłością od śmierci dziadka i którego nie sposób było znaleźć. Ten człowiek miał także dożywotnią pensję, zapisaną mu przez dawnego pana, Claude'a Penanta, a także zgodę na mieszkanie w posiadłości do śmierci. Tych ustaleń nawet nowa właścicielka, Catalina, nie miała prawa odwołać. Dozorca był zaufanym człowiekiem dziadka. I dzięki monsieur Mourelowi posiadłość nadawała się do zamieszkania. Catalinie bardzo to odpowiadało nie tylko dlatego, że nie musiała już szukać hotelu, ale też bardzo podniecała ją perspektywa spędzenia nocy w maleńkim, typowo normandzkim chateau, (zamek) jak mówił d'Allaines.

Czas mijał szybko. Trzy kwadransy po wyjeździe z Paryża Catalina była już zaledwie o kilka kilometrów od Gisors. Otaczał ją uroczy pejzaż: niewielkie laski i zielone łąki pokrywały płaski teren i pojawiające się od czasu do czasu wzniesienia. Niebo też było piękne. Chmury i deszcz zostały za nią, w Paryżu; tutaj słońce rozświetlało bezkresne błękitne niebo, na którego tle latały ptaki i rozmaite owady.

Zaabsorbowana panoramą Catalina minęła zjazd z autostrady, którym miała dostać się do miasta. Kiedy się zorientowała, gwałtownie wcisnęła hamulec i wrzuciła wsteczny bieg, aż wróciła na skrzyżowanie. Ale nie od razu pojechała dalej. Zatrzymała się na chwilę na poboczu, podziwiając rysujący się na horyzoncie zamek. Wydawało się, że okazała budowla mieści się w samym centrum Gisors. Następnie, zadowolona z pierwszego wrażenia, jakie na niej zrobiła miejscowość i forteca, i po spokojnym wysłuchaniu trąbienia innych samochodów, Catalina pojechała drogą w lewo numer D14 bis – według planu sekretarki d'Allaines'a. Dalej szosa przechodziła w ulicę Templariuszy, a potem, już za miastem, w trasę do Rouen.

Końcowy odcinek Catalina pokonała wiejską drogą, odchodzącą w lewo od szosy, o półtora kilometra od miasteczka. Potem zagłębiła się w gęsty las, którym trzeba było przejechać do domu dziadka, jej domu, który mieścił się na polanie.

– Jak w bajce – powiedziała do siebie głośno. – A teraz z domku wyjdą Jaś i Małgosia.

W końcu dotarła na miejsce. Pierwsze wrażenie nie mogło być lepsze. Maleńkie chateau, jak je opisał adwokat, było średniej wielkości pałacykiem, piętrowym, z mansardą. Ściany ze lśniącej czerwonej cegły ostro kontrastowały z soczystą zielenią pobliskich łąk, ale wrażenie było bardzo miłe. W głąb posiadłości prowadziła ścieżka wysypana żwirem. Wiodła aż do drzwi domu, a tam zataczała łuk wokół żywopłotu i małego ogródka.

Catalina zaparkowała przy ścieżce, tuż pod żywopłotem. Kiedy wysiadła, głęboko wciągnęła powietrze: było słodkie, przejrzyste, pachniało trochę kompotem z jabłek. Z oddali dochodził szum wody toczącej się po kamieniach. Całkiem blisko musiała być rzeczka, może nawet na terenie posiadłości, za budynkami, które wyglądały na stajnie. Rzucając wokoło zaciekawione spojrzenia, skierowała się ku wejściu. Po obu stronach imponującego frontonu z kamienia znajdowały się schody. Zadzwoiła i czekała. Minęła minuta i nikt nie pojawił się, żeby otworzyć, ale Catalina cierpliwie wytrzymała kolejną minutę. W tak rozległych domach odległości musiały być spore, nie jak w maleńkich miejskich mieszkankach, do których przywykła. A przy tym ludziom mieszkającym na wsi zwykle nigdy się nie spieszyło.

W końcu jednak doszła do wniosku, że dozorca w dalszym ciągu nie ma w domu, od czasu kiedy próbowali skontaktować się z nim z kancelarii. Opór wobec tyranii telefonów komórkowych był inną cechą ludzi ze wsi.

Catalina odruchowo przekreśliła gałkę drzwi. Niespodziewanie otworzyły się całkiem łatwo, ukazując przedpokój z drewnianym parkietem, lekko podniszczonym w niektórych miejscach, ale ciągle jeszcze dobrze wyglądającym.

– Halo! – zawołała Catalina. – Jest tu ktoś?

Nie doczekała się odpowiedzi, ale mimo to postanowiła wejść. Podłoga lekko trzeszczała, jakby chciała zapowiedzieć panu domu nadejście obcej osoby, choć przecież teraz Catalina była tu gospodynią.

Uważnie rozejrzała się dookoła. Przy wejściu zauważyła ogromny pusty wieszak i trochę mebli, poustawianych po kątach, małych duszków, pokrytych białymi pokrowcami. W głębi korytarz stawał się okrągły i przechodził w piękne kręcone schody, zrobione z drewna i kutego żelaza. Schody z góry oświetlało okienko. Przypominało mały świetlik do nieba.

Po prawej stronie, pięć metrów od drzwi było sklepione łukowato przejście do salonu. Tam stało więcej mebli, również pookrywanych. Był też niezbyt duży kominek, tworzący niesłychanie przytulną atmosferę. Od razu przywodził na myśl grube polana drewna, filiżanki z gorącą czekoladą, zimowe noce z wiatrem targającym gałęzie drzew, bieluteńkie płatki śniegu, świecące kryształki lodu, które rozpuszczały się w przyjemnym ciepłe ognia. Obraz był tak kuszący, tak nęcący, że Catalina aż żałowała, że właśnie zaczyna się lato. Nieważne, będzie jeszcze z pewnością miała okazję rozpalić w tym kominku, może nawet tej nocy. Gisors to nie Madryt. Letnie noce w Normandii powinny być przynajmniej chłodne, a może nawet zimne, mówiła sobie pełna nadziei.

– Kim pani jest?! – wykrzyknął ostrym głosem ktoś za jej plecami. Catalina aż podskoczyła. Odwróciła się z trudem. Z pewnością miała minę dziewczynki, którą właśnie złapano z palcem w cieście dopiero co wyjętym z piekarnika.

– Jestem wnuczką właściciela – wymamrotała. – A pan jest pewnie, pan... to... pewnie... – powtórzyła bardzo powoli.

Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska dozorca. Stał nieruchomo w westybulu i wpatrywał się w nią groźnie. Miał z sześćdziesiąt lat, ale robił wrażenie człowieka w dobrej formie fizycznej. Twarz miał ogorzałą, otoczoną kosmykami siwych włosów, zdeformowanych przez ciągłe noszenie beretu.

– Zapomniała pani języka w gębie?

– Mourel! – przypomniała sobie w końcu Catalina. – Pan Mourel!

– Mam na imię Albert – burknął mężczyzna.

Catalinie wydało się, że ta zgoda na przejście na bardziej familiarną formę nie zmiękczyła spojrzenia dozorca. Nie pojawił się też żaden uśmiech na jego twarzy, żaden gest rozpoznania i natychmiastowego zaufania, które mogłoby ulżyć nieco ciężkiej atmosferze salonu; takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach i filmach.

– Proszę za mną – rozkazał Albert tym samym suchym tonem. Catalina miała zamiar mu wypomnieć niemile traktowanie, otwierała już nawet usta, ale dozorca wielkimi krokami właśnie wychodził z domu.

Pospieszyła więc za Albertem, który wszedł do kamiennego domku, w innej części ogrodu. Drzwi były tak niskie, że Catalina musiała się pochylić, by wejść. W środku ujrzała przedpokój o nieregularnym, półokrągłym kształcie i dwoje drzwi: do kuchni i do pokoju. Chociaż bardzo mały, budynek miał urok i czar wiejskiego, starego domku. Na ścianach były półki z grubego drewna, topornie ociosane; żelazne lampy stały przy meblach; na podłodze pokrytej płaskimi ciemnymi kamieniami leżał dywan. I, oczywiście, był też kominek, a przy nim bujany fotel, z kraciastym kocem na poręczu. Ku radości Cataliny w kominku płonął ogień. To właśnie była prawdziwa chatka Jasia i Małgosi, a nie ten główny budynek, jak początkowo myślała. O mało nie wybuchnęła śmiechem. Kto by pomyślał, że ten ponury facet, surowy Albert mieszka w tym domku z bajki?

Kiedy Catalina przypatrywała się wewnątrz, dozorca podniósł słuchawkę i telefonował.

– Halo! Panna Bergier? To pani?... Dobry wieczór. Mówi Albert Mourel, z posiadłości w Gisors. Tu jest jedna... – przerwał, co znaczyło, że słuchał sekretarki d'Allaines'a. – Nie było mnie w domu – wyjaśniał, z pewnością dlatego, że sekretarka mówiła mu o swoich próbach porozumienia się z nim. – Musiałem iść do miasteczka na zakupy... Tak, wiem, że

powiniennem sprawić sobie komórkę... zrobię to za kilka dni... – Nagle rzucił zakłopotane spojrzenie na Catalinę. – Tak, tak, przyjechała... Rozumiem... I jak, mówi pani, nazywa się ta panienska?... Acha... Chwileczkę, proszę zaczekać.

Albert zakrył dłonią słuchawkę i spytał Catalinę o imię.

– Catalina.

– A dalej?

– Catalina... Penant – odpowiedziała, znowu omijając swoje hiszpańskie nazwisko, którego Francuzi najwyraźniej nie uznawali.

– Jest pani tam, panno Bergier?... – odezwał się Albert znów do słuchawki. – Nie, nie ma żadnego problemu. Wszystko w porządku. Przepraszam, że przeszkodziłem. Bardzo dziękuję. Au revoir.

Gdy dozorca odłożył słuchawkę, Catalina powiedziała:

– Chyba jestem panu winna przeprosiny, Albercie. Wiem, powinnam poczekać, aż pan przyjdzie, ale drzwi były otwarte i nie mogłam się oprzeć pokusie...

– Dom jest pani... – oznajmił Albert tonem równie aroganckim, jak poprzednio.

Ale Catalina przysięgłaby, że w jego oczach dostrzegła błysk miłego zaskoczenia.

Gdy pokój już został zawarty, Catalina wróciła do domu. Miała zamiar pozdejmować pokrowce, poodsuwać ciężkie zasłony i pootwierać na oścież okna, by usunąć zatęchłe „więzienne powietrze”, jak to dosadnie określała jej ciotka.

Zwiedziła górę i dół domu. Odkryła, że na dole poza salonem jest także biblioteka – i drugi kominek, jeszcze przytulniejszy niż ten w salonie – jadalnia, spiżarnia i wielka kuchnia; na piętrze znajdowało się pięć sypialń, wszystkie z łazienkami. Na mansardzie nie było nic, poza starymi meblami, gazetami i pismami, rozchybotanym łóżkiem, ciemnymi szafami pełnymi starych ubrań, zardzewiałymi garnkami, deskami i płytami niewiadomego pochodzenia, dwoma opuszczonymi gniazdami jaskółczymi, starymi, bardzo zużytymi walizkami i porozstawianymi pułapkami na myszy... w gruncie rzeczy mnóstwo śmiecia i bezużytecznych przedmiotów, pokrytych grubą warstwą kurzu, który wywołał u Cataliny atak kaszlu. Ale nie przejmowała się. Od dzieciństwa fascynowały ją takie miejsca. Uważała, że można w nich znaleźć wszystko, nawet najbardziej niesłychane rzeczy.

Był już wieczór, kiedy znów zobaczyła dozorcę. Widziała go już przedtem z okna mansardy, jak pracował zawzięcie w małym ogródku koło strumyka. Mężczyzna starannie wytarł buty, zdjął beret i wszedł do domu. Rozejrzał się wokoło.

– Posprzątała pani – stwierdził beznamiętnym tonem.

Catalina, którą Albert zastał pośrodku jadalni, kiedy szła do kuchni, odparła:

– Znalazłam szczotkę i śmietniczkę w szafie... Teraz wygląda to lepiej, prawda? spytała, próbując choć trochę pociągnąć za język tego milczka.

– A nie trzeba było – mruknął, jakby nie słyszał słów Cataliny. – Pani Bonneval przyjdzie za dziesięć minut. Ona tu sprząta. Wezwałem ją dzisiaj, skoro jest pani tutaj...

Zmęczona sprzątaniami, z rozpalonymi policzkami i włosami związanymi w węzeł, Catalina nie mogła powstrzymać się od złośliwej uwagi:

– Szkoda że wcześniej mnie pan o tym nie poinformował.

– Nie wiedziałem, że pani zechce sprzątać. Oczywiście miał rację.

– Och, Albercie – westchnęła. – Dajmy już temu spokój, dobrze?

Dozorca wzruszył ramionami. Dla niego nie było o czym mówić.

– Co mam powiedzieć pani Bonneval? – spytał.

– Nic. W gruncie rzeczy sprzątnęłam tylko powierzchownie, jeszcze przede mną salon i kuchnia...

Albert skinął głową i po chwili wyszedł bez pożegnania.

– Ach! – Catalina przewróciła oczami. – Ten człowiek działa mi na nerwy! Jest taki... Ach!  
– wykrzyknęła znów, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa.

Po dziesięciu minutach zjawiała się pani Bonneval.

– Panna Penant? – odezwała się piskliwym, ptasim głosem, przeciągając wyrazy. Pani tuuu?

Już pierwsze spojrzenie na kobietę wiele wyjaśniło: zamężna więcej lat, niż miała Catalina; mąż zostawia ją od lat samą wieczorami, idzie do baru z przyjaciółmi, gdzie gra w karty; gdy wraca, pani Bonneval szykuje mu kolację i gada bez przerwy, a on milczy, bardziej wsłuchany w telewizję niż w plotki żony; syn ma świetną pracę i mieszka gdzieś poza miasteczkiem, być może w Paryżu; przyjeżdża do rodziców każdego lata i dał im już dwoje prześlicznych wnucząt, chłopca i dziewczynkę, co za szczęście!

– Witam – rzekła Catalina. – Pani Bonneval?

– Do usług. I proszę nazywać mnie Marie – odparła z uśmiechem kobieta. Miała białe czoło i zarumienione policzki. – Przyniosłam pani coś!

Catalina domyśliła się, że chodziło o tacę przykrytą folią, którą kobieta trzymała w dużych dłoniach.

– Nie trzeba było się fatygować...

– Ależ głupstwo! Nie ma mowy o żadnej fatydze. Kiedy Albert przekazał mi, że jest tu wnuczka pana Penanta, powiedziałam sobie, że muszę pani coś przynieść, bo przecież, co za wstyd, tutaj nic nie ma. Więc kiedy wyszłam od pani Rennard, bo ja tam sprzątam w każdy poniedziałek i środę już od trzydziestu lat, dlatego nie mogłam przyjść wcześniej, no proszę, co za nieszczęście, ale czasami tak się ułoży... Ale o czym to mówiłam? Acha, tak, jak już skończyłam u pani Rennard, poszłam do domu po szaszłyki, które miałam na kolację dla mojego Georges'a. Proszę się nie przejmować, nie zostawiłam go bez jedzenia! W domu jest jeszcze dużo, chociaż mój mały Georges, imię ma po ojcu, już nie mieszka z nami od jakiegoś czasu, tylko w lecie, ale jeszcze się nie przyzwyczaiłam i zawsze naszykuję za dużo jedzenia. I potem muszę je wyrzucać, bo myjemy tak mało, naprawdę! Jak ptaszki. Więc zrobi mi pani łaskę, przyjmując... – Kobieta westchnęła; a może po prostu zabrakło jej tchu. Wręczyła tacę Catalinie.

Wobec takiego potoku argumentów, Catalina nie odważyła się odmówić.

– Serdecznie dziękuję... hm, pachną wspaniale! – zawołała, unosząc folię i wciągając aromat.

– Sama robię. U rzeźnika sprzedają już gotowe, ale nie takie jak te, mówię pani. – Marie zniżyła głos i dodała konfidencjonalnie: – Jestem tego pewna. – Po chwili zerknęła ukradkiem na zegarek i wykrzyknęła: – O, jak już późno! Tak się rozgadałam, a to strata...

– Nie, skądże znowu. – Catalina nie potrafiła pohamować ironii.

– No, sprzątamy! – powiedziała z animuszem kobieta, zawijając rękawy. – Widzę, że pani już zaczęła.

– Tak, trochę.

– Nie trzeba było.

– To właśnie mówił mi Albert.

– Wspaniały człowiek... chociaż trochę milczący, nie sądzi pani?

– Tak, trochę.

Catalina pomyślała, że ciekawie byłoby posłuchać rozmowy Marie Bonneval z Albertem Mourelem. Zobaczyć, czy ten cichy dozorca zdoła wcisnąć choćby jedno słowo w potok jej mowy.

Marie zniknęła w korytarzu prowadzącym do kuchni. Nieco później Catalina usłyszała, jak kobieta wyciąga z szafki przybory do sprzątanania.

Florencja, 1503

Leonardo nie mógł przestać myśleć o tajnych tekstach przejętych przez Cezara Borgia, które był pewien – sam pomógł mu rozkodować. Miał świadomość, że nie powinien czuć się winny, gdyż wtedy nie znał skutków swojego czynu. Jeszcze raz zafascynowanie tym bezbożnikiem, postacią mimo wszystko niezwykłą, doprowadziło do złego. Tak było już kiedyś i teraz się powtórzyło. Na szczęście obecnie miał możliwość odkupienia wszystkich swoich win. Ścieżki się wyprostują, a on znów będzie czysty, jeśli dzięki niemu uda się uratować następców Jezusa, których Botticelli i tajne stowarzyszenie tak nieskutecznie strzegli przed niebezpieczeństwem.

Leonardo jeszcze ciągle nie mógł uwierzyć, że historia opowiedziana przez przyjaciela jest całkowicie prawdziwa. Tak być nie mogło. Ale jakaś wewnętrzna siła, być może poruszona wagą sprawy, zmuszała go do myślenia, że jednak jest w tym coś z prawdy. Może nawet to najważniejsze. Czas niejednokrotnie zmienia fakty, ale podstawa ich pozostaje taka sama. Gdyby człowiek mógł zajrzeć do umysłu, doszedłby do prawdy. Ale Sandro obiecał, że pozwoli obejrzeć dokumenty potwierdzające prawdziwość tej historii. W każdym razie Leonardo chętnie ofiarował swoją pomoc. Życiu dwojga młodych zagrażało prawdziwe niebezpieczeństwo. Leonarda mało obchodziło, czy byli to szlachcice, czy mieszczanie, dzieci z pokolenia Chrystusa czy zwykli wieśniacy. Życie wielkiego męża warte jest tyle samo, ile życie najbiedniejszego nędzarza, bo tu nie liczą się tytuły; liczy się tylko człowiek. „Każdy jest nikim wobec Boga”. Tak się mówi. Dla Leonarda wszystko musiało być jasne lub też Bóg musiał być kłamstwem. Myślał już od dawna, że Bóg jest tylko wytworem ludzkiej wyobraźni.

Minęły dwa dni od pierwszego spotkania w wiejskim domku. Szycie ubrań podwodnych szło sprawnie, zwłaszcza że niektóre potrzebne części były już zawnazs zrobione. Strój nurka stanowił jeden z najnowszych wynalazków, z którego Leonardo czuł się szczególnie zadowolony. Zdawał sobie sprawę z jego użyteczności podczas wojny, chociaż zawsze starał się projektować dla celów pokojowych. Ale nie był idealistą. Wiedział, że w tych czasach pokoju nie da się utrzymać bez użycia siły.

Leonardo przypomniał sobie spotkanie z przyjacielem Niccolem Machiavellim na Piazza delia Signoria, w miejscu położonym niedaleko swojej pracowni, gdzie zwykł często spacerować w poszukiwaniu inspiracji. Tam, pod łukami Loggia dell' Orcagna, rozmawiali kilka minut. Machiavelli był miłym człowiekiem, a mimo to zwykł mówić ludziom okropne rzeczy. Nie brakło mu serdeczności, a jednak jego poglądy mroziły serca. Bronił swoich idei, bo w nie wierzył. Nie negował, że są bezlitosne, ale uważał je za prawdziwe, a to było dla niego najważniejsze. Cezara Borgia uznawał za doskonałe odzwierciedlenie swoich prawd. Leonardo nie podzielał poglądów Machiavellego, ale utrzymywał z nim przyjazne stosunki. Tym razem rozmawiali o społeczeństwie. Machiavelli był przekonany, że pewnego dnia rządy obejmą narody; teraz jednak trzeba nimi rządzić – i to żelazną ręką. Jeśli nie, tłum przejmie władzę. Dla niego siła panującego była rękojmnią wolności. Słaby powinien być na pozycji uciemiężonego, którego zła sytuacja czy nieszczęście mało kogo obchodzi.

Oby pewnego dnia świat się zmienił... Jak najszybciej. To pragnienie jaśniało na twarzy Leonarda. Jego sztuka była pomocą w tych zmianach, jego wynalazki ulepszały świat. Miały służyć wszystkim, nie tylko temu, który panuje nad innymi siłaczy bogactwem. Przywileje nie dają siły, myślał Boski. Machiavelli przeciwnie, uważał, że warto rządzić tylko dla władzy.

Walenie w drzwi komnaty zakłóciło myśli Leonarda. Mistrz przerwał swój wewnętrzny dialog i spytał:

– Co się tam dzieje?

Był to jeden z jego uczniów. Otworzył drzwi i z wielką uprzejmością zaanonsował:

– Signore, przyszedł mistrz Botticelli. Mam go poprosić, żeby zaczekał, czy wpuścić?

– Wpuść, Emanuele. I przynieś nam odrobinę wina.

Twarz Botticellego wyrażała niepewność. Widać było, że jest zdenerwowany z wiadomego powodu. W miarę jak zbliżała się godzina wyprawy przeciwko Borgii, lęk przed klęską i jej konsekwencjami stawał się coraz bardziej oczywisty. Leonardo postanowił uspokoić przyjaciela, wyjawiając tajniki stroju nurka. Słuchanie o wynalazku pomoże Botticellemu nie pograżać się na nowo w wątpliwościach i lęku. Przynajmniej to, myślał sobie Leonardo.

– Siadaj, Sandro. Chciałbym, żebyś coś obejrzał...

Podczas gdy Emanuele nalewał wina do srebrnych kielichów, Leonardo zaczął tłumaczyć Botticellemu wszystkie szczegóły wytworu swego genialnego umysłu, a dla niego samego zaledwie praktycznego dzieła.

– Ten strój – mówił Leonardo, wskazując na plan rozłożony na stole – stworzyłem dla...

Botticelli skinął na Leonarda, by nic nie mówił, aż chłopak wyjdzie z pokoju.

– Nie wydaje ci się, że powinniśmy trzymać wszystko w sekrecie, nawet przed uczniami?

– Nie przejmuj się. Najlepiej zachowywać się naturalnie. Tego chłopca ani żadnego innego nie podejrzewałbym o podsłuchiwanie naszych pogaduszek. Nie obawiaj się, przyjacielu. Opanuj nerwy. I wypij łyżeczek dobrego wina. Hiszpańskie.

– Dobrze. – Botticelli skinął głową, odetchnął głęboko i upił trochę wina z kielicha.

– No więc, jak już wspomniałem, drogi przyjacielu, ten strój stworzyłem dla weneckiej Signorii trzy lata temu. Posłużył przeciw zagrażającej flocie tureckiej, którą ubrani w te stroje żołnierze zatopili, wierząc otwory pod wodą. Rozbitkowie nawet nie wiedzieli, co się dzieje. Wystraszonych i zaskoczonych bardzo łatwo było pokonać.

– Genialne!

– Wiem... Przypatrz się: składa się z płetw nałożonych na stopy, rękawic bez palców i szczelnego kaptura z rurką na czubku, przez którą można oddychać podczas zanurzenia. Nie znam powodu, ale na dużej głębokości rura już nie działa i nie można oddychać. Przydaje się więc tylko do kilku metrów pod powierzchnią, ale to zupełnie wystarcza dla naszych celów. Cóż, a któregoś dnia będę musiał przestudiować te ograniczenia.

Cechą charakterystyczną Leonarda da Vinci był jego wieczny niepokój, połączony z nieskończoną ciekawością i przenikliwością, która pozwalała mu pojąć w ciągu dni to, czego inni nie zgłębialiby przez lata, a czasami przez całe życie.

– A ten naszyjnik z kolcami? – spytał Botticelli, wskazując na plan.

– To do obrony przed napastliwymi rybami i innymi morskimi stworami. Kto wie, co czai się tam na dole... W naszym wypadku lepiej go nie używać, bo utrudnia ruchy, a wody Adriatyku raczej nie są niebezpieczne. Chcę ci jeszcze zwrócić uwagę na soczewki w kapturze, które pozwalają dokładnie korygować złą widoczność w wodzie. Niestety, nie można zbyt długo przebywać pod powierzchnią, bo szczelność nie jest doskonała. Nie wynalazłem jeszcze doskonałego systemu, chociaż rozwiązania mam już w głowie. W każdym razie twierdzą, że do naszej misji wystarczy strój, który zaprojektowałem dla floty weneckiej. Nie został użyty, ale wypróbowałem go i dobrze się sprawdzał. No, powiedzmy, dość dobrze. Dokonałem jeszcze niewielkich przeróbek. Za dwa lub trzy dni będziemy mieli gotowe cztery kompletne stroje.

– Kapitan przestudiował twoje plany Cesenatico. Uważa, że najlepiej wejść tam lądem, zając pozycje w odpowiedniej odległości od fortecy, a potem, z portu, przejść kanałem do wejścia.

– Najważniejsze, żeby odległość pomiędzy bazą a wyjściem na terenie fortecy nie była za duża. W przeciwnym razie powietrze dostanie się pod ubranie i nie będzie można oddychać. Najlepiej, żeby kapitan sam wyjaśnił mi swój plan. Zobaczymy, czy da się go zrealizować.

Botticelli zgodził się z Leonardem. Obawiał się jednak, że ktoś mógłby rozpoznać kapitana. Poprosił więc, żeby przyszedł o północy, okryty peleryną. W przypadku jakichkolwiek podejrzeń, odwołają spotkanie. Znajdą inny sposób, by się porozumieć... Podejrzliwość

Botticellego stawała się już maniakalna. Kapitan dotarł do pracowni o północy, zupełnie bezpiecznie, wbrew podejrzeniom artysty. Ten Hiszpan o śniadej cerze i sumiastych wąsach miał twarz budzącą zaufanie. Wyglądał na człowieka o gwałtownej naturze, ale równocześnie o gołębim sercu. Był jak rumak czystej krwi, zuchwały, kiedy puszcza mu się cugle, ale rozważny i opanowany.

W ciągu dwóch godzin, skropionych dobrym winem i okraszonych maślanymi bułeczkami, ustalono plan. Nie było potrzeby długich dyskusji. Ale jednak Leonardo osobiście musiał się udać do Cesenatico. Jak przypuszczał, rury okazały się za długie, by powietrze weszło do kapturew tylko siłą oddechu. To wymagało, by ludzie byli wyposażeni w bukłak napełniony powietrzem. Pojemnik należało obciążyć, żeby nie unosił się na wodzie. Problem czy też trudność nie tkwiły w użyciu, ale w przygotowaniach. Worków nie można było napełnić powietrzem, które już przeszło przez ludzkie płuca.

Należało je wprowadzić do worka za pomocą urządzenia napełnionego rtęcią, które miało zawory. Był to przedmiot delikatny i trudny do obsłużenia przez osobę niewprawną. Jedyne sam twórca, Leonardo, potrafił użyć go w praktyce. Nie było czasu uczyć innych. Mistrz musiał zatem iść razem z nurkami do fortecy. Potem modlić się, żeby wszystko poszło dobrze. I – co nie mniej ważne – żeby wrócić cało.

15.

Cisors, 2004

Nadeszła pierwsza noc w nowym domu w Gisors. Catalina była sama i rozluźniona i odświeżona po kąpieli. Kontaktowała się już z ciotką: ich rozmowa przebiegała niemal dokładnie tak, jak Catalina sobie wyobrażała. Marie porządnie posprzątała cały dom i poszła („Niech pani się nie waha wezwać mnie, gdyby było trzeba. A następnym razem przyniosę cynaderki w sosie – palce lizać. Lubi pani cynaderki, prawda? Bo są ludzie, którym... itd.”). Zostało jeszcze co najmniej sześć szaszłyków. Resztę Catalina zjadła sama, bo kiedy zaproponowała je Albertowi, odmówił: „Dziękuję, mam swoją kolację”.

Teraz siedziała w bibliotece. Nie było dość zimno, żeby rozpalać w kominku. Więc po prostu usadowiła się przed nim w obszernym i wygodnym fotelu, obok którego stała lampa z połćacanego brązu. W rękach Catalina trzymała zdjęcie wyjęte z egzemplarza Wyspy skarbów. Odkryła je przypadkowo, kiedy przeglądała książkę. Fotografia przedstawiała dziadka, już w starszym wieku, na tle olbrzymiego krzyża z Valle de los Caidos – Doliny Poległych pod Madrytem. Na zdjęciu ręcznie napisano: 24-06-1981. Była to data niewiele wcześniejsza od dnia śmierci dziadka. Z tyłu też widniał napis, coś w rodzaju dedykacji czy ojcowskiej rady: Moja droga Catalino, ufaj tylko sobie. Mężczyzna na zdjęciu, około osiemdziesięcioletni, uśmiechał się pogodnie i wyzywająco. Wyglądał wspaniale: jego postawa zdradzała elegancję i charakter pełen energii. Stary Claude musiał w swoim czasie złamać mnóstwo kobiecych serc. Lekko podkrążone oczy wyrażały zmęczenie po nieprzespanych nocach, a także niepokój, który objawiają w najtrudniejszych chwilach osoby naprawdę odważne. W jego twarzy nie było śladu szaleństwa. Widząc tę fotografię, Catalina przysięgłaby, że dziadek był absolutnie przy zdrowych zmysłach. Ale czasami wygląd myli. W każdym razie zarówno zdjęcie, jak i dedykacja były piękną pamiątką.

Odłożyła fotografię na bok, na stolik do herbaty i wzięła jeden kawałek układanki. To były niewątpliwie najdziwniejsze przedmioty, jakie dziadek jej pozostawił. Właściwie to one sprawiały, że inne rzeczy: książka i fotografia, także stały się niezwykle. Przecież musiało istnieć coś, co łączyło ze sobą wszystkie te elementy! Ale co – pozostawało dla Cataliny tajemnicą.

Podobnie jak w gabinecie adwokata, wpatrywała się usilnie w kawałek puzzla: w stronę z symbolem w kształcie węzła i tył – z niemal zatartym fragmentem jakiegoś słowa. Irytowała



ją ta droga bez wyjścia. Nigdy nie lubiła zastanawiać się nad czymś, na co nie potrafiła znaleźć natychmiastowej odpowiedzi. Później zajmie się rozwiązaniem tej zagadki.

Rzuciła puzzle na zdjęcie i spojrzała na Codex Romanoff, książkę z przepisami kulinarnymi z błędem w tytule. Nie miała jednak ochoty czytać długiej listy przepisów i zaleceń kuchennych, chociaż domyślała się, że były dziełem geniusza odrodzenia, Leonarda da Vinci. Uznała, że książka przygodowa o ukrytych skarbach i piratach będzie bardziej odpowiednia na taki dzień jak ten, pełen niespodzianek. Otworzyła zatem Wyspę skarbów i zaczęła czytać:

## WYSPA SKARBÓW R.L. STEVENSON CZĘŚĆ PIERWSZA: STARY PIRAT.

Stary wilk morski w domu admirała Benowa

Bogacz Trelawney, doktor Livesey i inni panowie prosili mnie, bym opisał wszystkie okoliczności, jakie znam, na temat Wyspy Skarbów i żebym to zrobił mądrze, nie pomijając niczego z wyjątkiem lokalizacji wyspy: a to dlatego, że jeszcze dotąd znajduje się na niej część nieodkopanego dotychczas skarbu.

16.

Florencja, 1503

Ostatnie przygotowania dobiegały końca. Leonardo przeprowadził ostatnie próby strojów podwodnych. Niczego nie pozostawił przypadkowi. Choć był moment, kiedy jego umysł się zawahał; podobnie jak głazy lawiny zatrzymują się na chwilę, zanim spadną w dolinę. Raz jeszcze przeanalizował wszystkie swoje plany. Czuł się jak człowiek tracący rozum. To, co miał zamiar zrobić, było przecież szaleństwem. Każdy przy zdrowych zmysłach tak by uważał.

Jedno było pewne i prawdziwe: dwóm osobom groziło niebezpieczeństwo. A Leonardo miał już ponad pięćdziesiąt lat i coraz mniej bał się śmierci. Jego młodzieńcze marzenie o tworzeniu cudownych dzieł w dużej mierze się spełniło. Mimo tylu trudności i kłopotów nie skarżył się na życie, jakie przeżył. Najpierw przeszedł od wiary do ateizmu; potem dołączył do grona agnostyków, kiedy pojął, że nie można poznać prawdy o hipotetycznym Bogu; teraz zaś stał się wierzącym, ale krytycznym, gdyż serce mówiło mu, że Bóg musi istnieć, chociaż umysł przeczył tej wierze.

Sandro Botticelli prosił Leonarda, żeby jeszcze raz przybył do Pizy. Leonardo domyślał się, o co może chodzić. I rzeczywiście, Sandro chciał pokazać dokumenty, które nosiły nazwę Świętego Graala. Tak, bo Święty Graal to wcale nie był realny kielich, lecz metaforyczny, zawierający krew Chrystusa płynącą w kolejnych pokoleniach dynastii; dokumenty, w których zarejestrowano cały królewski ród jako świadectwo dla przyszłych pokoleń, kiedy Graal zostanie ujawniony i potomkowie krwi Chrystusowej będą wreszcie panować nad nowym światem, sprawiedliwie i w pokoju.

Botticelli odkrył przyjacielowi najtajniejszy z sekretów: klucz do rozkodowania dokumentów, specjalną, ulepszoną matrycę Polibiusza. System polegał na umieszczaniu na pionowym i poziomym krańcu matrycy liter alfabetu, by następnie uzupełniać wewnętrzne pola innymi literami tak, aby rozwiązanie było jednoznaczne. Podejrzenia Leonarda co do dokumentów odczytywanych dla Cezara Borgii zmieniły się... na gorsze. Pamiętał genialny kod, który w bardzo oryginalny sposób modyfikował matrycę starożytnego historyka greckiego Polibiusza. Nie było już wątpliwości: on sam dopomógł nikczemnikowi w osiągnięciu niegodnego celu.

Ale odkupienie zawsze jest możliwe dla tego, kto chce odkupić swoje grzechy. Leonardo zatem utwierdził się w zamiarze ratowania młodych, uwięzionych przez Borgia. Dokumenty

mogły jednak być fałszywą relikwią, która rozpaliała ludzką wyobraźnię, a teraz zmaterializowała się w formie niezawierającej już ani odrobiny oryginalnej materii. Jak Sandro mógł udowodnić prawdziwość dokumentów? Nie mógł w żaden sposób, myślał Leonardo.

Ale się mylił. Częściowo.

W miarę, jak wczytywał się w najważniejsze pisma, wybrane przez Botticellego – całość podobno nie zmieściłaby się nawet na dziesięciu wozach – musiał ulec sile prawdy. Ale nie zrozumiał jej ani nie doszedł do niej logiką. Nie, dla człowieka o czystym sercu te dokumenty były czymś więcej niż znakami wypisanymi atramentem na pergaminie czy papierze. Ich wewnętrzna prawda przenikała umysł jak strzała. Stała się oczywista. Dokumenty emanowały wewnętrznym światłem, które rozbudzało świadomość, poruszało duszę, wzniecało iskrę zrozumienia bez konieczności wnikliwych refleksji.

Leonardo uwierzył.

– Teraz rozumiesz nasze przeznaczenie? Godzisz się na swój udział w nim, drogi Leonardo?  
– pytał Botticelli ze łzami w oczach.

– Tak, mój przyjacielu. Teraz rozumiem już wszystko. Nie czuję się powołany, by odmawiać. Niech się stanie wola tego, kto mi te prawdy wyświecił.

– Wola Boga, Leonardo, wola Boga...

Od tego dnia w Pizie Leonardo da Vinci poczuł się innym człowiekiem. Jego dusza stała się teraz jakby cięższa, ale i lżejsza zarazem. Waga misji sprawiała, że dotychczasowe sprawy przestały mieć znaczenie. A równocześnie wszystko nabierało nowej wartości. Wartości samej w sobie, bo było o co walczyć. Świat nabrał sensu. Dobro było dobrem, a zło – złem we właściwym, a nie przenośnym sensie. Ukryte chęci były widziane przez oczy Odwiecznego. Sprawiedliwy człowiek stał u boku Stwórcy. Owce, które odeszły z owczarni, powinny do niej wrócić. Żadna nie zostanie potępiona, ale należało udowodnić wartość swego życia.

17.

Rzym, 1503

Papież Pius III zmarł zaledwie po miesiącu panowania. Dawniej, kiedy Borgia, Aleksander VI, został w roku 1492 wybrany papieżem, Pius III kardynał nie zgodził się na sprzedaż mu swojego głosu. A potem odrzucił przyjaźń zaoferowaną mu przez Cezara. Mimo to nie był aż tak zdeklarowanym nieprzyjacielem Borgiów jak ten, który według wszelkiego prawdopodobieństwa miał zostać kolejnym Ojcem Świętym: Giuliano delia Rovere. Ten nienawidził Borgiów tak bardzo, że z niecierpliwością wypatrywał godziny, kiedy konklawe przyzna mu tytuł, który powinien pochodzić tylko z natchnienia Boga, a nie – jak w jego przypadku – zostać zdobyty dzięki intrygom i gorliwym poplecznikom.

W przerwie obrad konklawe delia Rovere przechadzał się po pięknych ogrodach Watykanu, przylegających do Kaplicy Sykstyńskiej, miejsca, gdzie odbywały się głosowania.

Towarzyszył mu najbardziej zaufany człowiek, austriacki kapłan Wilhelm de Groth.

– Wiem, że ten bękart coś knuje – mówił delia Rovere o Cezarze Borgii.

– A cóż miałby knuć, monsignore? Jego gwiazda już zgasła.

– Nie doceniasz takiego człowieka jak on. Gwiazda Cezara zagaśnie naprawdę dopiero wtedy, kiedy będzie już martwy i pogrzebany... oby jak najszybciej. Nie ustane w staraniach o to.

Okrutne słowa sługi Kościoła kontrastowały z radosnym trylem leśnego ptaka, siedzącego na gałęzi w ostatnich promieniach popołudniowego słońca, przenikających do ogrodu.

Wojowniczy delia Rovere i jego asystent stali w cieniu. O ile papież Pius III mówił o sobie, że będzie „papieżem pokoju”, o tyle delia Rovere miał zamiar pójść zupełnie inną drogą.

– Borgia, Borgia, Borgia...! To imię brzmi mi ciągle w głowie. Ale już niedługo. Wracajmy do kaplicy. Niebawem nowe głosowanie. Znów będę musiał patrzeć całymi godzinami na te nagie dachy. O Panie, daj mi siły! I tron Piotrowy!

Gwałtowne gesty i słowa spłoszyły ptaka, który odleciał daleko, tam gdzie ludzka zdrada nie mogła mu zrobić krzywdy i gdzie mógł pożywić się polnymi nasionami.

18.

Gisors, 2004

Poprzedniej nocy po wykapaniu się Catalina uświadomiła sobie, że ma ubrania na zmianę. Nie spodziewała się spędzić w Paryżu więcej niż jeden dzień, a tym bardziej nie przypuszczała, że znajdzie się w normandzkim miasteczku – dlatego nie zabrała z Madrytu nawet walizki z najpotrzebniejszymi rzeczami. Planowała zostać w Gisors tylko do poniedziałku, ale jasne było, że musi mieć przynajmniej zapasową bieliznę.

Stała w sklepie przed barwnym szeregiem koszul, koszulek, bluzek, spódnic, pończoch, bielizny i rozmaitych innych strojów.

Nie przepadała za łażeniem po sklepach, więc szybko dokonała wyboru i już po piętnastu minutach była z powrotem na ulicy. Włożyła torby do wynajętego samochodu, który zaparkowała w pobliskiej alei.

Nie mówiła Albertowi, dokąd się wybiera. A zresztą nie widziała go na terenie posiadłości, gdy szykowała się do wyjazdu do miasteczka. Strasznie nietowarzyski typ, pomyślała.

Ale w tak pięknym dniu jak ten, czuła sympatię do całego świata... Było zaledwie wpół do jedenastej. Nie miała nic do roboty. Chociaż może... Przyjechała przecież do Gisors z dwóch powodów: odwiedzić posiadłość, zapisaną jej w spadku, i dowiedzieć się czegoś więcej o swoim bliskim, ale tajemniczym dobroczyńcy. Jakież miejsce byłoby lepsze na uzyskanie informacji, niż miasteczko pełne ludzi, z którymi prawdopodobnie często spotykał się i rozmawiał. Nasuwało jej się tyle pytań, nie wiedziała tylko, kto na nie potrafiłby odpowiedzieć. Pomyślała oczywiście o Albercie – no, i o pani Bonneval. Ale dozorca drogo cenił każde słowo, a kobieta, która z kolei potrafiła zagadać słuchacza na śmierć, musiała czym prędzej biec do innej roboty. Poza tym Catalina obawiała się, że nawet gadatliwa Marie mogłaby nie zechcieć rozmawiać o dziadku. Jako dziennikarka miała w tych sprawach szósty zmysł, który rzadko ją zawodził. Potrzeba było trochę taktu i cierpliwości, żeby rozmówca nabrał zaufania i zaczął się zwierzać.

Pogrążona w myślach Catalina zatrzymała się przed wystawą innego sklepu. Dostrzegła tam jak znak z nieba coś, co może pomogłoby rozbić skorupę milczenia Alberta. Uśmiech rozpromienił jej twarz, a blask pięknych zielonych oczu przeniknął przez czystą szybę, tak że dostrzegł go sprzedawca i również odpowiedział uśmiechem. Tym razem Catalina też nie zwlekała. Szybko wybrała i kupiła to, co nazwała haczykiem.

Po zakupach Catalina ruszyła od razu do fortecy górującej nad miasteczkiem. Imponująca budowla znajdowała się niedaleko. Wznosiła się pośród ogrodów, na terenie pełnym drzew, przy ulicy Wiedeńskiej. Wieża Pamięci wynurzała się spośród gąszczy roślinności; wśród gałęzi widać też było otaczający twierdzę podwójny mur. Catalina wolnym krokiem poszła do wejścia, wdychając czyste powietrze i rozkoszując się ciepłem słońca. Przy bramie zamkowej dowiedziała się, że za kilka minut, o jedenastej, zacznie się zwiedzanie z przewodnikiem. Bardzo zadowolona, że zjawiała się w odpowiednim momencie – kolejne zwiedzanie miało się odbyć dopiero o wpół do trzeciej – Catalina zapłaciła pięć euro za wejście i czekała, oparta o chłodny kamienny mur, wraz z innymi turystami, głównie Niemcami.

Zaczęło się zwiedzanie. Przewodnik mówił monotonnym głosem. Catalina zawsze w takich sytuacjach odnosiła niemiłe wrażenie, że ma do czynienia z automatem. Wielokrotne powtarzanie tych samych słów sprawiało, że stawały się puste, odarte z emocji: dane

historyczne brzmiały równie nieciekawie, jak opisy krwawych wydarzeń. Dlatego Catalina zwykle wcześniej czy później przestawała słuchać i uwalniała własne myśli i zmysły.

Ogród otoczony wewnętrznym murem nie był zbyt duży ani też ładny. Składał się z kilku klombów, poprzedzielanych kawałkami ziemi, które tworzyły alejki czy ścieżki. W środku, na sztucznie usypanym podwyższeniu wznosił się najbezpieczniejszy szaniec zamku, w którym w dawnych czasach chronili się przed wrogiem mieszkańcy miasteczka. Był okolony wysokim murem, wzmocnionym przyporami, miał bramę wejściową a ponadto wieżę podwójnie wspartą po północnej stronie. Z zewnątrz nie wyglądało to efektownie. Catalina widziała w Hiszpanii wiele fortyfikacji pod każdym względem bardziej godnych podziwu niż ta.

Bez zapału przeszła przez sklepioną bramę szańca. Nie spodziewała się niczego ciekawego. Słusznie. Miejsce było niewielkie i mało interesujące. Ponadto dosyć zniszczone, najwyraźniej zaniedbywane przez konserwatorów.

Zwiedzanie zaczęło być interesujące dopiero, kiedy zeszli do piwnic fortecy. Podziemnych pomieszczeń i korytarzy używano do rozmaitych celów na przestrzeni długiego trwania tego zamku. W przeszłości chłodne obszerne komnaty służyły do przechowywania żywności, a także jako bezpieczny schowek i miejsce ucieczki dawnych władców fortecy. Potem pomieszczenia, nie były wykorzystywane, a upływ czasu obracał je w ruinę, oddając ziemi z powrotem przestrzeń, która kiedyś do niej należała. Podziemia zostały odkopane prawdopodobnie w drugiej połowie XIX wieku. Chociaż może lepiej, gdyby trwały w zapomnieniu, bo wojska niemieckie przeznaczyły je do okropnych celów podczas okupacji Francji. Jak mówił przewodnik, rozdzierające krzyki działaczy Ruchu Oporu rozlegały się w tych ciemnych korytarzach, a ustawały dopiero, gdy brutalnie uśmiercano torturowanych.

Catalinie włosy stanęły na głowie, kiedy słuchała ponurych historii. Głos przewodnika nabrał życia w tych sklepionych tunelach, wiecznie chłodnych, których ciemności rozjaśniała tylko wiązka bursztynowego światła latarki. Tam po raz pierwszy Catalina usłyszała o Rogerze Lhomoyu. Przewodnik opowiadał kpiąco o tej dziwnej osobistości. Lhomoy wierzył święcie w istnienie jakiegoś wspaniałego skarbu, ukrytego pod fortecą w Gisors, w niezmiernie bogactwa, zakopane tam przez templariuszy, kiedy to musieli czym prędzej uciekać z Francji po upadku zakonu. Lhomoy zajmował się ogrodami zamkowymi, a okazja do prób znalezienia bogactw połączyła się z chęcią ich zdobycia. Kiedy więc bramy zamku zamykano dla zwiedzających, Lhomoy z pasją oddawał się swojej skrytej i niezwykle niebezpiecznej obsesji.

Wykopał wiele korytarzy i niejedną raz przedostawał się nimi do podziemi zamku. Przewodnik pokazywał te miejsca: otwory powywiercane w ścianach, zabezpieczone porzdewiałymi żelaznymi sztabami lub zatkałe wielkimi, nieregularnymi głazami, pozlepianymi zaprawą murarską.

Ale najsłynniejsza nocna wyprawa Lhomoya, o której najczęściej mówiono zwykle w żartach – i która przyczyniła najczęściej sławy zuchwałemu ogrodnikowi, nie tylko w Gisors, ale aż w samym Ministerstwie Kultury w Paryżu odbyła się w marcu 1946 roku. On sam opowiadał o tym tysiące razy. Pewnej marcowej nocy, idąc korytarzem wykopany pod wewnętrznym podwórkiem, ogrodnik natknął się na mur na głębokości ponad dwudziestu metrów, pod którym znajdowało się pomieszczenie, inne niż piwnice zamkowe. Catalinę zachwyciło, że ta ukryta komnata nazywała się kaplicą Świętej Katarzyny. Co za niezwykła zbieżność\*![\* Catalina jest hiszpańską wersją imienia Katarzyna.]

Kaplica miała podobno trzydzieści metrów długości i dziewięć szerokości, a wysoka była na niemal pięć metrów. Podpierały ją cztery kolumny i gotyckie łuki. Obok otworu, którym Lhomoy dostał się do środka, znajdował się ołtarz i kamienne tabernakulum. Pod ścianami na wspornikach zamocowanych w połowie wysokości stało trzynaście posągów naturalnej

wielkości, przedstawiających Chrystusa i jego dwunastu apostołów. Wzdłuż murów stało dziewiętnaście kamiennych sarkofagów.

Ale co na Lhomoyu zrobiło największe wrażenie w tej podziemnej kaplicy, tak że zawsze głos mu drżał, gdy o tym mówił, to trzydzieści kufrów ze szlachetnych metali, poustawianych po dziesięć w trzech rzędach; trzydzieści ogromnych skrzyń, każda długości ponad dwa metry, szeroka na pół metra i niemal na dwa metry wysoka.

Catalina oczekiwała z wielką ciekawością a nawet niecierpliwością kiedy przewodnik wyjawi, co znajdowało się w tych kufkach i sarkofagach. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że to nadal mogła być tajemnica, niemal sześćdziesiąt lat po odkryciu ogrodnika. Ale tak właśnie było.

Od pewnego momentu wyjaśnienia przewodnika stawały się coraz mniej szczegółowe. Wkrótce zaś powrócił monotony rytm wypowiedzi. Lhomoy nigdy w życiu już nie zdołał wrócić do podziemnej kaplicy, ponieważ przede wszystkim zabroniły mu tego miejscowe władze. To stanowisko władz, choć bezlitosne, było jednak logiczne, gdyż zgoda oznaczałaby przyzwolenie na nielegalne prace wykopaliskowe. Ale – co niesłychane – to że nikt nigdy już nie próbował dostać się do kaplicy, nawet grupa uczonych czy archeologów, którą łatwo można było sprowadzić poprzez merostwo. Wejście, wykopane przez Lhomoya, zostało zabetonowane i na polecenie burmistrza na kaplicę spadła zasłona ciszy i zapomnienia. To wydawało się niepojęte. To tak, jakby zmusić Howarda Cartera do zakopania z powrotem i na zawsze grobowca Tutanchamona zaraz po jego odkryciu, zanim jeszcze zdołano zbadać wszystkie jego tajemnice.

Po powrocie na powierzchnię przewodnik oznajmił, że zwiedzanie zakończono. Pod koniec roku turyści mieli być wpuszczani też do Wieży Więźnia – nazwanej tak, ponieważ przetrzymywano tam możnych, którzy popadli w niełaskę. Z dobrym wyczuciem marketingowym przewodnik zapewnił, że tylko po to, by zobaczyć wnętrze wieży, warto odwiedzić zamek jeszcze raz i zapłacić znowu pięć euro, pomyślała Catalina. Dla dodatkowej zachęty przewodnik dodał, że w wieży trzymano w zamknięciu wiele ważnych osób. Spośród nich najślynniejszym był ambasador szkocki Nicholas Poulain, który zbyt poważnie potraktował swoje obowiązki i sypiał nie tylko z dokumentami dyplomatycznymi, ale z samą królową Blanką d'Evereaux. Nie mając nic lepszego do roboty podczas długich lat spędzonych w wieży, Poulain zajął się ryciem rysunków na ścianach celi. Większość z nich przedstawiała sceny związane z męczeństwem Chrystusa. Na jednym z nich widnieją litery „NP”, które niewątpliwie oznaczają podpis autora: Nicholas Poulain.

Catalina żałowała w duchu, że nie może zobaczyć tych rysunków. Chociaż oczywiście wróci do Gisors przy innej okazji i zwiedzi wieżę, gdy ta zostanie już otwarta dla publiczności. Jednak ciekawość nie pozwalała jej czekać tak długo. Wydobyła więc wszystkie swoje talenty aktorskie, zrobiła niezadowoloną minę i wykrzyknęła:

– Masz ci los!

Cała grupa się zatrzymała.

– Coś się stało? – spytał przewodnik.

Catalina, starając się maksymalnie go oczarować słodkim jak letni wietrzyk głosikiem, odparła:

– Zostawiłam torebkę... tam.

Palec Cataliny nie wskazywał żadnego określonego punktu; mogło to oznaczać każde miejsce na terenie zamku. Poza tym nawet nie miała ze sobą torby. Przewodnik dał się jednak uwieść i bez cienia wątpliwości z głupkowskim uśmiechem spytał:

– Chce pani, żebyśmy poszedł poszukać?

– Nie, dziękuję. Pójdę sama. Niech pan spokojnie odprowadzi grupę. – Wobec lekkiego wahania, jakie u niego dostrzegła, dodała: – Przecież nie może pan zatrzymywać wszystkich z mojego powodu i zmuszać ludzi do czekania na takim słońcu.

Do tych argumentów dołączyły się komentarze kilku turystów francuskich, którzy zgadzali się z Cataliną, i spontaniczne przytakiwanie grzecznych Niemców, którzy nie rozumieli ani słowa. W tej sytuacji przewodnik nie zgłaszał już sprzeciwu.

– Dobrze... Ale kiedy odprowadzę grupę, wrócę tu po panią...

– Jak pan chce. Przecież za chwilę będę z powrotem.

Catalina z satysfakcją patrzyła, jak grupa szła do wyjścia. Potem nie tracąc czasu, zawróciła i pobiegła w kierunku Wieży Więźnia.

Była to typowa okrągła wieża. Wznosiła się w południowo-wschodniej części muru obok baszty zakończonej blankami. Dopiero gdy Catalina stanęła przed drewnianą bramą, uświadomiła sobie, że wejście do wieży może być zamknięte i w takim razie mała inscenizacja nie przyda się na nic. Miała jednak szczęście: brama była otwarta.

Po krótkim wahaniu, którądy pójść, ruszyła prosto; kilka kamiennych schodków prowadziło do okrągłej komnaty. Catalina nie miała wątpliwości, że właśnie tu przetrzymywano Poulaina, bo na ścianach widniały rysunki, o których mówił przewodnik. Wstrzymała oddech z emocji, gdy je odkryła. Nie były zbyt interesujące ani oczywiście bardzo wypracowane. Przy słabym oświetleniu z trudem można było domyślić się, co przedstawiają. Ale miały w sobie coś niezwykłego – pewien magnetyzm.

Aby obejrzeć je lepiej, Catalina uklękła przy ścianie. Na co najmniej trzech z dziesięciu czy dwunastu rysunków zobaczyła – teraz już wyraźnie – topornie wryty krzyż i ukrzyżowanego Jezusa z Nazaretu. Nie mogła się zorientować, co przedstawiają inne rysunki, chociaż na jednym rozpoznała serce, jakiś budynek, może kościół – i herb. Dostrzegła także inicjały „NP”, podpis autora.

Chciałyby mieć więcej czasu i dokładnie przeanalizować każdy z rysunków, ale już zbyt długo tu przebywała. Zmusiła się, żeby wstać, i niemal biegiem opuściła komnatę. W progu zatrzymała się jeszcze i ostatni raz rzuciła okiem na rysunki.

Gdy znów znalazła się na zewnątrz, stwierdziła, że nikt nie widział, jak wychodziła z wieży. W głębi podwórza dostrzegła postać przewodnika. Rozmawiał z rozgniewanym turystą: widać było czerwoną plamę twarzy pod kapeluszem panama i gwałtowną gestykulację. Catalina spokojnie podeszła do mężczyzn.

Nie wiedziała, że jej tajemne przygody nie skończyły się, aż dotarła na wysokość wewnętrznego szanca. Wszystko zaczęło się od jednego spojrzenia, całkiem niewinnego, rutynowego. Po wysłuchaniu historii ogrodnika Lhomoya i obejrzeniu rysunków w Wieży Więźnia, ta mała forteca nie wydawała jej się już tak pospolita. Poczwała nagle nieodparte pragnienie wejścia tam i spojrzenia na szaniec jeszcze raz, świeżym okiem.

Nieszczęsny przewodnik nadal musiał odpierać ataki awanturującego się turysty. Zatem nic nie stało na przeszkodzie, by uczynić zadość nowej pokusie.

Niby dlaczego miałyby się powstrzymać? Żyje się tylko raz; a życie jest krótkie... Po cichutku zbliżyła się do szanca. Tak, otwory i kamienie powtykane w mur nie wyglądały już na skutki niedbalstwa i złego utrzymania, ale na ślad długiej i dawnej historii, z pewnością tajemniczej. To samo uczucie zawiodło Catalinę, także po raz drugi, do Wieży Pamięci.

Przed jej oczyma widniała forteca w Gisors, ta prawdziwa, ukryta pod powierzchnią banalności. Chyba dzięki temu nowemu spojrzeniu na zabytek Catalina dostrzegła pewien szczegół, który przedtem uszedł jej uwadze: drobne ślady zniszczenia nie były chaotycznie rozproszone, ale miały swoje centrum na szczycie, wokół którego grupowała się reszta uszczerbków. Wyglądało, jakby spowodował je... wybuch. Catalinie nie przychodziło do głowy nic innego, co mogłoby spowodować właśnie takie szkody.

– Panienko!

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, kto ją woła. Z trudem, ale jednak przewodnik uwolnił się od nieznośnego turysty. I był tutaj, szukał jej, jak obiecał.

– Znalazła pani torbę?

W pytaniu bez wątpienia brzmiała wymówka. Trudno tylko było stwierdzić, czy odnosiła się do rosnących podejrzeń przewodnika wobec Cataliny – być może w końcu zdał sobie sprawę z jej strategii – czy też wynikała z niepokoju.

– Nie – odparła Catalina. - I boję się, że już nie znajdę. Chyba że ktoś ją zabrał i zostawił przy wyjściu?

– Tak, być może – zgodził się przewodnik bez większego przekonania. – Ale teraz musi pani stąd wyjść.

– Jasne. Idę z panem – oznajmiła Catalina ze swoim najpiękniejszym uśmiechem.

Od najdawniejszych czasów miała zwyczaj, niemal obsesję, spoglądania po raz ostatni na miejsce, z którego odchodziła. Nigdy nie zastanawiała się, dlaczego to robi, ani nie szukała usprawiedliwień w rodzaju dziwaczych argumentów, że dzięki temu zapamiętuje się lepiej... Po prostu zawsze to robiła.

Ale nie spodziewała się tego, co tym razem zobaczyła. Co zdawało jej się, że zobaczyła, bo wydawało się to niemożliwe.

– Widział pan? – wykrzyknęła przejęta.

Przewodnik odwrócił się ze znużeniem, mimo jej krzyku.

– Proszę, jestem bardzo zmęczony i umieram z głodu... – zaczął błagalnym tonem.

– Ależ tam ktoś jest w środku! Mężczyzna! Ja... ja go widziałam.

Catalina natychmiast zdała sobie sprawę, że nie powinna tego mówić, tylko uznać, że miała halucynacje pod wpływem silnego słońca. Ale nie zdążyła powstrzymać się na czas. W tej chwili zrobiła właśnie pierwszy krok ku temu, żeby ludzie z miasteczka i ją uznali za wariatkę. „Jest taka, jak dziadek. To rodzinne”, powiedzą. I może będą mieli rację...

Słyszając podekscytowany ton Cataliny, przewodnik się ożywił. Mieli tu w zamku dużo kłopotów z wandalami i lunatykami, spragnionymi legendarnych skarbów. Ukrywali się i czekali do nocy, by zbierać jakieś kamyki albo wyrąbywać dziury, rywalizując z Lhomoyem. Z winy tego ostatniego jedna z wież z kaplicą Świętego Tomasza zawałiła się w końcu i trzeba ją było rekonstruować i wzmacniać fundamenty.

– Ktoś? Gdzie?

Nie czekając na odpowiedź, której Catalina i tak nie zamierzała udzielić, przewodnik przeszukał cały teren. Potem wszedł do wieży. Stapał ostrożnie; prawdopodobnie już nieraz zetknął się tam z jakimś włóczęgą czy innym niebezpiecznym osobnikiem. Po chwili znów pojawił się na podwórzu.

– Na pewno widziała pani kogoś? – spytał z nutą desperacji w głosie. Najwyraźniej zaczynał mieć dość Cataliny. Ale to pytanie podsunęło jej nową okazję. Może będzie mogła uspokoić przewodnika i uniknąć opinii wariatki.

– Och, sama nie wiem. Chyba mi się coś przywidziało. Wszystko przez ten upał.

Może niepewny głos, a może jej tłumaczenie sprawiły, że twarz przewodnika nagle się zmieniła. Zniknął z niej niepokój. Zrozumiał. Ta kobieta miała coś nie w porządku z głową. Jak tylu innych...

– I gdzie, jak pani twierdzi, stał ten mężczyzna?

– Och nie, nie, przepraszam. To przez ten upał.

– Może tutaj? – nalegał przewodnik.

Catalina skinęła głową, niemal bezmyślnie. Ale właśnie dokładnie tam widziała tego mężczyznę. Przewodnik wskazywał miejsce obok wierzchołka uszkodzeń, które przed chwilą oglądała. Zbliżył się do Cataliny z wyrozumiałym uśmiechem. Ona także się uśmiechnęła, chociaż nie miała pojęcia, co oznacza jego uśmiech.

– Założę się, że wiem, jak wyglądał ten mężczyzna oznajmił niespodziewanie przewodnik. Gestem nakazał, by Catalina mu nie przerwała. – Był młody i ubrany w strój błazna. Przeszedł przez podwórze z trudem, trzymając się za prawy bok, jakby miał tam ranę. Potem ukląkł i podniósł niewidzialną klapę. A następnie... pufl, zniknął pod ziemią.

Catalina znowu skinęła głową. Co prawda, widziała tylko finałową część sceny, ale była pewna, że gdyby odwróciła się wtedy o kilka sekund wcześniej, zobaczyłaby dokładnie to, co przed chwilą opisał przewodnik.

– Kto to jest? – spytała. Czy biorą ją za wariatkę? Co, u diabła? Przewodnik odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

– Duch.

19.

Droga do Cesendtico, 1503

Leonardo, Botticelli i brat Giacomo jechali w pierwszym powozie. W innym, skromniejszym wieźli w wielkiej skrzyni stroje nurków. Jadąc z Florencji do Cesenatico, musieli przejechać Toskanię i Romagnę, by dotrzeć do Adriatyku na wschodzie. Na wysokości Faenzy przyłączył się do nich kapitan i trzech inni mężczyźni, którzy razem z nim walczyli na życzenie zakonu; wszyscy zaufani i szlachetni żołnierze. O ile dawniej zakonu strzegli mnisi-rycerze, w tych czasach służbę przejęli ochotnicy. Zgłaszali się nie dla pieniędzy, ale dla wiary. Wielobarwna grupka składała się z ogromnego Bawarczyka, rudawego i o dzikim wyglądzie, ale zamyślonym spojrzeniu; milkliwego Burgundczyka, znakomitego we władaniu szpadą; wreszcie z Neapolitańczyka, niedużego i śniadego, który potrafił podkraść się tak cicho, że najmniejszy dźwięk nie zdradzał jego obecności.

Don Martin przywiązał wodze konia do wozu Leonarda i przysiadł się do mistrza oraz pozostałych dwóch pasażerów. Musieli w czasie jazdy ustalić ostatecznie szczegóły, omawiane już sto razy. Ale lepiej sto jeden razy niż dziewięćdziesiąt dziewięć. Zajęło im to kilka godzin, po czym zatrzymali się w gospodzie na noc. Tam zjedli i, zmęczeni podróżą, rozeszli się do pokoi. Trzeba było zebrać siły, bo następnego ranka czekała ich dalsza droga.

Botticelli śnił o Cezarze Borgii i zdradzie. Kapitan jakiś czas nie spał, rozmyślając, że już niedługo jeszcze raz narazi życie, ale w służbie Boga każda ofiara jest mile widziana. Brat Giacomo spędził noc niespokojnie, budził się niemal co chwila. Inni mężczyźni, mniej skłonni do myślenia, spali dobrze. Leonardo rozważał różne kwestie ładnych kilka godzin, zanim wreszcie zmorzył go sen. Myślał o dynastii, chronieniu jej, sensie życia, wreszcie o Stwórcy i Jego zamiarach.

Rano wszyscy jechali w milczeniu. Każdy miał swoje powody. Leonardo chcąc przerwać niewygodną ciszę, spytał kapitana:

– Ty, don Martinie, jesteś dzielnym Hiszpanem. Czy nie powinieneś być w wojsku w Neapolu?

– Twoje słowa, mistrzu, sprawiają mi zaszczyt – podziękował kapitan. – Służyłem pod Gonzalem Fernandezem de Cordobą na włoskich ziemiach.

– Don Martin wiele przeżył – zaznaczył Botticelli.

Żołnierz uniósł brwi z miną bardziej zamyśloną niż chełpliwą i przytaknął.

– Urodziłem się w biednej rodzinie i od dziecka niestety poszedłem krętymi ścieżkami. W końcu znalazłem się przed sądem w Saragossie, moim rodzinnym mieście. Musiałem podjąć życiową decyzję: topór kata albo wojsko na Sycylii. Wybrałem Włochy. Nie musiałem długo myśleć, bo głowy odcięte od tułowia szybko tracą tę możliwość, jak mówią mądrzy ludzie.

Leonardo słuchał gadaniny Hiszpana. Kapitan był niewątpliwie świetnym żołnierzem, odważnym i zdecydowanym. Ale nikt by nie pomyślał, że będzie się wyrażał tak dowcipnie.



Życie jest ciągłą niespodzianką. Wystarczy popatrzeć na niego samego. Oto jedzie na wybrzeże Romagnii, by ratować dynastię Chrystusa... Nic mniej prawdopodobnego!

– I jak to się stało, jeśli wolno spytać, że zaczęłaś służyć zakonowi? – Leonardo był naprawdę ciekaw.

– Po prawdzie, wcale go nie szukałam. Choć dzisiaj myślę, że to Opatrzność mnie wiodła. Tak widocznie musiało być.

– Zgadzam się z tobą, kapitanie, że pewne rzeczy są przesądzone – rzekł Leonardo, który coraz poważniej traktował tego człowieka. Przypomniało mu to, że zawsze powinno się brać ludzi poważnie. – Ale jak to się stało? – Powtórzył pytanie.

Żołnierz zrobił długą pauzę. To zapewne świadczyło, że te wspomnienia nie są mu miłe. Ale on był człowiekiem silnym. Zaczął mówić – bardzo powoli, głębokim głosem.

– Na Sycylii zorientowałem się, że lubię zabijać. Czuć tę władzę, jaką daje odbieranie komuś życia. Wpatrywać się w oczy pełne lęku, błagające o miłosierdzie i przecinać gardło, sprawiać, że te oczy zachodzą wieczną ciemnością. A potem okrucieństwo ustąpiło miejsca wątpliwościom i lękom. Coś wewnątrz mnie wołało o zmianę. Chciałem odkupić swoje grzechy. To Bóg mnie wzywał. I skończyłem ze swoim dotychczasowym życiem. Uciekłem z wojska i szukałem schronienia w klasztorze. Spędziłem tam lata całe na odnajdywaniu siebie, na medytacjach i modlitwie. Ciemność, która przenikała moją duszę, powoli się rozpraszała. W moim sercu znowu zaświeciło słońce. Wreszcie się ocknąłem. Moje oddanie i służba Bogu były wtedy większe niż u najpobożniejszego zakonnika...

Historia don Martina zaczęła emocjonować Leonarda. Ten człowiek dokonał wielkich poświęceń i wiele przecierpiał. Ale teraz wszystko zostało odpłacone. Oby on sam, myślał Boski, mógł doświadczyć tej światłości, wypędzającej ciemność z duszy.

– Wtedy go właśnie poznałem – rzekł Botticelli. – W klasztorze była grupka ludzi zakonu. Doszły mnie wieści o cnocie i przeszłości kapitana Marlina. Wszystko to miało znaczenie. Kiedy człowiek pokona siebie samego, gotów jest zwalczyć wszelkie przeciwności. To najtrudniejsze. Niemal wszyscy widzą źdźbło w oku innego, a nie dostrzegają belki w swoim. Don Martin przeciwnie, należy do tych ludzi, którzy patrzą we własne oblicze przez zwierciadło duszy.

– Psujesz mnie tymi komplementami, mistrzu – rzekł kapitan.

– To nie komplementy, ale prawda. Dobrze o tym wiesz, chociaż skromność nie pozwala ci się do tego przyznać.

Mężczyzna pochylił pokornie głowę. Botticelli był jego przewodnikiem, więc Hiszpan ceniał zdanie mistrza. Dobrym żołnierzem można być wyłącznie u dobrego pana.

– Pragnę jedynie służyć Bogu...

Trudna podróż ciągnęła się długo. Zatrzymywali się jedynie na noc i wracali na drogę wraz z pierwszymi promieniami słońca. Nazajutrz nie rozmawiali już o sprawach osobistych. Ale Leonardowi wystarczyło to, co usłyszał poprzedniego dnia, by mieć pewność, że spotkał człowieka godnego podziwu. Don Martin zaskarbił sobie miejsce w jego sercu. Leonardo ufał, że kapitan potrafi poprowadzić innych podczas tej niemal straceńczej wyprawy. Czy szczęście mu sprzyjało? Wypełni się to, czego chce Bóg. Tego był pewien.

20.

Cesendtico, Romagna, 1503

Forteca rysująca się na horyzoncie, przez swoje usytuowanie na wybrzeżu wyglądała jak mitologiczny potwór. Zapadła noc, dłuższa niż kiedykolwiek dla sześciu mężczyzn, którzy chcieli, aby sprawiedliwości stało się zadość. Morze falowało leciutko, poruszone miłą, łagodną bryzą. Nie było zimno. Mieli dużo szczęścia, bo niska temperatura w powietrzu

świadczyłyby, że woda będzie lodowata. Zjawisko, które Leonardo przestudiował i przypisywał rozmaitej gęstości żywności.

A nim żołnierze zniknęli pod kapturami, rękawicami i płetwami strojów nurka, brat Giacomo i Botticelli poprosili, by odmówić błagalną modlitwę, prosząc Boga o pomoc w tym zadaniu, które za chwilę mieli wykonać w Jego imieniu. Wszyscy uklękli i pochylili głowy. W tym i Leonardo, który nie miał już wątpliwości co do istnienia boskiej istoty, opiekującej się ludźmi, choć niepojętej dla ich niedoskonałych umysłów. Dlatego, jak wszyscy, modlił się gorliwie, odmawiając Ojczy nasz:

Pater Noster, qui es in caelis, Sanctificetur nomen Tuum, Adveniat Regnum Tuum, Fiat voluntas tua, Sicut in caelo et in terra.

Panem nostrum cotidianum Da nobis hodie.

Et dimitte nobis debita nostra, Sicut et nos dimittimus Debitoribus nostris;

– Et ne nos inducas in tentationem, Sed libera nos a malo. AMEN

– Panowie – rzekł don Martin. – Nadeszła godzina próby. Zanim nastanie świt, będziemy wiedzieli, czy bitwa przechyli się na korzyść Boga, czy diabła. My zrobimy to, co w naszych rękach, prowadzeni przez naszego Stwórcę i Pana. Niech On nas oświeca!

– Życzę szczęścia, panowie – powiedział oficjalnym tonem Botticelli, po czym uściśnął dłoń każdemu z mężczyzn.

– Szczęścia – rzekł Leonardo.

– Niech was Bóg prowadzi – dodał w końcu brat Giacomo. Misją tego ostatniego było pomagać – dzięki wojskowemu przygotowaniu – w opracowaniu planu strategicznego. Teraz służył za pomocnika Leonarda i swoją szpadą miał osłaniać jego i Botticellego, jeśli sprawy potoczą się źle i grupa kapitana znajdzie się w niebezpieczeństwie. Chociaż wtedy jego pomoc niewiele by pomogła...

Leonardo osobiście umieścił puste pojemniki na piersiach mężczyzn. Przymocował je do pasa dwoma rzemykami, a dwa pozostałe przytrzymał do ramion poniżej pach. W ten sposób pojemnik najmniej krępował ruchy nurka. By pojemniki, zgodnie z prawem Archimedesesa, nie wypłynęły na powierzchnię wody, Boski obciążył je ołowiem. Po dokonaniu tych operacji Leonardo przygotował banię z powietrzem. Wolny koniec rury podłączał do każdego z pojemników po kolei. By je wypełnić, trzeba było ostrożnie, ruchem wahadłowym poruszać hermetycznym pojemnikiem, wypełnionym w połowie rtęcią. Ciśnienie wywołane płynnym metalem wypychało powietrze przez rurę.

Już dwa pojemniki z czterech były napełnione i trzeci niemal całkowicie pełen, kiedy zdarzył się fatalny wypadek. Włoski żołnierz sprawdzał sztylet, którego ostrze nagle przecięło pojemnik. Sztylet był tak dobrze naostrzony, że wystarczyło lekkie muśnięcie, by powstał otwór, minimalny, ale wystarczający, by urządzenie stało się bezużyteczne. Liczbę czterech żołnierzy trzeba było zredukować do trzech. Więcej pojemników nie posiadali. Leonardo chciał wprawdzie zabrać trochę zapasowych, ale nie miał czasu ich wykonać.

Lamenty na nic się nie zdały. Nie trwały też długo. Czas naglił. Trzeba było pogodzić się ze stratą. Trzej mężczyźni skierowali się na brzeg morza.

– Nie zapominajcie, komu służycie. Działajcie ostrożnie. Starajcie się zabić jak najmniej strażników. Jeśli będziecie musieli umrzeć, gińcie z honorem - napominał ich Botticelli. – Pamiętajcie, Jerôme jest uwięziony w podziemnych celach, a Abigail na górze, w prywatnych komnatach Borgii. Idźcie z Bogiem.

To dziwne, ale Leonardo dopiero teraz usłyszał imiona więzionych bliźniąt. Były francuskie, pewnie ze względu na pochodzenie ludzi z dynastii. W każdym razie to nie było ważne. Później o to zapyta, kiedy już misja zostanie pomyślnie zakończona – w co ciągle jeszcze wierzył, pomimo złego początku. W każdym razie jednak nie umknęło mu, że Jerôme po grecku oznacza „Ze świętego imienia”, a Abigail to po hebrajsku „Źródło radości” – o ile

się nie mylił, bo ten język znał tylko powierzchownie. W tym momencie Leonardo nie mógł się powstrzymać od porównania ze swym własnym imieniem, które znaczyło „Silny jak lew”. Cóż, niezbyt to pasowało do jego osoby, ale tak postanowiła matka, kiedy urodziła bękarta, i życzyła mu lwiej siły w życiu. Chyba w pewnym sensie jednak się nie omyliła, choć siła syna nie była fizyczna, ale intelektualna.

Jemu, Botticellemu i mnichowi pozostawało tylko czekać. Pozbierali wszystko i schowali w workach, które ukryli w krzakach, w odległym, choć niezbyt dalekim od fortecy miejscu, gdzie o tej porze nikt nie przechodził. Oni sami wrócili tam, gdzie zostawili wóz i konie. Siedzieli w milczeniu ponad godzinę.

Leonardo pierwszy przerwał ciszę. Jako że zawsze zwracał uwagę na wygląd ludzi, stwierdził, że ubranie Botticellego jest trochę zbyt odstające na brzuchu, bardziej z powodu postawy właściciela niż nadmiaru tłuszczu.

– Uważaj na siebie, Sandro, bo w końcu sam zarobisz na przezwisko, jakie ci dali ze względu na brata – zwrócił się do przyjaciela.

– Botticelli? – spytał Sandro trochę zmieszany, wciągając wystający brzuch. Co jak co, ale tego nie spodziewał się usłyszeć tej nocy od Leonarda.

– A jakże: Botticelli, beczkowaty. Czyż twój brat nie był gruby w dzieciństwie?

Konwersacja skończyła się na tej krótkiej, banalnej wymianie zdań. Nastąpiła kolejna godzina ciszy.

Co się działo w fortecy? Jak przebiegała misja? Nie mieli pojęcia: pozostawało tylko czekać. Trwali zatem w milczeniu, trawieni niepewnością, największą w ich życiu.

21.

Forteca Cesendrko, 1503

Żołnierze weszli do fortecy bez trudności. Pomysł Leonarda przyniósł owoce. Odprowadzenia wody do kanału nie były zabezpieczone kratami, zakładano bowiem, że forteca jest nie do zdobycia. Tak właśnie myślał ten, który wzmacniał wszystkie zabezpieczenia, czyli – sam Leonardo. I byłaby niezwykła, gdyby nie została pokonana przez jego genialny umysł: Leonardo kontra Leonardo. Walka na szczytach ludzkiego intelektu.

Mężczyźni musieli się poruszać bardzo powoli po dnie morskim, a potem brnąć pod prąd przez kanał aż do miejsca najbliższej fortecy, skąd szli dalej piechotą pomagając sobie dłońmi w rękawiczkach. Powietrze z bukłaka było równoważone ołowiem, chociaż w miarę wpływu czasu wyczerpywało się i ciężar miał tendencje do pokonywania siły wypychającej w górę. Działo się to jednak powoli, a woda była gęsta, więc śmiałkowicie miarowo posuwali się do przodu. Gorszy okazał się brak światła. Tylko blask niemal pełnego księżyca, wiszącego wysoko nad horyzontem, pozwalał ocenić pozycję w stosunku do fortecy i odległość, jaka została jeszcze do pokonania.

Gdy dotarli do fortecy, szli wąskimi tunelami, lekko pochyleni, aż do poziomu, który znajdował się nad powierzchnią wody. Przy odpływie w tunelach było powietrze. Ale kiedy zaczynał się przyływ, zalewała je częściowo woda. Dzięki temu unikano zatrucia z powodu nagromadzenia nieczystości. Dlatego też rury były w miarę czyste i niezarośnięte.

Woda sięgała zaledwie do kolan, kiedy trzech żołnierze dotarli do miejsca, gdzie schodziły się mniejsze kanały odprowadzające wodę z całej fortecy. Zgodnie z planami Leonarda, powinni pójść tym najszerszym, który wiódł aż na główny dziedziniec. Tam musieli otworzyć metalową kratę wjazdu.

Wtedy księżyc zacznie działać przeciw nim. Pomógł im odnaleźć drogę, ale teraz będzie utrudniał wykonanie zadania.

W głównym zbiorniku zostawili części strojów nurka, już niepotrzebnych na powierzchni. Wszyscy ubrani byli na czarno, żeby lepiej się maskować. Kapitan poza tym kazał im posmarować twarze i ręce sadzą z flaszki, którą zabrał ze sobą. Zdawał sobie sprawę, że w ten sposób staną się niemal niewidzialni. Wymienili ostatnie spojrzenia, uścisnęli sobie dłonie i rozpoczęli najtrudniejszą, najbardziej niebezpieczną część zadania. Leonardo już nie mógł im służyć swoim geniuszem tam, wewnątrz fortecy. Teraz wszystko zależało od nich samych. Być może któryś zginie. Być może zginą wszyscy. Ale byli gotowi umrzeć za swoje ideały. Dla ludzi patrzących na życie wyłącznie z punktu widzenia praktycznego, nie miało to sensu. Ale oni myśleli inaczej. Nie służyć temu, kogo się kocha i szanuje, nie być gotowym na śmierć w obronie honoru, to jakby stać się martwym za życia! Bo żyć bez honoru – to nieustannie pogardzać samym sobą lub też samego siebie oszukiwać.

Tymczasem Leonardo, Botticelli i brat Giacomo nadal czekali z rosnącym niepokojem. Każdy z nich pogрузzył się we własnych myślach. Tym razem ciszę przerwał Botticelli.

– Czy życie ma sens? – Pytanie było retoryczne, nieskierowane do nikogo konkretnego. Botticelli patrzył gdzieś przed siebie szklanym, zagubionym wzrokiem. – Czy ma prawdziwy sens...? Teraz wydaje się, że sztuka trafia do ludzkich serc. Nawet służące interesują się architekturą, malarstwem, rzeźbą... Ale to nie nadaje życiu sensu.

– Sensem życia jest Bóg – odezwał się bardzo spokojnym głosem brat Giacomo.

Leonardo wziął głęboki oddech i podniósł twarz.

– Bóg... Bóg... – powtórzył, jakby to słowo rozplywało się w powietrzu. Tylko on nadaje życiu sens. On jedyny.

Kapitan szedł przodem. Z wielką ostrożnością pchnął kratę kanału wychodzącą na dziedziniec, odczepił ją z zawiasów i cicho położył na ziemi. Przedtem sprawdził, czy nikt ich nie widzi. Na szczęście wieża, przesłaniająca księżyc, rzuciła wystarczająco duży cień. Było tak, jakby natura stanęła po ich stronie.

Tęgi człowiek nie zdołałby precyzyjnie przejść przez wąską szczelinę. Ale to nie dotyczyło żadnego z członków wyprawy. Już na zewnątrz ukryli się w cieniu pod murem. Każdy znał swoje zadanie. Wcześniej planowali rozdzielić się po dwóch. Teraz ustalenia uległy zmianie. Don Martin musiał sam zejść do lochu, by uwolnić Jérôme'a, a dwaj pozostali mieli pójść do komnat Borgii, znaleźć Abigail.

Straży wewnątrz fortecy nie było zbyt wiele. Cezar już od miesiąca nie miał władzy, a ponadto nie sądził, by komukolwiek udało się go zaatakować. Dlatego kapitan i jego ludzie z łatwością dotarli do swoich celów, choć nie obyło się bez rozlewu krwi. Ale los każdej z części misji okazał się całkiem odmienny.

Na górze dwaj wysłannicy kapitana odkryli, że dziewczyna, którą mieli uwolnić, nie jest traktowana jak więzień, ale jak królowa. Borgia zamknął ją w niemal baśniowej komnacie. Bogaty perski dywan pokrywał znaczną powierzchnię ogromnej podłogi. Przy jednej ścianie stała szafa ze szlachetnego drewna, a przy kominku z różowego marmuru ustawiono dwa krzesła. Centralne miejsce zajmowało łoże pokryte jedwabiem, oparte zagłówkiem o ścianę w głębi. Miało baldachim z drewna czereśniowego i doryckie kolumny. Z drugiej strony było witrażowe okno, zamurowane od zewnątrz, a przy nim stał fotel na biegunach. Zwisająca z sufitu lampa była z weneckiego szkła, z filigranami nieporównywalnej jakości.

W podziemiach natomiast chłopak tkwił przykuty łańcuchami do wilgotnej, zimnej ściany, w ubraniu podartym na szmaty, wycieńczony brakiem jedzenia i rozpaczą. Nie karano go cieleśnie, z wyjątkiem tego, że więziono, ale tortura zadawana jego umysłowi była gorsza niż tysiące batów. Don Martin zdjął młodzieńcowi kajdany, zanim ujrzał ponurą rzeczywistość:

więzień konał. Kapitan usłyszał jego ostatni oddech i ostatnie słowo. Młody Jerôme wymówił imię swojej siostry, z oczyma pełnymi miłości: myślał tylko o niej, nie o sobie. Tak dokonał żywota. Powieki i wyschnięte usta zostały półotwarte. Na twarzy nie było znać strachu ani bólu, lecz wszechogarniające przygnębienie. Biedny chłopiec, zmarły w kwiecie wieku – wyszeptał don Martin i odmówił w milczeniu modlitwę. Był żołnierzem, ale też w pewnym sensie mnichem, następcą tych dawnych członków zakonów rycerskich, którzy niegdyś walczyli o bezpieczeństwo innych.

Don Martin chciałby zabrać ze sobą ciało Jerôme'a, ale rozsądek wzbronił mu tego. Pozostawiała jeszcze nadzieja, że Abigail żyje. Przed wyjściem don Martin ułożył ciało chłopca na ziemi i zamknął mu powieki i usta. Jeśli w czarnym sercu Borgii tli się choćby resztką ludzkich uczuć, każe go pochować.

Abigail trzeba było obudzić niezwykle ostrożnie, by, zaskoczona, nie narobiła hałasu. Nie wiedziała, że ma być uwolniona, mogłaby więc krzyczeć, bronić się i zdradzić wybawców. Zbliżyli się do łoża, a jeden z żołnierzy mocno zatkał dziewczynie usta. Obudziła się z głębokiego snu, pełnego marzeń. Otworzyła szeroko oczy, ale nie mogła wydać żadnego dźwięku. Mężczyźni wyjaśnili szeptem, że nie zamierzają jej skrzywdzić, ale wyratować ze szponów Cezara. Abigail natychmiast wszystko pojęła i przestała się bronić, zresztą nie miała siły, była chora i niemal nieprzytomna. Zrozumiała jednak, że lepiej iść z nieznanymi, niż zostać tutaj. Choć nie wiedziała już nawet, czy chciała nadal żyć... Miała wysoką gorączkę i nie mogła ustać na nogach. W ramionach jednego z żołnierzy zemdląła. Ocknęła się dużo później, kiedy jej ciało i dusza były już o wiele spokojniejsze.

– Cisza! – nakazał brat Giacomo, podnosząc prawą rękę i wyteżając słuch. Leonardo i Botticelli zamarli; serca biły im, jakby chciały wyskoczyć z piersi.

– Ktoś idzie! – zawołał półszeptem Leonardo.

Odgłos kroków stawał się coraz bardziej wyraźny.

– To chyba oni... – rzekł Leonardo, raczej życzeniowo niż z przekonaniem.

Ale to była prawda. Nadchodził kapitan i jeden z jego ludzi. Tak zapowiedział żołnierz, który trzymał straż. Ale radość nie trwała długo. Nie wszyscy wracali zdrowi i cali, a misja nie zakończyła się pełnym sukcesem. Drugi z ludzi kapitana utopił się przy wychodzeniu z fortecy. A ponadto z dwojga młodych przeżyła tylko dziewczyna.

Nie było czasu na szczegółowe wyjaśnienia. Musieli jak najprędzej uciekać. Przyjdzie pora na rozmowy. Ale jedno było jasne: jeszcze raz Bóg objawił swoją wolę – niepojętą dla ludzkiego umysłu.

22.

Gisors, 2004

Po wizycie na zamku w Gisors Catalina zamierzała pójść do merostwa i dowiedzieć się, dlaczego nikt potem nie badał już tajemniczej komnaty, którą odkrył ogrodnik z fortecy, Robert Lhomoy: kaplicy Świętej Katarzyny. Ale zdecydowała w końcu odłożyć tę wizytę na następny dzień. Nie czuła się dobrze. W końcu widziała ducha, na miłość boską! W dodatku w pełnym świetle dnia. Już to wystarczyłoby, żeby popaść w obłąd. Czy duchy nie powinny ukazywać się w nawiedzonych domach tylko o północy? A więc nie: scenarzyści z Hollywood się myślą. I nie wierzyła temu, co powiedział jej przewodnik. Szalona czy nie, widziała zjawę. Na pewno nie miała halucynacji spowodowanej upałem.

Catalina musiała odpocząć.

Ta historia bardzo by się spodobała jej ciotce. Kobieta, która zawsze twierdziła, że dziadek Claude był stuknięty, wierzyła we wszystkie bzdury o astrologii, w chiromancję, tarot i wiele

innych. W noc przed wyjazdem do Paryża Catalina zgodziła się, by ciotka wywróżyła jej przyszłość. Nie żeby wierzyła w takie rzeczy, jasne że nie, ale ciotka się upierała. Catalina pamiętała, co wtedy usłyszała – rozmaite prościutkie wróżby, które doskonale mogłyby pasować każdemu: że jej sytuacja finansowa ma się poprawić (ciotka wydawała się zachwycona, kiedy to się sprawdziło. „Widzisz? To w związku ze spadkiem. Zobaczmy, co ci jutro tam powiedzą”); że spotka wspaniałego mężczyznę, który jednak przysporzy jej wielu cierpień (a to ci nowina!, znała tylu cudownych mężczyzn, przez których potem cierpiała...); i że rozwiąże zagadkę, która od dawna pozostawała tajemnicą. Same głupstwa.

Wydawało się ironią, że taki niedowiarek jak Catalina zobaczył ducha. Cóż, życie jest pełne niespodzianek.

Drgnęła na dźwięk otwieranej bramy. To Albert. Catalina słyszała, jak wycierał buty o słomiankę. Wyobraziła sobie, jak wchodzi i swoim zwyczajem zdejmuje beret. Potem usłyszała ciężkie kroki w korytarzu. Szedł do biblioteki.

– Ach, pani tutaj – powiedział Albert. – Myślałem, że zostawiłem zapalone światło. -I, jakby sobie coś przypomniał, dodał: – Przepraszam, że otworzyłem swoim kluczem.

– Nie ma sprawy.

Albert skinął głową.

– Widziała pani kartkę, którą zostawiłem przy wejściu?

– Nie. Miałam dziś ciężki dzień.

– Zostawiłem wiadomość, że dzwonił z biura pana d’Allaines’a. Próbowali też na pani komórkowy. Powiedzieli, że to nic ważnego, ale że skontaktują się jeszcze w poniedziałek.

– Dobrze. Dziękuję. – Naprawdę niezwykle, że dozorca zdołał powiedzieć tyle słów naraz. Ale nie dodał już ani jednego. Ruszył do wyjścia.

– Albercie! – zawołała Catalina. Dozorca zatrzymał się przy drzwiach.

– Tak?

Catalina nie odpowiedziała od razu. Przeciwnie, uważnie wpatrzyła się w poważną i niewzruszoną twarz Alberta. Jego spojrzenie było jak zwykle ponure, może z odrobiną zaciekawienia. Doszła do wniosku, że nie jest to człowiek, który chętnie jej wysłucha, podniesie na duchu nawet w chwili zwątpienia czy też rozwieje najgłębsze wątpliwości. Nie. To nie Albert. Z pewnością nie on.

– Nieważne – rzuciła Catalina. – Do jutra.

Tym razem Albert utkwiał w niej wzrok. Ku zdumieniu Cataliny, wszedł z powrotem do biblioteki, wziął krzesło i ustawił je obok fotela, na którym siedziała.

– Słucham – powiedział tylko to jedno słowo.

Catalina opowiedziała mu wszystko. Zaczęła od swojej wizyty w zamku w Gisors. Opisała zwiedzone miejsca, które Albert znał jak własną kieszeń. Powtórzyła historię Rogera Lhomoya, którą Albert słyszał już setki razy. Ale nie przerwał. Catalina wspomniała też o swojej ukradkowej wizycie w Wieży Więzienia i o wrażeniu, jakie na niej wywarły dziwne rysunki na ścianach. Dozorca słuchał w milczeniu, siedząc i patrząc na nią pośepnym wzrokiem.

W końcu, po tych wstępach, wydusiła to, co naprawdę chciała mu powiedzieć:

– I widziałam w zamku ducha.

Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie tego, co Albert na to odpowiedział:

– Którego? Kobietę z głową pod pachą? Pijaka wypadającego z okna? Młodego chłopaka w stroju błazna, który otwiera kratę?... Tego, prawda? Tak, na pewno tego – przytaknął Albert sam sobie.

– Pan też go widział?

– Aha...

– Wszystkie?

– Wszystkie i jeszcze kilka innych – potwierdził dozorca z obojętnością tak niestosowną dla tematu rozmowy, że Catalina zaczęła się śmiać. Albert przyłączył się do niej: uśmiechnął się lekko, ale serdecznie. – Dużo ludzi w mieście je widziało – zapewnił. – A także wielu turystów. Niech się pani nie przejmuj. Może nie jesteśmy zbyt rozumni, my tu w Gisors, ale nie jesteśmy wariatami. A teraz dobranoc.

Albert wstał i odstawił krzesło na miejsce. Kiedy wychodził, Catalina powiedziała:

– Dziękuję, Albercie... Wie pan co? – dodała. – Bardzo się myliłam odnośnie do pana.

Kiedy domyślił się, o co chodzi, skinął ponownie.

– Do jutra – mruknął i wyszedł ciężkim krokiem.

Następnego dnia Catalina zbudziła się w wyjątkowo dobrym nastroju. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spała tak spokojnie. Przez otwarte okno wpadał cudny blask, zasłony falowały w rytm przyjemnego wietrzyku. Przeżyła widok ducha, co oznacza, że jest w dobrej kondycji... Zasłużyła na porządne śniadanie.

Żalostne protesty żołądka rozjątrzyły jeszcze głód. Miała dwie możliwości: pójść do miasteczka i poszukać kafejki albo sprawdzić, czy Albert może jej dać coś do jedzenia. Dozorca zeszłego wieczoru zaskarbił sobie jej sympatię i dzisiaj Catalina mogła mu dać okazję wzmocnienia serdecznych więzów. Przykro nie prosić kogoś, kto wydaje się gotów coś dać. To przekleństwo hojnych ludzi.

Catalina wygramoliła się wreszcie z łóżka. W powietrzu, które głęboko wdychała, czuła zapach świeżo ściętej trawy i znajomą woń kompotu z jabłek. Dotyk drewnianej podłogi był miły dla bosych stóp, podobnie jak jedwabnej pościeli. Nadchodził nowy dzień, ale nie „Jeszcze jeden dzień”.

W drodze do łazienki natknęła się na torby, o których niemal zapomniała. Były tam wczorajsze zakupy – rozmaite drobiazgi do ubrania i to, co uznała za „haczyk” na Alberta, małe kupstwo, by rozwiązać mu język. Teraz, kiedy wiedziała już trochę więcej o dozorczy, poczuła się lekko zawstydzona. Na szczęście okoliczności tak się ułożyły, że nie zrobiła głupstwa, starając się go przekupić.

Pomyślała, że najlepiej oddać do sklepu „dowód przestępstwa”. Potem jednak wpadła na pomysł, żeby ofiarować tę rzecz w prezencie. Zadowolona z tej decyzji Catalina poszła do łazienki. Umyła się i ubrała.

Już gotowa, ruszyła do ogródka, w którym zwykle pracował Albert. I rzeczywiście tam go zastała, wśród pomidorów, sałaty, brukwi, fasoli i kabaczków; przekopywał ziemię motyką i wsypywał w dołki nasiona.

– Dzień dobry! – powitała go Catalina. – Piękny dzień, prawda?

– Za gorąco.

To był znów dawny Albert, gorzki i oszczędny w słowach. Ale Catalina widziała już poprzedniej nocy blask ukryty pod pancerzem oschłości, więc odpowiedziała zgodnie:

– Tak, trochę gorąco... Ale proszę! Prezent dla pana! – Wskazała na torbę. Albert przestał kopać i stanął wsparty na motyce. Bez słowa zdjął beret i wytarł czoło chustką.

– Wie pani, co moja matka mawiała o prezentach od nieznajomych? – zaczął podejrzliwie.

– Że nie wolno ich przyjmować?

– Aha. Właśnie. A wie pani, dlaczego?

Catalina zaprzeczyła ruchem głowy, chociaż domyślała się odpowiedzi.

– Bo ta poczciwa kobieta myślała, że kiedy nieznajomy daje prezent, to chce czegoś w zamian.

– No cóż – wybąkała Catalina z lekkim odcieniem winy w głosie. – Nie zawsze tak jest. Czasami obcy dają prezenty ot tak sobie, nie uważa pan? Na przykład ja nie zamierzałam o nic pana prosić. Chciałam tylko podziękować za wczorajszą rozmowę.

Jasne było, że Catalina kupiła prezent przed wieczornym spotkaniem. Ale mimo to jej słowa brzmiały szczerze. Albert musiał to zauważyć, bo zamiast odmówić przyjęcia prezentu, jak zrobiliby w niemal każdej innej sytuacji, powiedział:

– Nie ma pani za co dziękować, nie trzeba mi kupować żadnych prezentów. Ale matka mawiała też, że nie należy być niewdzięcznym. A że się pani dla mnie fatygowała, przyjmuję.

Matka dozorca musiała być mądrą kobietą, pomyślała Catalina, wyciągając z torby paczkę.

– Nie, teraz nie mogę otworzyć. Mam brudne ręce – oznajmił, okazując niespodziewaną delikatność. Na dowód przycisnął kij motyki do brzucha i pokazał Catalinie wielkie i rzeczywiście bardzo brudne ręce. – Zróbmy tak: chodźmy do mnie, umyję ręce, zaproszę panią na śniadanie, a potem otworzymy prezent. Co pani na to?

Cóż, czasami dobre uczynki bywają nagradzane, pomyślała, ale powiedziała tylko:

– Świetny pomysł.

Albert ujawnił jeszcze jedną ukrytą zaletę, szykując dla Cataliny placki godne najlepszej kawiarni, podane z dużą filiżanką kawy i marmoladą z malin, którą sam zrobił.

– Przepyszne – zapewniła Catalina, kończąc przełykać ostatnie kęsy.

– Aha.

– A teraz proszę obejrzeć prezent, dobrze?

Albert rozerwał bibułkę. Catalina zauważyła, że był przejęty i zaniepokojony. Dlatego poczuła się zawiedziona, kiedy wyjął prezent z pudełka i powiedział poważnie:

– Lepiej niech pani to odda.

– Ale dlaczego?! Nie podoba się panu? Jest tyle innych do wyboru. Możemy zamienić na inny.

– Nie warto.

– Ależ wiem, że pan go potrzebuje. Nawet mówił pan sekretarce z kancelarii, że będzie pan musiał sobie taki kupić.

Catalina przypomniała sobie też inne momenty tej sceny, kiedy to Albert rozmawiał z kancelarią, by potwierdzić tożsamość spodziewanego gościa. Wtedy wyraźnie wyglądał na zawstydzonego. Teraz Catalina zrozumiała dlaczego.

– Pan już ma telefon komórkowy, tak?

Po twarzy Alberta przemknął niepokój.

– Kupiłem miesiąc temu – odparł i spuścił głowę.

– Ale...

– Ale nie potrafię obsługiwać tego przekłętego paskudztwa. Może przez te moje za grube paluchy... – Dozorca uśmiechnął się wstydliwie. Najgorsze już miał za sobą. Catalina nie wyśmiała go, czego najbardziej się obawiał.

– Powiem panu, co zrobimy, Albercie. Przyniesie pan swój telefon, a ja pana nauczę go obsługiwać. To nie takie trudne, jak się zdaje, kiedy się czyta te skomplikowane instrukcje. One często są tłumaczone ze szwedzkiego czy z fińskiego przez studentów, którzy nie znają dobrze nawet własnego języka. Swoją ciotkę też musiałam nauczyć, jak używać telefonu.

– Zgoda. Ale co zrobimy z tym telefonem od pani? Najlepiej byłoby oddać, nie?

– Niech go pan zatrzyma. Na zapas. Gdyby ten się zepsuł. – Uprzedzając pytanie dozorca, dodała: – I niech się pan nie przejmuje, bo wystarczy nauczyć się używać jednego, by umieć obsługiwać inne. Wszystkie działają mniej więcej jednakowo.

– Jeśli pani tak mówi...

Catalina dotrzymała słowa. Po pół godzinie, nawet nie otwierając instrukcji, dozorca opanował już podstawowe funkcje.

– W poniedziałek zadzwonię i podam pannie Bergier mój numer komórki – stwierdził.

– Świetnie! A przy okazji dowiemy się, czego ode mnie chcą.



Vinci, Toskania, 1503

Zmęczona długim cierpieniem i wyczerpana Abigail zapadła w gorączkowy sen, z którego nie budziła się prawie dwa dni. Leonardo zawiózł dziewczynę do swego domu na wsi i uparł się, że sam ją będzie pielęgnował. Pozostali, z wyjątkiem brata, musieli się oddalić. Zakładali, że kiedy Abigail się w końcu rozbudzi, może potrzebować spowiedzi, a chodzenie do kościoła w miasteczku było wykluczone. Nikt nie sprzeciwił się nieugiętym postanowieniom Leonarda. Wszystko odbyło się według jego woli.

Brat Giacomo i Leonardo czuwali na zmianę przy dziewczynie. Od czasu do czasu stawała się niespokojna; wymawiała jakieś niezrozumiałe słowa, marszcząc brwi. Potem pomimo gorączki powracał spokój. Pot oblewał ją całą, osuszali ciało chustami i nakładali zimne kompresy na czoło.

– Jérôme! Jérôme! – zawołała którejś nocy i zamilkła na długie godziny.

Wreszcie rozbudziła się na dobre. Od tej chwili ciągle zadawała pytania. Przede wszystkim dopytywała o brata. Leonardo nie chciał jej oszukiwać, mimo że opadała z sił. Wyznał, że Jérôme umarł w celi fortecy i że nie było możliwe wydostanie stamtąd jego ciała, by urządzić mu chrześcijański pogrzeb. Abigail zaczęła cicho płakać. Nie zamierzała demonstrować swego bólu, a tylko mu ulżyć. Jej piękna smutna twarz przejęła serce Leonarda bardziej niż śmierć młodzieńca. Ta młoda kobieta była niezwykłym stworzeniem. Dla niej całe życie mogło mieć sens. Właśnie taki, o jakim mówił Botticelli. Sens, który teraz dla Boskiego nabrał nowego znaczenia. Kiedy odkryje się światło, cień staje się zaledwie wspomnieniem.

Leonardo próbował pocieszyć Abigail, mówiąc, że dusza brata opuściła ten świat wraz z modlitwą. Przekonywał ją, że musi wyzdrowieć i nabrać sił.

By jej nie zmartwić, nie dodał, że niebezpieczeństwo nadal istnieje. Ostatnie uderzenia ogona zdychającego lwa są najgroźniejsze; należało się obawiać reakcji Cezara Borgii. Zakładać, że został pokonany, byłoby błędem nie do naprawienia.

Tego ranka, kiedy dziewczyna obudziła się już w wyraźnie lepszym stanie, Botticelli przybył do Vinci. Nie posłuchał Leonarda i nie mógł się zdecydować, czy zostać we Florencji, czy jechać do Pizy, kiedy ostatnia przedstawicielka pokolenia Chrystusa leży jeszcze chora. A jeśli nie przeżyje... Wątpliwości zawiodły go w końcu do domu przyjaciela, wbrew rozkazom. Ale Leonardo się nie gniewał. Prosił tylko Botticellego, by nie rozmawiał na razie z Abigail. Wystarczy, że dowiedział się, iż chora czuje się lepiej i dochodzi do sił, a smutek, jakim napełniła ją wieść o śmierci bliźniaczego brata, nie przesłonił nadziei na uratowanie rodu. Mimo młodego wieku i słabości właściwych płci, zachowywała się z godnością i odwagą jak szlachetny rycerz podczas bitwy.

Kiedy na najwyższym piętrze domu brat Giacomo odczytywał dziewczynie, jeszcze leżącej w łóżku, fragmenty Boskiej komedii Dantego Alighieri, Leonardo i Botticelli na dole rozmawiali, popijając słodką, smaczną małmazję.

W życia wędrówce, na połowie czasu,  
Straciwszy z oczu szlak nieomyślnej drogi,  
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.  
Jak ciężko słowem opisać ten srogi  
Bór, owe stromych puszczy pustynne dzicze,  
Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.  
Gorzko – śmierć chyba większe zna gorycze;  
Lecz dla korzyści, dobytých z przeprawy,  
Opowiem lasu rzeczy tajemnicze.  
Nie wiem, jak w one zaszedłem dzierzawy,  
Bo mną owładła senność jakaś duża

W chwili, gdy drogi zaniechałem prawej.  
Gdym jednak przybył do góry podnóża,  
Którą zaparty owy wądół kona,  
Skąd się, jak rzekłem, taki strach wynurza,  
Podniósłszy głowę widzę, a ramiona  
Góry już swymi promieniami stroi  
Gwiazda wodząca tu ziemskie plemiona.  
Więc się z widoku tego uspokoi  
Przestrach, w jeziorze serca rozkietzany  
Przez noc bolesnej bez otuchy mojej.  
A jak człek z morza na łąd ratowany  
Z piersią dyszącą staje i z daleka  
Oczyrna jeszcze bada groźne piany,  
Tak było, duch mój, podczas gdy ucieka,  
Pogląda za się na przebytą drogę,  
Co nie przepuści żywego człowieka.  
Więc gdy mdłe ciało odpoczynkiem wzmogę,  
Znów po bezludnych progach stopy nużę,  
Wciąż niżej mając wyprężoną nogę.  
Więc tam, gdzie ścieżka strzelała ku górze,  
Znienagła mi się zjawiała u stoku  
Zwinna Pantera o plamistej skórze.  
Ta z mej osoby nie spuszczała wzroku  
I tak męczyła w moim wstępowaniu,  
Że kilka razy chciałem wracać kroku...

Głos brzmiał słodko i cicho, kiedy brat Giacomo czytał poemat. Dziewczyna wyglądała na uspokojoną, bardziej może powtarzającą się kadencją metrum wiersza niż treścią słów. Poezja potrafi wprowadzić w trans, gdyż człowiek znajduje się wtedy w innym świecie, w zamkniętym kręgu mistycyzmu, wieczności, snów dzieciństwa... Nagle jednak Abigail dostała jakiegoś ataku, zaczęła rzucać się po łóżku, jęczeć. Po chwili naciągnęła na siebie prześcieradła i wsparła plecami o oparcie łóżka, patrząc przed siebie jak wąż, który ucieka i uderza o ścianę nie do przebycia.

– Panowie, chodźcie tu czym prędzej! – zawołał przestraszony brat Giacomo.

Leonardo i Botticelli wspinali się już po schodach, gdyż usłyszeli powtarzające się okrzyki dziewczyny.

– Co się dzieje?! – spytał Leonardo i nie czekając odpowiedzi, mocno objął ramieniem Abigail i gładził jej szyję. – Już dobrze, dobrze...

Botticelli ze zdumieniem spoglądał z rogu pokoju pogrążonego w półmroku.

Abigail co prawda przestała się wic w konwulsjach, ale natychmiast po tym zemdląca. Znów ułożyli ją na łóżku i delikatnie otulili. Co się stało, bracie? – pytali zakonnika.

– Nie wiem – odparł zafrasowany Giacomo. – Czytałem jej poemat. Dobrze się czuła i nagle...

– Nie wydarzyło się nic godnego uwagi? Pomyśl, proszę – nalegał Boski. Brat Giacomo milczał chwilę i pokręcił głową. Nie miał pojęcia, co mogło wywołać atak. Był również zaskoczony, jak dwaj pozostali.

– No dobrze, czuwaj przy niej dalej. Przyjdę potem cię zmienić.

Leonardo sprowadził Botticellego na dół. Przez pewien czas jeszcze zastanawiali się, co wywołało tak wielkie wzruszenie. Być może dziewczyna ciągle nie mogła pogodzić się ze

śmiercią brata. Ale nawet to nie usprawiedliwiało takiej hysterii. Nie, Leonardo był pewien, że przyczyna tkwiła gdzie indziej.

Botticelli też nie potrafił wyjaśnić tego zdarzenia. Ale kiedy się zastanowił, pewna odpowiedź przyszła mu do głowy; choć, doprawdy, nie miał ochoty przyjąć jej do wiadomości.

24.

Cesendtico, 1503

Trzask wielkiego lustra, rozbijającego się na tysiąc kawałków, a po tym głuchy jęk, jakby z samych czeluści piekielnych. Piękne zwierciadło weneckie padło ofiarą gniewu Cezara Borgii, który walnął w nie pięścią, by nie ugodzić szefa straży. Kiedy indziej zrobiłby to na pewno, ale teraz potrzebował wszystkich swoich ludzi.

Wiść o ucieczce więźniów wprawiła go we wściekłość. Oczy świeciły mu ogniem. Gdyby pierwotne plany zawiodły i połączenie się ze świętą dynastią nie wytępiłoby jego wrogów, mógł jeszcze posłużyć się bliźniętami jako monetą przetargową. Zawsze dobrze mieć dodatkowy plan. Inaczej ryzyko jest zbyt wysokie, a klęska może być ostateczna.

Teraz zaczynał dokładnie rozważać sytuację. Jego koniec był bliski i nieuchronny. Walczył zębami i pazurami, rozpaczliwie czepiając się władzy. Ludzie tacy jak on czują się dobrze tylko wówczas, gdy siła jest po ich stronie. Drobną słabość może oznaczać ich kres, bo nie są kochani. Utrzymują się na wyżynach tylko dlatego, że sięją strach. Kiedy tracą tę przewagę, zemsta uciemiężonych, bardziej niż sprawiedliwość, jest kłoda, która ich przywala.

Ale on jeszcze nie padł na ziemię. Przynajmniej nie całkiem. Zostało mu trochę oddechu. Musiał się zastanowić nad tym, co zaszło. Jak to się mogło stać? Z pewnością Botticelli był w to zamieszany. Chociaż z drugiej strony... trudno uwierzyć. Jak taki tchórz, łatwy do omotania, odważyłby się na coś podobnego? Niemożliwe, a jednak... I jakim cudem kilku żołnierzy wdarło się do fortecy, nie wzbudzając alarmu? Z pewnością pomagał im ktoś, kto dobrze znał zabezpieczenia... Leonardo!

25.

Rzym, 1503

Bękart! Słowa Giuliana delia Roverego, wypowiedziane przez zaciśnięte zęby, dźwięczały niezwykle groźnie w uszach jego zaufanego, Wilhelma de Grotha. Nawet do kardynała dotarły niezwykle wieści o młodych ludziach, pochwyconych przez znenawidzonego Cezara Borgia i zamkniętych w fortecy w Cesenatico. Ale ich tożsamość i powód, dla którego sprawa była okryta wielką tajemnicą, pozostawały nieznane donosicielom delia Roverego. Jedyne, co wydawało się jasne, to że więźniowie nie byli ważnymi osobistościami, pojmanymi dla nagrody czy szantażu. Tym bardziej sekret należało zgłębić.

– Borgia nigdy nie działa na próżno. Jakie znaczenie mają dla niego te dzieci? Groth, natychmiast udaj się tam, gdzie teraz jest Cezar, i dowiedz się jak najwięcej. Doprawdy, to niesłychane...

Wilhelm de Groth wykonał polecenie mentora z niemiecką szybkością i precyzją. Konno ruszył do Cesenatico. Zatrzymał się tylko na nocleg i posiłek. Ale trud okazał się daremny. Kiedy de Groth dotarł do twierdzy, Cezara już tam nie było. Wyjechał. Wydawało się niewątpliwe, że młodych więźniów też nie ma już w fortecy. Groth pomyślał, że być może Borgia przeniósł ich do innej twierdzy, ale pewien pijak w karczmie, dzięki kilku szklankom wina, rozproszył wątpliwości dostojnego męża. Pijaczyna był żołnierzem z garnizonu i nie wiedział wiele, ale wystarczająco. Opowiedział księdzu, jak to Borgia wpadł we wściekłość

i jak kilku strażników zginęło owej nocy w dziwnych okolicznościach. Mówiono, że ktoś dostał się do fortecy. To wydawało się niemożliwe, ale inne wytłumaczenie nie istniało.

Groth natychmiast pojął, że więźniowie wymknęli się z rąk Cezara Borgii. Niestety podchmielony jegomość nie wiedział, kim były te dzieci ani dlaczego Borgia się nimi interesował. Słyszał tylko, że chłopaka więziono w podziemiach fortecy, a dziewczyna przebywała w komnatach. Może była narzeczoną jego pana, a może kochanką – jedną z wielu, które miał w ostatnich latach. Więcej nic nie wiedział.

26.

Gisors, 2004

Catalina dotarła do kawiarenki internetowej, idąc według wskazówek dwóch nastolatków, którzy nie mieli żadnego kłopotu ze wskazaniem jej drogi w to miejsce. To, co dawniej nazywało się wiekiem głupoty, dość nieelegancko dla tak ważnego okresu w życiu człowieka, teraz przerodziło się w wiek obsesji na punkcie Internetu i gier komputerowych. Może jako kobieta i to należąca do pokolenia trochę wcześniejszego niż ci chłopcy, Catalina nie była zafascynowana komputerami, ale uważała je za niesłychanie pożyteczne. To samo mogłaby powiedzieć o Internecie. Jej związki z „siecią sieci” były początkowo bardzo luźne, ale ostatnio znacznie się zacieśniły. Nie mogła nie docenić komunikacji satelitarnej, zwłaszcza w swoim zawodzie, w którym szybka informacja stanowiła podstawę.

Mimo to nie ciągnęło jej jakoś do kawiarenek internetowych. Tak naprawdę teraz wchodziła do tego przybytku po raz pierwszy. Mała kawiarenka w Gisors była w fatalnym stanie. Catalina zaczęła już rozumieć skryte uśmiešky chłopaków, którzy pokazali jej drogę. Nie było ani jednego klienta; kawiarence niewątpliwie nie pozostało wiele dni życia. Dzieciaki z miasteczka widocznie wolały surfować po sieci wygodnie we własnych domach.

Przestępując próg, Catalina uruchomiła sygnał. Nagle w pustej sali rozległ się głęboki głos Obi Wana Kenobiego, mistrza Luke’a Skywalker’a: Właśnie wchodzisz w świat bez granic. Oby tak było, pomyślała. Nagranie skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Po ostatnich brzmieniach werbalnego sygnału powróciła cisza. Pracownik kawiarenki czy właściciel, nie powiedział do Cataliny ani słowa. Gorzej – podejrzewała, że ten rozczochrany osobnik z kręconą brodą, ubrany w czarną koszulę, mrużący: „Niech sobie w d... wsadzą ten Microsoft”, w ogóle nie zauważył jej obecności.

– Przepraszam! – zawołała.

– Ech? – odpowiedział gardłowym głosem młody człowiek, z trudem odrywając wzrok od blondynki z olbrzymim biustem, zajmującym niemal cały ekran.

– Chciałabym skorzystać z komputera.

– Aach.

Widocznie pracownik był w stanie odpowiadać wyłącznie monosylabami.

– To znaczy, jeżeli to ci nie przeszkadza – dodała. – Możesz na chwilę przerwać?

– Jasne, laleczko! Wszystko jest cool. W porządku.

– Pewnie, jeżeli nie będę musiała już dłużej czekać. A im prędzej przestaniemy gadać, tym szybciej wrócisz do swojej szczydrze wyposażonej blondyny...

– Fajne cycki, nie? Ech... taaa... – odpowiedział sam sobie, znowu wpatrzony w ekran. – Wybierz sobie, który chcesz, laleczko. Nie mamy dziś dużo klientów.

– Ciekawe, dlaczego...

– Taaa.

Facet wrócił do swojej podniecającej gierki. Catalina podeszła do komputera stojącego możliwie jak najdalej od brodacza. Usiadła i wyłączyła zabezpieczenie. Z daleka zobaczyła, że pracownik podnosi oba kciuki, co zapewne znaczyło: „Możesz zaczynać, laleczko!”

W małym okienku ukazały się dwie informacje – jedna pokazywała czas korzystania z sieci, druga – cenę.

Catalina spojrzała na zegarek. Za czterdzieści pięć minut powinna wrócić do merostwa. Była tam przedtem, wyjaśniając recepcjonście, że chciałaby porozmawiać z kimś na temat Lhomoya. Recepcjonista nie zareagował zbyt miło. W ciągu sekundy od niemal natrętnej uprzejmości przeszedł do niechęci i podejrzliwości. Dopiero po tym, jak Catalina przysięgła, że nie ma zamiaru pisać książki ani artykułu o dawnym zamkowym ogrodniku, mężczyzna oznajmił, że będzie mogła przyjść z powrotem za godzinę i spytać o pana Dumergue'a. Sprawami dziedzictwa miejskiego zajmowała się wprawdzie pani Paysant, ale ta nie przyjmuje dziś żadnych interesantów.

Aby jak najlepiej wykorzystać czas, Catalina postanowiła sprawdzić w Internecie pewne rzeczy, które ostatnio zaprzętały jej myśli. Przede wszystkim chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat Codex Romanoff, zestawu notatek kulinarnych i przepisów autorstwa Leonarda da Vinci. Do tej pory tylko pobieżnie zdążyła przejrzeć ten podarunek od dziadka. Weszła zatem w Google i wpisała „codex romanoff w pozycji „szukaj”. Natychmiast pojawiła się lista odpowiedzi. Ale Catalina skreśliła wystukane hasło i napisała „codex rromanoff” z dwoma „R”, tak jak widniało na okładce kopii jej dziadka.

Tym razem nie ukazała się żadna odpowiedź. Catalina próbowała rozmaitych kombinacji, zmieniając „codex” na „kodeks”, inaczej rozmieszczając akcenty, ale nie znalazła niczego. Uznała zatem, że podwójne „R” było błędem typograficznym. Tak zresztą przypuszczała, ale wolała się upewnić.

Napisała jeszcze raz „codex romanoff” i na monitorze znów pojawiła się lista wyników szukania. Przy szybkim i niedokładnym przeglądaniu Catalina doszła do rozmaitych wniosków: między innymi, że jest to kompilacja rozmaitych tekstów da Vinci, związanych z kuchnią w szerokim znaczeniu, gdyż poszczególne fragmenty zawierały przepisy, rysunki przedstawiające sprzęty kuchenne, zasady zachowania się przy stole... Cały zbiór został opracowany przez niejakiego Pasquale Pisapia. Ponoć przepisał to wszystko ręcznie z oryginału przechowywanego, jak twierdził, w Ermitażu w Leningradzie, dzisiaj Sankt Petersburgu.

Na pierwszym miejscu na liście uzyskanej z Google była informacja z forum dyskusyjnego. Autor podawał w wątpliwość autentyczność Kodeksu, który dla niego był jedynie interesującym montażem. Catalina otwierała kolejne linki, aż doszła do strony, na której dość szczegółowo opisywano tę książkę. Przy okazji poznała rozmaite ciekawe szczegóły z życia Leonarda, związane z jego niewątpliwą pasją kulinarną.

Dzięki informacjom z Internetu Catalina uzyskała potwierdzenie znanych już jej danych na temat Kodeksu i odkryła inne, które wydały jej się niezmiernie interesujące. Jako dobra dziennikarka, robiła notatki i spisywała nasuwające się pytania. W innych okolicznościach nagrywałaby swoje przemyślenia na dyktafon, żeby potem wszystko uporządkować i spisać na laptopie. Ale te urządzenia zostawiła w Madrycie, więc Lista prawd absolutnych, jak zwykła żartobliwie nazywać swoje notatki, została sporządzona ręcznie na papierze i wyglądała następująco:

Prawda nr 1: Codex Romanoff (z jednym R, nie z dwoma) to kompendium przepisów, notatek i rysunków związanych ze sztuką kulinarną.

Prawda nr 2: Sądzi się, że jest to kompilacja rozmaitych tekstów Leonarda da Vinci (zrobiona przez... kogo?), ale nie ma ogólnej zgodności stanowisk co do jej autentyczności.

Prawda nr 3: Pascuale Pisapia (nie ma o nim nic w Internecie) twierdzi, że przepisał Codex odręcznie z oryginalnego rękopisu, własności Ermitażu w Sankt Petersburgu/Leningradzie.

Prawda nr 4: To muzeum twierdzi, że nie posiada wyżej wymienionego rękopisu, chociaż istnieją świadectwa, że dawniej Ermitaż w wielu wypadkach dawał podobne sprostowania, które następnie okazywały się fałszywe (być może pozyskali ten dokument nielegalnie?).

Prawda nr 5: Zakłada się, że Codex po raz pierwszy przedstawiono publicznie w roku 1981, kiedy jakaś włoska rodzina z Piemontu wydobyla go na światło dzienne (o tej rodzinie nie wiadomo prawie nic; nieznane są też przyczyny ujawnienia rękopisu). Członkowie rodziny mówią, że posiadają maszynową kopię oryginału, napisaną po włosku i datowaną na okres II wojny światowej.

Catalina zrobiła przerwę. Przy tej ostatniej notatce coś ją zaintrygowało. Ale co?

Przeczytała prawdę nr 5 bardzo dokładnie i nagle zrozumiała.

– Mam!

Niemal jej to umknęło, ale teraz już wiedziała: dziadek zmarł w roku 1981, tym samym, w którym po raz pierwszy ogłoszono Codex. Zbieżność tych dwóch wydarzeń mogła być przypadkowa, ale wydawała się interesująca. Może dziadek miał własną kopię Kodeksu, jak ta rodzina z Piemontu, a może obie kopie pochodziły z tego samego źródła.

Nie potrafiła teraz ustalić, która z tych dwóch opcji jest prawdziwa. Pomyślała jednak, że sporo wyjaśniłoby porównanie obu wersji Kodeksu: dziadka i rodziny z Piemontu. Włoska wersja była dostępna w każdej księgarni.

Zdecydowana już, co i jak robić, Catalina zapisała:

Sprawdzić: Czy były jakieś powiązania pomiędzy dziadkiem i rodziną z Piemontu, która ogłosiła Codex Romanoff? Czy wersje dziadka i tej rodziny są identyczne?

Ostatnie pytanie wzbudziło kolejną wątpliwość Cataliny, z pewnością śmieszna więc jej nie odnotowała:

Czy podwójne „R” w tytule w wersji dziadka Claude’a to istotnie tylko błąd maszynowy?

Catalina przeczytała swoją listę, tym razem od początku do końca. Kiedy skończyła, skinęła głową z zadowoleniem. To zaczynało coraz bardziej przypominać początek jej własnych drobiazgowych dochodzeń dziennikarskich. A przecież nie przybyła do Gisors, żeby prowadzić poszukiwania. Chciała po prostu poznać miasteczko i dowiedzieć się czegoś o przeszłości dziadka, oczywiście, ale ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy przeprowadzanie wyczerpujących dochodzeń. Wprawdzie po dwóch dniach pobytu w Gisors, gdzie spodziewała się uzyskać jakieś odpowiedzi, na razie miała tylko coraz więcej wątpliwości i pytań. Nie mówiąc już o tym, że w dodatku widziała jeszcze ducha. Biorąc to wszystko pod uwagę, nic dziwnego, że obudziła się w niej dziennikarska ciekawość, chęć dotarcia do sedna. Właśnie zrobiła pierwszy krok, żeby ocenić siły.

Catalina poprawiła się: drugi krok. Pierwszym była wizyta w merostwie. Teraz nadeszła pora, by tam wrócić.

I zobaczyć, co się stanie.

27.

Vinci, 1503

Dlaczego, mimo że ją uratowali, traktowali troskliwie i serdecznie, Abigail potajemnie uciekła? Leonardo po raz kolejny zadawał sobie to pytanie, wpatrując się tępym wzrokiem w puste łóżko w zajmowanym przez dziewczynę pokoju w jego domu.

– Dokąd mogła pójść? – pytał brat Giacomo zmartwiony, ściskając dłońmi skronie.

– Przede wszystkim musimy zachować spokój i pomyśleć... Co sprawiło, że uciekła?

Dlaczego...? Jasne! Jacyż byliśmy głupi! Teraz rozumiem! Nie znała nas, więc obawiała się, że jesteśmy wrogami. Skąd miała wiedzieć, czy rzeczywiście uwolniliśmy ją z rąk oprawcy, czy chcieliśmy zrobić to co on...

Leonardo zauważył, że czasami jest w stanie rozwiązywać zagadki lub problemy zbyt trudne do rozwikłania dla innych, a czasami umyka mu to, co najprostsze i najbardziej oczywiste.

– Trzeba jej szukać – rzekł bratu. – Nie mogła zajść daleko. Jest jeszcze bardzo słaba. Oby nic się jej nie stało, zanim ją odnajdziemy. Bóg tego nie zechce!

– Bóg nie zechce, ale my nie traćmy czasu...

Obaj mężczyźni wyszli z domu i rozbiegli się w różne strony. Leonardo obliczał, że dziewczyna nie mogła dotrzeć dalej niż do obrzeża miasteczka. Problemem pozostawało tylko, w którą stronę poszła. Leonardo starał się wczuć w sytuację Abigail. Po jednej stronie, tuż za domami, był las, gdzie w dzieciństwie bawił się z innymi dziećmi. Tak, prawdopodobnie to miejsce wybrała. Ciemna gęstwina osłania groźnych złoczyńców, ale może też ukryć osobę, która chce zniknąć.

Tymczasem brat na próżno marnował siły, biegnąc bez celu. Był tak rozżalony, że prawie nie zauważył, iż prawe kolano ma rozbite po upadku, kiedy potknął się o kamień. Zerwał się jak potępieniec i nadal biegł bez ustanku, rozglądając się na wszystkie strony i nie widząc niczego. Kiedy siły już całkiem go opuściły, stanął, zadyszany. Krew z rozbitego kolana ciekła na stopę. Brat Giacomo przygryzł dolną wargę, usiłując się skupić. Błagał Boga, by zesłał mu natchnienie, które go poprowadzi.

Kiedy tak się modlił i – niezbyt pobożnie – równocześnie rozpaczał, Leonardo wpadł na trop. Intuicja nie zawiodła mistrza. Znalazł Abigail ukrytą w gąszczu krzewów. Leonardo wychwycił świst przyspieszonego oddechu dziewczyny. Próbowwała biec, ale nie starczyło jej sił; zaledwie zdołała się podnieść.

– Nie bój się – przemówił Leonardo możliwie najłagodniejszym głosem.

– Zostawcie mnie! – zaszlochała słabo.

Waliła pięściami w pierś Leonarda, kiedy ten brał ją w ramiona. Po chwili zemdląca. Jej twarz wyrażała przerażenie, jakby ta próba ucieczki była ostatnią nadzieją, teraz zaprzepaszczoną. Mówią, że nadzieja umiera ostatnia, ale kiedy znika naprawdę, jest strasznie.

Z dziewczyną w ramionach Leonardo dotarł do domu. Na szczęście była noc i żaden z mieszkańców raczej by ich nie odkrył. Ale na wszelki wypadek mistrz sprawdził dobrze, czy na krętych uliczkach lub w oknach domów nie ma nikogo. Wokół panowała ciemność. Kiedy wszedł do domu przez pozostawione otworem drzwi, brata jeszcze nie było. Leonardo nie mógł go powiadomić... a może jednak? Rozpalił na kominku lekko wilgotną słomę. Zakonnik powinien zobaczyć z daleka biały dym w ciemnościach nocy i zgadnąć, że Leonardo wrócił już z poszukiwań. Tak się też stało.

– Wejdz, bracie Giacomo, i siadaj spokojnie – rzekł Leonardo, z lekkim roztargnieniem, bo starał się nie stracić wątku swoich gorączkowych rozważań.

Coś tu było nie w porządku. Jakiś fragment nie pasował do całości. Tylko Botticelli pomógłby rozwiązać tę zagadkę. Musiał coś wiedzieć.

Godziny mijały. Leonardo był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył, kiedy Abigail otworzyła oczy.

– Signore... odezwała się słabym głosem, ale po chwili dostała torsji. Brat Giacomo pospiesznie podsunął jej miednicę stojącą na stoliku do porannego mycia. Ale dziewczyna nie wymiotowała, miała tylko skurcze żołądka. Co chwila musiała też oddawać mocz, mimo że nie piła. Te oznaki wydały się Leonardowi znane, bo studiował fizjologię obu płci. Czyżby dziewczyna... była w ciąży?

28.

Vinci, 1503

Jeśli Abigail istotnie była w ciąży, to w grę wchodził tylko jeden mężczyzna: Cezar Borgia. To zwiastowało nowe, poważne kłopoty. Leonardo musiał poznać prawdę.

– Chcę cię o coś spytać. Wiem, że możesz czuć się niezręcznie, ale nie robię tego dla przyjemności. Czy Cezar cię...?

Abigail zrzuciła maskę nieprzeniknionej tajemnicy, którą, jak uczono ją od dzieciństwa, należy przybierać w obliczu niebezpieczeństwa.

– Chcecie wiedzieć, czy mnie posiadał?

– Właśnie.

– Tak.

A zatem zachodziła najgorsza z możliwości: dziewczyna nosiła w łonie dziecko, a ojcem był Cezar Borgia.

– Jak...?

– Książd na rozkaz Cezara dał nam ślub w fortecy. Zgodziłam się, żeby ratować brata. Cezar groził, że będzie go torturować i zabije, jeśli nie przystanę na małżeństwo. Nie wiem, czemu tak bardzo mu zależało poślubić mnie bez miłości. Bóg widzi wszystko... Zna serce każdego człowieka. Cezar miał wzrok szaleńca.

Nie było sensu rozpaczać. Leonardo zapewnił Abigail, że może iść wolno, kiedy tylko zechce, ale prosił, by została, aż zupełnie wyzdrowieje. Nie była więziona; nawet zaofiarował dziewczynce swój powóz. Początkowo miała wielkie wątpliwości, ale teraz ufała już temu człowiekowi; wielkiemu artyście, przyjacielowi Botticellego – wielkiego mistrza tajnego zakonu, który chciał jej strzec. I jeszcze coś...

– Signore Leonardo, nie wiem, czy jestem przy nadziei, ale wiem na pewno co innego i uważam, że powinnam to opowiedzieć. W pierwszej chwili, kiedy usłyszałam głos Sandra Botticellego w twoim domu, myślałam, że jesteś tu z nim. Nie rozumiem, co się dzieje. Kiedy zostałam uwięziona w fortecy Borgii, Botticelli, ten zdrajca, był tam także. Widziałam go raz, kiedy próbowałam uciec. Znam go dobrze od czasów dziecięcych, a przy tym mogłam dojrzeć jego twarz z wysokiego balkonu.

Botticelli – zdrajca?! Leonardo nie wierzył własnym uszom. To nie miało sensu. Czyżby więc Abigail kłamała? Niemożliwe. A jeśli mówiła prawdę, to jasne, dlaczego uciekła.

– Ale, ale... – Boski nie potrafił znaleźć słowa.

– Sądziłam, że ty mi to wyjaśnisz.

– Nie, ja nie... Jesteś pewna?! To niezwykle poważne oskarżenie. Abigail spojrzała na Leonarda wzrokiem, który wyrażał nieskończoną szczerą. Takie oczy nie były zdolne do kłamstwa; również jej głos nie brzmiał fałszywie.

– Jestem pewna.

Niezdolny pojąć labiryntu wydarzeń, w które został zamieszany, Leonardo zamierzał wezwać Botticellego. Sandro przybędzie do Vinci niczego nie podejrzewając i będzie można go wypytać. Przyjaźnili się od dawna, ale Leonardo zaczynał sądzić, że nie poznał go jednak do końca. Poprosił nawet zakonnika, by miał pod habitem przygotowaną szpadę w razie potrzeby. Teraz niczego nie mógł już być pewien.

Leonardo przywołał wspomnienie lat, w których jego przyjaźń z Botticellim była ściślejsza. Zagłębili wtedy tajniki sztuki w pracowni mistrza Verrocchia; planowali wspólnie otworzyć restaurację. Życie jest pełne niespodzianek... Życie jest po prostu niespodzianką. Czasem – zbyt często – niemiłą. Jak on mógł stać się zdrajcą i nikczemnikiem? Czy to możliwe? Miał być przecież głową organizacji przeciwnej niemoralności, opiekującej się dynastią Chrystusa! Wobec okrutnych przestępstw Cezara Borgii poprosił Leonarda o pomoc. Dlaczego? Dlaczego, jeśli nie po to, by rzeczywiście uwolnić swoich podopiecznych ze szpon niegodziwca? Tylko sam Botticelli mógł dać odpowiedź na wszystkie te pytania.

Sandro Botticelli przybył następnego dnia. Początkowo uwierzył, że wezwanie miało związek ze zdrowiem Abigail. Gdy jednak wszedł do domu przyjaciela, ujrzał dziewczynę, siedzącą w fotelu, wyglądającą bardzo zdrowo. Może jeszcze były ślady bólu na jej twarzy, ale znacznie mniejsze niż w dniu, gdy ją uwalniali z fortecy w Cesenatico.



- Cieszę się, że cię widzę w lepszym... – zaczął, zbliżając się do niej z prawdziwą radością.
- Stój! – krzyknął surowo brat Giacomo.

Botticelli cofnął się, jak mu kazano, ale z miną tak zafrasowaną, że Leonardo był już zupełnie zdezorientowany. Nie potrafił tego pojąć. Musiał przeoczyć jakąś zasadniczą sprawę, bez której nie dało się rozwiązać łamigłówek.

- Co się stało? – spytał Botticelli zaniepokojony. On też chyba nic nie zrozumiał.

Leonardo postanowił mówić bez ogródek:

- Powiedz służącemu, żeby poczekał na zewnątrz.
- To nie mój służący, to...
- Zrób to, Sandro.

Botticelli posłuchał. Towarzyszący mu chłopak był jednym z jego najlepszych uczniów, a przy tym członkiem zakonu. Mógłby słuchać wszystkiego, co tu się działo. Gdy zostali sami, Leonardo mówił dalej:

– Sandro, proszę mnie, bym ci pomógł uratować tę dziewczynę i jej brata. Swój cel osiągnąłeś połowicznie. On zmarł, ale ona jest tu z nami, poza władzą Borgii. Przynajmniej w tej chwili... Przekonałeś mnie. Podałeś wystarczające powody. Przeczytałem dokumenty, które otworzyły mi oczy. Teraz wierzę w szlachetną misję twego zakonu. Ale wobec tego, co robiłeś w fortecy Cezara Borgii, Sandro, przyjacielu?

Mowa Leonarda zaczęła się surowo, ale pod koniec brzmiała niemal jak żalostny lament. Botticelli był przerażony, ale nie próbował kłamać. W końcu powinien zachować się jak mężczyzna.

– To nie tak, jak myślisz. Nie. Byłem słaby, Leonardo, już ci to mówiłem. Powiedziałem Borgii o dynastii Chrystusa. Szantażowałem mnie. Bałem się. Nie odważyłem się wyznać ci wszystkiego. Zanim cię wezwałem, byłem, tak, pamiętam to, w Cesenatico. Z Borgią. Jakże tego żałuję! Próbowałem zawrzeć z nim umowę. Roześmiał mi się w twarz. Potem zaczął mnie obrażać. W końcu mnie uderzył. Nigdy dotąd nie doświadczyłem czyjejs pogardy w takim stopniu. Sprawił, że niemal zniechęciłem sam siebie, gdyż wiele z tych rzeczy, które mi zarzucał, było prawdą. Dlatego serce mi pękało z bólu. Zdradziłem to, co najświętsze, czemu przysięgałem lojalność. Musiałem odkupić winy. Dlatego posłałem po ciebie, Leonardo. Powtarzam:

jestem przeklętym tchórzem i słabeuszem. Wtedy uznałem, że śmierć może już nadejść. Teraz na niczym mi nie zależy. Noszę ampułkę z trucizną na wypadek, gdyby Cezar mnie schwytał i postanowił torturować. Nie zniósłbym tego. Wydobył z zanadru maleńką szklaną amforę i wyciągnął korek. – Nie jestem godny, by żyć. Już nie...

Gwałtownym uderzeniem ręki brat Giacomo zdołał wytrącić ampułkę z dłoni Botticellego, kiedy ten próbował wypić zawartość. Cierpienie Botticellego osiągnęło kulminację. Nie mógł już dłużej znosić życia i wyrzutów sumienia.

W tym momencie Abigail wstała z fotela. W milczeniu wpatrywała się w Botticellego, który padł na ziemię, pogrążony w goryczy. Położyła mu rękę na głowie i rzekła:

– Wiem, że nie kłamiesz. Mówią mi to twoje szczere łzy. Proś Pana o wybaczenie, bo ja już ci wybaczyłam. Nie to ważne, coś zrobił, ale to, co zrobisz teraz. Nikt nie zasługuje na potępienie, póki tli się w nim ostatnie tchnienie życia.

29.

Gisors, 2004

Rozmowa z panem Dumergiem nie mogła być przyjemna. Catalina zorientowała się od razu, gdy go zobaczyła. Urzędnik miałby twarz przeciętną, nieciekawą, gdyby nie malująca się na niej złośliwość. Z chwilą gdy usiedli, Dumergue zaczął irytująco zacierać dłonie

i przerywał tylko po to, by krótkimi palcami przeczesać sobie włosy, co było równie niemiłym gestem.

– Spóźniła się pani o dziewięć minut – stwierdził na przywitaniu. Sprawdził czas na zegarku, pchany instynktem urzędnika, wielbiciela ścisłego podziału godzin i obowiązków.

– Bardzo mi przykro. Byłam pochłonięta pewną sprawą. Proszę wybaczyć.

Usłużne przeprosiny Cataliny ułagodziły Dumergue’a zgodnie z intencją. „Mówić każdemu to, co chce usłyszeć”, to jedna z głównych reguł, których należy przestrzegać, prowadząc dociekania dziennikarskie. I w ogromnej większości przypadków ta zasada okazuje się niezawodna.

– Proszę mi powiedzieć, panno...?

– Penant, Catalina Penant.

Penant? Jak Claude Penant? – zapytał Dumergue znacząco. Dokładnie tak. Jestem jego wnuczką.

– Proszę, proszę. Witamy w Gisors. – Te uprzejme słowa zabrzmiały ostro, nawet gniewnie. Powiedziano mi, że życzy sobie pani porozmawiać na temat Rogera Lhomoya. Ale cóż ja mógłbym powiedzieć o tym człowieku wnuczce Claude’a Penanta? Czy dziadek nie przekazał pani o nim dosyć informacji?

– Mój dziadek znał Lhomoya?

– Oczywiście. Całe miasteczko go znało... Ale on i pani dziadek pozostawali, powiedzmy, w szczególnie bliskich stosunkach podczas okupacji niemieckiej – dodał Dumergue niedbale, ale wyczuwało się za tym ukrytą chęć sprawienia przykrości.

– O czym pan mówi?

– Och, nie wie pani?!

– Miałam sześć lat, kiedy dziadek zmarł, od urodzenia mieszkam w Hiszpanii, więc, jak pan zapewne może sobie wyobrazić, nie miał okazji opowiedzieć mi wiele – rzuciła Catalina i zaraz ugryzła się w język. Rób tak, jak zawsze, mówiła sobie w duchu. Mów każdemu to, co chce usłyszeć. Ten sybilliński i równocześnie kpiący ton urzędnika strasznie działał jej na nerwy.

– Jasne. Gdzież ja mam głowę! Pani była jeszcze malutka, kiedy poczciwy Claude nas opuścił. W końcu może to i dobrze, że się prawie nie znaliście. Bo są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć.

– Na przykład?

– Naprawdę chciałaby pani to usłyszeć? Proszę pamiętać, że nie ma odwrotu. Nie da się zapomnieć tego, o czym się już wie.

Cała ta uprzejmość, to zakłopotanie – były fałszywe. Catalina wyczuła w głosie urzędnika napięcie. Najwyraźniej miał ochotę o wszystkim jej opowiedzieć.

– Oczywiście, że chcę – odparła.

Catalina mogłaby przysiąc, że Dumergue odetchnął z ulgą. Potem opowiedział jej coś, czego się zupełnie nie spodziewała. Według niego, dziadek przybył do Gisors pierwszy raz na początku 1944 roku. Nikt w miasteczku nie wiedział, czym się zajmuje ani co zamierza tu robić, chociaż natychmiast pojawiły się podejrzenia, że Claude Penant jest wpłątany w jakieś ciemne sprawy. Pierwszy zauważył to dziadek Dumergue’a. Tak przynajmniej z dumą twierdził urzędnik. Dopiero potem reszcie mieszkańców też otworzyły się oczy.

Penant zamieszkał w chateau przy drodze do Rouen, tam, gdzie teraz przebywała Catalina. Zapłacił całą sumę za dom właścicielowi, który stracił niemal wszystko podczas okupacji („Nie płacę panu we frankach, ale w niemieckich markach, rozumie pan, co mówię?”). Dziadek Dumergue’a któregoś dnia po kryjomu podszedł pod okno chateau. Zobaczył na podłodze pełno skrzyń, a w nich srebrne nakrycia stołowe i kandelabry, elegancką porcelaną stołową, chińskie wazy warte fortunę, rozmaite drobiazgi z porcelany, obrazy, trofea myśliwskie, lśniące kryształowe pajaki. Widział też luksusowe, bardzo kosztowne meble,

których żaden patriota nie byłby w stanie sobie kupić w tamtych czasach. To nasunęło mu wiele podejrzeń. („Bystry stary!”).

Przez cały dzień ciężarówka przywoziły tam rozmaite rzeczy. A kiedy już przestały przyjeżdżać, zaczęło się rozstawianie wszystkiego. Zajmowało się tym pięciu ludzi z miasteczka, zatrudnionych przez Penanta. Choć młodzi i silni, co noc wracali zmordowani całym dniem taszczenia mebli i rozmaitych przedmiotów. Kiedy to się skończyło, Penant wynajął kilka młodych dziewczyn z miasteczka do sprzątania, które wracały z pracy równie zmęczone, jak mężczyźni.

Chateau było gotowe dopiero w tydzień po przybyciu Penanta. Wtedy odbyła się wielka inauguracja. Już nazajutrz mówiono, że było to najbardziej okazałe otwarcie: całe chateau tonęło w świetle, eleganckie samochody zaproszonych gości zapełniły drogę dojazdową aż do wejścia, podawano największe pyszności, z których wiele sprowadzono aż z Paryża, podczas gdy w tamtych czasach Francja ledwie egzystowała i wszystko było na kartki. Całe miasteczko mówiło o wielkim przyjęciu u Claude’a Penanta, ale zaproszono wyłącznie niemieckich oficerów. Nawet mer nie mógł tam wejść. („Czy może pani sobie wyobrazić większą obelgę? To wyjaśniało wszystko mojemu dziadkowi: Claude Penant był kolaborantem”). Ale to jeszcze nie wszystko. Dziadek Cataliny puszył się w miasteczku jak paw, dając sobie czyścić eleganckie buty, naprawiając złotą lornetkę i brylantową szpilkę do krawata, tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę i pokazać, że ma więcej pieniędzy, niż może wydać przez całe marnotrawne życie. Penant wykorzystywał każdą okazję, by schlebiać nazistom. Pozdrowiał ich ceremonialnie, kiedy spotkał kogoś na ulicy, przysiadał się do ich stolików w kawiarniach i płacił jedną kolejkę za drugą z własnej kieszeni.

Nikt się więc nie dziwił, kiedy „profesor”, jak go nazywano w miasteczku, rozpoczął prace na podwórzu zamkowym. I tak nawiązał kontakt z Lhomoyem i jego przyjacielem Lessenne’em, których wziął sobie jako pomocników. („Cóż im pozostawało, musieli się zgodzić na tę pracę”). Całe dni kopali na podwórzu zamkowym, w miejscach wskazanych przez Penanta. Potem zaczęli pracować nocą, od zachodu słońca do świtu, bo w dzień było za gorąco. Po którejś takiej nocy, dokładnie tego dnia, kiedy nastąpił desant w Normandii, Claude Penant zniknął równie nagle, jak się pojawił. Chociaż przedtem wysadził w powietrze połowę podwórca na zamku. („I to mnie nie dziwi, naprawdę. Z pewnością chciał zatrzeć ślady i ukryć, czego szukał tam dla Niemców. Zorientował się, że tym razem sprawa jest poważna i że niebawem alianci wejdą do Gisors. A wtedy on skończy w więzieniu jako kolaborant. I tak miał szczęście, że wcześniej nie dosięgnęli go ludzie z ruchu oporu”).

Dumergue skończył swoją relację tym zdaniem, pełnym złych życzeń. Przez cały czas, gdy mówił, Catalina nie wtrąciła ani słowa. Nie dlatego, by nie miała pytań – przeciwnie, było ich aż za dużo. Czy istotnie dziadek współpracował z Niemcami? Czy nic innego niż kolaboracja nie tłumaczyło jego zachowania? Na razie jednak postanowiła pominąć te kwestie.

– Czego mój dziadek szukał na zamku w Gisors? – spytała w końcu.

– A co to ma za znaczenie, na miłość boską?

– Dla mnie ma... Chciałabym też wiedzieć, dlaczego merostwo kilkakrotnie zabraniało zbadania podziemnej kaplicy, odkrytej przez Rogera Lhomoya.

Mimo niespodziewanych wiadomości na temat dziadka, Catalina nie zapomniała o celu swojej wizyty.

– Tajemnicza kaplica jest tylko wymysłem ogrodnika, który koniecznie chciał stać się sławny. Mieliśmy przez niego mnóstwo przykrości. A do dziś nie możemy uporać się z najazdem bezmyślnych wandalów. Wie pani, że włązą do zamku w nocy i kopią bez przerwy tunele, szukając skarbu templariuszy? Nieszczęśni pomyleńcy! – wykrzyknął urzędnik ze złością. – W gruncie rzeczy są niczemu niewinni, ale strasznie męczący. Przez nich jedna z wież się przekrzywiła i trzeba ją było remontować aż do fundamentów. Nie ma żadnej przeklętej podziemnej kaplicy. Nigdy nie było.

– Skąd ta pewność, skoro nikt z was nie pofatygował się sprawdzić wersji Lhomoya, mimo że upłynęło prawie sześćdziesiąt lat?

Dumergue miał już dość udzielania wyjaśnień zachowania merostwa w Gisors w stosunku do Rogera Lhomoya i kaplicy Świętej Katarzyny. Kilka godzin temu kolega powiedział mu, że jakaś Catalina Penant chce z kimś rozmawiać o Lhomoyu. W innych okolicznościach Dumergue po prostu odmówiłby spotkania albo szybko spławiłby ją kilkoma pustymi frazesami, którymi już tyle razy się posługiwał. Albo poprosiłby recepcjonistę, żeby wyrzucił tę osobę na zbity pysk. Ale tym razem nie zrobił nic takiego. Nazwisko Penant w Gisors było bardzo znane, chociaż z nie najlepszej strony. W takich miasteczkach o niczym się nie zapomina, a tym mniej o afrontach. A może był to tylko zbieg okoliczności – iluż Penantów może żyć w całej Francji? – ale co miał do stracenia? Z przyjemnością odkrył, że Catalina była wnuczką Claude'a Penanta, i niemal podskoczył z radości, kiedy zorientował się, że dziewczyna zupełnie nie zna przeszłości dziadka w Gisors. Podobne okazje rzadko trafiają się w pracy, na ogół dość monotonnej. Zapowiadała się więc niezła rozrywka. Licząc, że nastraszy Catalinę, Dumergue opowiedział wszystkie szczegóły o kolaboracji jej dziadka, co, o ile wiedział, było całkowitą prawdą. No, przy okazji dorzucił trochę od siebie, ot tak, by zwiększyć wrażenie i dodać opowiadaniu trochę dramatyzmu. W pierwszej chwili był pewien, że osiągnął zamierzony efekt. Ale ta baba, wredna wnuczka kolaboranckiej świni, szybko się otrząsnęła i teraz jeszcze odważała mu się stawiać. Jemu! Tego było już za wiele!

– Proszę wyjść! – wrzasnął Dumergue, kiedy pojął swoją klęskę. - I niech pani nie waży się tu wracać!

Kiedy Catalina wyszła, Dumergue zerwał się i zatrzaskał z wściekłością drzwi, które zostawiła za sobą otwarte.

Catalina musiała porozmawiać z Albertem. Sądziła, że on mógłby jej powiedzieć, czy dziadek kolaborował z Niemcami, czy nie. W jej głowie pojawiały się obrazy obozów zagłady, w których likwidowano miliony bezbronnych ludzi. Ciężko było dopuścić do siebie myśl, że dziadek mógł mieć jakieś powiązania ze zbrodniarzami, czy też, że szukał czegoś dla nazistów w zamku w Gisors. Być może były to tylko przypuszczenia, ale często w takich historiach tkwi ziarno prawdy.

Po przybyciu do chateau Catalina nie znalazła Alberta ani w domu, ani w ogrodzie. Miała cień nadziei, kiedy zadzwoniła na jego nowy numer komórkowy i usłyszała gdzieś daleko dźwięk sygnału. Ale po chwili zorientowała się, że Albert nie zabrał ze sobą telefonu.

Wtedy postanowiła zatelefonować do ciotki. W rodzinie nigdy nie mówiono o tym drugim obliczu Claude'a narwańca. Może nie wiedzieli, że w ogóle istniało, a być może woleli trzymać w tajemnicy tak haniebną sprawę. „Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć”, powiedział obrzydliwy urzędnik. W końcu, po krótkim namyśle, Catalina zdecydowała nie dzwonić do ciotki. Bo jak zareagować, jeśli ona nie miała pojęcia o niewątpliwej kolaboracji dziadka Claude'a. Jedyne wyjście było poczekać, aż Albert wróci... jeżeli wróci.

30.

Neapol, 1503

Początek końca był już daleko za nim. Teraz zbliżał się ostateczny koniec. Cezar Borgia zdał sobie z tego sprawę, kiedy utracił tę dwójkę młodych, którzy mogli stać się jego nowym triumfem. Już przedtem był bliski upadku. Teraz nie miał żadnego pola manewru. W dniu Wszystkich Świętych Giuliano delia Rovere został wybrany papieżem, nazwany Juliuszem II, i natychmiast odebrał Cezarowi Borgii wszystkie przywileje oraz godności. Pozbawił go także posiadłości; pozwolono mu tylko na schronienie w Neapolu, dokąd też Borgia udał się jak najszybciej. Nie była to jednak ostatnia łaska papieska, ale kolejna okrutna gra –

i zemsta. Neapol był dominium hiszpańskim. Cezara aresztowano tam na rozkaz Gonzala Fernandez de Cordoby, zwanego Wielkim Kapitanem, po czym przewieziono więźnia do Hiszpanii, zgodnie z życzeniem króla Ferdynanda Katolickiego; człowieka, który w rzeczywistości nie miał wiele wspólnego z katolikami.

Gwiazda Borgii gasła. Oczywiście, miała jeszcze płonąć przez pewien czas, jak lampka oliwna, która zanim zgaśnie na zawsze, rozpała się na chwilę jaśniejszym płomieniem.

Jego przeznaczenie obwieścił mu wiemy sługa delia Roverego, Wilhelm de Groth. Robiąc sobie zabawę z okrucieństwa wobec tak znanego okrutnika, jak Cezar Borgia, spotkał się z nim, by oznajmić, że wszystko już skończone. Nie wyraził tego słowami, ale za pomocą piaskowej klepsydry. Pokazał ją Borgii i obrócił z pozycji leżącej do stojącej. Po kilku chwilach piasek z górnej części zniknął, a dolna się wypełniła. Był to symbol losu, jaki od tej chwili czekał Cezara.

Ohydny pomysł z klepsydrą zrodził się w głowie nowego papieża. Chciał zademonstrować swoją siłę, a ponadto pogardę. Groth dobrze wykonał jego życzenie. Chociaż w ostatnim ataku szału Cezar o mało go nie zabił. Wydarł mu z rąk klepsydrę – wspaniałe dzieło sztuki jubilerskiej z pozłacanego srebra i polerowanego szkła, i walnął nią o ścianę, choć w pierwszym odruchu chciał rozbić nią czaszkę wrednego Niemca, który w dodatku zranił go do żywego obraźliwym zdaniem: „Urodzić się we Włoszech to grzech pierworodny ludzkości”. Ale Borgia nakazał sobie umiar. Nie był przecież szalony. Musi zorganizować ludzi i szukać sposobu przeżycia. Ostatni strzał, na jaki liczył, znikł gdzieś za horyzontem. Pokolenie Chrystusa wymknęło się Cezarowi z rąk. I już nie zdoła go odzyskać.

Giuliano delia Rovere nigdy się nie dowiedział, kim byli młodzi ludzie porwani przez Cezara i przetrzymywani w fortecy nad Adriatykiem. Trudno, najważniejsze, że jego znieawidzony wróg nurzał się w błocie. Na niczym więcej teraz mu nie zależało.

31.

Vinci, 1503

Wiadomość o uwięzieniu Cezara Borgii była ulgą dla Leonarda, przede wszystkim zaś dla Botticellego. Po prawdzie dla wszystkich. Największy wróg świętej dynastii stracił swoją moc. Groźnego lwa zamknięto w klatce, z której z pewnością już nie wyjdzie.

Leonardo służył Borgii w okresie, kiedy ten znajdował się u szczytu potęgi. Był to człowiek bezlitosny, ale inteligentny. Gdyby nie zżerała go ambicja, z pewnością zostałby wielkim człowiekiem. Prawdziwie wielkim. Jak ci, u których wielkoduszość idzie w parze z siłą.

Leonardo wspominał teraz wieczory spędzone w towarzystwie Cezara, zanim jeszcze na horyzoncie ukazały się pierwsze zwiastuny klęski. Przypomnił sobie jego słowa, kiedy po raz drugi wygrał z Leonardem w grze, w której obaj byli doskonali. Polegała ona na chwytaniu kamyków i ukrywaniu ich w zaciśniętej pięści. Każdy z graczy musiał powiedzieć, ile kamieni razem, według niego, mieli w rękach on i przeciwnik. Niemal zawsze wygrywał Borgia, czy to na początku, czy pod koniec gry. Pewnego dnia powiedział do Leonarda: „W tej grze liczy się nie inteligencja, ale intuicja. Ja znam twoje myśli, mistrzu, ale ty nie znasz moich. Dlatego wygrywam”.

Cezar Borgia był zatem wielce przenikliwy, tylko pycha ograniczała jego intelekt. Z łatwością przenikał dusze innych ludzi. Przebywanie z nim budziło lęk, a równocześnie fascynowało. Niestety – co smutne – niegodziwcy są zwykle atrakcyjniejsi niż poczciwi osobnicy, bardziej inspirują artystów i poruszają serca. Szkoda, że tak wartościowi ludzie się marnują być może częściowo z winy bezwzględności panującej w epoce, w której wypadło im żyć.

Co do Abigail, nie ulegało już wątpliwości: nosiła w łonie dziecko. Leonardo sądził, że ta wiadomość sprawi jej przykrość, ale nie. Dziewczyna godnie poddała się losowi. Pochodzenie dziecka nie smuciło Abigail. Ważne było jedynie, że jest jej. Ponad pięćdziesięcioletni Leonardo wiele się nauczył od tej kilkunastoletniej dziewczyny.

Wydawało się, że sprawy powoli się zaczynają układać. Zagrożenie ustępowało, jak chmury po burzy. Ale nad głową jedynej już potomkini świętego pokolenia zawisł nowy problem. Botticelli oznajmił, że wkrótce zbierze się Rada Zakonu. Dwunastu przywódców oraz wielki mistrz, czyli Botticelli, musieli podjąć wiele decyzji dotyczących dalszej ochrony dynastii. W spotkaniu przywódców mieli wziąć udział także Abigail i sam Leonardo.

Miejsce narady postanowiono ustalić w ostatnim momencie. Botticelli uważał, że te zabezpieczenia nie mają już sensu, ale Leonardo przekonał go, że lepiej zachować ostrożność. Borgia nie był przecież jedyną istotą na świecie, która mogła zagrażać dynastii. Należało pamiętać o samym papieżu. Juliusz II, bardziej wojownik niż duszpasterz oddany modlitwom, człowiek żądny władzy, z pewnością nie chciałby zostać poddanym potomka Chrystusa na tej ziemi. A zatem wszystko miało być przeprowadzone tak, jak zwykle: w tajemnicy.

32.

Północne Włochy, 1503

Zbliżało się Boże Narodzenie. W powietrzu czuło się chłód. Drzewa niemal całkiem straciły liście, a rankami nie słychać już było ptasich świergotów. Zbliżał się czas zimowego snu przyrody, pokrzepiającego odpoczynku, którego potrzebuje każde stworzenie, by wiosną zbudzić się z nową energią. Właśnie w jednym z tych dni odbyło się zebranie Rady Zakonu, jego najwyższej władzy, która miała postanowić o przyszłości całej organizacji.

Leonardo, Sandro Botticelli i Abigail wyjechali z Florencji zamkniętym powozem w nieznanym im kierunku. Mimo to Leonardo wiedział, kiedy dotarli na miejsce, że znajdują się w pobliżu Pizy, ale nie w samym mieście, bo wokół nie było ludzi. Poza tym promienie słońca wpadające do powozu podpowiadały Leonardowi kierunek. Jako człowiek znający się na nawigacji, doskonale zdawał sobie sprawę, że objeżdżali miasto w kółko, by cel podróży wydał się odleglejszy i bardziej tajemniczy.

Członkowie zakonu doskonale znali miejsca, gdzie mogłoby się odbyć zebranie. Nie orientowali się jednak, który dom wybrano tym razem. To gwarantowało bezpieczeństwo. Wyboru, na rozkaz mistrza, dokonał jeden ze wskazanych przywódców.

Wielka okrągła sala była ukryta pod powierzchnią ziemi. Schodziło się do niej przez otwór w podłodze samotnego domu, otoczonego wysokim ogrodzeniem. Powozy członków zakonu stały w ogrodzie, niewidoczne dla przechodniów. Na dole oliwne lampy i dziesiątki świec oświetlały pomieszczenie. Przy ścianach, w półokręgu ustawiono trzynaście siedzeń. Jedno z nich, z najwyższym oparciem, zajął Sandro Botticelli. Po obu jego stronach zasiedli, na krzesłach z oparciami również nieco wyższymi od pozostałych, dwaj ludzie, którzy wraz z wielkim mistrzem znali wszystkie tajemnice zakonu. Pozostałe miejsca przeznaczone były dla dziewięciu członków, spośród których zwykle wybierano nowego wielkiego mistrza, następującego po śmierci poprzedniego, czasem wtedy, gdy stary nie domagał już fizycznie lub umysłowo, albo dopuścił się niegodnego czynu; były to jedyne przyczyny pozbawienia mistrza jego wysokiego stanowiska. Zgromadzeni tam ludzie natchnieni do dyskusji i głosowań czerpali jedynie z wiary w Boga. Byli jak konklawe kardynałów, ale bez porównania bardziej czysti, gdyż ich – w przeciwieństwie do wysokich dostojników kościelnych – nie pociągały ziemskie rozkosze, przywileje czy bogactwa. Nie, oni służyli zakonowi z czystym sercem. Pewnie, że ludzki charakter jest słaby, ale pragnienie osiągnięcia czystości już jest formą czystości.

Siedząc na surowej drewnianej ławce za trzynastoma rycerzami, Leonardo i młoda Abigail przypatrywali się rytuałowi otwarcia. Był niezwykle prosty. Mężczyźni, przystrojeni w białe tuniki, zajmowali miejsca przed swoimi siedzeniami. Potem, na prośbę wielkiego mistrza, przez krótką chwilę pogrążali się w zadumie, a następnie siadali. Botticelli zwracał się do nich „bracia”. Wyjaśnił, co się wydarzyło. Nie pominął żadnego szczegółu. Opowiedział, jak ze strachu posłuchał szantażującego go Borgii, jak mu służył. Mówił o swojej zdradzie, o uwięzieniu rodzeństwa ze świętej dynastii, śmierci Jerôme’a, uwolnieniu Abigail, o jej ciąży... Pozostali słuchali w milczeniu. Raz tylko – kiedy Botticelli wspomniał o stanie dziewczyny i wymienił imię ojca przyszłego dziecka, szmer oburzenia rozszedł się po sali. Nawet płomyki świec wydawały się zdrętwiałe ze zgrozy. Po wystąpieniu Botticellego zabrał głos jeden z braci. Siedział po prawej ręce wielkiego mistrza. Leonardo nie wiedział, kto to jest – jak zresztą nie znał pozostałych jedenastu członków.

– Bracia, sytuacja jest poważniejsza, niż mogliśmy się spodziewać. Nasz zakon zawsze był, z Bożą pomocą, silny jak skała. Ale nawet najtwardsza skała rozpada się pod uderzeniami fal morskich. Dzisiaj przeżywamy najbardziej ponure dni. Utraciliśmy potomka Jezusa na ziemi; pozostała nam jedynie potomkini. Połowa kielicha stracona. A honor drugiej połowy jest splamiony. Uważam, że Abigail powinna urodzić to dziecko i, kiedy tylko będzie je można oddzielić od matki, niech zostanie zamknięte w klasztornej sierocińcu i przebywa pod opieką zakonnic. I zapomnimy o nim na zawsze, gdyż nie jest godne należeć do dynastii Naszego Pana.

Leonardo nie wierzył własnym uszom. Wyraz twarzy Abigail pozostał niewzruszony. Bracia zakonu unieśli prawe ręce. Tylko Botticelli ani drgnął.

– Widzę, że wszyscy z wyjątkiem naszego wielkiego mistrza – ciągnął ten sam mówca - jesteście jednego zdania. A zatem zdecydowane. Abigail urodzi dziecko, chłopca czy dziewczynkę, nieważne, a potem będzie tak, jakby ono nigdy nie istniało. Nie damy mu nawet imienia, żeby nigdy już o nim nie wspominać.

Botticelli ze zgnębionym wyrazem twarzy zwrócił wzrok na Leonarda, po czym spuścił oczy. Wydawało się, że bez słowa przyjął decyzję braci. Ale Leonardo nie mógł się z tym pogodzić. Wstał z ławki i głosem drżącym z emocji zawołał gwałtownie:

– Nie zrobicie tego! I wy nazywacie się sługami Bożymi? Uważacie, że Bóg pochwała waszą decyzję? Nie! Dziecko, które Abigail nosi, nie jest niczemu winne. A drogi Naszego Pana nie są nam znane. A jeśli taka jest Jego wola, by właśnie dziecko nikczemnika stało się potomkiem Jezusa, uosobienia dobroci? To może być lekcja, jak nikczemnik zyskuje odkupienie. Inaczej jaki sens miałoby nasze życie, ten świat, pobyt na nim, cierpienie...? Nie odbierzecie tego dziecka! Ja się nim zajmę. O, jakże się mylicie...!

Wszyscy patrzyli na Leonarda w skupieniu. Ten czekał, niemal płacząc, na słowa potępienia. Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana.

– Przeszedłeś próbę. I to nas niezmiernie raduje. Widzimy teraz, że jesteś prawy. I odważny. Wystąpiłeś przeciwko nam bez lęku. Broniłes tego, co uważasz za dobre. Godny jesteś, by zastąpić naszego wielkiego mistrza, Sandra Botticellego. Wybaczyliśmy mu, ale nie może już stać na czele zakonu. Abigail urodzi dziecko, a my będziemy je wielbić i czcić. Nie ma znaczenia, kim jest jego ojciec. Każdy odpowiada tylko za własne czyny. Podobnie jak ty. To nam wystarcza. Jesteś godzien nam przewodzić, bo twoją duszę oświeca Bóg.

33.

Gisors, 2004

Otwierana od dołu kłapa uderzyła głucho o podłogę. Powietrze natychmiast wypełniły drobiny kurzu, od których Catalina zaczęła kichać. Balkon domu dziadka był pogrążony

w półmroku, chociaż wieczór dopiero się zaczynał. Ciężki upał wisiał w powietrzu. Kryty dachówką dach nagrzewał powietrze na strychu lepiej niż piec. Catalina pootwieriała wszystkie okna, mimo to czuła, że ubranie przykleja jej się do ciała, pot występuje na czoło, ramiona i nogi, a strużka wody spływa po plecach.

Wydawało się, że intensywne gorąco lada moment wzniesie pożar, który strawi wszystkie graty na poddaszu: pudła, walizy, gazety i magazyny... Tak, również gazety i magazyny, dla których właśnie Catalina weszła na strych. Nikt nie trzyma czegoś takiego bez powodu. A może i tak... Ale wierzyła, że jej pierwsza myśl była prawdziwa.

Ułożyła papiery pośrodku poddasza w dwóch kupkach, składając je w takim samym porządku, w jakim leżały na półkach. Potem usadowiła się na zakurzonej podłodze przed stosami pism. Już po pobieżnym przejrzaniu stwierdziła, że owszem, istniał tu pewien porządek. Jedną grupę tworzyły przede wszystkim periodyki historyczne i archeologiczne; drugą – dzienniki. W każdej z tych grup gazety leżały według dat, od najstarszych do najnowszych.

Były to nie tylko pisma francuskie. Wiele periodyków wydano we Włoszech, w Niemczech, Hiszpanii, a nawet w Rosji. W sumie Catalina naliczyła około dwudziestu czasopism i pół tuzina gazet. Wszystkie miały poźótkle ze starości strony. Catalina najpierw zabrała się do dzienników. Nie zaczęła od pierwszego z nich, ale od najnowszego. Znajdował się na dnie kupki gazet.

Był to miejscowy dziennik z Gisors, datowany na piętnastego lutego 1944 roku. Brak późniejszych wydań gazet francuskich niestety kazał się domyślać, iż dziadek rzeczywiście był kolaborantem i musiał uciekać z Francji, zanim wkroczyły tam wojska alianckie.

Przerwała rozmyślenia i zwróciła uwagę na wielki tytuł z pierwszej strony: **WOJSKO NIEMIECKIE SILNIEJSZE NIŻ KIEDYKOLWIEK W STOLICY VEXIN**. Catalina podejrzewała, że chodziło o Gisors. Pod tytułem umieszczono zdjęcie pociągu wojskowego. W głębi można było rozpoznać twarze dwóch postaci, a na pierwszym planie głowę jakiegoś niemieckiego żołnierza, wychylającego się z wagonu. Na rogu widniała czarna plama, którą Catalina wzięła początkowo za kleks o dość regularnym okrągłym kształcie. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się odkryła, że to lufa armaty nastawiona wprost na autora fotografii.

Przejrzała dziennik od początku do końca, ale nie odkryła niczego, co by szczególnie wydało się interesujące. Mimo to odłożyła gazetę na bok, by potem przejrzeć ją raz jeszcze. Ten numer był najnowszy, a zatem musiał zawierać coś ważnego.

Catalinę zaskoczyła notatka w przedostatnim dzienniku. W zasadzie było to ogłoszenie o aukcji, która odbyła się w Paryżu, w sierpniu 1941 roku. Wystawione przedmioty należały do prywatnej kolekcji „pewnej znakomitej rodziny francuskiej o nieposzlakowanej reputacji”. Biorąc pod uwagę datę, Catalina wyobraziła sobie, że ta „nieposzlakowana reputacja” oznacza brak żydowskich przodków w rodzinie. A to dlatego, że dla wielu Francuzów sprzyjających rządowi w Vichy – i nie tylko – hitlerowska polityka czystości rasowej, wywyższająca Aryjczyków, nie była niczym złym, lecz dobrze widzianą i pożądaną praktyką. Ku zawstydzeniu wielkiej Francji i większości Francuzów, centrala gestapo w Paryżu codziennie otrzymywała listy, w których „przykładni obywatele” denuncjowali własnych sąsiadów i znajomych pochodzenia żydowskiego, co uważali za swoją obywatelską powinność.

W dzienniku wymieniano przedmioty aukcyjne: obrazy pędzla różnych malarzy, obszerna kolekcja angielskich znaczków pocztowych, której oddanie na aukcję musiało być chyba proniemieckim gestem patriotycznym owej francuskiej rodziny; rozmaite talie starych kart do gry, fortepian Steinway & Sons „w idealnym stanie” i... czy to możliwe?

– Proszę, proszę. A więc jesteś tu znowu, mój Leonardzie?

Jeden z zestawów wystawionych na aukcję zawierał Notatniki Leonarda da Vinci. Gazeta nie podawała, co to za notatniki, ale co za zbieg okoliczności, że da Vinci był też autorem



notatek stanowiących Codex Romanoff, którego kopię dziadek zostawił jej w spadku. Ale Catalina nie wierzyła w przypadki. Dla niej był to prawdopodobnie oryginał kopii kodeksu, należącego do jej dziadka. Oczywiście to nie dawało odpowiedzi na wiele pytań ani oczywiście na pytanie zasadnicze. Ale z chęcią uznała ten tekst za interesującą odpowiedź. Szybko przejrzała listę pozostałych przedmiotów wystawianych na aukcję, nie znalazła jednak nic szczególnego. Wzięła zatem kolejny dziennik, dużo wcześniejszy. Nosił datę dziewiątego marca 1935 i miał zakreśloną notatkę drugiej kategorii.

Pęknięcie rury wodnej w centrum Paryża doprowadziło do makabrycznego odkrycia. Wczoraj rano ludzie mieszkający w pobliżu placu de Chatelet, tuż przy starym moście Pont au Change, wychodząc z domów, moczyli nogi po kostki. Ulicę zalała woda z pękniętej rury wodociągowej. Według oświadczenia Pierre'a Coudela, szefa miejscowych strażaków, rura ta nigdy jeszcze nie była wymieniana, należało się zatem spodziewać, wcześniej czy później, że pęknie. Ale z pewnością nikt się nie spodziewał makabrycznego odkrycia techników z miejskiego przedsiębiorstwa wodociągowego przy rozkopywaniu nawierzchni celem wymienienia uszkodzonej rury. Kilofy robotników natrafiły niespodziewanie na pustą przestrzeń – piwnicę czy podziemną izbę. Pewien odważny strażak, nie zważając na ryzyko zarwania się powały w pomieszczeniu, ruszył w dół, mając ze sobą tylko latarnię. Za chwilę wyszedł na powierzchnię z pobladałą twarzą, jak to potwierdziło wielu świadków. Strażak, który nie chciał nam podać swego nazwiska, musiał udać się do pobliskiego szpitala, gdyż doznał szoku nerwowego. Zanim jednak się oddalił, złożył budzące dreszcz oświadczenie: otóż w tajemniczej podziemnej izbie pod placem du Chatelet znajdowały się dziesiątki szkieletów ludzkich. Ułożenie szkieletów wskazywało, że ciała ludzi były powykręcane, co z kolei sugerowało jakiś straszny rodzaj śmierci. Według oświadczenia tegoż strażaka, owe osoby zostały prawdopodobnie zamurowane w piwnicy, gdyż nie było z niej żadnego innego wyjścia poza tym obecnie wykopanym. Wobec tych zaskakujących relacji i po naprawieniu pękniętej rury teren ogrodzono i wezwano biegłych urzędników municypalnych, którzy teraz będą dochodzić, do kogo należały szkielety i dlaczego ich właściciele zostali tak okrutnie zamordowani. Po dokonaniu pierwszych oględzin, odpowiedzialny za dochodzenie po powrocie na powierzchnię podał naszemu piśmie kolejny makabryczny szczegół tego niezwykłego odkrycia: „Na niektórych kościach znaleźliśmy niepokojące ślady, chociaż jest jeszcze za wcześnie wyciągać z tego wnioski”. Czy te ślady to dowody kanibalizmu? Prawdopodobnie, choć w tej chwili możemy jedynie spekulować... Z drugiej strony, niezależnie od niezwykłych okoliczności tego konkretnego przypadku, pęknięcie rury wodociągowej jest jeszcze jednym przykładem niedbalstwa władz miejskich i bezpośrednim rezultatem ciągłych ograniczeń budżetowych, wprowadzanych przez władze kosztem podstawowych usług, które...

Catalina nie czytała dalej. Jasne, że część tego artykułu przykuła uwagę dziadka. Przerazająca historia. Dreszcz przenikał już na samą myśl o ludziach żywcem pogrzebanych w podziemnej izbie – mężczyznach, kobietach, dzieciach, pogrążonych w całkowitych ciemnościach, bez jedzenia i picia, tak zdesperowanych, że posunęli się do kanibalizmu... Ale co szczególnie mogło zainteresować dziadka w tej ponurej relacji?

Czwarta gazeta nie rozwiązała ani tej, ani żadnej innej wątpliwości, gdyż była niemiecka. Jedyne, co Catalina zdołała wydedukować, to że gazeta pochodziła z 1928 roku, a podkreślony artykuł dotyczył Ermitażu w Sankt Petersburgu: Das Hermitage Museum, St. Petersburg, Russland. Reszta pozostawała galimatiasem słów nie do rozszyfrowania. Catalina odłożyła zatem tę gazetę na bok, na pierwszą, którą przeglądała.

Na szczęście piąta i ostatnia gazeta była znów francuska. Z datą siódmego listopada 1926 roku, zaznaczony tekst dotyczył małej miejscowości na wschodnim wybrzeżu włoskim, o nazwie Cesenatico, usytuowanej na północ od republiki San Marino. Artykuł,

rozpoczynający się nudnym opisem turystycznym, robił się interesujący, kiedy zaczął nawiązywać do związków tej miejscowości z Cezarem Borgia i Leonardem da Vinci, który przez pewien czas tam właśnie pracował jako inżynier wojskowy. Dziadek Claudie musiał mieć bzika na punkcie tego florenckiego geniusza; ponadto wykazywał jeszcze jedną, bardziej kłopotliwą obsesję, gdyż już po raz drugi zainteresował się szczątkami ludzkimi odkrytymi w niezwykłych okolicznościach. Tym razem chodziło tylko o jedno ciało, należące do mężczyzny, znalezione w grocie pod kanałem. Ciało topielca zachowało się w niemal idealnym stanie, bo błoto i muł oblepiły je całkowicie i utworzyły warstwę ochronną, powstrzymując proces rozkładu. Nawet ubranie było dobrze zachowane. Badając te i inne elementy, znalezione przy ciele – przede wszystkim monetę, wenecki dukat – eksperci zdołali z wielką dokładnością datować epokę, w której ten człowiek zmarł: był to rok 1503.

Dalszy ciąg notatki znajdował się na innej stronie. Catalina odwróciła kartkę, by doczytać do końca, i aż ją zatkało. Widniało tam zdjęcie topielca, rzeczywiście niemal nietkniętego. Ale nie to było najbardziej zaskakujące. Okazało się, że mężczyzna miał na sobie, bez wątpienia, strój nurka. Oczywiście, bardzo prymitywny, ale jednak. Z hełmem łączącym się ze skafandrem i nawet ze skórzanym pojemnikiem, z którego wystawała rura. Catalina stwierdziła, że te ostatnie dwa elementy były najbardziej podobne – jeśli można by je znaleźć w okresie odrodzenia do butli tlenowej.

Niewiarygodne!

Tego samego określenia użył autor artykułu. Szczegółowo opisywał każdą część stroju i jej działanie, potwierdzając przypuszczenie Cataliny, że skórzany worek musiał być wypełniony powietrzem, tak by człowiek mógł oddychać pod wodą. Według artykułu eksperci nie zdołali rozpoznać tożsamości „zabalsamowanego” mężczyzny. Mimo to podejrzewali, że ów „protonurek” brał udział w jakimś eksperymencie. Być może Borgia próbował ocenić praktyczną wartość stroju do poruszania się pod wodą, by potem użyć go do celów wojennych.

Natomiast rzeczą stwierdzoną, a nie podejrzeniem, była tożsamość wynalazcy stroju, tak niesłychanego jak na owe czasy: oczywiście chodziło o Leonarda da Vinci. W jego notatkach znaleziono rysunki i szkice bardzo podobnych ubiorów. Wobec tak niepodważalnych dowodów ocena ekspertów była jednomyślna.

Fascynujący artykuł kończył się informacjami na temat służby Leonarda da Vinci u Cezara Borgii. Mówił też o upadku tego ostatniego po okropnej śmierci jego ojca, papieża Aleksandra. Te ciekawostki niewątpliwie zainteresowałyby Catalinę, ale w porównaniu z tajemniczym nurkiem wydawały się banalne.

Nie było już gazet do przeglądania, więc zajęła się czasopismami. Niebawem dała jednak spokój. Po przejrzeniu tuzina nie znalazła w nich nic, co pomogłoby w odtwarzaniu faktów z życia dziadka. Publikacje dotyczyły tematów historycznych i archeologicznych.

Catalinę zaczęła boleć głowa, częściowo z powodu dusznego gorąca, panującego na strychu oraz pod wpływem natłoku tych wszystkich tajemnic. Była uparta i niełatwo rezygnowała, ale teraz zaczynała już popadać w desperację. Nie miała najmniejszego pojęcia, co łączyło ze sobą te podkreślone notatki. A przecież musiało coś być! Z braku miejsca do pisania Catalina w myśli wyliczyła sobie punkty z Listy prawd absolutnych, choć po chwili uznała, że to raczej Lista przypuszczeń absolutnych: przypuśćmy, że dziadek od dwudziestu lat pozostawał przy zdrowych zmysłach; przypuśćmy, że od wczesnej młodości czegoś szukał; przypuśćmy, że gazety były jednym ze sposobów tych poszukiwań; przypuśćmy, że ścieżki, jakie odnalazł, zawiodły go do Gisors i do tego zamku... Robiąc takie założenia, trzeba by mieć nic, która łączyłaby to miasteczko z koszmarną śmiercią ludzi zakopanych żywcem w Paryżu, a także z Ermitażem, z ciałem znalezionym w Cesenatico w niezwykłym stroju nurka. No i oczywiście – z Leonardem da Vinci.

Nawet zakładając, że te przypuszczenia są prawdziwe, nie było żadnej gwarancji niewinności dziadka w kwestii jego stosunków z nazistami. Chociaż prawdopodobnie wszystkie gesty sympatii i popisy hojności miały na celu zyskanie życzliwości oficerów niemieckiego garnizonu w Gisors, tak żeby nie przeszkadzali dziadkowi w poszukiwaniach. To nie znaczy, by takie działanie zasługiwało na pochwałę. Catalina uważała je za sprzedawanie duszy diabłu, bez względu na słuszność sprawy, której się poświęcił. Ale uważała również, że można go było trochę wytłumaczyć, jeśli sprawa istotnie miała wielkie znaczenie.

Tak czy inaczej istniała w tym pewna logika. W przeciwieństwie do spotkania z duchem. Catalina zastanawiała się, czy zniszczenia, jakie zauważyła podczas wizyty w zamku, były spowodowane wybuchem, wywołanym przez jej dziadka.

Lupę znalazła w trzeciej szufladzie biurka dziadka. Zauważyła ją podczas sprzątanego pierwszego dnia swojego pobytu w Gisors. Był to piękny antyk, z grubym szkłem oprawionym w srebrną ramkę i uchwytem ze szlachetnego drewna. Uwagę Cataliny zwróciło zdjęcie, na którym jakiś żołnierz wsiadał do pociągu. Za nim na peronie widać było postać oficera niemieckiego, a obok jeszcze jedną osobę – wysokiego szczupłego mężczyznę, który wydał jej się znajomy. Chciała przyjrzeć się dokładniej temu elegantowi i dlatego potrzebowała lupy.

Przez szkło dostrzegła powiększony uśmiech Niemca. Umundurowany mężczyzna wskazywał na pociąg palcem, trzymając pod rękę swego rozmówcę, by zwrócić jego uwagę. „Wspaniałe wojsko, co? To klęska dla całej Europy”, mówił jego gest. Catalina przesunęła lupę na twarz tego drugiego; już ją kiedyś widziała, choć pokrytą zmarszczkami: to był jej dziadek.

Teraz zrozumiała, dlaczego zatrzymał tamtą gazetę. Wydrukowano w niej zdjęcie, na którym przyglądał się wkroczeniu do miasta niemieckich wojsk („silniejszych niż kiedykolwiek”) razem ze swoim znajomym oficerem. Tak, w najlepszym razie Claude Penant zaprzedał duszę diabłu. A Bóg wybacza, ale nie zapomina.

Catalina przeczytała jeszcze raz wszystkie podkreślone wzmianki w gazetach – z wyjątkiem tej po niemiecku – by się upewnić, że nie umknął jej żaden ważny szczegół. Potem spisała swoją Listę przypuszczeń absolutnych, zawierającą rozmaite hipotezy co do przyczyn gromadzenia artykułów. Dodała też swoje refleksje na ich temat. Lubiła mieć wszystko na papierze. Nie ufała zbyt wiele własnej pamięci i uważała, że zapisane idee wydają się poważniejsze.

Pomyślała, że może warto wrócić do Wyspy skarbów teraz, kiedy i tak musiała czekać na Alberta. Chociaż nie bardzo jej się chciało znów sięgać po lekturę. Dość szybko czytała tę książkę poprzedniej nocy, więc do końca zostało jej już tylko kilkadziesiąt stron. Nie wierzyła, by odkryła tam coś, czego nie znalazła na pierwszych stu pięćdziesięciu stronach. A z tych pierwszych jasno wynikało tylko to, że wszystkie miejsca, gdzie są ukryte skarby, bywają zaznaczone krzyżem. Wielkie mi odkrycie, to ci dopiero nowość! Dlatego Catalina uznała Wyspę skarbów za drogę bez wyjścia, za niewłaściwy trop, po prostu prezent od dziwnaczalnego dziadka, podobnie jak to zdjęcie z ojcowską dedykacją: „Moja kochana Catalino, ufaj tylko samej sobie”. W głębi duszy nie była tak tego pewna, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy, przynajmniej na razie.

Inaczej myślała o zbiorze Codex Romanoff. Zwłaszcza dzięki możliwym powiązaniom z dziadkiem, który mógł być na aukcji w Paryżu w 1941 roku, w czasie kiedy z pewnością miał mózg w porządku.

Nie wiedziała jeszcze, co myśleć o kawałkach puzzli. Brakowało jej danych, by ustalić, czy były prezentem od chorego umysłowo, czy miały jednak jakiś sens. Nie chciała ich zlekceważyć i uznać wyłącznie za dziwny spadek. Jak to mawiał Sherlock Holmes?: „Jeśli

wyeliminuje się wszystko, co niemożliwe, to, co pozostanie, choćby wydawało się całkiem nieprawdopodobne, jest prawdą”. Dysponowała teraz listą pytań i drugą – przypuszczeń. Przy odrobinie szczęścia prawda o dziadku – przynajmniej część – znajduje się pośrodku między jednym a drugim zestawem. Miała taką nadzieję. A wbrew pospolitemu wyrażeniu, żadna nadzieja nie jest próżna.

34.

Florencja, 1504

Leonardo wrócił do swojej pracowni. Nie przyzwyczał się jeszcze do myśli o nowym stanowisku. Cóż, musiał je przyjąć. Siła przeznaczenia, czy też wola Opatrzności, są ponad ludzki rozum. Umysł nie pojmował, ale serce wiedziało. Stał się teraz opiekunem młodej dziewczyny i jej nienarodzonego jeszcze dziecka. Potęgi u władzy będą chciały obalić boską dynastię. I nie cofną się przed zastosowaniem okrutnych metod. Człowiek nie jest jedynym stworzeniem, które zabija, ale jako jedyny zdaje sobie sprawę z tego, czym jest morderstwo. Żądza władzy i sama władza deformuje naturę mężczyzn i kobiet, dotychczas prostolinijnych.

Dobre intencje czy pragnienie, żeby boska dynastia przetrwała nadchodzący gwałtowny atak, to za mało. Nie wystarczało też połączenie się sprawiedliwych ludzi wokół zakonu. Leonardo wiedział, że sprawy powinny ulec radykalnej zmianie. Dlatego ostatnie tygodnie starego roku i pierwsze nowego poświęcił szukaniu bezpiecznej metody chronienia dynastii. Po pierwsze, należało usunąć istniejące boczne gałęzie, gdyż one mogłyby doprowadzić niepowołane osoby do pnia drzewa. Jądro najlepiej trzymać oddzielone od wszystkich, którzy w tym czasie znali prawdę.

Przede wszystkim trzeba było wybrać miejsce, gdzie ukryje się całą dokumentację zakonu. Musiało być dość obszerne, gdyż dokumenty mogły zapełnić karawanę wozów. Najodpowiedniejsza wydawała się krypta jakiegoś starego kościoła, którą później by zamurowano. Leonardo postanowił nie zdradzać nikomu żadnych szczegółów.

Następnie należało zakodować informację na temat genealogii boskiej dynastii. Wiedział, że zastosuje „matrycę Polibiusza”, jak dotąd najdoskonalszy kod. Ale chciał ją jednak jeszcze udoskonalić. Niestety, prosta i genialna metoda kryptografii, wymyślona w starożytności przez greckiego myśliciela Polibiusza, już przestawała być szczelna. Polegała na utworzeniu tabeli-matrycy i wypełnieniu jej pół literami alfabetu. Zewnętrzne pola oznaczone były numerami. Zakodowany tekst zamieniał właściwe litery na pary liczb. Ale Leonardo zamierzał użyć jedynie liter, które mniej jednoznacznie kojarzyły się z kodem. Pragnął ukryć tekst w bardziej subtelny sposób.

Jego umysł pracował bardzo szybko. Czasami natychmiast potrafił rozwikłać skomplikowane sprawy. Leonardo zapisywał na przykład w notatniku: „trzeba znaleźć rozwiązanie danego problemu” i zaraz po tym pisał pod spodem: „Już je znalazłem”. Tak było i tym razem. Zastanawiał się kilka minut i odpowiedź pojawiła się jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej. Wystarczy, że zamiast cyfr użyje innych liter. Mogą być znane albo wymyślone. Jeśli byłyby wymyślone, późniejsi opiekunowie dynastii mieliby kłopot z przeniesieniem tych znaków na zwykły alfabet. A to mogłoby dać pole wrogim działaniom. Przy użyciu alfabetu znanego powszechnie, na przykład łacińskiego lub greckiego, rzecz będzie o wiele prostsza. Metoda sama w sobie może zostać przeniesiona z ust do ust, bez papierów ani rysunków. Problem tylko, by znaleźli coś jak najprostszego, a przy tym genialnie doskonałego. Jeszcze jedno wyzwanie dodane do tak wielu w życiu Boskiego.

I znalazł. Wziął tabelę Polibiusza i na jej zewnętrznych polach wypisał litery alfabetu łacińskiego; na górze jedenaście z dwudziestu jeden liter alfabetu włoskiego, po lewej stronie dalszych dziesięć. Powstało sto dziesięć pół, które wypełnił tymi samymi dwudziestoma jeden literami, powtórzonymi pięć razy, a pozostałe pięć pół uzupełnił samogłoskami, które

w związku z tym występowały w tabeli po sześć razy. Poumieszczał je przypadkowo, uzupełniając po prostu puste pola, bez żadnego porządku. Tylko pozornie wydawało się to skomplikowane.

Ostatecznie tabela wyglądała tak:

Przy użyciu tej tabeli konwersja liter była łatwa, gdyż wystarczyło lokalizować litery w wewnętrznych polach. Ponieważ się powtarzały, można było wybrać którąkolwiek ze znajdujących się tam liter. Następnie, szukając odpowiedników tych liter na marginesach na górze i po lewej stronie tabeli, zakładając, że dwie litery odpowiadałyby jednej poszukiwanej, wystarczyło wynotować te dwie litery już jako nowy, zakodowany tekst. W rezultacie otrzymywało się słowa dwukrotnie dłuższe, czyli złożone z podwójnej liczby liter; i nie zawsze jedna litera zmieniała się na te same dwie litery kodu. By sprawdzić swoją metodę, Leonardo zapisał na kartce własne imię i zakodował je dwukrotnie. W rezultacie otrzymał:

- 1) HPGPBNGTGUCZINMC EVDR LCBSHZMNR
- 2) MVEOCQDOHSCZFPHQ FPCO GNAUDODNEU

Jeden kod znacząco różnił się od drugiego, a mimo to idealnie rozkodowywał się na Leonardo da Vinci w obu przypadkach. To zmyliłoby każdego, kto przejąłby dokumenty. Nie mógłby się kierować porównywaniem liter, ich zastępowaniem, co było zwykłą praktyką w wypadku rozkodowywania wiadomości. Leonardo nie wątpił, że nawet on sam, gdyby nie wymyślił tej metody, nie zdołałby jej rozpracować. Potrafiłyby to zrobić jedynie umysły tysiąc razy szybsze niż jego. A takie nie istniały.

Formuła, choć skuteczna, nie była łatwa do wyjaśnienia. W każdym razie Leonardo nie mógł wprowadzić jej do dokumentów genealogii, z prostych przyczyn bezpieczeństwa. A zatem każdy nowy opiekun dynastii musiałby podjąć wysiłek nauczania się na pamięć całej tabeli z literami. Leonardo uznał, że dokumenty dynastii muszą zostać zabezpieczone także w inny sposób, który również przyszedł mu do głowy. Nieco ponad rok temu zastosował nową metodę, swój własny wynalazek, na życzenie Borgiów, dla których wtedy pracował jako inżynier wojskowy. Metoda ta polegała na zmieszaniu rozmaitych składników chemicznych i poddaniu ich działaniu światła. Tworzyły wtedy coś w rodzaju obrazów. Leonardo nazwał je Iwcimago. Użyłby tej techniki celem zamienienia zapisów w Iwcimago, ale w bardziej zaawansowanej formie, gdyż teraz dysponował substancją, która stawała się widoczna pod wpływem światła, jeśli się ją trzymało wystarczająco długo na słońcu. Potem w ciemnościach znowu stawała się niewidzialna. Za każdym razem, kiedy jego następca zechce uzupełnić genealogię, będzie musiał czekać, aż pismo stanie się widoczne. Następnie doda dalszy ciąg, który w ciemnościach znowu stanie się niewidzialny razem z resztą, ukryty przed ludzkimi oczyma. Jeśli jakaś osoba przechwyci taki papier, pomyśli, że jest pusty. A niemożliwe, żeby ktoś godzinami wpatrywał się w czyste kartki.

Trzeba było zatem zapisać wszystko tym specjalnym światłoczułym atramentem, potem schować dokumenty w jakimś ciemnym, nikomu nieznanym miejscu. Formułę sporządzania atramentu należy także przekazywać wyłącznie ustnie. Nie był w gruncie rzeczy trudny do zrobienia, a potrzebne do niego produkty znajdowały się w zasięgu ręki. Leonardo sam przepisał dzieje potomków Jezusa i Marii Magdaleny aż do Jeróme'a i Abigail. Kiedy dziewczyna urodzi dziecko, doda się jego imię do genealogii. Leonardo sporządził tę kopię niewidocznym atramentem na cienkich kartkach papieru, a kiedy wszystko dobrze wyszło, powtórzył cały tekst kodem tabeli według Polibiusza. Na zakończenie wziął garnuszki ze światłoczułym atramentem i kilka piór, po czym schował je do czarnej skrzynki, zamykanej na klucz.

Nie rozstawał się z tą skrzynką nigdy, do końca życia.

Postanowił następnie ukryć w niej również spisana genealogię, gdy nagle, jakby ogarnięty szaleńcem, podarł kartki na tysiące skrawków, polewał je alkoholem i spalił w piecu. Wpatrywał się z nieprzeniknioną twarzą, jak ogień pożera dokumenty. Płomień miał intensywnie zieloną barwę, co zapewne spowodowały produkty użyte do wyrobu tego niezwykłego atramentu.

Kiedy papier zmienił się w popiół, Leonardo zaczął przeszukiwać książki, jakie miał w bibliotece. Wybrał wreszcie tom jak najbardziej pospolity: księga wydatków, spisanych w czasie, kiedy pracował jako kucharz u Lodovico Sforzy w Mediolanie. Żadna inna nie wydawała mu się mniej interesująca. W tej książce bezpieczniej było ukryć genealogię niż na pustych kartkach.

Ponadto Leonardo poprosił zakon, by nigdzie nie przynosili tomu. To było jego wymaganie. Książka miała służyć jako osłona prawdziwej genealogii dynastii. Oczywiście istniała fałszywa genealogia, pilnie strzeżona przez mędrców. Taka zasłona dymna stanowiła najlepsze zabezpieczenie dla prawdy. Dzieci Jezusa i Marii Magdaleny były strzeżone codziennymi sprawami, monotonną prozą życia. Potomkowie już od dziecka nie byli świadomi swojego prawdziwego pochodzenia. Mieli żyć jak każdy inny człowiek. Ale zawsze pod czyimś czujnym okiem, zabezpieczeni przed złem. Były strzeżone przez obcych. Prawdę miały poznać dopiero w wypadku konieczności.

Oby jej nigdy nie poznały...

35.

Nowy Jork, 2004

– Jakież nowiny, ojczy Marwinie?

Nie było potrzeby, by zwierzchnik wyraził się jaśniej. Młody kapłan wiedział, jakich to nowin spodziewa się biskup. Jakich nowin spodziewają się wszyscy. Od wczoraj, kiedy pod koniec jego zmiany uaktywnił się tak zwany Poziom I, pytaniom nie było końca.

– Nic nowego, Wasza Wielebność.

– Dobrze – rzekł biskup poważnie. – W każdym razie proszę mnie informować.

– Oczywiście, Wasza Wielebność.

Marvin także był przejęty. Przez ostatnie pięć lat, kiedy uczestniczył w tym projekcie bez nazwy, nigdy jeszcze nie widział Poziomu I, „Prawdopodobny Obrońca”. Marvina zawsze intrygowała ta nazwa „Prawdopodobny Obrońca”, której znaczenia nie znał. Zresztą wiele innych rzeczy było równie tajemniczych. Jego pięcioletnia praca przy projekcie stanowiła zaledwie drobny fragment procesu „poszukiwań”, trwającego lata, a nawet wieki. Cel poszukiwań zawsze był ten sam, chociaż, oczywiście, metody ulegały zmianie, stawały się coraz bardziej wyrafinowane i nowoczesne. Z głęboką satysfakcją Marvin obserwował białe wapienne ściany i tablice z różowego marmuru, wysokie kolumny, sklepienie sufitów i freski w stylu odrodzenia, drewniane bogato zdobione stoły, kamienne stuletnie płyty na posadzce... Całe to bogactwo znajdowało się w przestrzeni, która przypominała salę kontrolną lotów kosmicznych, ze świecącymi monitorami plazmowymi i najnowocześniejszym sprzętem informatycznym, szumiącymi niezłomnie. Sala ta miała połączenie z całym światem; z bazami danych, nawet tymi tajnymi – zwłaszcza tajnymi wszystkimi kontami bankowymi, milionami linii telefonicznych, wiadomości e-mailowych, forami dyskusyjnymi, sieciami internetowymi; podsłuchiowano tu setki firm i centrów rządowych za pomocą mikrofonów i ukrytych kamer... Był to rodzaj „Echelon”; globalna sieć szpiegowska, administrowana przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego Stanów Zjednoczonych i Główną Kwaterę Komunikacji Rządu Wielkiej Brytanii. Znajdowała się tam jeszcze jedna sieć, o wiele mniejsza – i supertajna. Wszystko było analizowane, filtrowane przez automatyczne systemy wywiadowcze, utworzone specjalnie dla celów „poszukiwania” i identyfikowania

„kandydatów”, osób lub istot, które mogłyby sprowadzić poszukiwania do celu. „Kandydaci” byli identyfikowani i następnie śledzeni, kiedy ustalono ich poziom. Z każdym z tych poziomów wiązał się szereg sposobów inwigilacji – od zwykłego zdalnego obserwowania, aż do „nakłuć” wszystkich kontaktów obiektu, fizycznego śledzenia wszystkich jego działań. Takie nadzwyczajne środki, jak te ostatnie, zarezerwowano dla poziomów najwyższych i, oczywiście, przede wszystkim dla „Przypuszczalnego Obrońcy”, czyli Poziomu I.

Z reguły najwybitniejsi „kandydaci” stopniowo dostawali się na coraz wyższe szczeble. Powtarzające się wejścia na niektóre strony internetowe sytuowały ich, na przykład, na Poziomie V. Jeśli do tego dochodziło kupno określonych książek w księgarniach lub ich przeglądanie w bibliotekach, „kandydat” był przenoszony wyżej, na Poziom IV. Dogłębnniejsze dochodzenia, jak wyszukiwanie artykułów prasowych na pewne tematy, mogły go podnieść na Poziom III, A dopiero prowadzenie bardzo wyczerpującego śledztwa stawiało go na Poziomie II. Marvin nie wiedział nawet, czego trzeba, by ktoś wspiął się na Poziom I i tylko jedna osoba osiągnęła ten poziom w ciągu ostatnich stu lat. Jakiś mężczyzna.

Teraz nowym Poziomem I była kobieta. Od razu wspięła się na szczyt bez wstępowania na poszczególne szczeble. Jej życiorys, do którego Marvin miał dostęp, nie wyjaśniał wiele: wchodziła na strony internetowe związane z zapiskami Leonarda da Vinci, zebranymi pod nazwą Codex Romanoff; przeszukiwała sieć z kawiarenki internetowej w miejscowości Gisors. Z przyczyn Marvinowi nieznanych to małe normandzkie miasteczko często pojawiało się w raportach i podlegało szczególnie ścisłej obserwacji. Inny z zapisów wskazywał, że za użycie komputera kobieta zapłaciła kartą. Dzięki temu systemy informatyczne mogły ją namierzyć, biorąc pod uwagę datę płatności, wartość i czas połączenia. To wszystko... Nie, właściwie było jeszcze coś: wizyta w merostwie miasta Gisors. Spotkanie z urzędnikiem zostało nagrane przez jedną z ukrytych tam kamer szpiegowskich.

36.

Gisors, 2004

Z pokoju dziadka Catalina usłyszała, że na podjeździe zatrzymał się samochód. No, dozorca nareszcie się zjawił. Wyszła mu naprzeciw.

– Witam, Albercie, czekałam na pana.

– Ach, tak? Myślałem, że pojechała pani do miasta.

– Byłam tam. Ale już wróciłam.

– Widzę – zauważył dozorca. Żadna inna odpowiedź nie przyszła mu do głowy. –

Pootwierałem okna na poddaszu...

– Świetnie. Przeglądałam na górze stare gazety i pisma; było gorąco nie do wytrzymania.

– Należały do pani dziadka.

– Tak też myślałam... Znał go pan dobrze, Albercie? – spytała nagle.

– Pracowałem dla niego prawie dwadzieścia lat i w tym czasie wiele się o nim dowiedziałem – odparł dozorca, którego to pytanie wcale nie zaskoczyło.

– No, to musi mi pan to opowiedzieć – zażądała kategorycznie Catalina.

– Może najpierw zrobię herbatę?

– Dobry pomysł.

Albert zabrał się do szycowania herbaty, spokojnie i bez pośpiechu. Catalina obserwowała go przez cały czas i cierpliwie czekała, aż skończy.

– Proszę. – Dozorca postawił na stole tacę z dwiema dużymi dymiącymi filiżankami i małym talerzykiem domowych ciasteczek. – Musi pani spróbować. To od pani Bonneval.

W pierwszej chwili Catalina nie wiedziała, o kim mowa. Dopiero potem przypomniała sobie Marie, kobietę, która sprzątała od czasu do czasu dom dziadka i przyniosła znakomite szaszłyki pierwszego wieczoru w Gisors.

- Co znaczą wszystkie te popodkreślane artykuły w gazetach tam na strychu? – spytała Catalina, przeżuując ciasteczko bez większego apetytu.

To tylko niewielka część badań pani dziadka. Jego „poszukiwania”, jak mówił. Niemal wszystkie książki w bibliotece to też część poszukiwań. I podróże, które często odbywał z jednego końca Europy na drugi, bardzo często nagle, ni stąd, ni zowąd. Nieraz widziałem, jak pośpiesznie pakował walizkę i wyjeżdżał w środku nocy do Paryża, Hendaye, Florencji czy Madrytu. Wszyscy w Gisors uważali go za dziwaka. Mówili, że stracił rozum, ale to nieprawda. Pani dziadek był po prostu opętany tym swoim poszukiwaniem. Tylko to się dla niego liczyło. To był dobry człowiek. I bardzo powściągliwy. Miał w sobie ducha naukowca, profesora. Czasami przychodził tu w nocy, zmęczony po dniu spędzonym za biurkiem, gdzie przeglądał całe sterty papierów. I siadał, o tu, gdzie pani teraz. – Albert wskazał na bujany fotel. – Wtedy opowiadał mi o rozmaitych rzeczach, jakie wyczytał w książce lub gazecie, i wyjaśniał, czy się zgadza z autorem, czy nie. Doskonale pamiętam wyraz jego oczu w takie noce; często nie kładliśmy się aż do czwartej czy piątej nad ranem. A oczy tak mu błyszczały... Kochał to, co robił. Po prawdzie na początku nie rozumiałem prawie nic z tych jego wywodów, ale potem zacząłem łapać coraz więcej. A wreszcie pojąłem, że wszystko to kręci się wokół jednego tematu: Zakonu Syjonu.

Catalina nie po raz pierwszy słyszała o tym zakonie, chociaż nie wiedziała o nim zbyt wiele; chodziło o jakąś sektę czy tajną grupę, której misją było ochranianie przez wieki potomków Jezusa Chrystusa i Marii Magdaleny.

– Mój dziadek wierzył w to, że Chrystus miał potomstwo?

Pani dziadek nie wierzył w nic, panno Penant – zauważył Albert niemal obrażony. – Nie pamięta pani, co mówiłem? Całe życie poświęcił badaniu tej sprawy. Nie był człowiekiem wierzącym, ale naukowcem. Uznawał tylko te prawdy, które mógł sprawdzić.

– A zatem czy posiadał dowody, że Jezus miał potomków, urodzonych z Marii Magdaleny? – nalegała Catalina, zaskoczona i zaintrygowana. Zbudziła się w niej dziennikarska ciekawość.

– Cóż, możliwe.

– A gdzie mogą się znajdować te dowody?

- Jeżeli istnieją, to myślę, że są po trochu wszędzie: w gazetach na strychu, w książkach w bibliotece pani dziadka, w tysiącach innych książek, rękopisów czy artykułów, jakie przeglądał w setkach księgarni i bibliotek całej Europy, w materiałach z konferencji, w których uczestniczył, w odwiedzanych przez niego zamkach, kościołach, urzędach i klasztorach. A przede wszystkim w jego głowie. Potrafił złożyć w całość tysiące drobnych szczegółów.

Dziwnie było słyszeć, jak ten małomówny dozorca buduje okrągłe zdania. Widać, nauczył się czegoś od jej dziadka w ciągu tych wspólnie spędzonych lat. Jego wyjaśnienia brzmiały jasno i logicznie. Byłoby naiwnością ze strony Cataliny zakładać, że istniał tylko jeden rzeczowy dowód na to, że Jezus miał potomków.

– Rozumiem – mruknęła.

Catalina nie uważała się za ateistkę. Wierzyła, że istnieje jakaś nadprzyrodzona siła sprawcza. Ale wszystko, co wiązało się z Kościołem i jego rytuałami, uznawała za zbyteczny wytwór ludzkiej gorliwości. To, że Jezus miał syna z Marią Magdaleną jak każdy zwykły człowiek, wydawało jej się czymś normalnym, o wiele bardziej prawdopodobnym niż mnóstwo historii, jakie podaje Biblia.

– Jeżeli mój dziadek rzeczywiście zdobył takie dowody, to chyba nie wierzył, że Jezus był Synem Bożym – zagadnęła.

– A czemu by nie? To, że jako mężczyzna pokochał kobietę i miał z nią potomka, zanim umarł na krzyżu, nie oznacza, że nie był Synem Bożym.



Catalina nie wiedziała, czy Albert mówi to od siebie, czy w imieniu dziadka, czy też ich obu. Z tym stwierdzeniem oczywiście można się było nie zgodzić, ale z pewnością nie brzmiało ono absurdalnie.

– Czego mój dziadek szukał w zamku w Gisors w czasie wojny? Dowodów istnienia Zakonu Syjonu?

– Podejrzewam, że tak. – Głos dozorczy lekko się zmienił. – Jak już mówiłem, wszystko, co robił, miało związek z zakonem.

– A co mówili ludzie, których wynajął do pomocy, Lhomoy i Lessenne?

– Zawsze powtarzali, że nie znali planów pani dziadka i że nigdy niczego nie znaleźli.

– A ostatniej nocy, kiedy kopali, w dniu desantu w Normandii, mój dziadek zniknął, zacierając ślady za sobą?

– Aha...

Wiedział pan, że ostatnie pismo na strychu pochodzi właśnie z 1944 roku?

– Nie.

– I nie domyśla się pan, dlaczego zostało przechowane?

Albert medytował chwilę, po czym odparł:

– Nie... Ale może zaciekawi panią, że w pewnym momencie, dokładnie w końcu roku 1976 pani dziadek wszystko to rzucił.

– Jak to: wszystko rzucił?

– No, swoje poszukiwania. Miał ogromnie dużo notatek, które nagle spalił tu na podwórzu. A gazety uratowały się tylko dlatego, że leżały zapomniane na strychu. Od tego czasu zaczął robić to, co wszyscy, na przykład wędkował i spacerował nad rzeką.

– Ale dlaczego?

– Często zadawałem sobie to pytanie. I tylko jedna odpowiedź przychodzi mi do głowy... Że w końcu znalazł to, czego szukał.

Catalina przypomniała sobie, co mówił adwokat o ostatnim okresie życia dziadka.

– A nie wydaje się panu, że zwariował? – spytała. – Pan d'Allaines mówił mi, że pod koniec życia zachowywał się jak paranoik.

Dozorca na taką sugestię znowu zrobił obrażoną minę, chociaż mówiła to wnuczka Claude'a.

– Pani dziadek zaczął się dziwnie zachowywać dużo później, w ostatnich miesiącach życia. Ale nie był wariatem.

– Skąd taka pewność?

– Znałem go.

– A pan d'Allaines nie?

– D'Allaines jest dobrym człowiekiem, pan Penant bardzo go cenił, ale widywali się wszystkiego raz czy dwa razy w miesiącu, kiedy dziadek pani przychodził do kancelarii albo odwiedzał Paryż. D'Allaines nie mieszkał z nim razem przez dwadzieścia lat.

Była to opinia warta przemyślenia, uznała Catalina, ale dość mało obiektywna, właśnie dlatego, że Albert przebywał tak długo z dziadkiem.

– Dobrze – zgodziła się. Nie chciała wdawać się w dalszą dyskusję na ten temat.

Zapadła cisza. Historia dobiegła końca. Rozmowa z dozorcą potwierdziła rozmaite przypuszczenia, które przysły Catalinie do głowy przy przeglądaniu gazet na poddaszu. Ale pozostało jeszcze wiele niejasności. Catalina musiała przemyśleć wszystko od początku, próbować działać tak, jakby to robił jej dziadek, i powiązać zdobyte informacje, łącznie z tą nową o Zakonie Syjonu i dowodach na istnienie potomstwa Jezusa. Ale tę kwestię postanowiła odłożyć na później, bo były inne pytania...

– Zna pan niejakiego Dumergue'a?

– Tak. Pracuje w merostwie. Nie można mu ufać.

– Rozmawiałam z nim dzisiaj. Chciałam, żeby mi wytłumaczył, dlaczego merostwo Gisors nie zgadzało się na zbadanie podziemnej kaplicy, odkrytej przez Rogera Lhomoya.

– Aha – mruknął niepewnie dozorca.

– No i w gruncie rzeczy po spotkaniu z Dumergiem wiem tyle, co przedtem.

– Rozmowa zesłała na inne tory...?

– Właśnie. Chociaż może nie tyle sama zesłała, ile Dumergue sprowadził ją na inne tory.

Powiedział tylko, że mój dziadek był kolaborantem podczas okupacji niemieckiej.

– A-ha... – powtórzył dozorca powoli, dzieląc słowo na dwoje.

– Proszę, Albercie, niech mi pan powie jasno, czy dziadek współpracował z nazistami?

Jestem dorosła. Nie rozplączę się ani nie rzucę z okna, jeżeli odpowie mi pan, że tak. Chcę po prostu znać prawdę.

– Myślę... że nie.

– To znaczy, nie jest pan pewien?

Albert pokręcił się na krześle, jakby uwierały go niewygodne myśli.

– Zacząłem pracę u pana Penanta w latach sześćdziesiątych, więc niewiele wiem o tym, co robił przedtem.

– Ale sam pan mówił, że go znał. I mieszkał pan tutaj od dawna – nalegała Catalina wobec tej wykrętnej odpowiedzi. – Z pewnością słyszał pan różne plotki.

Albert patrzył w milczeniu na Catalinę. Zauważyła, że dozorca się waha, czy powiedzieć jej o tym, co wie. Westchnął głęboko z rezygnacją.

– Ludzie gadali, że podczas okupacji pani dziadek urządził przyjęcia tylko dla oficerów niemieckich i spędzał z nimi całe dni. Zwłaszcza z jednym, dowódcą garnizonu w zamku.

To pewnie ten uśmiechnięty Niemiec na zdjęciu, pomyślała Catalina. Spodziewała się, że uzyska od Alberta konkretną odpowiedź, ale dozorca nie ujawnił nic ponad to, o czym mówiono w miasteczku, i co usłyszała w merostwie. Problem tkwił w tym, że Catalina nie uwierzyła Albertowi... Doświadczeni dziennikarze potrafią wychwycić kłamstwo, podobnie jak policjanci. Wiedziała, że Albert coś ukrywa. Ale co? I dlaczego? Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl...

– Marie! – zawołała.

– Och, co...?

– Marie wie wszystko o tym miasteczku, prawda? I tutejszych mieszkańcach?

– No tak, oczywiście.

Catalina wyczuła napięcie w głosie Alberta. Naciskała dalej:

– Założę się, że wie o moim dziadku mnóstwo rzeczy, o których nie wie nikt inny. No, chyba że powiedziała to komuś zaufanemu, dobremu, choć małowómnemu... Na przykład... panu, Albercie.

Dozorca patrzył na Catalinę żałośnie. Nigdy nie umiał kłamać.

– Nie mogę pani niczego wyjawić. Zawiódłbym zaufanie Marie. A ona nie zechce pani powiedzieć, na pewno.

– Może mi odmówi, ale gdyby pan poprosił...? Zrobi pan to dla mnie, Albercie?

W niemal całkowitej ciszy padła odpowiedź:

– Tak.

W tej właśnie chwili nieznośna melodyjka sygnału telefonu komórkowego rozległa się w całym pokoju. Dozorca sięgnął do kieszeni, ale Catalina wskazała mu mebel, na którym leżał telefon zapomniany przez właściciela.

– Och, gdzież ja mam głowę... – mruknął dozorca, wstając z krzesła. Potem, jak go uczyła Catalina, sprawdził numer, zanim nacisnął guzik.

– Tak, słucham, panie Boulain? Zostawiłem go w domu. Nie jestem przyzwyczajony...

Część druga

Wierzyć to znaczy nie chcieć znać prawdy.  
Fryderyk Nietzsche

37.

### Królestwo terroru

Od czasów Leonarda, niemal przez trzy stulecia, Zakon Syjonu strzegł dynastii bez większych przeszkód. Mądrość i intuicja Boskiego dobrze służyły temu celowi. Ale wszystko to miało ulec zmianie w końcu XVIII wieku. Francja powstała przeciw tyranii monarchów urządzających huczne święta, podczas gdy lud marł z głodu. Bastylia została zburzona. Proklamowano republikę. Spisano prawa człowieka.

Ale utopijna idylla wkrótce zmieniła się w ponurą rzeczywistość. Strzała sprawiedliwości przebiła tarczę. Zaczęły się egzekucje, fałszywe procesy niewinnych ludzi... Od roku 1789 do 1793, zaledwie w ciągu czterech lat, Francja pograżyła się w jeszcze większym mroku. Europa powstała zbrojnie przeciw temu reżimowi; w kraju panował terror i strach przed straceniami; cały świat był potencjalnym zdrajcą ojczyzny i przestępcą zasługującym na śmierć. Proch i krew rządziły Francją.

W połowie 1793 roku do władzy doszło Zgromadzenie Narodowe, reprezentacja Komitetu Zdrowia Publicznego, partia jakobinów. Umysły się gotowały. Trzy dni po objęciu władzy przez jakobinów, legendarny lider rewolucji, Jean-Paul Marat został zamordowany przez Karolinę Corday, zwolenniczkę przeciwnej partii żyrondistów.

Ta zbrodnia jeszcze bardziej rozpałała i zwiększyła sympatie narodu dla zaatakowanych jakobinów. Maxymilien de Robespierre ostro wkroczył na scenę polityczną jako członek Komitetu. Jego inteligencja i takt w połączeniu z umiejętnością manipulacji sprawiły, że błyskawicznie wzniósł się na szczyty władzy. Bardzo prędko stał się liderem partii przy pomocy Saint-Justa i innych wybitnych postaci, jak Couthon i Carnot.

Robespierre fanatycznie dążył do utrzymania i rozwoju rewolucji. Była dla niego żywym organizmem, który musiał rosnąć, powiększać się, oddychać. W obawie przed kontrewolucjonistami wydawał bardzo twarde prawa, skierowane przeciw każdemu, kto wzbudzał podejrzenia. Francja stała się państwem policyjnym. Wojsko walczyło na rozmaitych frontach z Prusami, Anglią, Hiszpanią. Sytuacja nie mogła już być gorsza. Nawet dwie frakcje jakobinów walczyły ze sobą wzajemnie, gdyż zarówno radykałowie, jak i konserwatyści próbowali zrealizować swoje tezy.

Cała wewnętrzna opozycja została zmiażdżona. Robespierre miał właśnie zlikwidować także frakcje we własnej partii, gdyż zagrażała jego władzy. Ale nie rozumiał, że destabilizacja zewnętrzna i frakcja, którą próbował wyeliminować, były jego prawdziwym i autentycznym wsparciem. Mógł przetrwać, kiedy naród widział śmierć na gilotynie tych, którzy się mu przeciwstawili: Marii Antoniny, monarchistów, członków kleru. Ale kiedy zaczęły spadać głowy żyrondistów i tysiący obywateli, zaledwie podejrzewanych, że są wrogami rewolucji, sprawy przybrały odmienny obrót. Szala wagi przechyliła się na niekorzyść Robespierre'a.

Wiele tysięcy ludzi zginęło w Paryżu, a jeszcze więcej w innych miastach, jak Nantes, czy w miejscowościach departamentu La Vendee.

Odrzucono kalendarz gregoriański i wprowadzono nowy kalendarz rewolucyjny, z nazwami miesięcy takimi, jak: thermidor, floreal czy germinal. Robespierre marzył o utworzeniu republiki Cnoty, nie zdając sobie sprawy, że zmienia Francję w państwo korupcji. Humanitaryzm stał się okrucieństwem; idealizm społeczny zmienił się w żądę zemsty; patriotyzm w szaleństwo i ślepy fanatyzm.

Robespierre nienawidził nie tylko kleru, ale także samego katolicyzmu i wartości religijnych. W Paryżu zabronione było chodzenie do kościołów; świątynie pozamykano. Potem zakaz wprowadzono w całym państwie. Rousseau stworzył nową religię, w której czcilo się rozum. Radykał Hebert, odpowiedzialny za dezorganizację w Paryżu, i umiarkowany Danton walczyli, by przeciągnąć rząd na swoją stronę. Pierwszy czuł się mocny w Zgromadzeniu Narodowym i w Komunie Paryża. Na szczęście generał Jourdan odniósł pierwsze zwycięstwa w wojnie Francji z jej wrogami. Ofensywy ciągnęły się do początków roku 1794. Wszystko zmierzało ku upadkowi, chociaż wydawało się, że gmach zbudowany przez Robespierre'a jest solidny jak skała...

38.

Gisors, 2004

Pani Bonneval mieszkała na północno-wschodnim krańcu miasteczka, niedaleko stacji. Pojechali do niej samochodem dozorca. Albert prowadził wąskimi uliczkami aż do samego domu, zręcznie wymijając auta gęsto parkujące na ulicach.

Wyjeżdżając z posiadłości dziadka, Catalina zwróciła uwagę, że obok rowu stał samochód, w pobliżu drogi łączącej szosę z chateau. Niby nic niezwykłego. Często spotykało się tam turystów i mieszkańców miasteczka, spacerujących po okolicy. Ale ten kierowca nie wysiadł, żeby spacerować, ani nie naprawiał niczego w samochodzie. Po prostu siedział w środku, jakby na coś czekał. Chociaż, jak się dobrze zastanowić, może samochód rzeczywiście się zepsuł, a kierowca czekał na pomoc drogową. Mimo tych rozsądnych argumentów, Catalina spojrzała w lusterko wsteczne, spodziewając się, że samochód wyjedzie z pobocza. Ale oczywiście tak się nie stało; samochód spokojnie stał nadal w tym samym miejscu. O czym myślała? Dostyc już tych szaleństw. Jeden paranoik w rodzinie wystarczy.

Mimo to jak zwykle musiała rzucić jeszcze ostatnie spojrzenie wstecz, kiedy już wjeżdżali do miasteczka. Albert, widząc, jak Catalina wpatruje się w lusterko, spytał, czy się boi, że ktoś ich śledzi. Catalina zmusiła się do odpowiedzi: „Jasne, że nie!”

Albert zatrzymał nagle samochód i oznajmił: „To tutaj”. Stali przed niewielkim piętrowym budynkiem z balkonem, z którego zwisały doniczki z kwiatami w żywych, jaskrawych kolorach. Catalina się opanowała.

– Chodźmy – powiedział dozorca.

Musieli zadzwonić dwa razy, zanim z cienia wysunęła się uśmiechnięta Marie, wycierając ręce w fartuch.

– Dzień dobry, Marie - pozdrowił ją dozorca.

– Dzień dobry! – dodała Catalina.

– Witajcie, Albercie! Panienko Penant! Co za niespodzianka! Proszę, proszę do środka. Właśnie skończyłam piec tort z borówkami. Cudownie pachnie, prawda?

Marie nie przestawała mówić, prowadząc gości do saloniku wąskim, ciemnym korytarzem. Ten pokój także nie był zbyt duży ani wygodny, chociaż przyjemnie oświetlony zachodzącym słońcem wydawał się większy niż w rzeczywistości.

– Ależ proszę siadać, panienko Penant. Nie stój jak kołek, Albercie, podaj panience krzesło, na miłość boską. Jak cię wychowali? – wyrzucała dozorca, który, pokornie jak mały chłopczyk, rzucił się wykonywać jej rozkazy. – Zaraz podam tort i kawę. Wracam natychmiast. Cóż to za miła niespodzianka!

Marie rzeczywiście wróciła niebawem, poprzedzana potokiem nowych słów.

– Mój Georges jest w barze; z koleżkami, przy partyjce kart. Ach, ci mężczyźni... Tylko hazard, cygara i wino im w głowie. Wszyscy są tacy sami. Wywróciła oczy z komicznie

zrezygnowanym wyrazem twarzy. – Z wyjątkiem pocziwego Alberta. Nigdy nie widziałam, żeby chociaż jedną nogą wstąpił do tej jaskini zła.

– Wypiłem swoje w młodości – usprawiedliwił się dozorca.

– A mój Georges to nie? Gdyby dostał franka za każdą opróżnioną przez siebie butelkę wina, mógłby te ściany wybić złotem od góry do dołu. Więc nie gadaj głupstw. Znam cię bardzo dobrze, Albercie Mourel. Przede mną nie musisz udawać. Jesteś prawym człowiekiem, tak, mój panie, i nie masz się co tego wstydzić. Prawda, panienko Penant?

– Tak jest! – Franki przeszły już do historii, ale Catalina pomyślała sobie, że pani Bonneval mogłaby wybić wszystkie ściany złotem, gdyby z kolei jej dawano jedno euro za każde wypowiedziane zdanie.

Robiąc krótką przerwę w gadaniu, Marie podała kawę i po solidnym kawałku tortu z borówkami Albertowi i Catalinie; sobie ukroiła mniejszy.

– Muszę uważać na linię, bo robię się za gruba. Chociaż mojemu Georges’owi to nie przeszkadza. On zawsze gustował w pełnych kształtach. – Mrugnęła porozumiewawczo do Cataliny i skromnie ugryzła mały kawałek tortu. – Ale co...

Zanim Marie mogła zacząć następne przemówienie, Albert przerwał:

– Nie przyszliśmy tu tylko z wizytą, Marie.

- Ach, nie? – powiedziała z niepewnym uśmiechem.

– Nie.

– Nie strasz mnie, Albercie. Coś się stało?

– Gdybym cię poprosił, żebyś mi coś opowiedziała, zrobiłabyś to?

– Ależ tak, jasne – potwierdziła gorliwie Marie, ale wcześniej rzuciła spłoszone spojrzenie na Catalinę, która cały czas milczała. – Jeżelibym wiedziała...

– Jest coś, co wiesz. Chcę, żebyś mi opowiedziała... żebyś nam opowiedziała wszystko o dziadku Cataliny. Wszystko. Rozumiesz?

Marie tak bardzo spoważniała, że Catalina niemal jej nie poznała.

– Ale, Albercie...

– Proszę, Marie. Zrób to dla mnie. Ona powinna wiedzieć, a ja nigdy nie pisnąłbym ani słówkiem bez twojej zgody.

Kobieta wpatrywała się w dozorcę. Potem przeniosła wzrok na Catalinę, która patrzyła na nią prosząco.

– Dobrze, dobrze. – Marie westchnęła. Potem zaczęła zdecydowanym tonem: – Profesor Penant, bo tak go nazywali wszyscy w miasteczku, przyjechał tu w lutym 1944 roku. Kupił posiadłość na przedmieściu i w tydzień później wydał wielkie przyjęcie, tylko dla Niemców. Wyobrażacie sobie, jakie to wywołało zamieszanie. Wydawał mnóstwo pieniędzy, zapraszając Niemców i robiąc im drogie prezenty. W Gisors myśleli i nadal myślą, że pani dziadek był kolaborantem, ale ja nie jestem tego taka pewna.

Catalina poczuła ucisk w sercu. Marie zamilkła na chwilę i Catalina wiedziała, że teraz nadeszła najtrudniejsza rzecz do opowiedzenia.

– Mój teść, ojciec Georges’a, też stale przesiadywał w barze. Można powiedzieć, że spędził tam całe życie. Ale w czasach okupacji wino nie było tanie i nikt nie miał dużo pieniędzy. Nie licząc pani dziadka. Zawsze nosił przy sobie skórzaną teczkę. Nigdy się z nią nie rozstawał, rozumie pani? Ale lepiej, jeżeli zacznę od początku... Wiele lat temu Georges opowiedział mi historię, którą z kolei usłyszał od swojego ojca. Mój teść często przychodził pijany; zwykle wtedy rzucał się na łóżko w ubraniu i butach i po trzech minutach już chrapał. Ale któregoś razu, czy to nie wypił dosyć, czy wino rozwiązało mu język, nabrał ochoty do gadania. A wtedy, kiedy przyszedł, tylko jedna osoba w domu nie spała. Jego syn. Jak mi opowiadał Georges, ojciec zaczął narzekać, że mógłby być bogaczem, zamiast klepać biedę. A potem dodał: „Ten przeklęty Claude...” Georges myślał, że to pijackie bajdurzenie i poradził ojcu,

żeby lepiej poszedł spać. Teść się obraził, że syn mu nie wierzy, i postanowił opowiedzieć mu historię, którą teraz powtórzę...

Wiecie, jak to jest w takich miasteczkach. Komuś uroi się jakaś bzdura i ludzie zaraz zaczynają powtarzać jeden drugiemu, aż w końcu wszyscy wierzą w to głupstwo jak w słowo Pana Boga. No, więc ktoś zaczął rozpowiadać, że pani dziadek nigdy nie rozstaje się z tą teczką, bo trzyma tam pieniądze. Potem jakiś inny idiota potwierdził, że to prawda, bo sam widział, jak profesor wyjmował z niej plik pieniędzy. Wszystko to brednie, ale w końcu... Mój teść nigdy nie był zbyt bystry i uznał, że w ten sposób łatwo zdobędzie pieniądze. I wtedy właśnie... no wie pani... Plan był tak głupi, że mógł się tysiąc razy nie udać, a mimo to wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami. No, może nie wszystko, bo w teczce nie było żadnych pieniędzy. Któregoś wieczoru pani dziadek zjawił się w barze jak zwykle wtedy, kiedy zaczynał pracę o świcie. Tym razem jednak nie przyszedł w towarzystwie niemieckiego oficera. Mój teść uznał to za znak z nieba. Podszedł do baru, gdzie usadowił się obok pani dziadka. Nie rozmawiał z nim, po prostu siedział i pił wino. Sprawdzał, czy profesor przyniósł ze sobą teczkę i czy, jak miał w zwyczaju, postawił ją przy nogach, opartą o bar. Czekał, aż pan Penant zamówił jednego głębszego, a potem niepostrzeżenie nalał mu do szklanki coś, co tego wieczoru kupił w aptece. Jakiś silny środek przeczyszczający, no... Nie mam pojęcia, czy pani dziadek zauważył coś dziwnego w swoim drinku, w każdym razie wypił go do dna. Po pięciu minutach środek zaczął działać. Dzięki Bogu nie stało się nic poważnego. Pani dziadek wybiegł z baru. Teść ruszył za nim do ciemnej ubikacji. Tam musiał czekać, aż wyjdzie z niej para pijaków, ale w końcu został sam na sam z Claude'em. Mój teść pośpiesznie zakrył twarz jakąś kapuzą, kopniakiem otworzył drzwi toalety i dał pani dziadkowi kilka razy w głowę, zanim ten się zorientował, co się dzieje. Biedak został na podłodze, nieprzytomny. I wtedy mój teść ukradł teczkę. Schował ją pod płaszcz i spokojnie wyszedł z baru, nie budząc żadnych podejrzeń. Zatrzymał się nieopodal w małej uliczce. Spodziewał się znaleźć w teczce miliony. Ale, jak już mówiłam, nie było tam pieniędzy. Przejrzał wszystko, ale zobaczył tylko jakieś duże kartki, z tego połowa przezroczystych, na których pani dziadek kopiował rysunki z Wieży Więźnia. Widziała pani te gryzmoły, panno Penant? – Gdy Catalina skinęła głową, Marie ciągnęła swoją opowieść: – Oprócz tego znalazł dziwny przyrząd i kilka książek oraz dokumentów. Jeden z nich, rękopis, wyglądał na bardzo stary. Teść pomyślał, że może zarobi, sprzedając ten dokument, więc go zatrzymał. Resztę zostawił na ulicy. Potem wrócił do domu. Kiedy Claude odzyskał przytomność, zorientował się, że ukradli mu teczkę. W końcu znaleziono zgubę tam, gdzie mój teść ją porzucił. Pan Penant nie widział twarzy napastnika, nie pamiętał nawet szczegółów jego ubioru, nigdy zatem nie odkryto, że to był mój teść. Ot i cała historia...

Catalina zrozumiała nareszcie chęć ukrycia pewnych faktów: nikt się przecież nie chwali, że ma teścia złodzieja.

– Ma pani jeszcze ten dokument, Marie? – spytała. – Rękopis, który pani teść ukr... zabrał mojemu dziadkowi?

Marie skinęła głową.

– Próbował go sprzedać. Pojechał aż do Paryża rozmawiać z antykwariuszem, ale wystraszył się, kiedy ten człowiek powiedział mu o jakiejś do połowy zatartej pieczęci i zagroził, że wezwie policję. Wrócił wtedy do Gisors i już nigdy nie odważył się sprzedać dokumentu. Kiedy teść umarł, papier został u Georges'a. Początkowo chcieliśmy spalić rękopis, no, bo w końcu to był dowód kradzieży, nie? Ale w rezultacie postanowiliśmy go zatrzymać. Na pewno jest dużo wart, myśleliśmy, więc szkoda niszczyć.

– Mogę go zobaczyć?

– Jasne. Teraz, gdy pan Penant nie żyje, ten papier należy do pani... – Marie powiedziała to z przekonaniem, ale także ze smutkiem. Najwyraźniej żal jej było rozstawać się z „rodzinną pamiątką”.

– Chcę tylko rzucić okiem – zapewniła Catalina. – Co do mnie, może pani go sobie zatrzymać.

Twarz Marie się rozjaśniła.

– Zaraz poszukam!

Widzieli, jak zniknęła w korytarzu, a potem usłyszeli, jak wbiega po schodach. Po chwili pojawiła się z powrotem, z pośliskiem pergaminem, rękopisem, który podtrzymywała w ramionach jak w kołysce. Catalina wzięła dokument lekko drżącymi rękami. Na widok nierównych brzegów z jednej strony zaczęła podejrzewać, że kartka została wyrwana z jakiejś książki. W dolnym rogu widniała pieczęć, którą ktoś usiłował zetrzeć, ale jeszcze można było odczytać napis Ermitaż. Obecność tego znaku dowodziła, że rękopis, karta z jakiejś księgi, należał kiedyś do Ermitażu w Sankt Petersburgu; a to, że znak był niemal zatarty, oznaczało, iż dziadek zdobył dokument nielegalnie. Wszystko stawało się teraz jasne. Nawet obecność niemieckiej gazety na strychu: z pewnością artykuł dotyczył owej księgi, z której wyrwano kartę.

Wobec milczenia Alberta i nawet gadatliwej Marie, Catalina zaczęła odczytywać rękopis. Na szczęście został sporządzony po francusku, i choć był to dosyć archaiczny francuski, Catalina nie miała większych trudności ze zrozumieniem tekstu. Dotyczył kaplicy, bardzo starej i tajnej, znajdującej się pod ziemią, pod podwórcem pewnej fortecy, do której można było wejść tylko przez studnię i ukryty tunel. Autor rękopisu nie wyjawiał nazwy fortecy, chociaż bardzo dokładnie wskazywał, jak znaleźć studnię. Podawał kąty i odległości od konkretnego punktu: „Wejście do serca fortecy”. Dane były ukryte i uzyskiwało się je po dokonaniu serii obliczeń oraz skomplikowanych operacji, które należało przeprowadzić, posługując się dwoma prymitywnymi rysunkami. Rękopis pokazywał te rysunki, byle jak wykonane, bez żadnej skali. Ale Catalina z łatwością je rozpoznała: widniały w Wieży Więźnia fortecy w Gisors.

Odwróciła kartę, by sprawdzić, czy nie ma czegoś z drugiej strony. Przypomniała sobie nagle scenę z dawno oglądanego filmu, trzeciej części Indiana Jones, gdzie nieustraszony archeolog znajduje drogę do świątyni, w której ukryty jest święty Graal, dzięki...

– To jest mapa... mapa bez napisów!

Marie, która niewątpliwie znała treść rękopisu, ale na pewno nie zrozumiała wszystkiego, spytała:

– Mapa czego...?

– Drogi do kaplicy Świętej Katarzyny.

Jasne. Jak mogła dotąd się nie domyślić? Właśnie tej kaplicy szukał dziadek w zamku Gisors.

– Tej, którą znalazł Lhomoy? – wykrzyknęła przejęta Marie.

– Oczywiście – potwierdziła Catalina. – Chociaż założę się, że to mój dziadek odkrył ją pierwszy. Jeżeli udało mu się odczytać nazwę nieznanego zamku, o którym mówi rękopis, zdołał znaleźć rysunki w Wieży Więźnia i wykonać wszystko to, o czym tu mowa, to czemu nie miałby pierwszy odnaleźć wejścia przez studnię? – Zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie znalazła możliwą odpowiedź: Na rysunkach w wieży było coś więcej niż scena z Chrystusem na krzyżu?

– Tak, wydaje mi się, że były trzy – odparł z namysłem dozorca.

– Więc autor rękopisu się pomylił i narysował ten niewłaściwy rysunek. Dlatego mój dziadek musiał próbować, aż znalazł właściwą kombinację.

– A może ten, co zostawił rękopis, zrobił to umyślnie...

– Nie? – zasugerowała Marie, niespodziewanie bystrze. A widząc, że dozorca i Catalina patrzą na nią, dodała: – Żeby zmylić trop...

Catalina weszła do pokoju dziadka i usadowiła się w fotelu przed kominkiem, który stał się już jej stałym miejscem odpoczynku. A bardzo potrzebowała chwili wytchnienia. Po całym

dniu pełnym sekretów i rewelacyjnych odkryć była zupełnie wyczerpana. Ciało domagało się snu, z uporem przymykając powieki. Najpierw jednak Catalina musiała wypełnić obowiązek – spisać wszystkie uzyskane informacje. Czytając jeszcze raz swoją Listę przypuszczeń i prawd absolutnych, poskreślała niektóre z nich i pododawała nowe. W ten sposób Lista prawd absolutnych została uzupełniona następująco:

Prawda nr 6: Dziadek Claude kupił rękopis Leonarda da Vinci, na którym opiera się Codex Romanoff, na aukcji w Paryżu w 1941 roku.

Prawda nr 7: Z pewnością nielegalnie zdobył też kartę, wyrwaną z innego rękopisu (Tytuł? Autor?), będącego własnością Ermitażu w Sankt Petersburgu. W tym rękopisie jest mowa o fortecy (brak nazwy), pod którą znajduje się kaplica. Tajne wejście do niej przez studnię można zlokalizować, dokonując szeregu obliczeń i operacji na podstawie dwóch rysunków z Wieży Więźnia.

Prawda nr 8: Dziadek zdołał odkryć nazwę nieznannej fortecy. To zamek w Gisors. Pojawił się więc w tej miejscowości w początkach 1944 roku.

Prawda nr 9: Długi okres poszukiwań, prowadzonych jeszcze po wojnie, pozwala mi się domyślać, że dziadek nie pracował dla nazistów. Ale niewątpliwie zrobił wszystko, co możliwe, by pozyskać sobie niemieckich oficerów, zwłaszcza tego, który dowodził garnizonem w zamku (z pewnością dawał mu łapówki), by móc prowadzić swoje wykopaliska w poszukiwaniu kaplicy. Za pomocą rysunków z Wieży Więźnia próbował ustalić miejsce wejścia do kaplicy. Nie znalazł go od razu, być może z powodu nieumyślnego błędu autora rękopisu co do rysunku albo celowej omyłki (Marie jest genialna!).

Prawda nr 10: Dziadek znalazł w końcu tajemną kaplicę Świętej Katarzyny, o której mowa w rękopisie z Ermitażu. Stało się to nocą 6 czerwca 1944 roku. By zatrzeć ślady wiodące do kaplicy (może nawet chciał zniszczyć ją całkowicie), spowodował wybuch. Ślady eksplozji widać do dzisiaj w prowadzących tam korytarzach. Mimo to Roger Lhomoy zdołał ją znaleźć ponownie po II wojnie światowej, w 1946 roku.

Prawda nr 11: W kaplicy Świętej Katarzyny ukryto coś, co miało związek z Zakonem Syjonu, jakąś rzecz o zasadniczym znaczeniu, według Alberta przedmiot długich i dawnych poszukiwań dziadka (może dowód, naprawdę ważny, na istnienie potomstwa Jezusa i Marii Magdaleny?).

Prawda nr 12: Z Wyspy skarbów wynika jedynie, że miejsca ukrycia skarbów z reguły są zaznaczane znakiem krzyża (Cha cha cha).

To było wszystko. Tyle nowych prawd tylko w ciągu jednego dnia. Może nawet za wiele. Catalina przeciągnęła się i ziewnęła. Stwierdziła, że chyba nigdy w życiu nie czuła się taka zmęczona. Ułożyła papiery i podeszła do drzwi. Marzyła, żeby przespać co najmniej dziesięć godzin, chociaż na dworze już wstawał ranek.

39.

Paryż, 1794

Ah! Ca ira, ca ira, ca ira,

Les aristocrates a la lanterne.

Ah! Ca ira, ca ira, ca ira,

Les aristocrates, on les prendra!

Pieśń z okresu rewolucji francuskiej

„Arystokraci na latarnie!”



Jeszcze nie przebrzmiały dźwięki tej rewolucyjnej pieśni przeciw tyranii, kiedy nowy rząd Francji, daleki od początkowych ideałów rewolucji, zaczął stosować ucisk o wiele większy niż dawniej monarchia. Ostrze gilotyny wznosiło się i opadało tak często, że wszyscy zaczęli się bać, iż to oni zostaną ścięci następnym razem. Pozycja społeczna nie miała już żadnego znaczenia. Każdy, nie tylko arystokrata czy ksiądz, mógł trafić na szafot: od les aristocrates a la lanterne nastąpiło przejście do ogólnego terroru. A wszystkim sterował Maximilien de Robespierre.

Tym razem kolej przyszła na jednego z rewolucyjnych ekstremistów, który zdobył wielką popularność wśród ludu: dziennikarza Jacques'a Rene Heberta. Postawiono mu bezpodstawne zarzuty i osądzono. W to, że Hebert był złym człowiekiem, nikt nie wątpił. Ale nawet osoby do głębi złe powinny mieć prawo do obrony przed niezawisłym i bezstronnym sądem. Robespierre niezmiernie zazdrościł Hebertowi popularności i chciał się pozbyć tej przeszkody. Łatwiej było ściąć przeciwnika, niż stale go śledzić albo znosić jego krytykę i ataki polityczne. Hebert nazwał Robespierre'a „konserwatystą”, a takiej zniewagi nie mógł ścierpieć prawdziwy rewolucjonista. Z pewnością więc należało wyeliminować tego człowieka...

Tak myślał Robespierre, „Niezlomny”, jak go nazywał lud. I słusznie: był niezłomnie bezlitosny, ambitny, małostkowy. Zaczynał się germalinał, wedle kalendarza rewolucyjnego pierwszy miesiąc wiosny; choć wkoło nic nie budziło się do życia, wszędzie panowała śmierć.

Teraz umysł Robespierre'a zaprzętały sprawy ważniejsze niż Hebert. Wiedział, że jego najgorszymi wrogami nie są istoty z krwi i kości, mężczyźni czy kobiety z bronią w ręku. To idee są najgroźniejszym rywalem. Nieważne, prawdziwe czy fałszywe. Ważne, ilu ludzi w nie uwierzy. Ciemny naród nie rządzi się kategoriami prawdy czy kłamstwa. Kieruje się potęgą idei, w które wierzy, gwałtownością, z jaką się je wyraża. Robespierre był ateistą, nie miał nad sobą Boga ani żadnego innego pana, poza sobą samym, ale obawiał się chrześcijaństwa bardziej niż jakiegokolwiek człowieka. Wiary nie da się zabić, a ten, kto wierzy naprawdę, nie ulega przekupstwu czy pogrożkom nawet w obliczu śmierci. Wiara daje mu niewyciężoną siłę; obłądną, gdyż dla Robespierre'a ktoś wierzący w inne światy był nieszczęsnym fanatykiem i marzycielem; obłąkanym ślepcem. Ale budzącym lęk.

Właśnie z tego powodu zajmował się teraz sprawą najwyższej wagi. Czytał raport dostarczony przez swojego najbardziej zaufanego szpiega, Toussainta Conroya, człowieka z gminu, który był drobnym złodziejaszkiem i aferzystą, zanim znalazł nareszcie prawdziwe powołanie: szpiegostwo, tajne działania, denuncjacje. Wcześniej siedział w więzieniu w Tulonie, w brudnej czerwonej koszuli i żółtych spodniach w pasy, skazany na przymusowe roboty przy budowie statków.

– Cóż mi przynosisz? Tylko to...? – krzyknął Robespierre ze wzrastającym gniewem, kiedy przeczytał raport.

- Nie, obywatelu, mam jeszcze coś. To było tylko dla otworzenia komuś ust. Przeprowadziłem tu przyjaciela, który chce z tobą rozmawiać. Bardzo mu na tym zależy.

Słodki, niemal śpiewny głos tego człowieka donosił krew w żyłach. Conroy bardziej przypominał zdradliwą żmiję niż człowieka. Wyraz jego twarzy już po jednym spojrzeniu budził w każdym obrzydzenie. Jego uśmiech był grymasem wyniosłości i złośliwości, właściwym niktzemnikom.

- O kogo chodzi? Nie mam czasu na głupstwa.

Robespierre dobrze wiedział, że to nie mogą być głupstwa. Nie w wypadku Conroya, który za grosz nie miał poczucia humoru i żył tylko dla satysfakcji krzywdzenia innych. W ten sposób wyrażał swój gniew.

– O tego, którego nazywają wielkim mistrzem.

– Wielki mistrz? Tu!? – Robespierre zerwał się z miejsca. Kałamarz i pióro spadły z biurka. Atrament, czerwony jak krew, rozlał się na podłodze, jakby stanowił zapowiedź rychłego strasznego końca.

– Tu. We własnej osobie. Wpuścić?

Robespierre zapiął żakiet i skinął głową. Musiał się uspokoić, zanim spotka się z człowiekiem, którego mozolnie poszukiwał i tak bardzo pragnął widzieć. Włożył okulary, by ukryć za szklami błysk oczu. Kto to może być? Ktoś o znajomo brzmiącym nazwisku czy jakiś tajemniczy jegomość?

Conroy wyszedł na chwilę i zaraz powrócił, prowadząc wysokiego mężczyznę, zakutego w kajdany, o zbolącej twarzy, na której widniały ślady okrutnych tortur. Więzień szedł powoli i chwiejnie, pociągając jedną nogą, z oczyma wbitymi w ziemię. Temu mężczyźnie, zaledwie kilka lat starszemu od Robespierre'a, gwałtem odebrano całą dumę. Nie wyglądał godnie ani wytwornie. Był załamany i sponiewierany.

Mimo żałosnego wyglądu, plam na twarzy i rozczochranych włosów, Robespierre rozpoznał go: to Maximilien de Lorraine, arcybiskup Kolonii i kuzyn komendanta wrogich wojsk austriackich; ale był jeszcze bardziej znany z powodu swoich powiązań z królową żoną Ludwika XVI, Marią Antoniną, Austriaczką, którą kilka miesięcy temu sam Robespierre kazał ściąć.

– Bez trudu złapaliśmy klechę. Wzięliśmy go jak pawia z jego pałacowych ogrodów. Przy odrobinie wiary w siebie wszystko jest możliwe – rzekł Conroy z kpiącym uśmiechem i fałszywie słodkim tonem. – Nikt nie wie, że jest teraz w Paryżu... No, tylko naprawdę zaufani ludzie.

- Zdrajca! – krzyknął Robespierre, wskazując na Lorraine'a palcem prawej ręki.

Arcybiskup podniósł wreszcie wzrok, by spojrzeć na tego, kto obraził jego honor. Nie był ani nigdy nie miał zamiaru być zdrajcą. Tak uważał. Prędzej by zginął, niż zdradziłby jedyny ideał, który przepiełniał mu duszę i był dla niego źródłem wszystkiego, co dobre dla człowieka: wolności.

Ale dla niezłomnego Robespierre'a w żyłach biskupa płynęła krew ciemiejącej lud i niepopularnej królowej. Dla niego nie było innych barw na świecie niż te, które zastąpiły lilię burbońską: czerwona, biała i błękitna flagi tricolore; Francja ponad wszystko i wszystkich, za każdą cenę.

Robespierre rozkazał sprowadzić swojego zastępcę Louisa Antonia Leona de Saint-Justa. Kiedy przyjdzie, obaj wyciągną z Lorraine'a to, co chcieli wiedzieć. Albo wycisną go jak kamień, z którego w końcu pocieknie woda. Potem odda więźnia w ręce Saint-Justa, który teraz prowadził proces Georges'a Dantona. Robespierre postanowił wyeliminować największych radykałów ze swojej partii – Hebert już trafił na gilotynę – ale również tych najbardziej zachowawczych, „pobłażliwych”. Danton był właśnie jednym z nich. Przysłużył się sprawie, ale teraz rewolucja już go nie potrzebowała, więc musiał trafić na szafot. Jego głowa powinna spaść po to, by losy Francji mogły toczyć się dalej.

Tak myślał Robespierre w oczekiwaniu na Saint-Justa, nadęty krwawą pychą, obserwując człowieka, dzięki któremu będzie mógł zniszczyć największe niebezpieczeństwo dla ojczyzny i rewolucji: dynastię Chrystusa. Bo chociaż Robespierre nie wierzył w Jezusa ani Boga, uważał ideę katolicyzmu za niebezpieczną. Jego informatorzy wspominali o dziwnym tajnym stowarzyszeniu, które miało czelność wyjść z ukrycia, żeby zastąpić dawnych królów i rewolucjonistów. Ciągle jeszcze to prymitywne i absurdalne zarzewie katolicyzmu miało swoje gniazdo w sercach rodaków. Jak odważyliby się odrzucić potomka Jezusa Chrystusa, gdyby chciał nimi rządzić? Tym bardziej, mając na uwadze żałosne okoliczności.

Ale tu, twardy jak skała, stał on, Niezłomny, by do tego nie dopuścić.

Zanim Robespierre zdecydował skończyć z zakonem, nie wiedział o nim więcej niż o jakiejś starej legendzie. Masoni z jego loży, a i on sam, mówili o dynastii, która wzięła swój początek z Francji w pierwszych latach chrześcijaństwa. Nie dawano temu wiary, chociaż podania głosiły, że owa dynastia była pod opieką rycerzy zakonu templariuszy, którzy patronowali też narodzinom wolnomularstwa. Ale te początki były nieprawdziwe, nic ponad bajki starych bab... A może nie?

Robespierre stwierdził, że jednak legenda była czymś więcej niż zwykłym zmyśleniem. Informatorzy zapoznali go z prawdziwą historią tej organizacji, która miała chronić królewską dynastię Chrystusa. Nie można było potwierdzić, że zakon istnieje od początków naszej ery, ale istniały dokumenty wskazujące na jego działalność w pierwszych wiekach drugiego tysiąclecia. Nie było wystarczających danych dla potwierdzenia tych informacji. Ale Robespierre życzył sobie, by zbadać dogłębnie działania zakonu. Z przejętych dokumentów wynikało jasno, że istniał plan odrodzenia monarchii we Francji, z potomkiem Chrystusa na czele.

Niezłomny bardzo się zaniepokoił tą perspektywą. Powrót monarchii, choćby zupełnie innej niż burbońska, oznaczał zniszczenie wszystkiego, co zbudował na ruinach starego reżimu. Oznaczał też niewątpliwie upadek jego samego, gdyż nigdy, jako zdeklarowany antymonarchista, nie mógłby służyć żadnemu królowi.

Nie. Trzeba było uwierzyć szpiegowskim doniesieniom, potwierdzonym czy nie. Robespierre musiał unikać restauracji monarchii. Po zwalczeniu rojalistów, którzy usiłowali przywrócić na tron Burbona – Ludwika XVII, teraz trzeba było zabrać się za opiekunów tej dynastii Chrystusa.

Ci ostatni wydawali się bardziej niebezpieczni przez potęgę swojej argumentacji. Chorowity delfin, syn Ludwika XVI, nie przejmował go zbytnio. Miał dziewięć lat i mieszkał, po oddzieleniu od rodziny, w domu szewca, który uczył go rzemiosła kijem. Jego ojciec, Ludwik XVI, zginął na gilotynie. Matce, Marii Antoninie, pozostawało już tylko kilka miesięcy życia. W domu szewca, biednego i chorego na gruźlicę dzieciaka upijano i uczono nieprzyzwoitości. Zmieniono go w ohydny stwora z nienawiści za jego wysokie pochodzenie. Jeżeli to prawda, że wszyscy ludzie są równi w swojej ludzkiej wartości, to ci, którzy zniszczyli to dziecko z nienawiści, okazali się haniebnym wyjątkiem. Nic ich nie wzruszało. Dla nich syn króla był jak szczur, chociaż nazywali go pogardliwie wilczkiem.

40.

Gisors, 2004

– O ho, ho, patrzcie, kto to znowu przyszedł! Cześć, ślicznotko! Co tam nowego?

– Dla ciebie nic odparła Catalina chłopakowi z kawiarenki internetowej.

Przyszła tam drugi raz. Musiała znaleźć więcej rzeczy w Internecie. Tym razem nie była jednak sama. Przy czwartym stanowisku siedział mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna. Zobaczyła go już przez okno, zanim weszła, całkowicie oddanego działaniu na komputerze, z miną pewnej desperacji, którą natychmiast rozpoznała. Catalina także przeżyła wiele chwil frustracji, kiedy stawiała pierwsze kroki w świecie informatycznym. Biedaczek. Nie oderwał nawet oczu od ekranu, kiedy Obi Wan Kenobi ogłosił wejście Cataliny (Właśnie dałaś pierwszy krok w świat bez granic). Zrobił to dopiero na kwieciste powitanie chłopaka i jej opryskliwą odpowiedź.

– Witam – powiedziała Catalina, przechodząc koło nieznanego.

– Witam – odparł grzecznie i posłał jej lekki uśmiech, który Catalinie wydał się niezmiernie kuszący.

– Ten sam komputer co wczoraj, ślicznotko? – spytał pracownik niedbałym tonem.

– Czemu nie?

– Chwileczkę... Już. Korzystaj! – Catalina przypomniała sobie fotos blondyny z nieprawdopodobnym biustem, który widziała na monitorze chłopaka w czasie swojej pierwszej wizyty. - Nie sądzę, żebym korzystała tak wiele jak ty.

– A to mnie trafiłaś, mała! – wykrzyknął zachwycony.

Catalina usiadła dwa stanowiska na lewo od nieznanego. Tamten znów wlepił oczy w ekran, wobec czego ona również wzięła się do pracy. Najpierw musiała sprawdzić, czy znajdzie jakieś dodatkowe informacje pod hasłem Codex Romanoff, bo wczoraj musiała przerwać wirtualne wędrówki, by się spotkać z tym niemiłym urzędnikiem z merostwa w Gisors.

Po pewnym czasie doszła do wniosku, że w rezultacie znalazła już wszystko, co było na ten temat w Internecie. Zabrała się więc do kolejnego zadania: przetłumaczenia na hiszpański artykułu z niemieckiej gazety. Włączyła program translatorski nieocenionego Google'a. Tam znalazła listę par języków i odkryła, że z niemieckiego można tłumaczyć tylko na angielski lub francuski. Wolała ten drugi wariant. Gdyby była w Madrycie, mogłaby przetworzyć artykuł na dokument tekstowy za pomocą techniki OCR, której bardzo często używała. Wtedy wystarczyłoby tylko skopiować tekst i wrzucić go do programu na Google. Ale była w Gisors, więc musiała przepisać, słowo po słowie, ten długi i zagmatwany niemiecki artykuł.

Przepisywanie poszło jej nadspodziewanie prędko. Potem wcisnęła odpowiedni guzik sieci i w ciągu sekundy pojawiło się tłumaczenie na francuski. No, niezbyt dobre, ale wystarczyło do wychwycenia sensu.

Czytała szybko i z zainteresowaniem. Ucieszyła się, kiedy stwierdziła, że miała rację. Istotnie chodziło tu o opis pewnego rękopisu, zdobytego przez Ermitaż w czasie, gdy wyszedł ten numer gazety, czyli w roku 1928. Wydaje się, że był to jedyny istniejący egzemplarz dzieła niewydanego i anonimowego, znanego jako Znaki z Nieba. Catalina nigdy nie słyszała o tej książce, a krótka recenzja nie mówiła zbyt wiele. W Internecie także nic nie znalazła, choć pośrednio odkryła pewne ciekawe dane, przekazane przez księdza, żyjącego na przełomie XVI i XVII wieku, Alexandre'a Bourdeta. W jego pracy z roku 1696 Komentarze na temat historii Gisors pojawia się rysunek kaplicy Świętej Katarzyny. Ów dokument został włączony do współczesnej książki Templariusze są wśród nas autorstwa Gerarda de Sede'a.

To nie wszystko. Strony Bourdeta i Gerarda de Sede'a zaprowadziły Catalinę pod adres, gdzie znajdowały się wyczerpujące informacje na temat Zakonu Syjonu i maleńkiej miejscowości na południu Francji, Rennesle-Chateau, która, podobnie jak Gisors, była z nim ściśle powiązana.

### Krótką historia Zakonu Syjonu

Początki zakonu giną w mrokach niepamięci. Zakłada się, że Zakon Syjonu, bo tak go od początku nazywano, został założony w roku 1099 przez francuskiego szlachcica, Gotfryda de Bouillon, zaraz po wyzwoleniu Jerozolimy w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej. De Bouillon ustalił, że siedzibą zakonu będzie opactwo Świętej Maryi z Syjonu, zbudowane na oryginalnym wieczniku apostołów na górze Syjon, od której zakon wzięł nazwę. Do tego opactwa i do innych klasztorów, rozrzuconych po całej Palestynie, Francji i włoskiej Kalabrii, przybywali jacyś zagadkowi mnisi, wzywani przez Bouillona. Niemal trzydzieści lat wcześniej przywódca tej tajemniczej kongregacji pojawili się w dominiach księżnej de Lorraine, przybranej matki de Bouillona, która oddała im ziemie w okręgu Orval, gdzie zbudowali opactwo. Wszystko wskazuje na to, że owi mnisi chcieli bliżej poznać Bouillona, gdyż już w końcu X wieku, na tajnym zgromadzeniu, w którym brali udział, ten francuski szlachcic został obrany królem Jerozolimy, ponieważ mnisi złożyli dowody, iż jest on prawdziwym spadkobiercą dynastii Merowingów. Była ona owocem unii królewskiej rodziny Franków z pokoleniem pochodzącym bezpośrednio od króla Dawida z Izraela, Jezusa

z Nazaretu i Marii Magdaleny – i omal nie wyginęła na skutek spisków różnych francuskich szlachciców i Kościoła rzymskiego, który widział w następcach Chrystusa zagrożenie i herezję. W rezultacie tego spisku zamordowano króla Merowingów Dagoberta II i niemal cały jego ród, w pobliżu tego miejsca, w którym wiele wieków potem wzniesiono opactwo Orval. Tylko jeden z synów króla, Sigisbert, zdołał zbiec – i w ten sposób dynastia Jezusa przetrwała. Od tego czasu pozostawała jednak w ukryciu, by uchronić się przed licznymi i potężnymi wrogami. Ostatni z Merowingów, który przeżył, poszukał schronienia w małej grupie zwolenników, bezwarunkowo lojalnych, którzy utworzyli potem Zakon Syjonu. Ich misja zawsze pozostaje taka sama: ochraniać za wszelką cenę tożsamość i bezpieczeństwo potomków Chrystusa, prawdziwego Świętego Graala, który nie był kielichem, jakiego Chrystus używał w czasie Ostatniej Wieczerzy, ani żadnym innym przedmiotem, lecz stanowili go po prostu potomkowie „Sang Real” – boskiej i królewskiej krwi, następcy Syna Bożego.

Dopiero teraz Catalina uświadomiła sobie, że następcy Chrystusa to nie był czysto duchowy czy dogmatyczny, ale że mają oni związek z rzeczywistym światem. Jeśli potomkowie Jezusa i Marii Magdaleny byli spokrewnieni z monarchią francuską, to mają prawo do odnowienia monarchii we Francji, chociaż ten kraj od dawna już istniał jako republika. To samo odnosiło się do Izraela, gdzie pojawienia się ewentualnego pretendenta do tronu mogłoby skomplikować i tak już zawiłą sytuację w tym państwie.

Bouillon skromnie zrezygnował z tytułu króla Izraela, przyznanego mu podczas tajnego zgromadzenia zakonu i przyjął jedynie tytuł Obrońcy Grobu Świętego i pierwszego mistrza Zakonu Syjonu. Potem ten tytuł przechodził na kolejnych wybrańców; podczas prawie 200 lat, aż do roku 1188 Zakon Syjonu był bardzo ściśle powiązany z innym zakonem rycerskim, założonym w Ziemi Świętej przez Hugona de Payns: Zakonem Ubogich Rycerzy Chrystusa, templariuszy. Na rok przed tą datą utracono Jerozolimę, co Zakon Syjonu przypisywał haniebną zdradzie samego wielkiego mistrza templariuszy, Gerarda de Rideforta. Rozdzielenie się obu zakonów nastąpiło w normandzkiej miejscowości Gisors i zostało przypieczętowane symbolicznym „Ścięciem wiązu w Gisors”. W rzeczywistości ten epizod nie miał bezpośredniego związku z Zakonem Syjonu i templariuszami. Wiąz w Gisors był stuletnim drzewem, przy którym często spotykali się królowie Francji i Anglii. W sierpniu 1188 roku jedno z takich spotkań zakończyło się krwawą bitwą o miejsca w cieniu, w wyniku czego ścięto wielu ludzi; także stare drzewo.

Pierwszy mistrz Zakonu Syjonu, już zupełnie niezależnego od templariuszy, był szlachcicem właśnie z tej miejscowości, gdzie nastąpiło rozdzielenie. Nazywał się Jean de Gisors. Każdy z zakonów poszedł już wtedy swoją drogą, chociaż przez długi czas zachowali wiele takich samych obyczajów, a liczne najbardziej głęboko ukryte tajemnice jednej i drugiej organizacji znane były przywódcom dawnego sojusznika.

Jedną z takich wspólnych tajemnic było istnienie kaplicy Świętej Katarzyny na zamku w Gisors. Usytuowanie podziemnej świątyni znało tylko bardzo niewielu ludzi. Wierzono, że templariusze ukryli tam dużą część swojego legendarnego skarbu podczas pośpiesznej ucieczki do Anglii po rozwiązaniu zakonu przez ambitnego i bystrego Filipa IV, króla Francji. W ucieczce i w ukryciu skarbu w kaplicy pomógł im ówczesny wielki mistrz Zakonu Syjonu, Guillaume de Gisors, wysoki dostojnik na królewskim dworze. Również on zniszczył najtajniejsze dokumenty templariuszy. I tak oto pomógł dawnym braciom, którzy popadli w niełaskę.

Istnieją pogłoski, że ową kaplicę wykorzystał także Zakon Syjonu, aby ukryć w niej skarby i dokumenty, kiedy z kolei na niego przyszła ostatnia godzina: w czasie rewolucji francuskiej w końcu XVIII wieku.

Im więcej Catalina dowiadywała się o kaplicy świętej, której imię nosiła, tym bardziej interesowała ją ta świątynia – i to, co dziadek mógł w niej znaleźć. Bo niewątpliwie było to najważniejsze miejsce zarówno dla templariuszy, jak i dla Zakonu Syjonu.

### Tajemnica Rennes-le-Chateau

W połowie roku 1885 Rennes-le-Chateau, wioska licząca mniej niż trzystu mieszkańców, znajdująca się w Langwedocji francuskiej, otrzymała nowego proboszcza, Francoisa Berengera Sauniere'a. Nikt wtedy nie podejrzewał, że ten człowiek zmieni nic nieznaczącą wieś w światowej klasy fenomen.

Niebawem po objęciu parafii, Sauniere dostał ostrą reprimendę od zwierzchnika za swoje radykalne poglądy polityczne. Odebrano mu pensję proboszcza i „wygnano” do pewnego seminarium. Po roku wrócił do Rennes-le-Chateau. Niemal bez środków do życia, a parafia była w tak złym stanie, że nie mógł w niej mieszkać, Sauniere wynajął więc pokój u kobiety we wsi, Alexandrine Denarnaud. Kiedy w końcu zdjęto z niego karę i przywrócono pensję, Sauniere zatrudnił córkę tej kobiety, Marie, jako gospodynię. Odtąd była zawsze obok proboszcza, aż do jego śmierci w roku 1917.

Nie jest zupełnie jasne, kiedy zaczęło się to, co nazwano „tajemnicą Rennes-le-Chateau”, ani nie są wiadome okoliczności wokół jej powstania. Ale najczęściej mówi się, że podczas prac nad renowacją bardzo zniszczonego kościoła Świętej Marii Magdaleny odsunięto główny ołtarz, złożony z płyty kamiennej wspartej na dwóch kolumnach, jednej pokrytej rzeźbami, a drugiej gładkiej. Wewnątrz jednej z tych kolumn, a może w tajnym schowku balustrady, jak podaje inna wersja, znajdowały się tajemnicze pergaminy.

Czytając to, Catalina pomyślała o pergaminie skradzionym jej dziadkowi, a wcześniej zabranym z Ermitażu. Pytała sama siebie, czemu, tak czy inaczej, pergaminy zawsze owiane są tajemnicą.

Ponadto podczas prac remontowych odkryto także blok skalny, zwany „płytą rycerzy”, ukryty w wejściu do kaplicy grobowej, której wewnątrz oglądał jedynie Sauniere, wyganiając z niej robotników.

Następnego dnia proboszcz podobno pokazywał rozmaite złote monety i stare klejnoty zaufanym osobom. Należy przypuszczać, że jedne i drugie były w znalezionej krypcie. Jednak, chociaż mowa jest o przedmiotach niewątpliwie wartościowych, to nie one mogły być początkiem niezmiernego i nagłego bogactwa, którym niebawem szczycił się Sauniere. Wszyscy wskazywali znalezione pergaminy jako źródło niespodziewanego majątku.

Podobno były to cztery rękopisy: dwa z nich podawały genealogię dynastii Merowingów, potomków Chrystusa w okresie od XIII do XVII wieku; trzeci pergamin był testamentem miejscowego szlachcica, Francois Pierre'a d'Hautpoula; czwarty pergamin, złożony z dwóch dokumentów, został zapisany przez spowiednika innej szlachetnej osobistości, należącej także do rodziny d'Hautpoul, markizy de Blanchefort. Ksiądz Antoine Bigou był wówczas wujem zakrystiana parafii Sauniere'a.

Z czterech pergaminów istnieją kopie tylko tego ostatniego. Pojawiły się w latach sześćdziesiątych w dziele Gerarda de Sede'a Złoto Rennes, w którym autor podał też inne szczegóły na temat tajemnicy Rennes-le-Chateau i jej zagadkowego proboszcza.

Dwa teksty, z których składał się przechowany pergamin, napisane były po łacinie i zawierały cytaty z Nowego Testamentu. W jednym z nich, najkrótszym, niektóre słowa zostały wycięte, potem powtórzone, niepotrzebnie, w innej linii; ponadto niektóre wyrazy dziwnie podzielono, a niektóre litery były pisane nieco wyżej niż reszta. Dzięki tym

wyraźnym znakom, bez trudu dawało się przeczytać zdanie: „Ten skarb należy do króla Dagoberta i do Syjonu, a on leży tam umarły”.

Proces rozszyfrowywania drugiego dokumentu był niewątpliwie trudniejszy – i w kilku punktach coś się nie zgadzało. W tym dokumencie trzy zasadnicze linie wskazywały, że ma się do czynienia z tajemniczym przesłaniem. Zauważało się tam obecność pojedynczych liter, przypadkowo poustawianych, których nie ma w oryginalnych tekstach biblijnych; pojawiały się litery mniejsze niż reszta oraz inne, nie wiadomo dlaczego bardzo ściśnięte.

To wszystko było połączone ze słowami z epitafium umieszczonego na grobie markizy de Blanchefort – także dzieła Bigou; dokonano dwóch transformacji matematycznych, według metody zwanej „transformacją Vigenere’a”, dwukrotnej zamiany jednych liter na drugie, a nawet posłużono się metodą graficzną, do ostatecznej selekcji odpowiednich liter, opartą na ruchu konika szachowego.

W rezultacie tego skomplikowanego procesu uzyskano tekst: „Pasterka bez pokusy która Poussin Teniers trzymają klucz pokój 681 (w cyfrach rzymskich) przez krzyż i ten koń Boga zniszczył w południe demona stróża jabłek błękitnych”.

Całkowite znaczenie tego przesłania nie jest znane, ale istnieją pewne wskazówki. Na przykład Poussin – to nazwisko francuskiego malarza z okresu baroku, autora obrazu Pasterze w Arkadii. Sauniere z pewnością mógł widzieć to dzieło w Luwrze, po odkryciu owych rękopisów. Na malowidle pasterze stoją wokół nagrobka z napisem Et in Arcadia Ego (I ja także jestem w Arkadii), znany anagram, gdyż z tych samych liter można utworzyć tekst z tego arcana otez (odejdz, ukrywam tajemnice Boga).

Także nazwisko Teniers, pojawiające się w rozszyfrowanym tekście, należy do malarza, tym razem flamandzkiego i współczesnego Poussinowi, autora obrazu przedstawiającego świętego Antoniego – w głębi tła stoi pasterz, czy też pasterka, a święty nie jest tu kuszony przez diabła, jak zwykle się go przedstawia. Ten obraz mógłby mieć związek z początkiem tekstu „pasterka bez pokusy”.

Te wskazówki, a także inne, które sam Sauniere odkrył, i dzięki temu odczytał tekst, prowadzą oczywiście do bajecznego skarbu króla Dagoberta. I właśnie odnalezienie tego skarbu było przyczyną nagłego i niezmiernego bogactwa proboszcza.

Catalina pomyślała, że głowa jej pęknie od nadmiaru informacji i wobec tylu skomplikowanych powiązań pomiędzy dynastią Jezusa i Zakonem Syjonu: tajemnicze kongregacje mnichów, rycerze zakonu templariuszy, Gisors, ukryte skarby, zakodowane przekazy, obrazy skrywające tajemnice... zupełne szaleństwo.

A najbardziej przyprawiło Catalinę o ból głowy to, że w Internecie znalazła zarówno zagorzałych obrońców, jak i zaprzysięgłych przeciwników tych teorii. Co ciekawe, zarówno jedni, jak i drudzy przedstawiali niepodważalne dowody: obie strony cytowały opinie naukowców, pokazywały dokumenty nie do zakwestionowania, dowodziły niemożliwości pewnych przypadków, wydobywały na światło dzienne publiczne zapisy, operowały obiektywnymi danymi. Wobec tego, gdzie jest prawda? – pytała Catalina.

Natomiast jedni i drudzy podawali te same imiona pewnych osób, przy czym pierwsi niemal je uwielbiali i uważali za absolutnie wiarygodne, a drudzy obrażali, oskarżali o kłamstwa i wymyślanie bzdur. Albo też, w najlepszym wypadku, zarzucali naiwność ludziom, którzy w nie wierzą. Wśród tych naiwnych znalazł się pisarz Gerard de Sede, którego Catalina odkryła w swoich wirtualnych wędrówkach. Był on autorem różnych prac, poruszających tematy zagadkowe, między innymi sprawy tajnych stowarzyszeń, związanych z Gisors i Rennes-le-Chateau.

Pierre Plantard i Philippe de Cherisey – to kolejni wiecznie obecni w tej skomplikowanej historii. Pierwszy był tajemniczą figurą, związaną z ekstremalną prawicą w okresie rządu Vichy. Doradca, według jednych, i „deprawator”, jak mówili inni. Wspomagał on badania

Gerarda de Sede'a i wielu innych pisarzy oraz dziennikarzy w sprawach związanych z Gisors, Rennes-le-Chateau i Zakonem Syjonu. Catalinę aż zatkało, kiedy odkryła, że Plantard był założycielem zakonu! W jego współczesnej wersji. Zarejestrował go w podprefekturze Saint-Julien-en-Genevoise, w 1956 roku. Potem sam siebie mianował sekretarzem tej organizacji, której statutowym celem było odrodzenie dawnego zakonu rycerskiego i zwiększenie solidarności między ludźmi. W jakiś czas później Plantard ogłosił się prawowitym członkiem dynastii Merowingów i bezpośrednim potomkiem rodu Chrystusa.

Z kolei Philippe de Cherisey przez wiele lat był serdecznym przyjacielem Plantarda. Powszechnie uważano, że to on, dobrze wykształcony ekscentryk i znawca hieroglifów, wymyślił razem z Plantardem większość historii na temat Zakonu Syjonu, Gisors, a przede wszystkim Rennes-le-Chateau.

W tym chaosie, gdzie nic nie było pewne i wszystko wydawało się manipulacją, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, mało wiarygodnie wyglądały nawet deklaracje składane w latach osiemdziesiątych przez samego Cheriseya. Twierdził on, że sprawa zaszyfrowanego rękopisu z Rennes-le-Chateau była wyłącznie wytworem fantazji proboszcza Saunier'a.

Catalina raz jeszcze zastanowiła się, gdzie może tkwić prawda. A także, czyjej dziadek miał jakiś związek z tymi kluczowymi postaciami, zwłaszcza zaś z Plantardem i de Cheriseyem. Doszła do wniosku, że to niemal niemożliwe, zakładając ich przynależność do nowego zakonu, organizacji, która od zawsze była przedmiotem badań dziadka.

41.

Kolonia, 1794

Saint-Just i Conroy pędzili konno całą noc. Zaczynało się przejaśniać, kiedy z dala dostrzegli wyniosłe wieże katedry w Kolonii. W słabym świetle rodzącego się dnia wydawały się nierzeczywiste. W przeczystym powietrzu wydawało się, iż odległa katedra jest niemal na wyciągnięcie ręki.

Spytali o Marie Josepha Motiera, markiza de La Fayette. Ten nieustraszony człowiek, liberał i idealista, brał udział w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Uznano go tam za bohatera; uczestniczył też w rewolucji w swojej ojczyźnie w roku 1789. Jego szlachetne pochodzenie nie mogło równać się ze szlachetnością ducha, w przeciwieństwie do wielu innych, których głowy spadły pod ciosem gilotyny. On pragnął sprawiedliwości społecznej dla wszystkich. Służył ideałom rewolucji: wolności, równości i braterstwu. Dla niego nie były to po prostu piękne słowa, ale idee, które powinny zostać wprowadzone w życie.

Jako umiarkowany polityk należał do Zgromadzenia Narodowego i brał udział w opracowaniu Deklaracji praw człowieka. Nie był antymonarchistą i w gruncie rzeczy chciał przywrócić monarchię, tylko w formie konstytucyjnej. W roku 1792, po oblężeniu przez tłum pałacu w Wersalu, ratował króla Ludwika XVI i jego rodzinę. Wtedy jakobini, z Robespierre'em na czele, oskarżyli go o zdradę. Musiał uciekać z Francji. Uratował głowę i zdołał dotrzeć do Flandrii, ale nie zyskał przez to wolności. Na tym terenie rządziły wtedy wojska austriackie. Markiz został uwięziony, a potem przenoszony z więzienia do więzienia w państewkach niemieckich.

Właśnie do jednego z tych więzień, znajdującego się w Kolonii, skierowali kroki wysłannicy Robespierre'a: jego zastępca i najlepszy szpieg gdyż dobrze mówili po niemiecku. Obaj przybyli tu pod zmienionymi nazwiskami i z fałszywymi dokumentami. Udawali kupców francuskich, jadących do Kolonii w celu nabycia słynnych tkanin. Conroy nie był tam osobiście, by pojmać arcybiskupa Lorraine'a, wielkiego mistrza Zakonu Syjonu. A ci, którzy przybyli z tą misją, nie podawali swojej narodowości: po prostu wykonali zadanie i zniknęli jak złe duchy.



Mimo to należało się zabezpieczyć. Wzburzone władze miejskie z pewnością podejrzewały każdego cudzoziemca. Nie dlatego, by miał związek z porwaniem, to byłoby absurdalne – chociaż czasami to, co najmniej prawdopodobne, okazuje się prawdziwe – ale ze względu na ogólną sytuację niepokoju i potrzebę zachowania ostrożności.

Dwaj ludzie tak różni od siebie, jak cherlawy Conroy i smukły, młody Saint-Just, znaleźli miejsce w gospodzie. Jasne było, że ten pierwszy odegra rolę pomocnika drugiego. W średniowieczu Saint-Just byłby rycerzem, a Conroy giermkim.

Gospoda znajdowała się niedaleko od więzienia. Przez pierwsze dni wysłannicy Robespierre'a odwiedzali warsztaty tkackie, udając, że szukają odpowiednich materiałów, a potem zaczęli chodzić po tawernach w pobliżu więzienia. Musieli nawiązać kontakt ze strażnikiem więziennym, który za łapówkę zaprowadziłby ich do La Fayette'a. Pieniądze nie stanowiły problemu. Saint-Just miał ich aż za dużo, więc mógł je rozrzutnie wydawać. Skarbiec Francji otwierał się na oścież w wypadku misji o tak wielkim znaczeniu. Koszty ani środki służące do osiągnięcia celu nie miały znaczenia, jak uważało wielu skorumpowanych, choć ich przywódca nosił dumne miano „nieprzekupnego”.

Zawsze ostrożnie i z rezerwą, przez kilka dni Saint-Just i Conroy przysłuchiwali się rozmowom i poznawali ludzi przychodzących do zajazdów. Obserwowali, kto pije więcej, niż może zapłacić, kto ma za długi język, kto wygląda na przygłupiego. W końcu znaleźli swoją ofiarę. Jegomość był niski, gruby, w średnim wieku, z kartoflowatym nosem, łysawy – wyglądał na kogoś, kto tylko czeka na łapówkę. Conroy znał doskonale ten rodzaj ludzi. Należało ich podejść delikatnym pochlebstwem. Zdrajca zawsze będzie się chwalił swoją wiernością, podobnie jak tchórz odwagą. Twarze wielu ludzi okrywa maska udawanej cnoty. A czasami ktoś skromny i naturalny staje się w końcu prawdziwym bohaterem.

– Pozwolicie, panie? – Conroy wskazał jedno z pustych krzeseł przy stole, zajmowanym przez upatrzonego mężczyznę.

Saint-Just wyszedł z karczmy. Miał czas pojawić się na scenie, kiedy głównym tematem rozmowy stanie się dźwięcząca moneta.

– Proszę, panie... – odparł grubas trochę zdziwiony.

– Pozwól, przyjacielu, że zaproszę cię na kufel piwa. Jestem cudzoziemcem.

– Francuzem?

– Właśnie. Widzę, że bystry i mądry z ciebie obserwator. Człowieczek aż oblizal się z zadowolenia na to niewyszukane pochlebstwo.

– Nazywam się Nomit Changrel. – Conroy podał zupełnie nieprawdopodobne dane. No, ale w końcu tylko Francuz domyśliłby się, że takie imię i nazwisko nie może istnieć we Francji. – Nie znam tu w mieście nikogo – dodał.

– Jestem Abel Dorgendorf, dozorca więzienny... Ale... czy przedtem nie towarzyszył panu jeszcze ktoś, panie Nomit?

Conroy wystudiowanym ruchem okazał znużenie, połączone z niechęcią. Był to kolejny trik, by zyskać życzliwość dozorca, a zadanie wydawało się coraz łatwiejsze.

– Tak, to mój pan. Przyjechał tu kupować materiały. Nareszcie się oddalił. Podeszła karczmarka, okrągłutka Niemeczka z blond warkoczami zwiniętymi w koczki koło uszu. Conroy poprosił o dwa kufle piwa i ciągnął:

– To doprawdy straszny bufon i wyobraża sobie Bóg wie co. Nie znoszę go. Nie musiał udawać antypatii do Saint-Justa, a teraz przydało się to jak znalazł, by zdobyć zaufanie rozmówcy.

– Rozumiem cię... – rzekł dozorca z westchnieniem.

– Naprawdę? – spytał z emfazą Conroy, jakby ta rewelacja ogromnie go zdumiała.

– Tak, mój francuski przyjacielu. Rozumiem cię doskonale. Ja sam, chociaż mam bardzo wysokie stanowisko w miejskim więzieniu, podlegam takim różnym...

Conroy mu przerwał. Był to dobry moment, by grubas zrozumiał, że szanuje się jego prywatne sprawy – by tym lepiej go potem oszukać.

– Nie musisz mi opowiadać, jeżeli sprawia ci to przykrość, monsieur Dorgendorf – powiedział i zamówił kolejne dwa kufle piwa.

– Och, zawsze znajdzie się jakaś zakąta, która przeszkadza innym w wykonywaniu pracy. A zwierzchnicy tylko by rozkazywali i żądali. Ale sprawy same się nie robią.

– Wielka prawda!

Czas mijał na pochlebstwach i udawanych gestach zaufania. Po kolejnych trzech kuflach piwa Abel Dorgendorf był już najlepszym przyjacielem Conroya, ufał mu jak własnemu bratu i chętnie opowiedziałby wszystko, co tylko tamten by chciał. Nadeszła chwila ataku. Conroy wystrzył język.

– Wiem, czego ci potrzeba, przyjacielu Ablu.

– Ach, tak...?

– A jakże!

– I czego mianowicie?

– Rzucić w czorty to więzienie, zmienić swoje życie, zacząć nowe w innym miejscu.

Dorgendorf wytrzeszczył oczy. Ale zaraz potrząsnął głową.

– Niemożliwe. A co innego miałbym robić? Nie, to niemożliwe.

– Jasne, że możliwe, mój Ablu. Wystarczy, że uczynisz mi małą przysługę...

42.

Paryż, 1794

Sytuacja zakonu przedstawiała się coraz bardziej ponuro. Wielki mistrz na torturach zaczął mówić, a chociaż wyznanie w takich warunkach nie jest równoznaczne ze zdradą, to tragiczny skutek pozostaje taki sam. Robespierre chciał dowiedzieć się wszystkiego o zakonie: kto do niego należy, gdzie są dokumenty potwierdzające ciągłość świętej dynastii, gdzie przebywają następcy Chrystusa... wszystko. I osiągnął, czego chciał, najbardziej wyrafinowanymi metodami tortur, które Conroy, z pomocą okrutnego chirurga szpitala dla nieuleczalnie chorych, wymyślił specjalnie dla nieszczęsnego wielkiego mistrza, a które potem zostały wprowadzone w całej Francji. Był to wielki „postęp” w państwie terroru, gdyż osoba torturowana, mimo bólu, pozostawała przytomna. Tego nie można było bohatercko wytrzymać. Lorraine robił wszystko, by nie zdradzić sekretu; wolałby umrzeć, niż wyjawić tajemnicę. Ale nowe metody maltretowania przełamały jego silną wolę.

Wskazał jeszcze dwóch członków zakonu, którzy znają prawdę o świętej dynastii. Jeden posiadał plan z dokumentami i archiwami zakonu, a drugi przechowywał pełną listę członków. Wielki mistrz nie wiedział, gdzie obecnie są ukryte archiwa. Zostały przeniesione w inne miejsce wraz z wybuchem rewolucji i dotychczas nie odbyło się zebranie najważniejszych członków zakonu. W tych niespokojnych czasach nie byłoby rozsądne zwoływanie kapituły zakonu, narażające wszystkich na niebezpieczeństwo z powodu czegoś, co nie miało aż tak dużego znaczenia w porównaniu z najważniejszym zadaniem: opieką nad potomkami Chrystusa.

Potomkowie także nie mogli zostać uwięzieni, gdyż Lorraine osobiście polecił, po uzgodnieniu z La Fayette'em, by ich wysłać do Anglii i zostawić pod opieką potężnych przyjaciół, póki we Francji szaleje terror, a w całej Europie wojna. Wyspa była idealnym schronieniem, dalekim od wszelkich zagrożeń.

Robespierre potrzebował zatem planu, który pozostawał w rękach La Fayette'a, by dotrzeć do archiwów zakonu i zniszczyć je bezpośrednio; La Fayette siedział jednak w więzieniu w Kolonii. Co prawda był więźniem tylko na papierze, gdyż arcybiskup Lorraine opiekował się nim z ukrycia. Należało też wymyślić sposób wyeliminowania następców Chrystusa,

mieszkających obecnie w jakimś angielskim dworze na prowincji pod opieką wdowy po członku parlamentu brytyjskiego, diuku Farnsworth.

Tymczasem Robespierre wysłał najbardziej zaufanych ludzi do Kolonii z misją zdobycia planu od La Fayette'a. Resztę musiał dokładnie opracować, gdyż operacja była trudna, ryzykowna i skomplikowana. Mimo to w jego chłodnym umyśle zaczął już świtać nowy, znakomity pomysł...

43.

Gisors, 2004

Catalina siedziała jak przymurowana w kawiarence internetowej w Gisors, szukając dalej w Internecie. W kwestii kawałków puzzla sieć jednak okazała się niewiele pomocna. Od chwili otrzymania spadku Catalina ciągle nosiła je przy sobie, jak amulety, chociaż nie wierzyła w żadne magiczne właściwości przedmiotów, w przepowiednie i wróżby. Szukała informacji o producentach puzzli, w nadziei że może nazwisko któregoś z nich zgodzi się z napisem wydrukowanym na jej puzzlu. Wtedy zdołałaby ustalić, jak wygląda całość układanki. Plan był dobry. Nie dał jednak rezultatów: albo producent nie miał strony internetowej, albo ona nie potrafiła jej znaleźć. W związku z tym kawałki puzzli pozostały zagadką, łamigłówką bez rozwiązania.

Gdy Catalina szperała w sieci, zauważyła, że nieznajomy kręci się niespokojnie na siedzeniu, a jego desperacja rośnie z każdą chwilą. Usłyszała nawet raz, jak mruczał: „Ale gdzie by się podziała ta strona?” Nie zdziwiła się więc, kiedy zawołał do niej dyskretnie:

– Przepraszam...

Catalina odsunęła się od komputera, wdzięczna, że dzięki nieznajomemu może przerwać swoją męczącą wędrówkę po sieci.

– Tak?

– Mogłaby mi pani pomóc, jeśli w zamian obiecuję zostać jej niewolnikiem na resztę dnia?

Facet powiedział to z takim przekonaniem, a jego męska, ujmująca twarz wyrażała tak komiczne zgnębienie, że Catalina parsknęła śmiechem.

– Niech pan uważa, bo gotowa jestem przyjąć propozycję... A nazwisko mojego przyszłego niewolnika brzmi...?

– Głupek? Niedojda? Gapa? Osioł?! Proszę wybrać, co pani woli. Catalina stwierdziła w duchu, że jest sympatyczny – bardzo sympatyczny.

– Cóż, ja mam na imię po prostu Catalina.

Mężczyzna wstał, co pozwoliło lepiej ocenić jego dobrą prezencję i atletyczne i zgrabne ciało. Skoro był sympatyczny i przystojny, do ideału brakowało mu jedynie inteligencji. Ale zgodnie z niemałym doświadczeniem Cataliny w sprawach damsko-męskich – chcieć, żeby te wszystkie trzy cnoty skupiły się w jednym mężczyźnie, to wymagać zbyt wiele. Już więc widziała, jak jej przyszły niewolnik serwuje jakieś głupie teksty albo z uroczego mężczyzny błyskawicznie staje się obleśnym podrywaczem, pewnym że jeszcze tej nocy zaprowadzi ją do łóżka. Tymczasem on nie zareagował ani tak, ani tak...

– Powinienem się przyznać do kłamstwa. Rzeczywiście, moje nazwiska to „głupek”, „gapa” i „niedojda”. Imię też mam bardzo pospolite. Nosi je połowa Irlandczyków na świecie: Patrick – powiedział, podając jej rękę.

– A co z „osłem”? – dopytywała Catalina, ściskając mu dłoń.

– Ach, tak zawsze nazywa mnie matka, kiedy kończymy rozmawiać przez telefon.

Irlandczyk – ma matkę; ale czy także swoją rodzinę? Jasne, wszyscy interesujący mężczyźni po trzydziestce są już żonaci albo zaręczeni, zatem odpowiedź na to pytanie bez wątpliwości brzmi: tak. Albo jest gejem. Catalina musiała na razie, niestety, pozostać ze swoimi wątpliwościami. Za wcześnie na zadawanie takich pytań – ale wszystko w swoim czasie.

– Uaaahuuu! – Usłyszeli radosny okrzyk pracownika kawiarenki, który zapewne znalazł w tej chwili kolejną doskonałą stronę erotyczną.

To przyspieszyło decyzję Cataliny.

– Mam dla pana nieprzyzwoitą propozycję – powiedziała. – Skończmy już dzisiaj z tymi komputerowymi zmaganiem i chodźmy stąd. Pomoże mi pan znaleźć jakąś dobrą księgarnię, otwartą w niedzielę, a potem postawię lunch.

Patrick rzucił pełne niechęci spojrzenie na komputer i odparł:

– Bardzo mnie kusi dalsze mordowanie się z tym gratem, mimo to przyjmuję pani propozycję. Ale ja zapraszam. Tyle przynajmniej może zrobić niewolnik.

– Dobrze - zgodziła się.

Catalina zdecydowanie uznawała równość obu płci, ale bez śmiesznej przesady. Dlatego równie dobrze mogła zaprosić mężczyznę na lunch, jak i zgodzić się na to, żeby on zapłacił, jeżeli nalega. W końcu zdobyła darmowego niewolnika w kawiarence internetowej. To się nazywa fart!

– Ma pani śliczny uśmiech – zauważył z galanterią Patrick.

Proste i szczere komplementy, takie jak ten, wchodziły również w zakres rzeczy, które spośród umizgów Catalina była w stanie zaakceptować.

– Czy to też niewolnicza uprzejmość?

– Nie – odpowiedział, patrząc na Catalinę tak, że aż poczuła dreszcze.

Po wyjściu z kawiarenki Patrick zaprowadził Catalinę do pobliskiej księgarni. Sklepik nosił malowniczą nazwę Aux Templiers, wypisaną na drewnianym prostokacie literami koloru bordo na zielonym tle. W środku, oprócz książek i artykułów piśmienniczych, znajdowały się porozwieszane na ścianach obrazy. Zamykali o wpół do pierwszej, więc Catalina ledwie zdążyła znaleźć tytuły, które chciała kupić. Oboje, ona i Patrick, przeglądali półki. Zaskoczyła ich ilość prac traktujących o Gisors i templariuszach. Poza książką Gerarda de Sede'a Templariusze są wśród nas, którą Catalina odkryła w Internecie, było co najmniej pół tuzina tytułów więcej. Zdecydowała jednak, że na razie wystarczy jej ta jedna. Tym bardziej że musiała jeszcze kupić i koniecznie przeczytać inne dzieło: to, w którym znalazła się wersja Codex Romanoff pochodząca od tajemniczej rodziny z Piemontu, ogłoszona w początkach lat osiemdziesiątych XX wieku. Wydarzenia poprzedniego dnia zmusiły Catalinę do odłożenia sprawy na potem, ale nie chciała już dłużej zwlekać. Była szalenie ciekawa, czy wersja Codeksu jej dziadka jest taka sama, czy odmienna od piemonckiej.

Tym razem żadne z nich nie mogło znaleźć poszukiwanej książki. Catalina musiała poprosić o pomoc pracownika księgarni. Ten wskazał pracę zatytułowaną Notatki kulinarne Leonarda da Vinci, skompilowane przez Shelagh'a i Jonathana Routha, którzy oczywiście włączyli do niej cały Codex Romanoff. Catalina, dla pewności, poprosiła jeszcze o jedną książkę z tymi tekstami.

Myślała, że te trzy prace rozproszą wszelkie wątpliwości. Już na ulicy Patrick zapytał:

– Jesteś głodna?

W pewnej chwili, kiedy kartkowali książki w sklepie, przeszli na „ty” w najnaturalniejszy w świecie sposób.

– Mogłabym zjeść konia z kopytami.

– Fantastycznie, bo znam cudowną restauracyjkę tu blisko, na tej samej ulicy. – Mowa była o ulicy Wiedeńskiej.

– No to chodźmy.

Wspomniana cudowna restauracyjka nazywała się Le Cappeville. Wnętrze utrzymane w odcieniach bieli i błękitu, z wejściem w kształcie łuku, przypomniało Catalinie tawernę dawnych wielorybników na Azorach, gdzie spędziła poprzednie lato. W każdym razie nie miało wiejskiego wyglądu, jakiego można by się spodziewać, widząc elewację. Co prawda,

na ścianach nie było nowoczesnych obrazów ani wymyślnego oświetlenia. Stoły stały jak pod linijkę, a dużego uroku dodawał pomieszczeniu ogromny kominek, niestety – ku wielkiemu rozczarowaniu Cataliny – nierozpalony.

Patrick przeprosił na chwilę i poszedł rozmawiać z kelnerem. Catalina nie mogła ich słyszeć ze swojego miejsca, ale widziała, że kelner robi dziwne gesty i odpowiada niepewnie. Potem znowu mówił Irlandczyk i tym razem wskazał ręką na Catalinę. Wyraz twarzy kelnera, dotąd zdziwionego, natychmiast się zmienił. Mężczyzna spojrzał na Catalinę z grymasem sympatii i znów na Patricka – ze współczuciem.

– O co chodzi? – spytała Catalina.

– To niespodzianka... Możemy usiąść?

– Jasne – odparła, patrząc na niego podejrzliwie.

– To najlepszy stół – wyjaśnił Patrick, odsuwając Catalinie krzesło. – Proszę...

Piękna restauracja, idealny stół, towarzystwo atrakcyjnego i pełnego kurtuazji mężczyzny; czego jeszcze chcesz? Odpowiedź przyszła w postaci młodego kuchcika, który niósł jakieś pastylki i długie zapałki, którymi rozpałił w kominku.

– Rozumiem. O to prosiłeś kelnera, prawda? – dopytywała się Catalina.

– Tak. I o to, żeby nastawił klimatyzację na maksimum, żebyśmy nie pomarli z gorąca – wyjaśnił Patrick z uśmiechem.

– Biedak, myśli pewnie, że ma do czynienia z wariatami.

– Hm... na początku chyba coś o tym wspominał.

– Jak go przekonałeś?

– Powiedziałem, że kochasz kominki, że wczoraj wzięliśmy ślub i to nasz pierwszy romantyczny posiłek w miodowym miesiącu.

Teraz Catalina zrozumiała wszystko: grymas sympatii kelnera dla niej i współczucia dla Patricka. Francuzi są nieuleczalnymi romantykami. A ten Irlandczyk wcale im nie ustępuje. Catalina przyglądała mu się swoimi pięknymi zielonymi oczami, pytając siebie samą, czy naprawdę jest tak czarujący, jak wygląda i czy pod tą pociągającą powierzchownością nie kryje się coś niedobrego. Posłał jej spojrzenie: silne, szlachetne. Takim mężczyźnie można zaufać, pomyślała.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – To prawda, że uwielbiam kominki. Wiesz, że od chwili, kiedy przyjechałam do Gisors, marzę, żeby zrobiło się zimno któreś nocy i żebym mogła napalić w kominku w domu mojego dziadka?

– Mieszkasz tu w Gisors z dziadkiem?

– Nie, nie. Mój dziadek zmarł ponad dwadzieścia lat temu i zapisał mi ten dom w spadku. Dom i...

– I?

– Nic. – Catalina nie chciała płoszyć Patricka opowiadaniem o kawałkach puzzli, książkach o skarbach piratów i kodeksach Leonarda da Vinci ze źle napisanym tytułem.

– To rzadko spotykana kombinacja.

– Tak – przyznała Catalina, zanim zorientowała się, że niemożliwe, by słowa Patricka odnosiły się do tajemniczych legatów jej dziadka, o których skrycie myślała. – Tak – powtórzyła, tym razem dostrzegając, że Patrick wskazywał właśnie kupione książki.

– Jakiego rodzaju osobę mogą interesować templariusze i przepisy kuchenne Leonarda da Vinci?

– Kobietę umierającą z głodu w Gisors?

– Dobra odpowiedź. Wykrętna, ale dobra.

– A jaki rodzaj mężczyzny urodzonego w Irlandii trafia do Gisors i walczy z komputerami w kawiarence internetowej?

– Architekt, pasjonujący się średniowiecznymi fortecami, który stroni od wszystkiego, co ma mniej niż pięćset lat.

– Również od kobiet, które mają mniej niż pięćset lat?  
– W zasadzie nie. Tylko tych, które dostają w spadku po dziadkach chateau.  
– Dzień dobry, czy państwo już wybrali? – odezwał się kelner, czym bezpowrotnie spłoszył myśl Cataliny.

– Co pan poleca? – spytał Patrick.

– Mamy dzisiaj filet z jagnięcia. Pyszny, gwarantuję. A jeśli państwo wolą rybę, to polecam węgorza. Chociaż może jako nowożeńcy woleliby państwo afrodyzjak: ostrygi z galaretką z cydru. Po prostu cudowne! A na przystawkę szparagi z parmezanem i wędzoną szynką.

– Catalino?

– Wybiorę węgorza. Ale błagam, żadnych ostryg.

– Dla mnie jagnię. I prosimy też szparagi. Z pewnością są doskonałe.

Nie wrócili do rozmowy aż do chwili, kiedy Patrick zamówił wino, a kelner dał mu spróbować trunku po zaprezentowaniu butelki i otwarciu jej fachowo i elegancko.

– To świetna restauracja – powiedziała w końcu Catalina, przerywając milczenie. – Często tu przychodzisz?

– Ależ skąd! Jestem w Gisors po raz pierwszy.

– Z powodu zamku, tak? – spytała Catalina, nawiązując do tego, co mówił o swojej pasji. Patrick powiedział jeszcze coś, co zwróciło jej uwagę, ale nie zdołała tego zapamiętać. Czy to ważne?

– Tak, jestem tutaj przede wszystkim z powodu zamku w Gisors, ale też i innych średniowiecznych budowli w tej okolicy. Zwiedzałaś go już?

– Och, tak.

– Nie podobał ci się? – dopytywał Patrick, gdy zauważył zmianę w jej głosie.

– Początkowo nie, to prawda. Ale potem zwiedzanie zrobiło się... interesujące – wyjaśniła, chociaż uznała, że określenia „niezwykłe”, „niesłychane”, „niewiarygodne” albo „obłąkane” bardziej by pasowały.

– Naprawdę?

– Och, tak – potwierdziła niezbyt przekonująco.

– Dlaczego mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz?

Zanim odpowiedziała, po raz drugi dokładnie przyjrzała się twarzy Patricka. I ponownie doszła do wniosku, że może ufać temu człowiekowi siedzącemu naprzeciw niej, jego głębokiemu, miłemu i uspokajającemu spojrzeniu.

– Chyba po prostu nie chcę opowiadać sympatycznemu Irlandczykowi, którego dopiero co poznałam, że zobaczyłam w zamku ducha, bo wzięłby mnie za wariatkę...

Patrick nie wybuchnął śmiechem, nie zrobił uwagi: „To żart, prawda?”, ani też nie zmienił tematu i nie utkwiał oczu w obrus, co Catalina uznałaby za reakcje typowe w takiej sytuacji.

Wzruszył natomiast ramionami jak by mowa była o czymś zupełnie naturalnym, i odpowiedział:

– Świat jest pełen duchów.

Catalina odniosła wrażenie, że Patrick nie miał na myśli ducha z Gisors ani żadnego ponadnaturalnego bytu, ale inny rodzaj tajemnic, może sekretów, które potrafią tak umęczyć, że nie śpi się całe noce.

– Nareszcie idą szparagi! – wykrzyknął Irlandczyk, znowu uśmiechnięty, wprawiając Catalinę z powrotem w dobry humor.

Szparagi rzeczywiście okazały się doskonałe, jak przepowiedział Patrick. Tak samo węgorz i filet z jagnięcia. Wszystko było pyszne, godne uznania. Po raz pierwszy od dawna Catalina czuła się goszczona przez mężczyznę. A bardzo tego potrzebowała, bo to nieprawda, że silne kobiety nie oczekują opieki i czułości. Nawet najtwardsze skały lubią miękką pieczęć morza.

Catalina spędziła cały wieczór na spacerowaniu po Gisors w towarzystwie Patricka. Cały czas nie przestawali mówić. I tak dowiedziała się, że przystojny chłopak urodził się w małej rybackiej wiosce na południowym zachodzie zielonej Irlandii o nazwie trudnej do wymówienia, która kojarzyła się z obrazami mruczących duszków, siedzących na kotłach pełnych złota. Dowiedziała się także, że Patrick był jednym ze współników studia architektury z siedzibą w Londynie i biurami w Paryżu i Berlinie. „Och, to pewnie jesteś strasznie bogaty”, wykrzyknęła, kiedy jej to powiedział; nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Ponadto odkryła wiele szczegółów na jego temat; ot drobne sprawy, które czynią nas tym, czym jesteśmy. Mówił o swoich ulubionych obrazach, utworach muzycznych, książkach, pejzażach, które podziwiał i nosił w sercu jako ciepłe wspomnienie, o snach, jakie już się spełniły i innych – jeszcze niezrealizowanych...

W rezultacie był to przemiły wieczór, ale jak wszystko dobiegł wreszcie końca. Pożegnali się przy bramie chateau, dokąd Patrick odprowadził Catalinę, jadąc za nią swoim samochodem. Wymienili telefony i adresy, bo następnego dnia wracała do Madrytu. Przykre, bo zasadniczo nie wierzyła w kontakty na odległość. Patrick przyrzekł, że niebawem odwiedzi ją w Madrycie, i dokończą rozmowę. Nie było pocałunków, jedynie uścisk dłoni, równie słodki. Catalina nie zaprosiła Patricka do środka, chociaż już miała taki zamiar. Patrzyła na oddalające się tylne światła jego wozu; wkrótce znikły wśród gałęzi drzew. Słyszała jeszcze jakiś czas warkot silnika, potem zapadła cisza. Poczowała lekki dreszcz. Zrobiło się zimno tej nocy. Powiedziała sobie, że dość zimno, żeby napalić w kominku. Nie była śpiąca, więc postanowiła poczytać przy ogniu kupione dziś książki. Zamknęła oczy i wciągnęła czyste, zimne powietrze. Odwróciła się i weszła do domu.

W lesie, pośród drzew, ktoś zapalił papierosa.

44.

Kolonia, 1794

Pod latarnią w bocznej uliczce sakiewka pełna złotych monet zmieniła właściciela. Gruby dozorca więzienny wydobyl jej zawartość, otrzymaną od Conroya, i dokładnie przeliczył w słabym, ledwie migocącym świetle. Saint-Just czekał w zajeździe, z dala od tych odrażających dla niego scen.

– W porządku, panie Changrel – orzekł dozorca, chowając z powrotem pieniądze do worka.

Abel Dorgendorf był zadowolony. Zdawał sobie sprawę z dużego ryzyka, jakie niesło za sobą to, co miał zrobić, ale pokonany perswazją nie zdołał się oprzeć. I nie mógł się już wycofać. A przy tym pokusa była zbyt silna. Miał w ręku więcej pieniędzy, niż zarobiłby nie przez jedno, a przez dwa pełne życia.

Za te pieniądze kupili jego milczenie, wstęp do więzienia i trochę czasu. Tyle, ile trzeba, by wybadać La Fayette'a i wydrzeć mu plan. Wszystko to się zrobi w tajemnicy, szybko i sprawnie. A skoro tylko dostaną, czego szukają, zabiją La Fayette'a, który już nie będzie im do niczego potrzebny. Wykonają egzekucję, jak powiedział Robespierre, a nie popełnią morderstwa. Zadadzą śmiertelny cios w imię racji stanu, przez wzgląd na dobro Francji.

– Ruszajmy – rzekł dozorca, który zdążył już schować sakwę do wewnętrznej kieszeni surduta.

– Muszę powiadomić swojego zwierzchnika. Chodźmy po niego razem do zajazdu. I pamiętaj, nie próbuj nas wykiwać.

Przez myśl Dorgendorfa przemknął przelotnie taki pomysł, kiedy zrozumiał, kim naprawdę jest człowiek, który zyskał jego przychylność. Ale dozorca już nic nie mógł zrobić. Odkryli jego słabość – i to było niebezpieczne. Pomyślał, że może by uciec z pieniędzmi, ale odrzucił tę myśl. Na pewno zabiliby go, zanim zrobiłby krok, a nawet gdyby nie, to nigdy już nie zaznałby spokoju. Zaprzedał duszę diabłu, a ten teraz domagał się swego.

Tego dnia Dorgendorf zaczynał zmianę koło północy. Miał wprowadzić dwóch mężczyzn do więzienia, tłumacząc, że to jego przyjaciele, z którymi będzie grał w karty czy kości. Kilka butelek wina dla wartowników powinno im pomóc przełknąć to łągarstwo i otworzyć drogę bez większych trudności.

La Fayette przebywał w specjalnej celi, oddalonej od ogólnego plugastwa i innych skazańców. Arcybiskup Kolonii opiekował się nim osobiście z uwagi na szlachecki tytuł, a przede wszystkim na klasę tego człowieka. Ale nagle, tajemnicze zniknięcie arcybiskupa być może zmieniło sytuację. Krążyły na ten temat pewne pogłoski.

Wszystko poszło tak, jak się spodziewał Dorgendorf. Wino rozwiało wątpliwości wartowników pilnujących bramy wejściowej. Bez problemu też zeszli do podziemi. Kręcone schody, prowadzące do celi La Fayette'a, były szerokie i dobrze oświetlone lampkami oliwnymi. To więzienie nie wyglądało ponuro, jeśli nie uwzględniać niewątpliwie smutnego faktu, że siedzieli tu zbrodniarze – lub rzekomi zbrodniarze, na przykład dysydenci – pozbawieni wolności. Strefa, w której uwięziono markiza, była nawet czysta i wyglądała przyzwoicie. Jakby czytając w myślach swoich dwóch towarzyszy, Dorgendorf z zawodową gorliwością pospieszył wyjaśnić, że reszta więzienia tak nie wygląda.

Przez okratowanie zamykające celę, w której przebywał markiz, można było tylko dojrzeć coś w rodzaju mrocznego przedpokoju, pełnego zniszczonych mebli. Z jednej strony stało biurko i lakierowane krzesło; na wprost, skórzana kanapa; w głębi duży stół z kilkoma krzesłami, niemal ukrytymi w ciemności. La Fayette spał w sąsiednim, bocznym pokoiku, łączącym się z pierwszym przejściem bez drzwi.

Saint-Just i Conroy wzięli pochodnie i wyciągnęli sztylety ukryte pod płaszczami. Mieli też pistolety, chociaż planowali użyć ich tylko w przypadku najwyższej konieczności ze względu na hałas, jaki czynią wystrzały. Saint-Just zamierzał wyciągnąć z markiza, co się da, a następnie go zabić, tak jak kazał Robespierre. Conroy miał bardziej brutalne zamysły. Jego serce, przepełnione nienawiścią, sprawiało, że wszystkie zadania nie były dla niego po prostu obowiązkiem, ale także przyjemnością, tym większą, im więcej bólu mógł zadać.

- Gotowi? – spytał Dorgendorf.

Na znak potwierdzenia włożył klucz do zamka i przekręcił. Szczęk rygla był głośny, wzmocniony jeszcze metalicznym kliknięciem za każdym razem, kiedy klucz wykonał pełny obrót. Zawiasy także skrzypiały, jeszcze głośniejsze niż zamek. Saint-Just i Conroy ostrożnie weszli do środka. W tej samej chwili, zaalarmowany niezwykłymi o tej porze odgłosami, w przejściu między pomieszczeniami pojawił się markiz.

- Co...? – zaczął i niemal natychmiast, jeszcze nie rozumiejąc, ale świadom niebezpieczeństwa, jednym skokiem wpadł z powrotem do sypialni.

Conroy próbował pobiec za nim i o mały włos nie oberwał w łeb krzesłem, które La Fayette wyrzucił na zewnątrz, sam ukryty w ciemności. Na szczęście dla szpiega cios nie był zbyt celny, gdyż jedna noga krzesła w locie uderzyła o ścianę.

Saint-Just schwycił krzesło stojące przy biurku w pierwszym pokoju i zbliżył się do wejścia. Ostrożnie zajrzał do środka i dostrzegł markiza w jednym z rogów celi. Wpadł tam jak burza i rzucił krzesłem. Nie zamierzał ciężko ranić ofiary; właściwie chciał tylko zdezorientować La Fayette'a, by mieć czas na przyłożenie mu do piersi ostrza sztyletu.

I osiągnął cel. La Fayette wypuścił z rąk jakiś kawał drewna. Nie wiedział, kim są ci ludzie ani czego chcą. Wiedział jedno: że to również Francuzi, jak i on. A jeśli tak, to są ludźmi Robespierre'a. Nie można się po nich spodziewać niczego dobrego. Z pewnością chcą go zabić. Ale dlaczego dotąd tego nie zrobili? Nie podejrzewał, że to ma związek z dynastią Chrystusa... aż do chwili, gdy go związali, zakneblowali, wręczyli papier oraz pióro i rozpoczęli przesłuchanie.



Paryż, 1794

Był jeszcze jeden członek zakonu, który powinien wpaść w łapy Robespierre'a: uczoney z Paryża, Ambrose d'Allaines. Ale w ostatnich dniach Nieprzekupny miał myśli zajęte czym innym: procesem i egzekucją partyjnego towarzysza, jakobina, niegdyś swojej podpory, Georges'a Dantona. Teraz, po zlikwidowaniu Heberta i Dantona, po zadaniu ciosu radykałom i umiarkowanym, przy władzy pozostał już tylko on.

Robespierre, leżąc w łóżku z prostytutką rozmyślał, ile go kosztowało wykonanie tego, co miało służyć republice i jemu samemu. Wspominał, jak Danton popadł w niełaskę. Jak podrywał jego autorytet wobec towarzyszy partyjnych. Jak go odstawiono na boczny tor, zatrzymano, uwięziono. Jak z wielkim smutkiem musiał posłać Dantona na szafot. Jak tamten godnie wchodził na podest, gdzie czekała go wyostrzona klinga śmierci. Jak go przywiązano do drewnianego słupa, który potem ułożono na ziemi. Jak kaci ułożyli głowę skazańca w potrzasku. Jak wciśnięto mu szyję we wgłębienie, by metalowe ostrze gilotyny dobrze trafiło. Jak w końcu okropny świst poprzedził suche uderzenie, wraz z którym skończył się Danton, podobnie jak skończyło ostatnio życie tyle tysięcy mężczyzn i kobiet, wybitnych i plebejuszy, z najwyższych sfer społecznych i z prostego ludu.

Potworne wspomnienia, pomyślał Nieprzekupny, ale wszystko to konieczne w służbie ojczyzny...

Myśli prostytutki też nie mogły być chyba bardziej odległe od tego ogromnego łoża, okrytego bogatymi jedwabnymi prześcieradłami. Robespierre kupował rozkosz i to mu wystarczało. Miłość kobiety, czy to ulicznicy, czy innej, nie miała dla Robespierre'a znaczenia. Kochał tylko Francję. I nie była to żadna namiętność, lecz miłość oparta na procesach rozumowych, której logika osiągnęła tak ścisłą prawidłowość, że zmieniła się w fanatyzm.

Kiedy wydał już ostatni okrzyk rozkoszy – chociaż nawet w takich momentach ów człowiek nie był chyba całkowicie naturalny ani szczerzy – Robespierre wyrzucił z pokoju kurewkę, dziewczynę najwyżej piętnasto – czy szesnastoletnią. Nie pozwolił się jej nawet ubrać. Nie chciał tracić ani chwili więcej.

Danton, Danton, Danton... Stary przyjaciel, już pokonany, ciągle jeszcze zajmował jego umysł. Ale już teraz trzeba patrzeć w przyszłość. Robespierre przegnał nieprzyjemne myśli i zajął się tym, co zaczął kilka tygodni temu. Gdyby wystarczyło tylko wysłać żołnierzy, by aresztowali uczonego, byłoby już po wszystkim. Ale nie znaleźli tego człowieka. Może wyjechał na wieś. Albo też uciekł. Lorraine zapewniał, że nie wie, gdzie go można znaleźć, a z pewnością nie kłamał. Tego Robespierre był pewien. Ale kiedy jego szpiedzy szli śladami uczonego, Robespierre'a naszło olśnienie: wymyślił o wiele lepszy plan zdobycia tego, co chciał uzyskać od uczonego.

Zmusił Lorraine'a do napisania listu i przybicia własnej pieczęci. Pismo wysłano do Anglii, do domniemanych potomków Chrystusa. Zawierało ono prośbę, by wracali do Francji z niezmiernie ważnej przyczyny. Jeśli chwycą przynętę, Robespierre łatwo już ich dostanie w swoje ręce?

46.

Kolonia, 1794

Wzmianka o zakonie, o jego ważnej misji w świecie, o dynastii sprawiła, że La Fayette omal nie stracił zmysłów. Kręciło mu się w głowie. Nie miał zamiaru nic im powiedzieć. Wiedział, że nawet gdyby zaczął mówić, w końcu i tak go zabiją. Po cóż zatem to robić? Przede wszystkim jednak przysiągł przecież chronić potomstwo Chrystusa, a jego słowo było równie stałe jak piramidy egipskie. Nawet bez składania obietnic. To, co prawdziwy

mężczyzna uważa za słuszne i czemu poświęca najważniejszą część swego życia, powinno wystarczyć, by kierować nim zarówno w świetle, jak i w ciemnościach.

Gotów był na śmierć, ale nie bez walki. Teraz, związany i zakneblowany, mógł tylko poruszać prawą ręką, by na piśmie udzielać odpowiedzi. Chcieli znać miejsce przechowywania tysięcy dokumentów, które zakon zgromadził podczas niemal siedmiu wieków, a także wszystkich, które odziedziczył z wcześniejszych epok. La Fayette rozumiał, że tyran Robespierre i jego wierne psy – rozpoznał bowiem twarz Saint-Justa – nie mogli pragnąć niczego innego, jak tylko zniszczenia owych świętych pism.

Mam plan schowany w pokoju, napisał markiz. Gotów był postawić wszystko na jedną kartę, by ustrzec dokumenty i uratować dynastię Chrystusa.

– Pisz, gdzie jest ten plan – rozkazał Saint-Just głośno, ale nie krzykiem. Cela była dość daleko od wejścia, ale nie aż tak, by donośny głos nie zaalarmował wartowników.

Jest w...– zaczął La Fayette, ale zatrzymał się i dopisał: Niełatwo wytłumaczyć. Rozwiążcie mnie, to przyniosę.

– Nie powinniśmy tego robić – rzekł Conroy.

– Bez obaw. Rozwiąż go, obywatelu.

Conroy wiedział, że to błąd, ale nie śmiał sprzeciwić się rozkazowi. Saint-Just był w końcu jego zwierzchnikiem i jeżeli misja sienie uda, to on odpowie przed Robespierre'em.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Conroy.

Rozluźnili więzy, uwolnili lewą rękę i stopy markiza, ale nie wyjęli knebla. Kiedy La Fayette się podnosił, Saint-Just zwrócił mu uwagę:

– Jeżeli zrobisz jakieś głupstwo, zabiję cię, choćbym miał potem sam szukać tego przeklętego planu. A nie wątpię, że go zdobędę, a zatem niepotrzebnie zginiesz. Więc bez żadnych sztuczek!

La Fayette podniósł obie ręce i pokazał dłonie, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru udawać, że nie słyszy pogroźek. Wskazał na szafę z szufladami, stojącą pod ścianą i ruszył w tamtym kierunku. Saint-Just i Conroy szli po obu stronach, z wycelowanymi w niego sztyletami. Kiedy markiz chciał położyć rękę na gałce jednej z szuflad, Saint-Just kazał mu się zatrzymać.

– I po to musieliśmy cię rozwiązywać?

Markiz nie odpowiedział. Gwałtownie rzucił się na kolana i otworzył inną szufladę, poniżej tamtej. Zanim oprawcy zdążyli zareagować, chwycił pistolet i wypalił prosto w twarz Conroya. Szpieg zakrył rękami zakrwawioną twarz, upadł jak szmaciana lalka i skonał, charcząc i wydając bolesne jęki.

Saint-Just się cofnął. Huk wystrzału, wzmocniony przez kamienne mury i echo korytarzy, musiał już zaalarmować straż w całym więzieniu. Saint-Just wyciągnął pistolet spod ubrania i wycelował w markiza, który natychmiast schował się za jakimś meblem.

– Ja przegrałem, ale ty umrzesz, przeklęty!

Drugi strzał poprzedziły krzyki przerażonego Abła Dorgendorfa. Aż do tej chwili tkwił na uboczu, ale teraz chciał, żeby Saint-Just jak najszybciej zniknął razem z nim.

– Za mną! – nalegał. – Znam przejście.

Zanim pierwsi żołnierze dotarli do celi, Saint-Justa i dozorcę już nie było. Wbiegli tylnym korytarzem do wilgotnego i wąskiego tunelu, który wychodził na kuchnię więzienną, na wysokości ulicy. Stamtąd, nie zwracając uwagi na kucharza, zdumionego ich nagłym pojawieniem się, wypadli na zewnątrz. Zwolnili, nie mieli już sił biec. Abel Dorgendorf szedł przodem, mimo swej tuszy tak szybko, jakby go licho goniło.

Saint-Just zastanawiał się, skąd ten bękart mógł wyciągnąć pistolet. Odpowiedź była jasna. Tak jasna, że sam siebie przeklinał za swoją głupotę i nieostrożność: oczywiście, to Lorraine. To on zmienił celę w wytworny apartamencik dla swojego podopiecznego La Fayette'a. Nie

należało się dziwić, że w takiej sytuacji dano mu także i pistolet. Jediną pociechą, jaka pozostała zastępcy Robespierre'a, było to, że markiz już nie żył.

Tak przynajmniej sądził Saint-Just. Ale się mylił. Strażnicy znaleźli markiza rannego w bok. Miał szczęście. Pocisk przeszedł czysto przez mięśnie i wbił się w miękką zaprawę, łączącą głązy ścian celi. Markiz uszedł z życiem. Ale w duszy miał niepokój. Zakon był w jawnym niebezpieczeństwie. A przede wszystkim dynastia. Trzeba było koniecznie powiadomić potomków Chrystusa o zagrożeniu. Oby na czas...

47.

Gisors, 2004

Jeszcze jeden przepis. O jeden za dużo. Catalina najpierw spisała, jedną po drugiej, nazwy wszystkich przepisów z Codex Romanoff, zebranych w książce Shelagha i Jonathana Routhów. Potem zrobiła to samo z tymi, które były w innej, kupionej przez nią książce na podobny temat. W rezultacie stwierdziła, że jedne i drugie są identyczne. W końcu porównała tę listę z listą dziadka, przetłumaczoną na hiszpański.

Codex dziadka zawierał o jeden przepis więcej.

Była trzecia nad ranem, samolot z Paryża odlatywał o jedenastej w południe.

Pamiętała także o innym z owych wszechobecnych przypadków, które miały związek z jej dziadkiem Claude'em. Tytuł jego kopii kodeksu był z dwoma „r” zamiast jednego.

– Nie, nie z dwoma „r”, tylko z jednym „r” więcej, zjedną „receptą” więcej – wyjaśniła polanom trzaskającym w kominku.

Tajemniczy, dodatkowy przepis dziadka był w grupie tych, które Leonardo da Vinci odradzał, ale jego kucharka, Battista de Villanis, kazała mu przygotowywać. Do tej grupy należały: koza w galarecie, chleb z siemienia konopnego, budyń z czarnego bzu, budyń z białego komara (w rzeczywistości składał się z migdałów, kwiatu czarnego bzu, miodu, piersi kapłona i wody różanej), niejadalne rzepy, medaliony z węgorka, ciasto jeżynowe, gotowane flaki i „hiszpańskie danie” o niesprecyzowanej nazwie, złożone z mąki ryżowej, koziego mleka, piersi kapłona i miodu. W stosunku do tego ostatniego dania da Vinci okazywał szczególną niechęć, twierdząc, że powoduje ono mdłości i torsje, jest mało pożywne, a nawet osłabia wzrok i nogi. Nic zatem dziwnego, że odradzał czytelnikom tę potrawę, którą podają w pewnej tawernie w centrum Florencji, gdzie nie ma nic więcej do wyboru i pełno tam wariatów.

Przy tym ostatnim niechlubnym daniu było podane inne, dodatkowe, opisane tak:

Inne hiszpańskie danie

Powiadają, że jest to potrawa idealna na Świętego Jana, gdyż tak poleca je tradycja w różnych miejscowościach górskich na północ od Madrytu. Weź dziką kuropatwę. Kupiona na rynku nie nadaje się do tego dania. Tę musisz upolować, wchodząc na najwyższy szczyt góry, gdzie chłodne powietrze sprawia, że ptaki są tłuste i smaczne. Najlepszy czas polowania to bez wątpienia południe. O tej godzinie słońce stoi, a gorąco oszałamia zwierzynę, a wtedy łatwo ją upolować. Potem potrzeba będzie trochę sosnowych nasion. Nadają one mięsu specjalny smak, ale trzeba wiedzieć, jakie wybierać, bo nie wszystkie są odpowiednie. Rozetnij kuropatwę, wyjmij wnętrzności, a potem wypełnij wnętrze ziarnami sosny, dodając oliwę z oliwek i szczyptę soli. Battista zwykle dodaje też szynkę, pokrojoną na wąskie paseczki. Mówi, że wtedy kuropatwa jest lepsza, bardziej soczysta, ale ja jestem innego zdania. Zaszuj kuropatwę grubą nicią i nie zapomnij zrobić na końcu mocnego węzła, by być pewnym, że nie otworzy się w czasie przyrządzania. To bardzo ważne. Włóż wszystko do rondla, wysmarowanego uprzednio smalcem, i zostaw na piętnaście minut. Podobnie jak poprzednie, to danie również podają tylko w pewnej tawernie. Sądzę, że mój dobry przyjaciel

Bernard z przyjemnością by go spróbował. Wielka szkoda, że nie może tego zrobić, bo do tej tawerny przychodzą wyłącznie osoby niepożądane, które nie dałyby mu skosztować ani kęska, gdyby się tam pokazał. Mam wrażenie, że gdyby przyszło mu do głowy pójść tam teraz, przyplaciłby to życiem. Być może kiedyś później szacowne osoby będą mogły ponownie tam jadać. Wierzę, że po dłuższym czasie ta tawerna znowu stanie się bezpiecznym miejscem.

Catalina pamiętała, że powiedziała Marie i Albertowi, iż skradziony dziadkowi rękopis jest mapą bez nazw. I miała dokładnie to samo wrażenie, czytając ów przepis, pełen uwag z przymrużeniem oka i subtelnych wskazówek: wszystko to, co było związane ze sposobem zdobycia odpowiedniej kuropatwy, precyzyjne szczegóły określające idealne miejsce i czas polowania (na najwyższym szczycie góry, kiedy słońce stoi w zenicie); problem sosnowych ziaren i uwaga, że muszą być odpowiednie; niesłychana ważność zrobienia mocnego węzła po zaszyciu kuropatwy – rysunki na kawałkach puzzli odziedziczonych po dziadku przedstawiały właśnie węzeł; wzmianka o „przyjacielu Bernardzie”, które to imię nosił również adwokat dziadka, d’Allaines; i to, co najbardziej niepokojące: uwaga o osobach niepożądanych, które ostatnio bywają w tawernie, gdzie tylko i wyłącznie serwuje się danie z kuropatwy – i twierdzenie, że Bernard (d’Allaines?) przyplaciłby życiem, gdyby przyszło mu do głowy tam wejść. Czyż dziadek nie nalegał na swego adwokata, żeby dobrze ukrył zalakowane koperty, których zawartości nawet mu nie wyjawiał? Właśnie koperty, między innymi, zawierały ten przepis. Czy to mapa bez nazw, która prowadzi do tawerny?

I jeszcze coś niepokoiło Catalinę – ale nie chciała tego nawet brać pod uwagę. Jej dziadek zginął w wypadku samochodowym, kiedy wyjeżdżał z prostego odcinka drogi na szosę wiodącą w góry w pobliżu Madrytu. A według przepisu, właśnie w tym rejonie tradycyjnie podaje się opisane danie.

Musiała się z tym zgodzić. To był jeden przepis więcej, dopisany przez dziadka. Dlatego właśnie stary Claude specjalnie wprowadził błąd w tytule zapisanego Kodeksu, by zwrócić na to uwagę. Przepis był tropem, mapą bez nazw. Catalina nie miała żadnych wątpliwości, bo jak powtarzała sobie wielokrotnie od chwili przybycia do Gisors, przypadki nie istnieją. Ale dokąd prowadziła ta mapa? A co ważniejsze, czy odnalezienie celu będzie miało sens.

A jeśli dziadek pod koniec życia rzeczywiście zwariował? I wszystkie tropy były absurdalną grą umysłu pozbawionego równowagi. Catalina musiała odkryć prawdę o dziadku i o tym, co robił w Gisors; i o jego życiu, poświęconym Zakonowi Syjonu i potomkom Chrystusa. Wówczas mogłaby dojść do czegoś ważnego, czego dziadek poszukiwał od wczesnej młodości i co chciał jej przekazać, kiedy będzie miała dokładnie trzydzieści trzy lata wiek, w którym, zgodnie z tradycją, umarł Jezus. Czy to kolejny przypadek?

I czy również przypadkiem znalazło się tam zdanie: „Wierzę, że po dłuższym czasie ta tawerna znowu stanie się bezpiecznym miejscem”? Czy dwadzieścia trzy lata, które upłynęły od śmierci dziadka, były tym „dłuższym czasem”?

Coraz więcej pytań bez odpowiedzi... Ale najbardziej istotne wydawało się teraz jedno: Czy dziadek naprawdę był szalony?

Catalinie śniła się kuropatwa z twarzą dziadka, gotowana na wolnym ogniu w rondlu wysmarowanym smalcem. Dlatego z przyjemnością i wdzięcznością usłyszała melodyjkę telefonu, która przerwała koszmar. Jeszcze zasnana, z ostatnimi obrazami okropnego snu w oczach, zaczęła po omacku szukać aparatu na stoliku przy łóżku. Nie miała pojęcia, która godzina, ale sądząc z własnej ociężałości, musiało być bardzo wcześnie. Położyła się spać po piątej nad ranem, po odnalezieniu ukrytego przepisu, głównego powodu bezsenności – i po przeczytaniu dużej części książki de Sede’a.

– Tak...? Dzień dobry, panno Bergier... Tak, spałam, ale to nie... naprawdę. – Przypomniała sobie wiadomość, którą przekazał jej w piątek Albert, i spytała: Dzwonili państwo do mnie niedawno, prawda?... Wiem, próbowali państwo na komórkę. Była wyłączona... A o co

chodzi? Problemy ze spadkiem? Muszę podpisać jeszcze jakieś dokumenty?... Aha, dobrze. Proszę połączyć... Tak, czekam. Dziękuję... – Głos sekretarki został zastąpiony muzyką, chyba Mozarta. – Tak? Dzień dobry panu, panie d'Allaines... Nie, skąd, wszystko w porządku, dziękuję... Mam dziwny głos? Pewnie dlatego, że właśnie się obudziłam... Proszę się nie przejmować, i tak za pół godziny musiałabym wstać, nastawiłam budzik... Tak, jasne, że pamiętam. Pan był pewien, że nie... Rozumiem. Dziękuję. I co powiedział?... Tak... ależ tak... Czy ona jest tego pewna? Minęło tyle czasu... Jest absolutnie pewna. To chorobliwa pedantka. Tak... tak, zrobił pan bardzo dobrze, że mi powiedział... Ma pan rację, najprawdopodobniej to nie będzie nic specjalnego... To ja panu dziękuję, panie d'Allaines. Do widzenia.

Odłożyła telefon. Przy łóżku stała obszerna drewniana szafa z dużym lustrem. Catalina uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu. Była rozczochrana, miała podkrążone oczy z niewyspania, a ciało poodgniatane od fałd na prześcieradle. Założyła kupiony w miasteczku szlafrok i boszo zeszła do pokoju dziadka.

Na stole leżały papiery z jej wszystkimi notatkami. Na ostatniej kartce, do Listy prawd absolutnych dopisała krótkie zdanie:

Dziadek Claude NIE był szalony.

48.

#### Angielskie pola, 1794

List od La Fayette'a przyszedł za późno. Lady Farnsworth czytała pismo, przerażona. Markiz nie podawał szczegółów, ale uprzedzał młodych, żeby pozostali w swoim wiejskim domu i nie ruszali się z niego pod żadnym pozorem. Pocziwa dama wspomagała zakon, nie znając jego najbardziej skrytego charakteru. Była pewna, że to tylko organizacja religijna, której jedynym celem jest ulepszać ludzkość. Aby uprzedzić podopiecznych, posłała gońca na najszybszym z koni. Wszystko na próżno. Statek, który wiozł młodych z powrotem na kontynent, wypłynął już w morze, kiedy jeździec zdołał dotrzeć do Dover.

Jasne było, że działo się coś niezwykłego. Jeśli La Fayette tak gorliwie prosił, by nie wracali do miasta, a wielki mistrz z kolei żądał, by to zrobili jak najszybciej, to list jednego lub drugiego musiał być sfalszowany albo napisany pod przymusem. Wobec niemożności natychmiastowego rozwiązania tego dylematu, najlepiej gdyby potomkowie Chrystusa zostali na Wyspach Brytyjskich, z dala od wstrząsanej politycznymi burzami Francji i od ogromnych, czyhających na nich niebezpieczeństw. Niestety na to było już za późno.

#### Kanał La Manche, 1794

Podczas podróży przez morze z Anglii do Francji, opiekun potomków dynastii Chrystusa znalazł oddalone, spokojne miejsce na pokładzie statku, gdzie nie przeszkadzali im ludzie z załogi; chciał pomówić jak mężczyzna z mężczyzną ze starszym z chłopców; tym, który prawdopodobnie jechał na kontynent europejski, by objąć tron Francji. Zalecenia opiekuna płynęły wprost z serca, choć niektóre wydawały się brutalne. Młodzieniec, który odznaczał się błyskotliwością intelektualną większą niż jego szlachetny rozmówca, słuchał z pobłażliwością. Widać było wyraźnie, że następca darzy dużym szacunkiem tego urodzonego bojownika, który zawsze się o nich troszczył i życie miał niełatwe. Wszystko, co mówił, wynikało z najlepszych intencji, a wiele z jego nauk było wartościowych i godnych zastosowania.

– Młody panie, mój chłopcze, wiesz, że cię kocham jak syna. Dałbym za ciebie życie, a także życie wielu innych, gdyby moje ramię musiało ich wyciąć, byś ty mógł żyć. Dzisiaj nadszedł dzień. Twoje przeznaczenie czeka na ciebie. Jesteś jak celna strzała, dążąca do środka tarczy. Wszyscy, kobiety i mężczyźni, którzy oddali dotychczas życie w obronie

twojej dynastii, zostaną teraz wynagrodzeni za swoje wysiłki i bezinteresowne poświęcenie. Świat nareszcie ujrzy słońce. Wkrótce nadejdą nowe czasy. Chmury ustąpią miejsca światłu. Nadzieja zmieni się w radość, bo stanie się rzeczywistością. I ta zmiana będzie twoim dziełem.

Jeśli chcesz dobrze rządzić ludźmi, rób to zawsze inteligentnie. Wyciągnij ramiona jak szale wagi i waż na każdej dłoni rozmaite opinie, zanim podejmiesz decyzję. Dobro jest niezmiennie, ale ma wiele twarzy. Nie zawsze łatwo poznać prawdę ani przejrzeć umysły tych, którzy cię otaczają. Niejeden będzie szukał nie wspólnego, ale osobistego dobra.

Zawsze miej na celu unikanie zła, ale nie wtedy, kiedy już się stało, ale zanim będzie nieuniknione. Wymierzaj kary wyrozumiale i jeśli tylko możesz, wybaczaj. Ból nie osłabia bólu, ale go powiększa, zatem pamiętaj, iż nie należy być zbyt twardym. Gdy ktoś czyni źle, czasami postępuje zgodnie ze swoją naturą albo z tym, czego nauczyło go życie. Nikt nie jest wolny od zła.

Staraj się zawsze zachować pogodę ducha. Gniew, strach, rozkosz, ból – zakłócają spokój duszy, oczy duszy stają się ślepe, a uszy umysłu głuche. Zawsze osądzaj sam siebie bardziej surowo niż innych. Nawet wtedy zakładaj, że ci wybaczą. Nigdy nie uważaj, że przebaczenie nie jest możliwe.

Szukaj niestrudzenie tego, co istotne, i nie zwracaj uwagi na sprawy uboczne. Chociaż powinieneś także doceniać to najmniejsze, które ofiarują ci, co nie znają nic innego. Prości ludzie zadowolają się małym, z dnia na dzień, drobnymi sprawami życia. Dla nich to wiele i powinieneś to doceniać. Ale nie wolno ci schodzić z drogi poszukiwania wspólnego dobra. Jesteś sługą ludzi i temu zostałeś poświęcony.

We Francji, kraju rozwiązłości, nigdy nie czytaj książki ani nawet broszury, zanim nie usłyszysz opinii opiekunów, wybitnych członków zakonu. Oni niczego nie będą ci narzucać, ale chętnie udzielą rady. Jesteś jeszcze młody i pewne lektury mogłyby źle wpłynąć na twoją moralność.

Chłopiec omal nie wybuchnął śmiechem na tę ostatnią uwagę. Nie jest przecież panienką świeżo wypuszczoną z klasztoru, by nie potrafił wybrać sobie właściwych lektur. Ale z szacunku i sympatii powstrzymał się od uwag i słuchał dalej.

– Ożeń się z kobietą dobrą, godną i gospodarną. Nie pozwól, by twoja żona czuła się niższa, ponieważ zasiadasz na tronie, albo dlatego, że jest kobietą. O tym musisz także pamiętać: kobieta i mężczyzna są równi przed Bogiem i tacy muszą pozostawać także w społeczeństwie ludzkim.

Szlachetne serce zawsze powinno przyjmować to, co mu się ofiaruje, godzić się na różne okoliczności życiowe i codziennie stawać wobec nich z wysoko podniesioną głową i otwartymi ramionami. Z nadzieją patrz w horyzont i nie lękaj się wznosić spojrzenie do słońca, bo światło pali tylko tchórzliwy wzrok.

Bądź wierny, poważny i lojalny. Czcij i szanuj wszystkich, wielkich i małych, bo ich dusze są jednakie. Wskaż niewidomemu barwy, a głuchemu dźwięki muzyki. Wielu nie jest nimi naprawdę, tylko nie wiedzą, jak patrzeć i słuchać. Wszystkich traktuj tak samo dobrze. Poznawaj ich pomysły, by czuli się zadowoleni, ale akceptuj tylko te, które wydają ci się uczciwe i godne.

Jeśli masz czyste serce, nie powinieneś bać się, że twoje plany będą większe niż dzieło. Dotrzymuj słowa, ale jeżeli istotnie nie możesz spełnić obietnicy, przeproś i wynagrodź skrzywdzonego. Lepiej mierzyć siły na zamiary i nie dosięgnąć celu, niż zaniżyć loty ze strachu lub z tchórzostwa.

Bądź cierpliwy i pracowity. Staraj się patrzeć na wszystkie drogi, kiedy trzeba dokonać wyboru, i idź tą najprostszą. Przeznaczenie zależy od ciebie i od twojej woli.

Kiedy skończył się ten moralny wywód, młody następca dynastii oraz opiekun opuścili schronienie i wrócili na dół statku. Niebo było szare jak ołów. Zaczynało padać i zanosić się

na burzę. Wiatr się wzmagał, a morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Ale ich serca były pełne radości w tych tworzących się ciemnościach, jak za murem więzienia, które chce zamknąć w sobie nawet słońce.

49.

Przedmieścia Paryża, 2004

Dziadek Claude nie był szalony. Catalina miała już absolutną pewność. Przypomniała sobie, co mówił Albert na temat różnicy pomiędzy szaleństwem a dziwacznym zachowaniem. Teraz myślała, że dozorca trafił w sedno: czasami nawet najrozsądniejszy człowiek może postępować jak paranoik. Catalina już przedtem nie dowierzała w chorobę psychiczną dziadka, ale to, co jej d'Allaines powiedział przez telefon i co później wyjawiał Albert, sprawiło, że bilans się wyklarował: teraz była zupełnie pewna, że jeśli dziadek zachowywał się jak paranoik, to prawdopodobnie miał po temu powody.

W dniu, w którym Catalina przybyła do kancelarii w Paryżu, pytała, czy nie było jakiegoś napadu albo kradzieży po śmierci dziadka. Pamiętała nawet, że swoje pytanie usprawiedliwiła tym, iż jako dziennikarka zawsze starała się dotrzeć do sedna sprawy i myślała o wszystkich możliwych opcjach. Adwokat odparł wtedy kategorycznie, że nie było żadnych napadów ani kradzieży – i Catalina nie poruszała już więcej tego tematu. Ale d'Allaines poinformował ją dziś rano przez telefon, że następnego dnia po ich spotkaniu, po prostu z czystej ciekawości spytał o to samo sekretarkę. Kobieta odparła, że istotnie nikt siłą nie wszedł do kancelarii, ale teraz przypomina sobie, iż niedługo po śmierci Claude'a Penanta zastała otwartą szufladę zawierającą właśnie dokumenty spadkowe, a zawsze wychodząc, zamykała wszystko na klucz. W dodatku niektóre papiery nie leżały na miejscu. Niczego jednak nie brakowało, a ona pracowała od niedawna, więc pomyślała, że to jej omyłka i nic nie mówiła szefowi.

Przypadki nie istnieją.

Po raz kolejny potwierdził to Albert. Catalina spytała dozorcę, czy pamięta, by ktoś coś zrabował z domu w Gisors zaraz po śmierci dziadka. Albert dłuższy czas się zastanawiał; nie był pedantem, jak sekretarka pana d'Allaines'a. Ale kiedy w końcu odpowiedział, okazało się, że jego relacja była niemal identyczna, jak wyznanie asystentki adwokata. W dzień po pogrzebie Claude'a Penanta dozorca wszedł do domu. Chociaż wszystko wydawało się w porządku, miał wrażenie, że coś się nie zgadza. Sprawdzał każdy pokój od góry do dołu. W końcu dotarł na strych. I tam właśnie było coś nie tak jak zwykle. Rzeczy na poddaszu zawsze pokrywała gruba warstwa kurzu, bo Marie nigdy tam nie sprzątała, a Albert zaglądał jedynie od czasu do czasu. Mimo to tego dnia dozorca dostrzegł na podłodze dziwne ślady, trochę jak ścieżki wydeptane w kurzowej pokrywie. Jakby ktoś chodził po strychu, a potem starał się zatrzeć ślady swoich stóp.

Nie, dziadek nie był szalony. Dlatego przedmioty, jakie zostawił w spadku, miały być wskazówkami dla niej przy szukaniu czegoś. A znając przeszłość dziadka, nietrudno się domyślić, że to coś miało związek z kaplicą Świętej Katarzyny, Zakonem Syjonu i potomstwem pokolenia Chrystusa. Roztropny Albert zasugerował Catalinie, że ewentualne dowody istnienia świętej dynastii z pewnością zostały poumieszczane w rozmaitych miejscach. Ale nie wszystkie dowody są równie ważne ani nie wszystkie odsłaniają to samo temu, kto je odnajduje. Jeśli dziadek tak usilnie starał się pokierować wnuczką tam, gdzie on kiedyś coś odnalazł, musiało chodzić o coś wielkiej wagi, o niewiarygodne odkrycie. I nie takie, które jest oparte na wierze, ale na ścisłych dowodach; bo, jak również mówił Albert, dziadek nie wierzył w nic, czego nie można by udowodnić.

Jedyną ciemną stroną tego rozumowania, która jeszcze mogła zmienić w absurd wszystkie odkrycia, było to, że ukryte dowody nie są jednak tak ważne, jak dziadek sądził. Ale w takim razie, czemu ktoś zadawałby sobie trud szperania w jego papierach i dokumentach

w kancelarii? Catalina nie wątpiła, że dziadek musiał mieć kontakt z Plantardem i Cheriseyem. Byli przecież głowami nowego Zakonu Syjonu, a zagadka potomstwa Chrystusa stanowiła główną siłę napędową całego życia dziadka. Po tym wszystkim, co Catalina znalazła w książkach i Internecie, i wiedząc, że nawet autorzy i dziennikarze – włącznie z samą BBC – byli prawdopodobnie manipulowani przez Plantarda i Cheriseya, nie mogła mieć całkowitej pewności, czy nie oszukano także dziadka, przekonanego, że odkrył coś bardzo ważnego, o przełomowym znaczeniu dla historii ludzkości, co w rzeczywistości okazałoby się kolejnym wymysłem i kłamstwem.

Kluczową rolę w tym wszystkim niewątpliwie odgrywał Zakon Syjonu.

Catalina postanowiła więc porzucić poszukiwania internetowe i pójść wprost do legowiska wilka – nowego Zakonu Syjonu. Może naiwnie sądziła, że tam znajdzie choć odrobinę prawdy. Ale jej dziennikarski węch nigdy jeszcze nie zawiódł. A poza tym, jakie miała inne wyjście?

Jasne, że jeżeli zakon to nie żadna maskarada, dziadek być może odnalazł coś naprawdę, ale jeżeli nie, padł ofiarą oszustwa.

A kim byli ci, którzy włamali się do biura d'Allaines'a i do chateau w Gisors zaraz po śmierci dziadka? Na to pytanie istniało także wiele rozmaitych odpowiedzi, niewątpliwie związanych z poprzednim pytaniem. Dwie wydawały się najbardziej prawdopodobne: jeśli zakon rzeczywiście istniał, mogli szukać wskazówek, by odkryć to, co odkrył dziadek; a jeżeli zakon był oszustwem, może chcieli się po prostu chronić.

Tak czy owak wszystko znów wracało do punktu wyjścia; trzeba się dowiedzieć, czy Zakon Syjonu to błąka, czy nie.

Catalina siedziała w samochodzie, już w Paryżu. Z jednej strony czuła się lekko, wtapiając się w tłum uliczny wielkiego miasta. To na pewno głupota, ale przez część drogi miała wrażenie, że jakiś samochód ją śledzi. Chyba już gdzieś widziała ten wóz... w Gisors, przypomniała sobie, stał w pobliżu drogi prowadzącej do chateau. Ale czy to rzeczywiście ten sam? Niby dlaczego? Były przecież miliony takich aut, a jednak... Kierowca skręcił dwadzieścia kilometrów przed Paryżem, ale Cataliny wcale to nie uspokoiło.

Cztery razy tego ranka telefonowała po rozmowie z Albertem. Do gazety, poprosić szefa o jeszcze jeden dzień urlopu i przysiąc na wszystko, że pojawi się w redakcji przed jedenastą we wtorek. Do biura podróży, by odwołać bilet i zarezerwować drugi na samolot odlatujący z Orly za dziesięć siódma rano następnego dnia. Do hotelu w Paryżu, gdzie zamówiła pokój – skoro samolot wylatywał tak wcześnie rano, wolała zanocować w Paryżu, nie w Gisors. Do biura pana d'Allaines'a z prośbą o spotkanie z jakimś przedstawicielem zakonu w kancelarii w Paryżu. Adwokat najpierw odpowiedział, że nie ma pojęcia, czy ta organizacja w ogóle jeszcze istnieje, co nie zdziwiło zbytnio Cataliny. Nalegała jednak, tłumacząc, że adwokat z pewnością zna mnóstwo ludzi, ma wiele kontaktów i być może któryś z nich, może nie bezpośrednio, ale mógłby w tym pomóc. W końcu d'Allaines obiecał, że zobaczy, co się da zrobić. Zadzwoił po godzinie, bardzo zadowolony. Powiedział, że przez swojego znajomego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zdołał umówić ją na spotkanie o czwartej po południu w siedzibie zakonu.

Była więc teraz w Paryżu pod adresem wskazanym przez d'Allaines'a. Wprowadziła ją sympatyczna sekretarka. Catalina nie musiała czekać nawet pięciu minut w poczekalni, gdzie słychać było przyjemną muzykę, na ścianach rozwieszono były ładne obrazy, a wokoło stały stylowe meble. Dywan, po którym szła do drzwi biurowych, także był ładny. Sekretarka gestem zaprosiła Catalinę do środka, gdzie czekał na nią mężczyzna, niewątpliwie też sympatyczny. Urządzenie biura, a nawet światło wpadające przez okno budziły sympatię. Wszystko w siedzibie Zakonu Syjonu było tak ładne i sympatyczne, że Catalina poczuła młodości.



– Dzień dobry – powitał ją mężczyzna miłym głosem, wyszkolonym tak, by brzmiał uroczo i sympatycznie w każdej sytuacji. – Jestem Marcel.

– Catalina Penant.

– Miło mi panią poznać. Czego pani sobie życzy od nas? Pan Duchamps mówił, że to coś pilnego.

Catalina domyśliła się, że chodzi o przyjaciela d'Allaines'a, tego z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

– Chciałabym uzyskać informacje o panach Plantardzie i Cheriseyu.

– Oczywiście. Domyślałam się, że czytała pani lub słyszała wiele kalumni na temat tych dwóch wybitnych członków naszej organizacji.

– Nie sądzę, żeby pan mógł się domyślić, jak wiele... ale proszę mówić dalej.

Marcel nawet nie drgnął na tę jawną bezczelność. Uśmiechał się nadal.

– To była prawdziwa nagonka, zorganizowana przez pewne osoby i grupy nacisku, którym zależało jedynie na splamieniu dobrego imienia panów Plantarda i Cheriseya, a także człowieka niezwykle skrupulatnego, jak pan de Sede. Cóż, wielka niesprawiedliwość... – Marcel rozłożył ręce z wypiełgowanymi paznokciami, manifestując w ten sposób głębokie ubolewanie. – To bolesne, że media prześladują pana de Sede'a, twierdząc, że był wykorzystywany przez pana Plantarda, podczas gdy zaledwie kilka lat wcześniej wynosiły go pod niebiosa jako jednego z najdociekliwszych badaczy Zakonu Syjonu i innych pokrewnych grup oraz tak fascynujących spraw, jak historia Rennes-le-Chateau.

– Czytałam, że sam Cherisey twierdził, że cała ta fascynująca historia, jak pan określa, była jego wymysłem niemal od początku do końca. Rozumiem też, że to właśnie Plantard udostępnił Gerardowi de Sede'owi wielką część dokumentacji do jego książek, których twierdzenia są oszustwem, jak uważa wielu.

– Nie mówiłbym tu o oszustwie, panno Penant, ale raczej o dezinformacji. Powinna pani zrozumieć nasz punkt widzenia. Jesteśmy nowoczesnym stowarzyszeniem, to prawda, ale jego fundamenty tkwią w bardzo dawnej tradycji. Nazywamy się Zakonem Rycerzy, choć pozostajemy otwarci na zewnątrz. Popieramy solidarność wszystkich ludzi. To znajduje się w naszym statucie, o czym może pani wie. Ale mimo że mamy twarz zwróconą ku światu, istnieje też inne nasze oblicze, wewnętrzne, może nie nazwałbym go sekretnym, ale poufnym, dyskretnym, czy też, jeśli pani woli, wyłącznie dla naszych członków. Zgodnie z tysiącletnią tradycją Zakonu Syjonu przykładamy wielką wagę do ochrony i zabezpieczania najwyższych spraw, bez ujmy dla ludzi. I staramy się trzymać z dala od oszczerców oraz zjadłych napastników. W pewnych sytuacjach, by osiągnąć szczytny i słuszny cel, musimy tworzyć alternatywną wersję wydarzeń, żeby do pewnego stopnia zatruć informację, podaną do wiadomości publicznej.

– Mówi pan, że Plantard i Cherisey wymyślali kłamstwo za kłamstwem przez ponad dwadzieścia lat, by chronić jakąś tajemną prawdę?

– Mamy prawo strzec wszystkiego tak, jak uważamy za właściwe...

– Nie dam się na to nabrać.

– Słucham?

– Nie dam się na to nabrać – powtórzyła Catalina bardzo spokojnie, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Jestem pewien, że nie to chciała pani powiedzieć.

– Myli się pan. Do widzenia, Marcel. Wiem już wszystko, co chciałam.

50.

Paryż, 1794

Słońce, nieoczekiwane nawet w czerwcu, raziło Miasto Światła. Podobnie jak mgła, rząd Robespierre'a zasnuwał kraj, który dawniej był wielki.

Robespierre zdjął okulary. Nosił ciemne szkła, gdyż jego oczy nie cierpiały promieni słońca. Ponadto w ten sposób mógł choć trochę nie widzieć tego, czego nie chciał. Chociaż i tak musiał w którymś momencie wszystko zobaczyć. Szybkim krokiem wszedł do swojej głównej kwatery w imponującym ratuszu na placu de Greve, pokrytym grubym dywanem krwi, który widział setki głów padających pod ciosem gilotyny i niemal każdego dnia słyszał przerażający dźwięk jej ostrza, spadającego na szyje więźniów, pośród wycia tłumu.

W środku czekał na niego Saint-Just, który dopiero co wrócił z Kolonii. Wyglądał żałośnie i był wystraszony, a w każdym razie bardzo niespokojny. Siedział na kanapie w długim korytarzu, bogato ozdobionym zwierciadłami w złożonych ramach i jedwabnymi zasłonami. Robespierre gestem zaprosił Saint-Justa do swoich apartamentów, nawet się nie zatrzymując. Nie powiedział słowa, aż obaj usiedli w wygodnych fotelach.

– Louisie, Louisie... jak mogło ci się tak nie udać? A Conroy? Nie żyje?

– Nie wiem, dlaczego plan zawiódł. Zastosowaliśmy wszystkie zabezpieczenia...

– Widać, nie wszystkie. Mówiłem, żebyś nie lekceważył La Fayette'a. Przeklęty rojalista w skórze rewolucjonisty!

Saint-Justowi krew zastygła w żyłach, gdy usłyszał ton i słowa Robespierre'a. Był blisko niego, wierzył w jego oceny i politykę; ale także bał się tego człowieka, nie znającego litości. Miał coś powiedzieć, ale wolał zachować milczenie, dopóki nie zostanie o cokolwiek spytany. Robespierre patrzył na niego wściekły, chociaż przemówił z wymuszoną rezygnacją:

– Zapomnijmy o markizie. Lorraine opowiedział nam i tak dosyć. To słaby człowiek skomentował z pogardą. – Mamy już listę członków zakonu, adres w Paryżu i jeszcze coś niezwykle ważnego: list pisany ręką biskupa, wysłany już do Anglii. Według tego, co mówi Lorraine, potomkowie Jezusa Chrystusa to trzej chłopcy w wieku dwudziestu, osiemnastu i piętnastu lat. Mieszkają spokojnie na wsi angielskiej we dworze jakiejś szlachetnej damy, lady Farnsworth, strzeżeni wyłącznie przez jednego zaufanego członka zakonu. To zdaje się wojskowy, Belg, z dość wysokim stopniem. Lorraine zapewniał, że to człowiek czynu i niezbyt wykształcony. Złapie się na haczyk, kiedy zobaczy list i pieczęć wielkiego mistrza.

– Jaki haczyk? – dopytywał Saint-Just uradowany, że Robespierre zmienił temat.

– Och, przecież ci nie wyjaśniłem. W liście pisze, że chłopcy powinni wrócić do Francji. Najstarszy z nich przyjeżdża tu, by objąć tron. Biedny idiota! Nie podejrzewa niczego, bo Lorraine radzi przybyć incognito. Wszystko niby musi odbyć się w największej tajemnicy, aż tamten stanie na ziemi francuskiej i lud przygotowuje się do przyjęcia nowego monarchy. Plan jest doskonały.

– Tak, doskonały... – powtórzył Saint-Just, niemal załamany pokrętnym myśleniem Robespierre'a. Próbował udawać, że się cieszy, by ponownie zyskać łaski swego pana.

– Kolejny krok będzie należał do ciebie, Louisie. Znajdź wszystkie osoby z tej listy. – Robespierre wydobył z wewnętrznej kieszonki surduta złożony papier. – Ale nie zamykaj nikogo, zanim nie wydam rozkazu. Niech ich śledzą, ale niepostrzeżenie. Trzeba uniknąć fałszywych kroków. Gdyby ktoś z nich próbował uciekać albo wyczułby niebezpieczeństwo, wtedy trzeba go schwycić i trzymać w strzeżonym miejscu. Wszystko musi czekać, aż przyjadą następcy. Nie chcę spłoszyć ptaszków.

Saint-Just natychmiast usłuchał. Brakowało mu teraz pomocy Toussainta Conroya, choć tylko z praktycznych przyczyn: dawny opryszek był bardzo skuteczny w takich działaniach. Poza tym Saint-Just nie czuł żadnego żalu z powodu jego śmierci. Na liście Robespierre'a widniało trzynaście nazwisk. Dwa z nich zostały skreślone: Maximilien de Lorraine, już w ich rękach, i La Fayette, w tej chwili poza ich władzą. Trzecim najwyższym przywódcą zakonu był niejaki Ambrose d'Allaines, uczony. Robespierre zanotował na marginesie, że tego

człowieka nie ma w domu i że rozkazuje bacznie obserwować, gdyby w którejś chwili Ambrose miał wrócić.

Z pozostałych dziesięciu nazwisk siedem należało do mężczyzn i trzy do kobiet. Były to osoby wysoko postawione, ale nie aż tak bardzo popularne. Z wyjątkiem pewnej aktorki, która święciła triumfy w Paryżu i budziła entuzjazm publiczności, zwłaszcza męskiej, z uwagi na swe walory fizyczne. Niemal cała grupa mieszkała w Paryżu. Tylko trzy osoby były spoza stolicy.

Wszyscy oni mieli umrzeć. Kiedy już będzie można, zaprowadzi się ich do siedziby zakonu, do domu na placu Chatelet w pobliżu Pont au Change, bardzo blisko Ile-de-la-Cite. Tam zostaną osądzeni. Robespierre szykował dla nich coś specjalnego.

Calais, północna Francja, 1794

Morze uspokajało się, chociaż przez ostatnie kilka godzin nad kanałem przeszła burza z wysokimi falami i deszczem. Czterej mężczyźni, trzej młodzi i jeden dojrzały, wysiedli z małego statku, który dowiózł ich do Francji z Dover w Anglii. Byli to potomkowie dynastii Chrystusa i ich eskorta. Zostali wezwani przez wielkiego mistrza zakonu, Maximiliena de Lorraine'a. W liście biskup naglił do powrotu do Francji incognito, by nie wzbudzać podejrzeń, gdyż sytuacja w kraju nie pozwalała jeszcze na ujawnienie się, a ze względu na wojnę z Anglią także należało zachować największą ostrożność. Gwarantował jednak, że wszystko jest gotowe do zadania ostatecznego ciosu i restaurowania monarchii pochodzącej od książąt dynastii Merowingów, którzy niegdyś rządili Francją.

Kiedy tylko Saint-Just zobaczył, jak wysiadają na przystani, nie miał wątpliwości, że to oni. Cofnął się w cień, w którym czekało już dziesięciu dobrze uzbrojonych policjantów republikańskich. Na jego znak mieli rzucić się na przybyszów i ich towarzysza.

Ale coś się nie udało. Jakiś krzepki mężczyzna z zakrytą twarzą, uzbrojony w kilka pistoletów, pojawił się nagle i zawiadomił przybyłych o niebezpieczeństwie. Kim był ten szaleniec, który odważył się przeciwstawić dziesięciu uzbrojonym policjantom? Przecież nie miał żadnej możliwości zwyciężenia ludzi Saint-Justa, choćby przyłączył się do niego opiekun chłopców i oni sami. Ale tajemniczy jeździec wcale nie zamierzał walczyć ze strażą republikańską.

Wśród zamieszania i wystrzałów zakapturzony mężczyzna zdołał podprowadzić przybyszy do koni. Stały już, gotowe natychmiast ruszyć galopem. Po kilku sekundach zniknęli bezradnemu Saint-Justowi z oczu. Ten znów stanął przerażony, kiedy okazało się, że wierzchowce policjantów i jego własny spływają krwią i rżęzą w agonii. Jeździec strzelał do koni, a nie do ludzi Saint-Justa. Zwierzęta, które zdołały się uratować, uciekły w popłochu, pozrywawszy więzy i uprząż. Ponownie go pokonano – teraz myślał już tylko o strasznej karze, jaka czekała go od obywatela Robespierre'a, jego pana.

To, czego nikt nie przewidział, ani Saint-Just, ani zakapturzony nieznajomy, ani żołnierz eskortujący chłopców, ani oni sami – to, że inny mężczyzna na koniu rzucił się za uciekającymi. Ale jechał za nimi z daleka, w odpowiedniej odległości. Nie miał zamiaru na nich polować, ale śledzić i sprawdzić, dokąd się udali.

Był to młodszy brat Toussainta Conroya, Jacques. Robespierre wiedział, że młody nicpoń jest równie chytry, jak brat. Ponadto śmierć tego ostatniego i okoliczności, w jakich nastąpiła, sprawiły, że Jacques świetnie się nadawał do tej roboty, tym bardziej właśnie, że nie ustępował Toussaintowi w bezbożności. W zimnym okrucieństwie i braku miłosierdzia. Nie potrzebował zachęty. Działał z czystej nienawiści. A tym razem pałał żądzą zemsty. Był tylko o tyle gorszy od brata, że nie miał jego cierpliwości. Z kolei przewyższał go odwagą, więc jedno rekompensowało drugie.

Dunkierka, Północna Francja, 1794

Czwórka uciekinierów wraz z człowiekiem, który uratował ich przed wpadnięciem w szpony Robespierre'a, dotarła do starego kościoła Sant-Eloi. Udali się prosto na podwórze za kościołem, nie zsiadając z koni. Brama zamknęła się za nimi, tak że znikli jak duchy. Ich ślady zostały zatarte, jakby nigdy nie byli tam, na zewnątrz.

A jednak ktoś wiedział, że są w Dunkierce: Jacques Conroy.

Czas naglił. Młody Conroy wiedział, że ci ludzie z pewnością z samego rana odjadą w kierunku granicy flamandzkiej. Odczekał kilka minut i opuścił swój punkt obserwacyjny. Zamierzał powiadomić żołnierzy z najbliższego garnizonu. Miał przy sobie list żelazny i oficjalne dokumenty z pieczęcią samego Robespierre'a, które nakazywały niezwłoczne wykonanie żądań doręczyciela.

Tej nocy walczyły ze sobą szczęście i nieszczęście, przy czym żadne z nich nie odniosło pełnego zwycięstwa. Kiedy Conroy wrócił w towarzystwie dwudziestu żołnierzy, potomkowie Chrystusa wyjechali już do Anglii. Nie spędzili nocy w klasztorze, jak myślał Conroy. Pośpiech i pewność siebie Jacques'a sprawiły, że w Sant-Eloi zastał tylko zakapturzonego mężczyznę, który pojawił się na przystani w Calais i ośmieszył Louisa Saint-Justa.

Był to proboszcz kościoła. Dlatego nie uciekł mimo ryzyka, jak kapitan, który nie opuszcza tonącego statku. Ponadto proboszcz miał jeszcze inny powód, by pozostać, o wiele ważniejszy. Poświęcił się czuwaniu nad prawdziwą dynastią Chrystusa. Był opiekunem pewnego człowieka i jego rodziny, żony i dzieci; osób z pozoru przeciętnych, które jednak były rzeczywistymi spadkobiercami Jezusa. Nawet oni sami nic nie wiedzieli i żyli po prostu jak zwykli rolnicy w okolicy Dunkierki. Ale ich właściwa istota tkwiła wewnątrz, gdyż szlachetność i prawdziwa wartość nie pochodzą z herbów ani broni, tak jak ubranie nie odzwierciedla wnętrza człowieka.

Na szczęście, dzięki jakiemuś niewytłumaczalnemu, ale potężnemu przeczuciu, przed przybyciem Conroya opiekun porучzył swojemu bratankowi zadanie życiowej wagi. Darzył całkowitym zaufaniem tego młodego chłopaka i choć tamten nie wiedział nic o dynastii, ściśle wypełnił polecenie. Miał zawieźć książkę owiniętą w skórę i włożoną do małej metalowej skrzynki do zamku w Gisors, tam schować ją w tajnej kaplicy, ukrytej pod podwórcem zamkowym.

Gdy opiekun usłyszał żołnierzy walących w kościelne wrota, pomyślał sobie, że dziś nabiera sensu to, co zrobił wiele miesięcy temu pewnej nocy. Mimo niezliczonych wątpliwości podjął wtedy niezmiernie trudną decyzję. Prosił Boga o radę, która pomoże mu rozwiązać dylemat: czy postępować zgodnie z tradycją, posłusznie wykonywać polecenia wszystkich swoich poprzedników, poczynając od Leonarda da Vinci, czy wierzyć temu, co dyktuje własne serce? Prawie przez trzysta lat tylko opiekunowie znali tajemnicę prawdziwej świętej dynastii. Byli to zawsze ludzie o czystych i szlachetnych sercach, gotowi podjąć ogromną odpowiedzialność, jaką niósł ze sobą ów sekret, i przekazywali następcy – i tylko jemu jednemu – to, co wiedzieli. Ale czy ten łańcuch miał się zerwać? To pytanie bardzo go wzburzało i w końcu doprowadziło do tego, że stworzył nowy łańcuch, przeciwstawiając się wszystkim niewątpliwym i rozsądnym racjom, dzięki którym można było utrzymać tajemnicę dynastii przez trzysta lat. Nowym łańcuchem miała być księga, gdzie na jednej ze stron widnieć będzie sposób odnalezienia owego najbardziej tajemniczego szlaku opiekunów, miejsca, które tylko oni znali: kaplicy Świętej Katarzyny w zamku w Gisors. Chociaż także nie bezpośrednio. Tylko wtajemniczony, ktoś prawdziwie odważny, zdoła wypełnić własnymi myślami i wytrwałością te białe plamy i zasadzki, które opiekun specjalnie pozostawił. A dzisiaj musiał umrzeć. Trzeba zapłacić za życie pełne pychy. Rachunki z losem były

wyrównane, a los próbował wydobyć z mroku niepamięci świętą dynastię. A zatem pewnego dnia ktoś nieznany, jeszcze bez twarzy ani imienia, odnajdzie to, co wierny bratanek zawiózł teraz do kaplicy. Tego właśnie spodziewał się opiekun, który swoją książkę nazwał Znaki z Nieba.

51.

Paryż, 2004

Catalina siedziała na łóżku w pokoju hotelowym w Paryżu. Spotkanie z przedstawicielem zakonu, Marcelem, wyjaśniło jej wiele rzeczy. Powiedziała mu, że nie da się nabrać na jego słowa, ale nie była to zupełna prawda. Owszem, Plantard i Cherisey wymyślili sobie tajemnicę o Rennes-le-Chateau i kto wie, ile jeszcze więcej podobnych. Teraz w to wierzyła. Zresztą rzecznik samego zakonu wyznał jej to prosto w oczy. Ale nie wierzyła w drugą część tej historii: że wymysły tych dwóch osobistości były po to, by strzec ukrytej, jedynej prawdy. Całkowite łgarstwo. Czowała to. Z pewnością wszystko się zaczęło od małego kłamstwa. Catalina wyobraziła sobie, jak Plantard i Cherisey mówią: „A czemu nie pójść dalej, czemu nie wymyślić jeszcze jednego kłamstwa więcej? Ludzie są tacy łatwowierni...” I tak jedno po drugim przez dwadzieścia lat powstawały i łączyły się kłamstwa, które ułatwiały życie i uwiarygodniały to, co w dobrej wierze pisali autorzy książek i dziennikarze. W końcu jednak wszystko pękło z traskiem, bo przecież nie mogło być inaczej: łatwo nagromadzić kłamstwa, ale im ich więcej, tym trudniej utrzymać je w mocy. I tak, niezależni dokładni badacze zaczęli odnajdywać szczeliny, sprzeczności, zdarzenia słabo lub w ogóle nieudowodnione, na których opierały się prawdy rzekomo niepodważalne. Przyczyniła się do tego także zuchwałość Plantarda i Cheriseya. Po tylu latach preparowania fałszerstw zaczęli już przesadzać, wymyślając historie coraz bardziej zagmatwane i absurdalne. Plantard nawet odważył się twierdzić, że jest bezpośrednim potomkiem Chrystusa!... Odkryto jednak jego kombinacje. A co innego zakon mógł powiedzieć w swojej obronie? Że to wszystko było zasłoną dymną celem ukrycia prawdy? Jasne.

Catalina nie przełknęła tego. Uważała, że odkryła prawdę o swoim dziadku, a wiadomo: prawda czyni nas wolnymi, ale nie musi nam się podobać. Catalina czuła się niezmiernie zawiedziona. Wszystko okazało się kłamstwem. Zakon Syjonu był kłamstwem od początku do końca. Jej dziadka oszukano. Biedny stary Claude żył złudzeniami. Chciało jej się płakać, ale się powstrzymała. Była samotna, nie miała przy sobie nikogo, kto by próbował ją pocieszyć.

– Patrick... – wyszeptwała.

Catalina rzuciła się do drzwi pokoju i wpadła w ramiona Patricka, który właśnie wchodził.

– Spokojnie, już jestem.

Musiał się bardzo spieszyć z przyjazdem. Catalina telefonowała przecież do niego raptem czterdzieści minut temu. Pewnie rzucił wszystko i natychmiast opuścił Gisors.

– Dzięki, że przyjechałeś – powiedziała.

– Och, od czego w końcu są przyjaciele? Opowiadaj, co się stało, i dlaczego te piękne zielone oczy są takie smutne.

– Mój dziadek był oszukiwany. I to przez wiele lat. Być może nawet wyciągali z niego pieniądze tymi kłamstwami. Pewnie przyszli i szperali w jego rzeczach po śmierci, żeby znaleźć... nie wiem, klucz do skrzynki w jego domu, gdzie mógł trzymać pieniądze...

– Dobrze. Lepiej usiądźmy i opowiesz mi wszystko od początku, zgoda? – zaproponował Patrick, prowadząc ją do jednego z foteli przy oknie.

Catalina zaczęła relacjonować szczegółowo wszystko to, co zdarzyło się po jej przyjeździe do Paryża cztery dni temu. Mówiła o spotkaniu z d'Allaines'em, niespodziewanej zawartości

zalakowanych kopert, swoim postanowieniu, by pojechać na weekend do Gisors i dowiedzieć się czegoś o nieznanym dziadku i dobroczyńcy; o tym, co odkrywała w rozmaitych przedmiotach otrzymanych od dziadka, i o nim samym. Powiedziała o własnych refleksjach, zebranych razem w Listach prawd i przypuszczeń absolutnych; o podejrzeniach, że dziadek nie był wariatem i że być może w czasie II wojny światowej, w kaplicy Świętej Katarzyny znalazł coś o wielkim znaczeniu na temat Zakonu Syjonu. Przekazała też rewelacyjne informacje Alberta i d'Allaines'a, wskazujące, że ktoś grzebał w rzeczach dziadka zaraz po jego śmierci. Na koniec opisała swoje spotkanie z przedstawicielem zakonu. Nie pominęła niczego.

– Teraz czujesz się lepiej? – spytał; w trakcie opowiadania Cataliny oczy mu błyszczały.

Niepotrzebnie tak się przejął, pomyślała. Przecież wspomniała mu na początku, że to wszystko sprowadzało się do jednego wielkiego kłamstwa.

– Tak, chyba trochę lepiej.

– Chyba? Nadal chciałbym zobaczyć jeden z tych twoich uśmiechów, którymi potrafisz roztopić serce na masło. – Gdy Catalina zrobiła skromną minę, dodał: – Mogłabyś się bardziej postarać. Czy każesz mi zażądać od kierownika hotelu, by rozpałił w kominku w holu? Nie wiem, czy zauważyłaś, ale dziś zaczęło się lato i na dworze jest co najmniej trzydzieści pięć stopni w cieniu...

Catalina, chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się. Patrick pocałował ją czule w policzek.

– Tak, to lubię! A teraz ja mam dla ciebie propozycję. Nie znasz Paryża, prawda? Więc będę przewodnikiem: oddanym, kompetentnym i wyłącznie twoim. Co ty na to?

– Czy w tour wliczony jest popołudniowy i wieczorny posiłek?

– Oczywiście!

– A zatem oddany przewodnik zdobył klienta. Daj mi pół godziny na prysznic i przebranie się.

– Nie ma sprawy.

Kiedy Catalina wyszła z łazienki, Patrick siedział nadal w tym samym miejscu. Przeglądał jej notatki i obserwował przedmioty pozostawione przez dziadka, bardzo poważnie i ze skupieniem.

– To wszystko już jest do niczego – stwierdziła Catalina. – Możesz to wyrzucić przez okno.

Podniósł głowę, jakby spłoszony znieacka, z miną pełną winy, choć tylko przez ułamek sekundy.

– Jesteś pewna? – Wskazał notatkami okno. – Jako baza dla powieści fantastycznej, te rzeczy byłyby całkiem dobre.

Catalina zauważyła, że Patrick mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Wyszła z łazienki owinięta tylko białym hotelowym ręcznikiem, który ledwie zakrywał jej piersi i pośladki. Krople wody ciągle jeszcze spływały po jej długich, smukłych nogach, a wilgotne włosy spadały na ramiona i okrywały część twarzy, podkreślając urodę rysów i zielone oczy, które jarzyły się egzotycznym, niemal zwierzęcym światłem.

– Ja... ech, może wyjdę... – wymamrotał Patrick, nie spuszczać z Cataliny oczu.

– Mam lepszy pomysł – odpowiedziała szeptem.

Powoli zaczęła zdejmować z siebie ręcznik, odsłaniając coraz więcej swojego wspaniałego nagiego ciała, lekko opalonego, bezgranicznie gładkiego. Ręcznik osunął się na podłogę; wilgotne włosy opadły na piersi – pełne, doskonałe, ze sterczącymi twardymi sutkami; wspaniale zarysowana talia podkreślała godną krzywiznę brzucha, pępek tworzył jakby nieprzyzwoitą szczelinę nad statecznym łonem z włosami intensywnie czarnymi i lekko kręconymi.

Patrick chciał się zbliżyć, ale Catalina mu nie pozwoliła. Oparła bosą stopę na jego piersi. Jej seks znalazł się na wysokości oczu młodego architekta. Patrick głośno przełknął ślinę.

– Ja... nie... mogę – spróbował jeszcze raz, już pokonany.

Catalina powiedziała mu jednak, że owszem, może. Przekazała tę myśl bez słowa, skinęła tylko głową z wyrazem gwałtownego pragnienia rozkoszy.

Zdjęła stopę z piersi Patricka i uklękła pomiędzy jego nogami. Zaczęła mu rozpinąć spodnie, nadal wpatrując się w niego tymi zielonymi oczyma, w których jeszcze mocniej błyszczał zwierzęcy ogień. Patrick niezgrabnie zsunął spodnie. Był całkowicie gotów do miłości, choć lekko przerażony rozwojem wydarzeń. To tylko zwiększyło podniecenie Cataliny; ogarnięta palącą żądzą przeżyła się miękko jak kot, co przyprawiłoby o szaleństwo nawet najbardziej opanowanego mężczyznę. Położyła głowę na kolanach Patricka, ujęła jego członek i zaczęła nim poruszać w górę i w dół, z coraz większym uniesieniem. Wspólna rozkosz narastała z każdą chwilą, wśród ekstatycznych jęków. Nagle Catalina zatrzymała się, co wywołało żalosne westchnienie kochanka. Ale to nie był koniec. Catalina kocimi ruchami położyła nogi na oparciach fotela. Delikatnie, ale stanowczo ujęła głowę Patricka i skierowała ją ku swojemu łonu. Przez chwilę wydawało się, że nie wiedział, co ma robić, ale zaraz potem zabrał się z pasją do dzieła. Głośne jęki rozkoszy mąciły ciszę pokoju. Również nagle Catalina odsunęła się i znów zaczęła pieścić członek Patricka. Wprowadziła go ręką do swojego wnętrza, czemu towarzyszył niemal bolesny jęk, połączony z dreszczem rozkoszy, który jej przebiegał po plecach. Catalina zaczęła podnosić się i opadać, najpierw bardzo powoli, potem stopniowo coraz szybciej, niemal w szaleńczym rytmie. Wszystko skończyło się krzykiem rozkoszy, najpierw jego, a za chwilę także Cataliny, która nadal rytmicznie kołysała biodrami. W końcu znieruchomiała i leżała na jego piersi, podnoszonej przyspieszonym oddechem i biciem serca, jak po długim biegu.

Catalina wyciągnęła lewą rękę, szukając po omacku gorącego, silnego ciała Patricka. Leżała na brzuchu na łóżku z zamkniętymi oczami. W końcu podniosła głowę sennym ruchem. Czuła radosną satysfakcję, jak zawsze po namiętym stosunku. Ale gdy otworzyła oczy, stwierdziła, że Patricka nie ma w łóżku. Po stronie, po której leżał obok niej, pozostało tylko zimne wgłębienie na białym, wygniecionym prześcieradle.

– Patrick? – zawołała tonem pożądania.

Tak bardzo chciała jeszcze raz poczuć go w sobie. Kochanie się z Patrickiem było bajecznym przeżyciem. A też trochę dziwnym. Kilkakrotnie tej nocy Catalina miała niedorzeczne wrażenie, że Patrick nie wie, co robić; to tak, jakby kochała się równocześnie z dojrzałym mężczyzną i z chłopcem, przestraszonym swoim pierwszym stosunkiem z kobietą. Było to dziwne, prawda, ale przy tym niezwykle, nowe, słodkie uczucie. Nie przeżyła takiej rozkoszy od... Nie wiedziała. Od jednego z pierwszych swoich doświadczeń miłosnych, być może.

Wstała z łóżka i rozejrzała się. Nie było go w łazience. Wyszedł, gdy spała. Jej serce przeszło ukłucie żalu. Ile razy jej się to zdarzyło? Czy nigdy nie zmądrzeje? Zaczęła głośno wymyślać mężczyznom od egoistów i kłamców. Wtedy dostrzegła na stoliku kartkę wyrwaną z bloczku hotelowego:

Było cudownie. Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Naprawdę. Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztuje zostawić cię, ale dzwoniли po mnie z biura. Mają poważny problem i nie mogłem inaczej zrobić, musiałem wyjść. Zobaczymy się, jak tylko uda mi się wyrwać. Zadzwoń. Nie chcę cię budzić. Spisz tak rozkosznie...

Wszystkie całusy świata. Patrick

Nie słyszała telefonu. Ale nic dziwnego, rzeczywiście spała rozkosznie i głęboko. Może jednak nie wszyscy mężczyźni są egoistami i kłamcami? Patrick taki nie był. I to jej wystarczyło.

Dzięki notatce nie tylko odzyskała dobry humor, ale, jak to bywa zawsze, kiedy minie rozczarowanie, zobaczyła świat w różowym kolorze. Poczwała głód. Postanowiła ubrać się i wyjść na lunch. Szkoda, że Patrick nie mógł jej towarzyszyć. Chciała nawet zadzwonić do niego, dowiedzieć się, jak długo będzie zajęty, ale po namyśle zrezygnowała. Powiedział przecież, że sam zadzwoni. Catalina była pewna, że to prawda. Po co mu wobec tego zawracać głowę. Może załatwia coś z klientem? Próbuje rozwiązać powstały problem? Nie, postanowione: zje sama w restauracji w hotelu.

Była pod prysznicem, kiedy usłyszała telefon komórkowy. Szybko zakręciła wodę i pobiegła odebrać, zostawiając wilgotne ślady na podłodze łazienki i na wykładzinie w pokoju.

– Tak? Patrick? – Sądziła, że to on.

– Jeżeli chce pani się dowiedzieć, jak naprawdę umarł pani dziadek, proszę spotkać się ze mną przy wejściu do hotelu za dziesięć minut.

Zimny, nieznany męski głos umilkł. Rozległ się suchy trzask odkładanej słuchawki, a potem monotony sygnał. Catalina słuchała tego dźwięku jeszcze przez dobrych kilkanaście sekund. Osłupiała. Nadal nie wierzyła w to, co przed chwilą usłyszała. W telefonie rozległy się teraz głośniejsze, przerywane dźwięki. W końcu Catalina wyłączyła telefon. Siadła na łóżku, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Kim mógł być ten człowiek? Co chciał powiedzieć przez to „jak naprawdę umarł dziadek”? Sądziła, że historia dziadka jest już zakończona, że nie ma już nic do odkrycia, z wyjątkiem jakichś tajemnic, niewartych poszukiwań.

Jak trąba powietrzna przemykały jej przez głowę różne wspomnienia: teorie, hipotezy, odkrycia. Zgodnie z tym, co jej opowiedziano, dziadek wyjechał z drogi w górskich okolicach Madrytu. Był na prostym odcinku, miał dobrą widoczność, ale jechał zbyt szybko. Po prostu jeszcze jeden przykry i głupi wypadek drogowy. Ale poprzedniej nocy Catalinie przyszło do głowy coś, czego nawet nie odważyła się głębiej rozważać: może to wcale nie był wypadek; a przynajmniej nie zwyczajny. Może dziadek uciekał przed prześladowcami?

A teraz to.

Ktoś obcy zadzwonił i spytał, czy ona chce wiedzieć, jak naprawdę umarł dziadek. Gdyby nie odłożył tak gwałtownie słuchawki, Catalina pewnie wykrzyczałaby: „Jasne że tak, na miłość boską! Mówże wreszcie!”

W ciągu niecałych dwóch minut była już gotowa. Stała w drzwiach hotelu, niepewna, niedorzecznie rozglądając się na wszystkie strony, bo przecież nie znała twarzy tajemniczego rozmówcy. W ciągu dziesięciu minut nic się nie zdarzyło. Nikt nieznany nie podszedł do niej ani nie spytał głębokim głosem: „Panna Penant?” Wyobrażała go sobie otulonego w trenczu, w kapeluszu, w stroju szpiegów z filmów; co za idiotyczny pomysł – przecież było co najmniej trzydzieści stopni na plusie!

Czas mijał. Pod wpływem ostatnich wydarzeń Catalina zaczęła wpadać w rozpacz. W końcu dostrzegła samochód wyjeżdżający z najbliższej uliczki. Zatrzymał się tuż przed wejściem do hotelu.

– Wsiadaj. Szybko! – rzucił kierowca.

Catalina usłuchała.

Kiedy tylko usiadła, samochód ruszył.

– Kim pan jest? – spytała.

– Nieważne.

Może i tak. Ale miała też inne pytania, ważne.

– Co pan wie o śmierci mojego dziadka? To nie był wypadek?

– Nie. – Mężczyzna odpowiedział tylko na ostatnie pytanie. – Cierpliwości, zaraz dowie się pani wszystkiego.

Cierpliwości?! Co za głupota!

– Dokąd jedziemy?



– W spokojne i bezpieczne miejsce.

Nieznajomy rzucił długie spojrzenie we wsteczne lusterko. Catalina odwróciła się, by sprawdzić, czemu on się tak uważnie przygląda.

– Myśli pan, że ktoś za nami jedzie?

– Proszę się nie oglądać.

Catalina odniosła wrażenie, że ta odpowiedź oznaczała, że istotnie, są śledzeni. Przyjęła to do wiadomości z zaskakującym spokojem. Przypomniała sobie podejrzany samochód, który jechał za nią z Gisors i skręcił dwadzieścia kilometrów przed Paryżem.

– Kto to?

– Nieważne.

Facet najwyraźniej nie zamierzał póki co niczego wyjaśniać, nie warto więc było nalegać.

– Proszę się przynajmniej przedstawić.

Nieznajomy odwrócił głowę i przez sekundę przypatrywał się Catalinie.

– Pierre.

Pierre, no jasne, jak dwadzieścia milionów Francuzów. A ona była Katarzyną Aragońską...

Jechali dalej w milczeniu, wreszcie Pierre, po prostu Pierre, skręcił na autostradę prowadzącą do Wersalu. Stopniowo znikał miejski pejzaż. Mijali wioski i tereny przemysłowe. W końcu zjechali z głównej szosy i po chwili zatrzymali się w jakiejś bocznej dróżce. Dopiero wtedy Catalina uświadomiła sobie, co najlepszego zrobiła: wsiadła do samochodu zupełnie nieznanego mężczyzny, który podał jej najprawdopodobniej fałszywe imię, a teraz przywiózł ją w odludne miejsce. Poczowała potrzebę zadzwonienia do Patricka. Wyjęła telefon.

– Co pani robi? – spytał mężczyzna.

– Dzwonię do przyjaciela. Byłam z nim umówiona, więc muszę odwołać spotkanie.

Pierre oparł się łokciem o siedzenie Cataliny i powiedział:

– Lepiej, żeby pani nie dzwoniła do nikogo. – Wyjął telefon z drżących rąk Cataliny, wyłączył go i schował do kieszeni koszuli. – Proszę wysiąść.

– Kim pan jest? Co pan chce zrobić?! – krzyknęła przerażona.

– Wysiadaaj – warknął. Już nawet nie starał się być uprzejmy. Posłuchała, ale to Pierre musiał otworzyć drzwiczki, bo jej ręce drżały coraz bardziej i nie trafiały na klamkę.

– Chce mnie pan zabić?! Dlaczego?! Ja... nic nie zrobiłam... Nic nie wiem! – dodała błagalnie i wybuchnęła płaczem.

Bez najmniejszego współczucia, a nawet przeciwnie, zirytowany jej lamentami, rozkazał:

– Zamknij się i włącz do środka.

Mówił o bagażniku auta, który właśnie otworzył.

– Ale, ja...

– Włącz do tego cholernego bagażnika! Już!

Walcząc z mdłościami, które opanowały ją ze strachu, Catalina zrobiła, co kazał. Wieko się zatrzasnęło z metalicznym hukiem i świat pogrzyżył się w ciemnościach.

W bagażniku było całkowicie ciemno. Catalina na oślep macała przestrzeń, ale nie trafiła na żaden przedmiot. Auto znów jechało. Nie wiedziała, dokąd ją wiezie, ale żyła. Dzięki Bogu nadal żyła. Ciągle przerażona, ale trochę spokojniejsza, zastanawiała się, jak mogła być tak głupia, żeby pójść z kimś nieznanym, kto pewnie należy do prześladowców dziadka. Czy i ona ma zginąć w wypadku?

Ta głupota mogła być ostatnią w jej życiu.

Ze zmiany odgłosu wydawanego przez koła wywnioskowała, że wyjechali z polnej drogi i wrócili na szosę. Chociaż jakie to miało znaczenie. I tak nie mogła się zorientować, dokąd jadą. Myślała tylko, że dopóki auto nie stanie, będzie żyła. Bo jeśli się zatrzymają... Nie

chciała nawet o tym myśleć... Musiała się pozbierać, odzyskać spokój i próbować znaleźć jakieś rozwiązanie.

Przez dłuższy czas nie udało jej się nic wymyślić. Przynęła, ukołysana monotonną jazdą. Najwyraźniej organizm potrzebował kilku chwil odpoczynku, by odzyskać chociaż minimum energii.

Krótki, niespokojny sen jednak trochę rozjaśnił umysł. Chociaż nie polepszył stanu ciała, które zaczynało drętwieć. Na szczęście wpadła na pomysł. Pojawił się nagle, klarownie. Możliwość, że się uda, była jedna na tysiąc, ale warto było spróbować. Jeszcze raz zaczęła macać wokoło siebie, tym razem szukając kabli do tylnych świateł. Potem bardzo ostrożnie powyrywała wszystkie te, które zdołała osiągnąć. Spodziewała się, że przestaną działać migacze i przede wszystkim światła stopu. To powinno zwrócić uwagę patrolu drogowego (widziała kiedyś coś podobnego w filmie Hitchcocka). W najgorszym razie przez brak świateł stopu może dojść do wypadku, w tych okolicznościach pożądanego, chyba że zostanie zgnieciona na śmierć. Tak czy siak, gotowa była podjąć ryzyko.

Ale te dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć pozostałych możliwości jednak zwyciężyło jedyną, która mogłaby okazać się zbawienna, bo nie wydarzyło się ani jedno, ani drugie. Samochód jechał dalej bez żadnych przeszkód. Catalina zaczęła odmawiać pacierz; tak to jest z wiarą: jak trwoga, to do Boga. Ale przerwała w połowie. Nie chciała uznać się za zwyciężoną. Z wielkim trudem – bo jej ciało już całkiem zdrętwiało – spróbowała zmienić pozycję. Zdołała ułożyć się na brzuchu. Oparła stopy na pokrywie bagażnika i zaczęła pchać ze wszystkich sił.

Nadzieja wypełniła jej serce, gdy zamek pokrywy zaskrzypiał. Znieruchomiała, modląc się, by Pierre niczego nie usłyszał. Widząc, że samochód nie staje, zaczęła pchać dalej. Twarz miała czerwoną z wysiłku. Czuła napięcie wszystkich mięśni.

Nagle rozległ się metaliczny hałas. Pokrywa nadal była zamknięta, a więc skąd ten rozdzierający zgrzyt?

I znów metaliczny jęk, tym razem połączony z silnym wstrząsem. Catalina spłaszczyla się na dnie bagażnika i zawyla z bólu. Uderzali w inny samochód! To mogło być tylko to. Ponowne wstrząsy potwierdziły jej przypuszczenia. Trzecie uderzenie było silniejsze niż poprzednie, ale Catalina, już przygotowana, zdołała ochronić się przed gwałtownymi szarpnięciami.

Wyczuła, że Pierre traci kontrolę nad wozem. Wyobraziła sobie jego przerażoną twarz i ręce rozpaczliwie zaciśnięte na kierownicy, już na darmo, bo samochód telepał się z jednej strony drogi na drugą z piskiem opon. Cataliną owładnęło szalone uniesienie. Też była w tym wozie i nie miałyby wielkich szans na przeżycie, gdyby się w końcu wywrócił albo w coś uderzył. Ale mimo to wrzasnęła z całych sił!

– Wal tego sukinsyna!

Pierre zdołał jednak opanować samochód, ku wielkiemu zmartwieniu Cataliny. Nie była pewna, do kogo skierowała swój okrzyk, ale miała nadzieję, że do policjantów w radiowozie. Bo kto inny odważyłby się uderzać bokiem w drugi wóz. Plan wyrwania kabli jednak zadziałał. Prawdopodobnie policja dawała znaki światłami, by Pierre się zatrzymał, czego on oczywiście nie zrobił. Rozpoczęła się pogoń i teraz policjanci, którzy nie wiedzieli o jej obecności w bagażniku, próbowali zatrzymać wóz siłą.

– Dzięki, panie Hitchcock – mruknęła Catalina tuż przed nowym uderzeniem. Gdyby angielski reżyser zjawił się teraz nagle, obsypałaby go pocałunkami.

Czwarty cios był ostateczny. Samochód zjechał z drogi. Catalina zaczęła turlać się gwałtownie w ograniczonej przestrzeni bagażnika, przy piekielnym pisku hamulców i łomocie przydrożnych kamieni, walących w karoserię.

Na szczęście dla Cataliny Pierre zdołał uniknąć dachowania. Przez cały czas od ostatniego uderzenia aż do chwili, kiedy wóz w końcu się zatrzymał, nie przestawała krzyżeć. W nagłej

ciszy wrzask, którego przed sekundą nie można było słyszeć, rozbrzmiał jej w głowie, niemal powodując ból. Potem nastąpiły dużo cichsze, żalosne odgłosy, przerwane dźwiękami z zewnątrz: sapanie z wysiłku, strzały! I...

Cisza.

Kiedy ktoś otworzył bagażnik, Catalina zdętwiała ze strachu. Światło ją oślepiło, nie mogła rozpoznać, czy to Pierre, czy też jej wybawca. Poczowała niezmierną ulgę, kiedy rozpoznała zaniepokojony głos.

– Nic ci nie jest? Na miłość boską, powiedz, że nic ci nie jest!

– Patrick? To ty, Patrick?!

– Tak, to ja.

Catalina się rozplakała. Oszołomiona, obolała, nie mogła wydostać się o własnych siłach z bagażnika. Patrick wyniósł ją i położył na ziemi, obok samochodu. Catalina dostrzegła czyjąś rękę, bezwładną i zakrwawioną, wysuniętą przez otwarte drzwiczki od strony kierowcy.

– On...?

– Tak. Nie żyje.

– Na pewno?

– Na pewno. Zabierzcie go stąd! – rozkazał jakimś ludziom, którzy byli razem z nim.

Wyciągnęli ciało ze środka i włożyli do bagażnika samochodu Patricka. Kim są ci...? Co chcesz z nim zrobić?

– To moi przyjaciele. Nie przejmuj się.

Na twarzy Cataliny pojawił się zmęczony uśmiech. Mężczyzna, który ją porwał, prawdopodobnie po to, żeby zabić, leżał teraz martwy dwa metry dalej, w zatrzaśniętym bagażniku. A Patrick, pocziwy Patrick mówi, żeby się nie przejmować. Zabawne. Z pewnością przestanie takie być, kiedy przejdzie stan napięcia, ale teraz było z pewnością zabawne.

Nagle Catalina zaczęła szlochać, potem żałośnie płakać. Objęła mocno Patricka, wtulając twarz w jego pierś.

– Już wszystko dobrze – zapewniał Patrick, delikatnie głaszcząc jej włosy.

Ale nie wszystko było dobrze. Płacz Cataliny urwał się nagle, a ciało zeszywniało. Jasne, że nie wszystko było dobrze. Z oczyma czerwonymi i mokrymi od łez spytała:

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Ty... śledziłeś mnie?

Patrick osłupiał. Słodczy jego twarzy zastąpił wyraz skruchy i winy.

– Ja... eee... wróciłem do hotelu... i... eee... zobaczyłem, że wsiadasz do samochodu... i... postanowiłem jechać za wami, bo... eee...

– Proszę, nie kłam! Nie kłam chociaż ty! – Catalinie znów zwilgotniały oczy. Nigdy, nawet podczas pogrzebu rodziców, nie chciało jej się tak płakać. Ale nie uroniła już więcej ani jednej łzy. – Powiedz mi prawdę...

52.

Paryż, 1794

Wiedziałem, że ich nie złapiesz! – wrzasnął Robespierre i walnął pięścią w stół. – Niedołęga! Nikczemny niedojda!

– Obywatelu, bardzo mi przykro. Kiedy wróciłem z żołnierzami, zastałem tam tylko księdza.

– A co mnie obchodzi ksiądz?

Obelgi Robespierre'a pod adresem Jacques'a Conroya słyhać było aż poza ratuszem. Saint-Just też się nie popisał, ale na tego Nieprzekupny nie bardzo liczył. Właśnie dlatego znalazł

brata swego wiernego Toussainta. Ten naprawdę powinien nie dopuścić, by następcy dynastii zdołali mruknąć.

Conroy słuchał reprimendy z pochyłą głową. Nawet zdjął czapkę i nerwowo obracał ją w rękach. Nie był niczemu winien ani nie powinien ponosić za to odpowiedzialności. O wiele bardziej winny był Saint-Just, myślał Conroy. A poza tym każdy by pomyślał, że uciekinierzy spędzą noc w kościele w Dunkierce. Ale do Robespierre'a nie przemawiał żaden argument. Był wściekły, a złość nie idzie w parze z logiką.

– Precz z moich oczu! – wrzasnął, podnosząc gwałtownie rękę. Po wyjściu Conroya padł na fotel.

Co teraz będzie? Umysł miał zajęty zbyt wieloma sprawami. Wszystko zaczynało iść coraz gorzej. Niebezpieczeństwo zawisło nad Francją, nad jego partią, nad współpracownikami, nad nim samym.

Ale nie: prosty lud nigdy nie pozwoli zrobić mu krzywdy. Będzie bronił swego dobroczyńcy. Aż do śmierci.

Jestem zgubiony – syknął przez zęby, chociaż jego mózg nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Ale mimo to, że został zagnany w ślepią uliczkę, a próby zniszczenia Zakonu Syjonu i królewskiej dynastii nie powiodły się, Robespierre nie zrezygnował ze swego fanatycznego pragnienia zmiążdżenia tych, którzy strzegli następców Chrystusa. Nigdy nie zdołał odkryć, że te niewinne osoby były tylko wabikiem już od czasów Leonarda da Vinci. Jego gniew i żądza zemsty górowały nad rozważą. Chociaż stracił następców dynastii, choć La Fayette przeżył, choć nie udało się znaleźć uczonego d'Allaines'a, wydał dwa rozkazy: aby w tajemnicy ostatecznie usunąć arcybiskupa i wielkiego mistrza zakonu, Maximiliena de Lorraine'a oraz by wszystkich członków zakonu zatrzymanych we Francji zamurować w piwnicy ich domu w Paryżu.

Robespierre miał już tylko jedno wyjście: ratunek przy pomocy członków loży masońskiej, do której należał. Najwyższe stanowiska w tej organizacji zajmowały osoby zupełnie mu nieznane. By się uratować, będzie musiał ostro zagrać. I to jak? Zatrzyma pięciu zakapturzonych, wyjawi zagadkę ich tożsamości i zmusi do działania na jego korzyść. Chociaż przedtem spróbuje ich przekonać po dobroci, bez użycia siły. Był rozsądnym człowiekiem.

Świątynia masońska znajdowała się w niepozornie wyglądającym domu przy jednej z uliczek Paryża. Robespierre przybył owej nocy sam, na koniu, z osłoniętą twarzą. Ryzykował, że dostanie się w jakieś zamieszki albo też zostanie rozpoznany, gdyby ktoś dojrzał jego oblicze. Wjechał na podwórze domu. Dopiero tam służący odprowadził konia. Nieprzekupny wszedł do głównego budynku i zrzucił pelerynę. Noc była miła, bardzo ciepła.

Ciemny korytarz prowadził do przedsionka świątyni. Tradycją wolnomularzy było nadawanie swoim świątyniom imion: ta nosiła imię Jeana Jacques'a Rousseau. Na zewnątrz wisiała duża tablica z wypolerowanego złota, z nazwą wygrawerowaną piękną kursywą. Robespierre wiedział, że go oczekują. U lokaja zaopatrzył się w parę białych rękawiczek, we wstęgę przecinającą pierś, w łańcuch z symbolem swojej rangi i w fartuch mistrza z białej wełny ze znakami świadczącymi o stopniu.

Wszedł do świątyni. Po obu stronach pomieszczenia stały kolumny Jachim i Boaz, pamiątki po Jacques'u de Molayu, który spłonął w 1314 roku podczas niszczenia świątyni, właśnie we Francji. Wejścia strzegł jeden z braci masonów z uniesioną szpadą. Wzdłuż, po bokach, siedzieli członkowie loży, którzy mogli lub odważyli się przyjść na to pospiesznie zwołane zebranie. Naprzeciwko, na symbolicznym „wschodzie” świątyni, znajdowało się pięć zakapturzonych osób, których nikt nie znał. Robespierre podszedł kilka kroków, pozdrowił ich skinieniem głowy, które robiło wrażenie raczej groźnego niż uprzejmego. Podłoga była w szachownicę, a sufit błękitny, z gwiazdami. Pośrodku sali stały trzy kolumnienki z białymi

świecami. Ściany okalał sznur pełen węzłów. W głębi, we wschodniej stronie świątyni, nad głowami przywódców widniał trójkąt z okiem Opatrzności. Po jego obu stronach znajdowały się symbole Słońca i Księżyca. Niżej na małym stoliczku leżały: kielnia, ekierka, kompas... Znaki masońskie towarzyszy-budowniczych średniowiecznych katedr, teraz zastąpionych przez intrygantów żądnych zaszczytów. Chociaż nie wszyscy masoni byli tacy, gdyż wielu miało na celu jedynie poprawę bytu materialnego i duchowego ludzkości. Jednak ci z najwyższych kręgów pragnęli tylko trzymać siłą wodze ziemskiej władzy. A największy paradoks tkwił w tym, że owe loże powstały pod auspicjami templariuszy, gdyż właśnie ten zakon w swoich początkach strzegł tego, co dzisiaj próbowano zniszczyć. Chociaż nie mniej paradoksalne było hasło rewolucji: „Wolność, równość, braterstwo”, które przy obecnych wodzach stało się śmiesznym i pustym sloganem.

– Bracia, przychodzę prosić was o zrozumienie – rzekł Robespierre z błyskiem furii w oczach.

Nie lubił prosić, przywykł do rozkazywania. I, oczywiście, nie miał zamiaru ograniczyć się tylko do próśb.

– Słyszeliśmy, czego chcesz, bracie nasz. I powinieneś wiedzieć, że ci tego nie możemy dać – orzekł zdecydowanie wielki mistrz. Głos miał piękny, głęboki i spokojny.

– Nie możemy – powtórzyli pozostali czterej zakapturzeni, jeden po drugim, jak litanię.

– Wy, moi bracia, zdolni jesteście uczynić cud: oddalić upadek mojego rządu dla dobra republiki.

– Twój rząd nie przyniósł republice nic dobrego, bracie; z wyjątkiem tego, że nie ma już nikogo, kto mógłby postępować tak jak ty. Wszystkich straciłeś.

Twarz Robespierre’a czerwieniała, aż stała się purpurowa z wściekłości.

– A więc zmuszę was! – krzyknął.

Nikt z obecnych nawet nie drgnął na tę groźbę. Wszyscy zachowali spokój, czekając na odpowiedź mistrza.

– Nie możesz nas zmusić, skoro naszą wolą jest nie uczynić tego, o co prosisz.

– Zobaczymy jeszcze...!

Ten ostatni krzyk zginął w głębi przedsionka tak szybko, jak Nieprzekupny opuścił świątynię z zaciśniętymi pięściami.

Na ulicy, już nie okryty peleryną, Robespierre znów zaczął krzyczeć. Przed wejściem do świątyni uprzedził swoich ludzi, żeby po jakimś czasie dyskretnie otoczyli dom. Teraz wrzeszczał na całe gardło, wzywając ich. To był znak: krzyk pana. Zjawili się natychmiast, uzbrojeni. Wjechali za nim do środka i sprofanowali świątynię. Nikt nie zdołał uciec. Tylne wyjście, ukryte za czarną zasłoną na „wschodzie”, też było obstawione przez strażników Robespierre’a. Pięciu zakapturzonym nakazano wyjawić swoją tożsamość. Jeden po drugim, pod groźbą pistoletów, odkrywali twarze.

Robespierre nie rozpoznał żadnego z nich. Byli równie nieznani bez osłon, jak wówczas, gdy ukrywali twarze pod czarnymi kapturami.

– Kim jesteście, przekleńci?! – napadł z niezmierną złością na tych, których dopiero co nazywał braćmi. – Mówcie!

Nigdy nie domyśliłby się prawdy: ci dojrzały już mężczyźni nie byli znaczącymi postaciami. Znajdowali się wśród nich: malarz, producent perfum, pisarz, uczonec i oficer wojskowy. Żaden z nich nie mógłby ocalić Robespierre’a przed jego przeznaczeniem. Żaden.

Gisors, 1794

Młody bratanek proboszcza z Dunkierki zatrzymał konia przed zewnętrznym murem opuszczonego zamku w Gisors. Była to solidna, wielka budowla, bardzo stara, choć z pewnością niezbyt godna uwagi. Zapadał zmierzch. Ostatnie promienie słońca oświetlały

fragment muru i wysoką Wieżę Pamięci – krajobraz isticie ponury. Tej nocy zanosiło się na burzę. Coraz mocniej wiał wiatr, a ciężkie chmury, zabarwione słońcem, zaczynały gęsto pokrywać niebo.

Chłopak upewnił się, że wokół nie ma nikogo, i ostrożnie przeszedł na drugą stronę, zabierając ze sobą wierzchowca. Wuj kazał mu załatwić wszystko potajemnie. Choć zamek był opustoszały, to z pewnością miasteczko nie – i ktoś z miejscowych mógłby go zobaczyć i nabrać podejrzeń. Stara legenda głosiła, że skarb dawnych templariuszy był właśnie tam, w podziemiach, strzeżony przez diabła, którego zwyciężyć może jedynie człowiek z czystym sercem, i to tylko nocą dwudziestego czwartego grudnia... Bratanek nieszczęsnego opiekuna nie znał tej legendy, choć serce istotnie miał czyste.

Wewnątrz pierwszego muru był podwórzec. Tam chłopak uwiązał konia przy słupku i poszedł dalej. Szukał kłapy ukrytej w ziemi, na podwórzu za murem wewnętrznym. Znalazł ją tuż przy Wieży Hołdu, z wielką trudnością, mimo że dostał szczegółowe instrukcje. Z pewnością nikt nie mógł jej łatwo odnaleźć.

Kiedy otworzył właz, wrócił do konia i wziął małą, lekką skrzynkę, zamkniętą na zasuwę, bez klucza. W każdej chwili można ją było otworzyć. Ale to oznaczałoby brak lojalności w stosunku do wuja, a młodzieniec nie chciał zawieść zaufania człowieka, który go kochał i troszczył się o niego jak o rodzzonego syna.

Młodzieniec nie wiedział – i nigdy nie miał się dowiedzieć – że istotnie był synem tego człowieka. Nieślubnym dzieckiem, którego kapłan nie mógł uznać.

Chłopak zaświecił pochodnię i zaczął schodzić po kręconych stopniach, ze skrzynką pod lewą pachą. Wąziutkie kamienne stopnie były brudne i pokryte pleśnią. Wąski otwór pachniał wilgocią i czymś nieokreślonym, ale nieprzyjemnym: jakby zgnilizną. Chłopaka przejął dreszcz; chłód, wionący z podziemi, był silniejszy niż ciepło nocy; przy tym wiatr rozwiewał płomień pochodni.

Trzask dalekiego gromu rozległ się właśnie wtedy, gdy młodzieniec całkiem zniknął pod ziemią. Pierwsza kropla deszczu upadła na twarde kamienie. Po niej nastąpiła nagle burza, która groziła zgaszeniem pochodni i pograżeniem podziemi w ciemnościach. Młody pospieszył zatem zamknąć klapę. Słyszał, jak bije o nią deszcz, jakby wściekły, że się nie może dostać do środka.

Schody prowadziły na głębokość piętnastu metrów. Tam odchodził od nich wąski kwadratowy tunel szerokości niecałego metra. By iść nim naprzód, młodzieniec musiał się schylić. Trudno było oddychać zastyłym, wilgotnym powietrzem, jeszcze bardziej spleśniałym. Pochodnia oświetlała co prawda drogę, ale też napełniała wnętrze dymem, aż oczy łzawiły. Niebawem młodzieńcowi zaczęło brakować tchu. Jednak bardziej niepokojąca była panika, opanowująca mu nerwy, uczucie, że jest tu jakby żywcem pochowany. Ale dzięki Bogu wąziutki tunel szybko się skończył. Ustąpił miejsca studni, którą można było zejść po metalowych klamrach, wbitych w kamienną cembrowinę. Z ostatniego stopnia zeskoczył. Stukot na posadzce odbił się echem w podziemnej komnacie, w której młody wysłannik teraz się znajdował.

Obrócił się i oświetlił ściany pochodnią, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi ze strachu. Waliło jak szalone nawet wtedy, gdy zorientował się, że to, co wziął za ludzi, to były w rzeczywistości kamienne posągi. Trzynaście rzeźb stało pod ścianami na wspornikach. Oprócz tego młodzieniec naliczył dziewiętnaście sarkofagów i aż ze trzydzieści metalowych skrzyń, migoczących w świetle pochodni. Skrzyżyły się srebrem i złotem.

Wuj kazał mu zostawić tu skrzynię i uciekać. Chłopak wykonał pierwszą część zadania, zostawiając małą skrzynkę na jednej z tych wielkich. I na pewno o wiele cenniejszych. Co też mogło w nich być, jak nie skarby? W oczach chłopca pojawił się błysk pożądlivosti. Chciał uchylić jedno wieko, wziąć tylko kilka monet czy klejnotów. Nikt tego nie zauważy. Sprawiłby sobie nowego konia, a może nawet folwark...

– Kto tam?! – wrzasnął nagle, przestraszony. Usłyszał coś jakby śmiech. Najgroźniejszym tonem, na jaki pozwalał mu drżący głos, dodał: – Mam broń!

Odpowiedziała mu cisza. Ot, wytwór wyobraźni, pomyślał. Początkowo wziął posągi za ludzi, a teraz przywidział mu się ten śmiech. Tak sobie wmawiał, ale nie udało mu się przekonać siebie samego. Zaprzeczać temu, co oczywiste, nie zdałoby się na nic. Cha, cha, cha!

Śmiech rozległ się znowu; tym razem brzmiał donośnie. A wraz z nim zadźwięczały dzwoneczki. Tak, ktoś tam był i chłopak nie miał zamiaru zostawać, żeby to sprawdzić. W tej chwili przypomniał sobie radę wuja: „Jeżeli coś ci będzie przeszkadzać, nie zwracaj na to uwagi. A przede wszystkim, zostaw tam skrzynkę, cokolwiek by się działo. To musisz zrobić”.

Młodzieniec pobiegł do studni łączącej komnatę z tunelem. Kiedy wbiegał jak najszybciej gnany strachem, stopy ślizgały mu się na stopniach, a za plecami słyszał szepty, śmiechy i dzwoneczki. Kiedy w końcu znalazł się na górze, niemal rzucił się do wąskiego korytarza. Sapiąc, przepychał się nim tak szybko, jak tylko zdołał. Co chwila z przerażeniem oglądał się przez ramię. Był już przy wyjściu, gdy zobaczył cień czegoś strasznego, rzucony na ścianę studni. Taki cień mógł należeć tylko do jakiegoś diabelskiego stwora prosto z piekła, miał nawet na głowie rogi. Krzyk przerażenia chłopaka rozdarł zatechłe powietrze. Mimo że członki mu zdrętwiały i osłabły ze strachu, zdołał szybko wspiąć się po kręconych schodach. Gwałtownym uderzeniem w klapę odrzucił ją tak silnie, że niemal nie zwicznął ramienia. Łzy ulgi puściły mu się z oczu, kiedy dojrzał nad sobą nocne niebo. Grzmiało, jakby dzika bestia wpadła w furję. Błyskawica przecięła powietrze właśnie wtedy, gdy chłopak wy dostał się z podziemi. Deszcz ciął ostro. Ale chłopiec przyjmował te wrogie zjawiska przyrody niemal z entuzjazmem. Dusza wyzwoliła mu się spod władzy demona.

Już na zewnątrz, z rozmachem zamknął klapę. Sapał ze zmęczenia i strachu. Serce nadal tłukło mu się w piersi. Zadyszany wybiegł z podwórza i ruszył po wierzchowca. Biedne zwierzę miało przemoczoną sierść i rżało za każdym trzaskiem grzmotu. Chłopak wskoczył na konia i ścisnął go ostrogami. Nie chciał tu zostawać ani sekundy dłużej. Pod rozświetlającym się co chwila błyskawicami niebem i pod rześistą ulewą umykał z zamku, jakby go sto czartów goniło.

Gdyby ktoś wtedy zobaczył tego jeźdźca, pomyślałby z pewnością, że to zjawa. A może nawet sam diabeł z legendy.

53.

Paryż, 2004

W prawdy, które Patrick opowiedział Catalinie, trudniej było uwierzyć niż w większość kłamstw, ale uwierzyła w każdą z nich i we wszystkie razem. Chyba najwięcej przykrości sprawiła jej wiadomość, że nie był architektem, lecz księdzem.

A więc tamtego popołudnia kochała się z księdzem! Świat naprawdę jest niezwykłym miejscem. Ale to wyjaśniało zachowanie Patricka w wielu wypadkach.

– Cały czas mnie oszukiwałeś... – wyrzuciła mu z bólem. – A teraz pewnie powiesz, że niczego nie zaplanowałeś, że jesteś we mnie szaleńczo zakochany i to nie twoja wina, że życie bywa paskudne, a to wszystko była wola Boga...

– Każdy odpowiada za swoje własne życie. Dlatego Bóg obdarzył nas łaską wolnej woli. Spodziewałem się, że nie dojdzie do tego, że będę się z tobą kochał, chociaż zdawałem sobie sprawę, że to się może stać.

– Czy mam z tego wnioskować, że nie darzysz mnie żadnym uczuciem, że tylko wypełniasz swój obowiązek za wszelką cenę? No, nie zauważyłam, żebyś się zbyt skarżył, wtedy w hotelu, proszę księdza – docięła mu Catalina, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

- Wszyscy mamy grzechy do odpokutowania. A jedyne, co nas może usprawiedliwić, to wykonanie dzieła Boga.

- Opus Dei... – przełożyła Catalina na łacinę, co sprawiło, że Patrick aż podskoczył.

Po tej pierwszej prawdzie nastąpiły inne. Patrick nie był zwykłym księdzem, nie odprawiał codziennie mszy w parafii ani nie udzielał chrztów w niedziele; nie łączył też szczęśliwych par węzłem małżeńskim ani nie rozpaczał po latach, kiedy te pary się rozwodziły. Patrick należał do tajnej organizacji. Tak tajnej, że nie miała nawet nazwy. Jej siedziba znajdowała się w Nowym Jorku, ale macki sięgały bardzo daleko. Skromni, niepozorni duchowni śledzili wszystko na całym świecie. A byli tam także inni, nie tak skromni członkowie, rezydujący w wielkich kościołach i pałacach biskupich. Organizacja miała też nieskończoną liczbę współpracowników, wiernych adeptów, często na kluczowych stanowiskach rządowych, we władzach miejskich, w firmach, na uczelniach. Jedną z najpotężniejszych broni tej organizacji był Internet. Światowa sieć i inne nowe technologie pozwoliły kilkakrotnie zwiększyć jej zasięg i skuteczność. Oczywiście niemal wszystkie grupy tworzące tę tajną organizację w dużej mierze nie miały pojęcia o ostatecznym celu jej działania. To, żeby tylko garstka wybranych znała prawdę, było koniecznością, podstawową zasadą.

A wszystko służyło jednemu celowi: odkryciu prawdziwej dynastii Chrystusa.

Catalina zdumiona słuchała w milczeniu, mówiąc sobie, że to niemożliwe. Ale równocześnie wierzyła Patrickowi.

- Dynastia Chrystusa? – spytała niemal bezgłośnie. Chociaż właściwie to nie było pytanie, bo nie oczekiwała odpowiedzi, ale zewnętrzny sygnał, że fragmenty łamigłówek w końcu trafiły na właściwe miejsca. – Następcy Jezusa... Tego właśnie szukał mój dziadek przez całe życie i tego także ty szukasz. I on szukał. – Wskazała głową na bagażnik samochodu z ciałem porywacza. – Dlatego mnie uprowadził. Myślał, że coś wiem o następcach. Ale to wszystko nieprawda. Mówiłam ci już przedtem. Mojego dziadka oszukano i cała sprawa Zakonu Syjonu jest kłamstwem. Przynajmniej teraz.

- Mylisz się, Catalino – powiedział Patrick spokojnie, jak profesor wyjaśniający coś niepojętnemu uczniowi. – Odkryłaś tyle rzeczy w tak krótkim czasie... jak to możliwe, że nie zorientowałaś się, gdzie jest prawda? Współczesny zakon to oszustwo, jasne, że tak. Wiemy o tym od dawna. Ale mylisz się, mówiąc, że wszystko jest kłamstwem. Potomkowie Chrystusa istnieją, wierz mi. Przez wiele stuleci strzegli i ukrywali ich członkowie Zakonu Syjonu. Sądziliśmy, że święta dynastia wygasła za czasów terroru Robespierre'a, kiedy jej członków prześladowano i wyniszczono tu, we Francji. Ale pomyliliśmy się. Zanim zrozumieliśmy nasz błąd, upłynęło prawie dwieście lat. Za dużo... I ktoś bystrzejszy nas wyprzedził.

Catalina pomyślała, że Patrick raczej nie mówi o ludziach Pierre'a, bo wówczas by jej nie porywali. Zostawała więc tylko jedna możliwość:

- Mój dziadek!

- Tak. Był szybszy od nas. Nie wiemy jak, ale znalazł kaplicę Świętej Katarzyny wcześniej niż my.

Ona właściwie wiedziała, jak: dziadek posłużył się stronicą wyrwaną z rękopisu w Ermitażu: Znaki z Nieba.

- Co było w tej kaplicy? – Catalina poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

- Ślad, istotna wskazówka na temat następców Chrystusa, z pewnością kompletna genealogia.

- Taka, która sięgałaby aż do obecnych czasów, prawda? Naprawdę wierzysz, że mógł pozostać choć jeden bezpośredni potomek Jezusa z Nazaretu aż do teraz, do XXI wieku?

- Latorośle Chrystusa mogą robić wrażenie delikatnych, ale nie są takie – wyjaśnił Patrick i oczy mu błysnęły tak, aż Catalina się wystraszyła.

To dało jej do myślenia.



– A dlaczego Kościół chce odnaleźć potomków Chrystusa? Z tego, co wiem, zawsze starał się ich zniszczyć.

Patrick spuścił głowę, jakby zawstydzony.

– Właśnie dlatego ich szukamy. Chcemy naprawić błędy przeszłości. Teraz wiemy, że Jezus Chrystus mógł mieć potomka z Marią Magdaleną i być nadal Synem Bożym. To tylko dowodzi, że był również człowiekiem.

Catalina przypomniała sobie, jak Albert użył niemal takiego samego argumentu. I to ją ostatecznie przekonało.

– A czemu nie zostawicie ich w spokoju i po prostu nie pozwolicie żyć swoim życiem, jak chcą?

– Zrobilibyśmy to, gdybyśmy mogli. Ale...

– Och, nieważne. Nic nie mów. – Catalina zatkała nagle uszy. – Nie chcę niczego wiedzieć o twojej przeklętej organizacji ani o tym bękarcie, który mnie porwał. Nie chcę wiedzieć, co dziadek ukrył dla mnie. Nie chcę wiedzieć nic o nikim. Wyobrażasz sobie, jak się bałam tam w bagażniku? Byłam pewna, że zaraz mnie zabiją. Nie jestem żadną filmową bohaterką. Wszystkie te historie o tajnych stowarzyszeniach i tysiącletnich poszukiwaniach przerastają mnie! Jedyne, czego pragnę z całego serca, to iść do hotelu, wziąć prysznic, wrócić jutro do Madrytu i zapomnieć o całym tym szaleństwie... Nie tylko wy szukacie potomków, tak?

– Tamci próbują ich zabić – powiedział Patrick. – Ale ty możesz nam pomóc, zanim to się stanie.

Catalina zakryła twarz rękami. Jej głos zza dłoni zabrzmiał głęboko, jak z otchłani:

– Nie mam innego wyjścia, prawda?

– Nie. Przyjaciele Pierre’a nie zrezygnują. Przyjdą po ciebie znowu, a wtedy możesz nie mieć tyle szczęścia... Nie licz na policję. Oni ci nie uwierzą. Ale my możemy cię chronić. A kiedy spotkamy potomków Jezusa, przejdą pod naszą opiekę. Przyjaciele Pierre’a dowiedzą się o tym i już przestaną ich ścigać. Będziesz znów bezpieczna.

– Bezpieczna... – powtórzyła Catalina.

Jakie niezwykle i cenne wydało jej się nagle to słowo! Jak niezwykle i cenne wydaje się życie, kiedy ktoś otarł się o śmierć... Ale życie tylko wtedy ma sens, jeśli odważnie robi się to, co należy. Bez względu na cenę.

– Dobrze, Patricku. Pomogę wam ich znaleźć. I wiem, od czego zacząć poszukiwania. – Kiedy ksiądz spojrział na nią z zainteresowaniem, dodała: – Wszystkie skarby zawsze są tam, gdzie znak krzyża...

54.

Paryż, 1794

Żołnierze siłą chcieli wdrzeć się do ratusza. Robespierre i ostatni lojalni wobec niego ludzie wyczerpali już wszystkie siły, starając się im przeszkodzić. Wiedzieli, że zginą wraz z wejściem wojska. Ich los był przesądzony. Francja zaczęła odnosić zwycięstwa w zewnętrznych konfliktach wojennych i teraz skierowano spojrzenia do wewnątrz. Naród miał już dość rzezi, życia w wiecznym lęku, bo każdy obywatel mógł zostać bez dowodów uznany za wroga rewolucji i skazany. Proces zmian politycznych i społecznych poszedł w złym kierunku. I właśnie śmierć powinna spotkać tych, którzy byli temu winni.

Do dokonania rozrachunków podlegał Joseph Fouche, minister policji. Robespierre wykończył Heberta i Dantona, próbował też zniszczyć Fouchego, którego się obawiał. Był człowiekiem bardzo dalekowzrocznym i sprytnym politykiem. Arystokrata, który przeżył, gotów podłączyć się do każdej partii, pod warunkiem utrzymania władzy w swoich rękach i głowy na szyi. Jako prezes Klubu Jakobinów pozostawał niemal nietykalny. A poparcie dla

niego niezmiernie wzrosło wraz ze zwycięstwami Francji nad Prusami i Austrią, coś, czego Robespierre nie wziął pod uwagę, czy też nie docenił.

Zgromadzenie postanowiło już aresztować Robespierre'a razem z jego najbliższymi współpracownikami: Saint-Justem, paralitykiem Couthonem i młodszym bratem Conroya. Pomędzy członkami Konwencji wybuchła walka. Niektórzy zostali ranni, włącznie z Robespierre'em, chociaż ten ostatni niezbyt poważnie. Zdołał uciec wraz ze swoimi. Powstanie narodowe omal ich nie uratowało. Ale po godzinach zamieszania i zmieniających się przekonani Nieprzekupny stracił wszystkich zwolenników. A teraz pałac na placu de Greve lada chwila będzie wzięty siłą.

– Głupcy, tchórze, nie poddawajcie się! – wołał Robespierre do swoich ludzi, tłoczących się w bramie pałacu.

Pierwszy trzask zabrzmiał w uszach tyrana jak stara piosenka: „I tutaj koniec się zaczyna”. Pędem opuścił parter. Skokami wbiegł po schodach na antresolę. Widział stamtąd, jak jego wierni ludzie nie wytrzymali i brama się poddała. Pierwsi żołnierze padli, obaleni strzałami obrońców pałacu, ale następne szeregi zdołały się wedrzeć do środka. Rozgorzała bitwa.

Nieprzekupny zamknął się w komnacie na piętrze. Nie wiedział, co robić. Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Żołnierze rozpełzli się już po całym pałacu. Spojrzał na trzymany w ręku pistolet i ścisnął go mocniej. Wrzask na zewnątrz narastał. Słychać było otwieranie rozmaitych drzwi, skowyty, wybuchy. Za chwilę go znajdą. Kiedy już tu wpadną może zdoła zabić jednego żołnierza, najwyżej dwóch. Ale to go przecież nie uratuje. Zostanie osadzony w więzieniu i z całą pewnością skończy na szafocie: poczuje na szyi wyostrzony nóż gilotyny, który właśnie on, bardziej niż ktokolwiek we Francji, kazał ostrzyć na innych...

Uświadomił sobie własną klęskę. Wieńce laurowe na jego skroniach już zwiędły. Wspomnił swoją walkę z Zakonem Syjonu. Zwycięstwo było tak blisko... Czy Francja, po jego odejściu, znów będzie monarchią? To, czego nienawidził najbardziej, może się urzeczywistnić, zmaterializować na przekór jego wysiłkom i staraniom. Ostatni cios, zadany członkom zakonu, już niewiele znaczył. Stał się jedynie karą. W domu przy Place de la Chatelet zamurowano dziesięciu najwyższych dygnitarzy zakonu wraz z rodzinami. Razem niemal czterdzieści istot, żywcem pogrzebanych. Ale Lorraine, wielki mistrz, wymknął się z łap śmierci w tych ostatnich dniach zamętu. Robespierre nie wiedział, kto – może ktoś z policji czy wojska – zajął się uwolnieniem arcybiskupa. Może z bojaźni Bożej; a może na polecenie zakonu, którego długi cień docierał w każde miejsce.

Ach, Francja! Francja się mnie wyrzekła, myślał smutno Robespierre, uważając się za ofiarę straszliwej niesprawiedliwości. Nie przyszło mu nawet do głowy, że to on swoją polityką terroru doprowadził do własnej zguby.

Żołnierze byli coraz bliżej. Nie, nie da się wziąć żywcem. Nie mógł pozwolić na niegodną egzekucję. Wołał popełnić samobójstwo. Przyłożył pistolet do skroni i głęboko westchnął. Postanowił policzyć do dziesięciu, zanim naciśnie spust. Wspomnił przez chwilę minione miesiące swojej najwyższej władzy. Czemu nie kochali go i nie szanowali tak, jak na to zasługiwał? Zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem...

W tym momencie żołnierz kopniakiem otworzył drzwi do komnaty. Łoskot sprawił, że pistolet ześlizgnął się w spoczonej dłoni Robespierre'a i strzał zranił go tylko. Żołnierz wraz z kompanem, który wbiegł za nim, rzucili się na Nieprzekupnego. Robespierre padł twarzą na podłogę. Żył, chociaż miał zranioną skroń. Ktoś zabandażował mu głowę. Nie mieli zamiaru pozwolić, żeby tyran umarł tak łagodnie.

Czekał go szafot; i jego współpracowników oraz uczniów. Śmierć nie chciała go zabrać, zanim nie zapłaci za zbrodnie. Krew będzie tryskać z bezgłowego ciała. I być może, kiedy głowa potoczy się do wiklinowego koszyka, jego oczy po raz ostatni zobaczą tych, którzy jeszcze wczoraj byli ofiarami, a dziś stali się katami.

W końcu groźba Robespierre'a przestała istnieć, mimo to wraz z nią nie zniknęły wszystkie powody do zmartwień. Zakon i pokolenie Chrystusa znalazły się teraz wyłącznie w rękach Boga. Już nikt na ziemi nie mógł im pospieszyć z pomocą. Pokolenie było bezpieczne, to prawda, ale stracone dla historii i ukryte. Czy wydostanie się ponownie z tych głębin? Z pewnością tak. Znajdą się ofiarni ludzie, którzy znów je wydobędą, nie po to, by dążyć do zaszczytów, ale by w dalszym ciągu służyć potomkom Chrystusa, strzec ich, oczekując na lepsze czasy.

W tej chwili Francja uwolniła się od jednego z najbardziej krwiożerczych okrutników, jakiego znała ludzkość. Padł ofiarą własnej trucizny. Może trzeba było, żeby zło zostało zwalczone równie wielkim złem, by w końcu wyrwać je z korzeniami. Francja i rewolucja będą światłem dla świata, choć Robespierre i jego następcy pozostaną chmurami. Ale teraz Nieprzekupny miał zginąć, tak jak już wcześniej zginęła jego dusza.

Ambrose d'Allaines, znany adwokat i trzeci z Najwyższej Rady Zakonu, zamierzał oskarżać i sądzić Robespierre'a publicznie, na oczach ludu, i rzucić przeciwko niemu niepodważalne oskarżenie na piśmie. Nie z żądzy zemsty, ale z pragnienia sprawiedliwości. Przygotował papier i pióro i zaczął pisać:

Obywatelu sędzio, obywatele i obywatelki: to wielki dzień, dzień historyczny. My wszyscy, którzy wstydzimy się, że żyjemy w tych ponurych czasach, kiedy we Francji zapanowała niesprawiedliwość w przebraniu cnoty, mamy w tej chwili zaszczyt odrodzić wielkość i honor Ojczyzny. Oskarżony, który stoi tu przed wami, nie jest bowiem zwykłym przestępcą, nawet zwykłym tyranem. Nigdy jeszcze żaden człowiek nie był równie znienawidzony we Francji.

Ale naszym obowiązkiem jest badać, rozważać, oceniać, uzasadniać i wyciągać wnioski, zadość czyniące nie naszym instynktom, lecz sprawiedliwości. Musimy być niezłomni wobec tego, który z uczciwości zrobił najstraszniejszą ze zbrodni; rozsądni wobec tego, który znieprawił rozsądek; ludzcy wobec tego, którego ludzkość nauczyła się bać.

Nie, tu z pewnością nie mamy do czynienia ze zwyczajnym tyranem. Z zimną determinacją, z siłą, jakiej nie może mieć żadna zachcianka, ujarzmił, skazywał na śmierć, wydawał wyroki, dusił całą Francję w imię ideału. Nieczuły na słabości, zarówno cudze, jak własne, marzył o usunięciu szumowin, tchórzostwa i egoizmu z duszy każdego Francuza i każdej Francuzki.

Przyjrzyjcie mu się, jaki jest spokojny, chłodny, niewzruszony. Pewny swojej czystości i nieprzekupny, uważa, że jest ponad prawem, ponad sprawiedliwością, ponad pobożnością. Na jego widok wstrząsa nami dreszcz, czujemy potrzebę uznania go za szaleńca, za nieludzką istotę. Ale to nie powinno prowadzić nas do błędu. Nie stracił rozumu, chociaż zmienił go w narzędzie męczeństwa. Nie, obywatel Robespierre myśli, rozumuje, wnioskuje i dowodzi. Nie powinniśmy też sądzić, że jest nieludzki. Gdyby taki był, nie odpowiadałby za swoje zbrodnie. A powinien: jego bezmierne okrucieństwo nie może pozostać bez kary. Krew tysięcy ofiar, solidarność wyszydzona, cnota zdeprawowana, patriotyzm sponiewierany - wszystko to woła o pomstę. A choć te oskarżenia są bardzo poważne, to jest jeszcze inne, o wiele gorsze, to, które obnaża korzenie zła, przyczynę tak strasznych niegodziwości.

Obywatel Robespierre był – jest – uczciwy. Cnotliwy, konsekwentny, nieprzekupny. Działa z determinacją i rzetelnością, wierzy w ścisły system wartości i trzyma się go niewzruszenie. Właśnie dlatego jest tak niebezpieczny; łatwo oskarżyć kogoś za jego wady, ale ogromnie trudno zrobić to za czyjeś cnoty. A tutaj zalety służą występкови, stają się potężną bronią.

Obywatel Robespierre wierzył we Francję. Sądził, że każdy, kto kocha bardziej swoją żonę czy męża niż Francję, zdradza Ojczyznę. Jego idee były tak jasne, a przekonania tak silne, iż mniemał, że cały świat powinien postępować według nich. Jeśli uważał, że coś jest złe, sądził, że wszyscy powinni to brać za zło i niszczyć. Nie miał miłosierdzia. Jego cnota, ostra jak szpada, była ostrzem gilotyny, ścinającej coraz więcej głów, aż wody Sekwany stały się czerwone.

Cały kraj został wymieciony przez mroźny wiatr. Terror inkwizycji stał się dziecinną igraszką, bo Francuzi zaczęli bać się samych siebie. Nie wolno było mówić, myśleć, kochać. Czuć się żywym znaczyło czuć się winnym, nawet oddychanie stało się przestępstwem, bo życie Francuza było mniej ważne niż Francja. Dźwiękiem tego kraju stał się łomot werbli i trzask spadającego ostrza gilotyny.

Cóż dalej... Przede wszystkim Robespierre jest winien. Jest winien zbrodni. Zapomniał, że świadomości ludzi nie wolno ograniczać wąskimi marginesami indywidualnego postrzegania świata. Że istnieją także inne racje, poza jego własną. I że nikt w wolnym społeczeństwie nie ma prawa narzucać swojej świadomości pozostałym. Każdy mężczyzna i każda kobieta mają zdolność rozróżniania dobra i zła, ale ta umiejętność powinna służyć każdemu z nas do kierowania swoim życiem. Nigdy nie można narzucać moralności innym. To właśnie jest zbrodnia obywatela Robespierre'a.

W imię swojej własnej świadomości, swoich własnych przekonań powinniśmy uznać obywatela Robespierre'a za winnego tego, że zlekceważył wszystkie swoje prawa. I zgodnie z jego własną etyką powinien zostać stracony tak samo jak zbrodniarze i niewinni, którzy zginęli z jego ręki.

To wszystko, obywatele. Oczekuję, w imieniu całej Francji, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Tak zakończył swoją oskarżycielską przemowę uczony Ambrose d'Allaines. Przejrzał ją i posypał piaskiem, który następnie zdmuchnął, zanim złożył kartki na pół i schował do koperty. Nie miały nigdy zostać odczytane przed trybunałem.

Robespierre'a skazano bez sądu. W każdym razie bez sprawiedliwego sądu. Ale d'Allaines życzyłby sobie, żeby Francja odzyskała ideały rewolucji, te, które doprowadziły do obalenia monarchii. Ojczyzna nie powinna zmieniać się w państwo gnębione żądzą zemsty i nienawiścią. Pragnął nowej formy rozumienia życia i społeczeństwa: wolności w codziennym bytowaniu, równości we wzajemnych stosunkach, braterstwa wynikającego z wolności i równości. Ta nadzieja odśloniłaby niebios, obecnie zasnuwane chmurami, i pozwoliła ludziom dojrzeć wreszcie słońce.

Nikt wtedy nie wiedział, że potomek Ambrose'a d'Allaines'a, już w XX wieku, także będzie służył sprawie dynastii, choć nie jako członek zakonu, jak jego przodek, ale też wykształcony w prawie, równie uczciwy i sprawiedliwy, wiedziony przez Opatrzność.

W końcu, kiedy Robespierre'a już nie było, a wraz z nim skończyły się rządy terroru, ponownie żywe stały się idee zainspirowane przez rewolucję w roku 1789, które miały oświecać wszystkich ludzi w przyszłych wiekach. Spisano je w formie Deklaracji praw człowieka.

Przedstawiciele ludu francuskiego, ukonstytuowani w Zgromadzeniu Narodowym, zakładając, że lekceważenie, zapomnienie i niedocenywanie praw człowieka jest wyłączną przyczyną niegodnych społeczeństw i sprzedajności rządów, postanowili przedstawić w uroczystej deklaracji naturalne, niezbywalne i święte prawa człowieka, by ta deklaracja, stale obecna we wszystkich członkach ciała społecznego, bez przerwy przypominała ich prawa i obowiązki; by akty władzy ustawodawczej i władzy wykonawczej mogły zawsze być porównywane z celem każdej instytucji politycznej i były respektowane; by odwołania się obywateli, oparte odtąd na prostych i bezspornych zasadach, zawsze obracały się na korzyść utrzymania konstytucji i szczęścia wszystkich...

Z autostrady A-6 do La Coruña, kiedy jeszcze kilka kilometrów dzieliło ich od Valle de los Caidos (Doliny Poległych), Catalina i Patrick widzieli już imponującą fasadę bazyliki, wykutej we wnętrzu skalistej góry, a nad nią gigantyczny kamienny krzyż, koronujący szczyt.

Catalina poczuła mdłości. Mówiła już przedtem Patrickowi, że właśnie tam powinni zacząć poszukiwania skarbu dziadka. Doszła do tego wniosku, kiedy zdołała wreszcie powiązać wszystkie wątki. Dziadek dał jej dwie potrzebne wskazówki: swoją fotografię z olbrzymim krzyżem w tle w książce Wyspa skarbów; gdzie znalazł podpowiedź, że wszystkie skarby zawsze są oznaczane znakiem krzyża. By powiązać jedno z drugim, wystarczyła prosta dedukcja a jednak zabrało to dużo czasu. Zbyt dużo. Catalina wiedziała, że są rzeczy, które może zobaczyć tylko ktoś, kto ich szuka. Wyobrażała sobie, że dziadek myślał tak samo, kiedy zostawiał jej te rzeczy w spadku. Tak, ukrywał coś w tym krzyżu. Skarb. A teraz ona miała go odnaleźć, za wszelką cenę.

Tuż przed Guadarramą zjechali z autostrady do La Corufia i skręcili w drogę M-600. Przejechali półtora kilometra i znaleźli się przed wejściem do Valle de los Caidos. Ten pamiątkowy kompleks, znajdujący się w północno-wschodniej części Madrytu, robił istotnie potężne wrażenie. Wszystkie dotyczące go opisy wzbudzały zdumienie: czas budowy, liczba pracowników, koszt prac, ilość zużytego kamienia, rozmiary trzech głównych elementów kompleksu: bazyliki, krzyża i domu dla gości zakonu benedyktynów tuż obok. Za budowę odpowiadało dwóch architektów: najpierw Pedro Muguruza, a po nim Diego Mendez. Rzeźbiarz Juan de Avalos także zostawił tu swój ślad, trwały i znaczący. Ale nie ma wątpliwości, że prawdziwym ojcem tego przedsięwzięcia był Francisco Franco. To jemu należy zawdzięczać główne sugestie, jak powinien wyglądać pomnik – memoriał ku czci poległych w czasie hiszpańskiej wojny domowej. On także wskazał miejsce na wzniesienie świątyni. Osobiście też przeglądał i wybierał projekty. A w trakcie wielu lat budowy zawsze pamiętał o nadzorowaniu robót i udzielaniu cennych wskazówek osobom odpowiedzialnym za postęp prac. Nic więc dziwnego, że ciało Franco zostało pochowane w bazylice, przy wielkim ołtarzu, gdzie także spoczywają zwłoki Jose Antonio Primo de Rivero. Ciała tysięcy bojowników obu stronnictw wojny domowej leżą tam razem z nimi, choć w kaplicach nieotwieranych dla publiczności. Był to zatem monumentalny grobowiec. Musiał więc mieć też krzyż: wysokości stu pięćdziesięciu metrów i o czterdziestometrowych ramionach, najprawdopodobniej największy na świecie.

Fotografia i książka zaprowadziły Catalinę i Patricka aż do Valle de los Caidos; tu spodziewali się znaleźć ukryty skarb. No dobrze, ale objechali już budowlę z dziesięć razy i dotąd nie przyszło im do głowy, w jaki sposób ten krzyż miałby wskazywać miejsce ukrycia skarbu. Myśleli, że to, co dziadek schował, może się znajdować wewnątrz krzyża, skonstruowanego z pustych rur. Może metalowe wrota, wiodące do jego wnętrza były wtedy otwarte albo dziadek wszedł do środka potajemnie. W każdym razie, jeśli skarb jest wewnątrz krzyża, nie zdołaliby się tam dostać w ciągu dnia. Zniechęceni, zajęli się szukaniem po okolicy jakiegoś znaku, czegoś, co posłużyłoby im za wskazówkę, bo dotychczas błądzili po omacku.

– Chcesz wody? – spytał Patrick, podając Catalinie kupioną przed chwilą butelkę.

– Niczego nie chcę od ciebie.

Za każdym razem odzywała się do niego niegrzecznym tonem. Myślała, że sobie zasłużyła na takie traktowanie, chociaż naprawdę przychodziło jej to z trudnością. Patrick zachowywał się niezwykle uprzejmie, tak bardzo troszczył się o nią w każdej chwili od momentu uwolnienia jej z rąk fanatyka Pierre'a i wyznania prawdy o sobie, że Catalina czasem zapominała, że została przez niego oszukana.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, Catalina musiała jeszcze znieść karczemną awanturę, jaką jej zrobił szef, kiedy zatelefonowała z prośbą o urlop co najmniej do końca tygodnia. Zagroził jej nawet zwolnieniem, ale oboje wiedzieli, że to czcza pogroźka: Catalina była zbyt

dobrą dziennikarką. To Patrick wymyślił historyjkę dla szefa o przymusowych wakacjach i informację dla ciotki, że Catalina spędzi kilka dni poza Madrytem w domu przyjaciółki (przyjaciółka wzrostu metr osiemdziesiąt pięć, która codziennie się goli, pomyślała Catalina). Irlandczyk radził także, żeby Catalina nie wstępowała do domu i, oczywiście, żeby tam nie nocowała. Należało spodziewać się, że porywacze wiedzą o niej wszystko. Poza tym nie powinna jeszcze wybierać pieniędzy z bankomatu, tylko płacić zawsze gotówką. Skutkiem tego Catalina natychmiast została bez pieniędzy, więc za wszystko musiał płacić Patrick – a ona nie zamierzała oszczędzać ani grosza. Zasłużył na to i na jeszcze więcej, kłamca, pomstowała w duchu.

Cóż, rzeczywiście kłamał, ale mimo wszystko był uroczy. Dlatego Catalina ewentualnie mogłaby kiedyś wybaczyć mu te oszustwa – właściwie już to zrobiła. Ale czego nigdy nie wybaczy księżulkowi, to że skradł jej mężczyznę, którego w nim miała.

– Myślisz, że to zostało ukryte we wnętrzu krzyża? – zasugerował znów Patrick, gdy już się napił wody. – Możemy wejść tam w nocy. Nie będzie tak trudno.

– A co, zawołasz stróża, żeby nam otworzył?

– Niektórzy z naszych przyjaciół mają ciekawe zawody – odparł z chytrym uśmieszkiem.

– Aha. – I, odpowiadając na jego pytanie, dodała: – Nie wiem, czy to będzie tam w środku, ale... – Potrząsnęła głową i cmoknęła z powątpiewaniem. – Obawiam się, że nie. Mam wrażenie, że robimy coś nie tak. Jest coś, co nam umyka... Zobaczmy. Mamy książkę, zdjęcie... Książka i zdjęcie...

– ...które były razem.

– Razem. Tak...

– A co jeszcze oprócz nich znalazłaś w kopercie?

Catalina bardzo powoli uniosła głowę. To jest to! Kolejność dodawanych liczb jednak zmienia sumę!

– Codex Leonarda da Vinci i jeden z kawałków puzzla. Masz rację. Absolutną rację.

Dziadek złożył to wszystko razem z jakiegoś powodu. Książka i zdjęcie zaprowadziły nas tutaj...

– A dwie pozostałe rzeczy powinny posłużyć do znalezienia skarbu.

– Właśnie!

Catalina z radości aż chciała ucałować Patricka, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Nikt nie zabrania całować księży.

– Niektórych tak... Masz ze sobą ten przepis i puzzla?

Patrick otworzył mały plecak, w którym trzymał papiery Cataliny, i wyjął drugą z oryginalnych zalakowanych kopert. Pierwszą, z jednym z puzzli, miał w kieszeni.

– Do czego to może służyć? Catalina wskazała puzzle. Patrick wzruszył ramionami.

– Może przeczytamy przepis? A nuż coś nam przyjdzie do głowy.

– No to dawaj!

– Inne hiszpańskie danie – przeczytał na głos. – „Powiadają, że jest to potrawa idealna na Świętego Jana, gdyż tak poleca je tradycja w różnych miejscowościach górskich na północ od Madrytu”.

– Stop. Valle de los Caidos jest na północ od Madrytu.

– A dzień świętego Jana będzie pojutrze.

– Dalej.

– „Weź dziką kuropatwę. Kupiona na rynku nie nadaje się do tego dania. Tę musisz upolować, wchodząc na najwyższy szczyt góry, gdzie chłodne powietrze sprawia, że ptaki są tłuste i smaczne. Najlepszy czas polowania to bez wątpienia południe. O tej godzinie słońce stoi w zenicie i gorąco oszałamia zwierzynę, a wtedy łatwo ją upolować”.

– Stop. Najwyższy szczyt góry, tej góry, to podstawa krzyża. Ale nie wystarczy tam wejść, prawda, dziadku? Kuropatwy trzeba łapać w południe... Która godzina?

Miała zegarek, ale była tak pogrążona w myślach, że o tym zapomniała.

- Za pięć druga.

No, to południe już minęło.

- Niekoniecznie.

Catalina przestała rozglądać się wokoło i ze zdumieniem spojrzała na Patricka.

- Mówiłeś, że dochodzi druga.
- Tak, ale przepis mówi o porze, w której słońce jest w zenicie, a to w rzeczywistości południe astronomiczne, a nie dwunasta na zegarku.
- O której więc mamy łapać kuropatwy? – spytała z przekąsem.

Patrick się skrzywił.

- Myślę, że w Madrycie różnica wynosi właśnie dwie godziny. Słońce będzie najwyżej o drugiej po południu. To znaczy...

Za dwie minuty... – Tym razem Catalina sprawdziła czas na swoim zegarku. Zaczęła obchodzić krzyż, patrząc to na konstrukcję, to w niebo, próbując znaleźć odpowiedź, sens, ukryty w przepisie. Jaki związek może istnieć pomiędzy krzyżem i słońcem? – spytała głośno, wpatrując się w rozległy pejzaż u podnóża krzyża. Czemu słońce ma być akurat w konkretnym punkcie, żeby znaleźć skarb? Dlaczego...?

Zamyślony wyraz twarzy Cataliny nagle całkowicie się zmienił. Zatrzymała się gwałtownie i wbiła wzrok w plac przed bazyliką, znajdujący się dużo niżej.

- Skąd ten uśmiech od ucha do ucha?
- Pomyliliśmy się – stwierdziła.
- Nie rozumiem.
- To nie ten krzyż wskazuje skarb, tylko tamten. – Wyciągnęła palce w stronę placu.

Patrick zwrócił oczy ku kamiennym płytom w dole, którymi wyłożono plac przed bazyliką. W tej chwili zobaczył wyraźnie to, co i Catalina.

- Nie do wiary... Chodzi o ten cholerny cień krzyża! – zaklął niechcący. – Jasne!
- Dlatego trzeba było stanąć właśnie tutaj o bardzo określonej porze. W każdym innym momencie cień krzyża wskazywałby inne miejsce, nie to, gdzie kryje się skarb.

Zafascynowani trwali w milczeniu, z namysłem wpatrując się w ciemny ślad krzyża na jasnych kamieniach.

- Ale dzisiaj nic nie znajdziemy – odezwała się w końcu Catalina.
- Czemu nie?!
- Nie możemy popełnić tego samego błędu. Trzeba brać pod uwagę wszystkie wskazówki dziadka, nie tylko niektóre. Jestem pewna co do cienia, ale pamiętasz, kiedy trzeba jeść tę kuropatwę?
- W Dniu Świętego Jana?
- Właśnie. A to będzie pojutrze. Musimy tu wrócić we czwartek i zobaczyć, jakie miejsce zostanie wskazane przez krzyż w momencie, kiedy słońce jest najwyżej.

Mimo logiki rozumowania Cataliny, Patrick nie wydawał się całkiem przekonany.

- A nie może być pod którąś z tych płyt? – zastanawiał się głośno, wskazując plac.
- Czytaj dalej przepis, to się przekonasz; mówiłam przecież o braniu pod uwagę wszystkich wskazówek naraz.
- „Potem potrzeba będzie trochę sosnowych nasion. Nadają one mięsu specjalny smak, ale trzeba wiedzieć, jakie wybierać, bo nie wszystkie są odpowiednie”.
- Widzisz? Mówi o nasionach sosny, nie o kamieniach. Skarb jest ukryty w miejscu, gdzie są drzewa. Jestem przekonana.

Zamilkli oboje, wpatrując się, nagle niepewni, w ogromny gąszcz setek tysięcy drzew otaczających bazylikę.

W okolicy jednego z nich znajdował się skarb. Ale którego? Catalina czytała dalej przepis od miejsca, w którym Patrick przerwał:

– „Rozetnij kuropatwę, wyjmij wnętrzości, a potem wypełnij wnętrze ziarnami sosny, dodając oliwę z oliwek i szczyptę soli. Battista zwykle dodaje też szynkę, pokrojoną na wąskie paseczki. Mówi, że wtedy kuropatwa jest lepsza, bardziej soczysta, ale ja jestem innego zdania. Zaszuj kuropatwę grubą nicią i nie zapomnij zrobić na końcu mocnego węzła, by być pewnym, że nie otworzy się w czasie przyrządzania. To bardzo ważne”.

– Wszystkie drzewa mają węzły.

– Tak, ale tylko jedno będzie mieć ten węzeł. – Catalina wskazała kawałek puzzla z rysunkiem sznura, osobistego symbolu Leonarda da Vinci, ostatni element sumujący, ostatnia wskazówka, konieczna do znalezienia skarbu.

Dwudziestego czwartego czerwca, dokładnie w godzinie otwarcia kompleksu Valle de los Caidos Catalina i Patrick przejechali pod łukiem bramy wejściowej. Idąc w kierunku krzyża, przeszli obok czterech wielkich kamiennych cylindrów, zwanych Juanelos, na cześć zegarmistrza cesarza Karola V, Juanelo Turriano. Kręgi najprawdopodobniej miały stanowić część jakiegoś mechanizmu wynalezonego przez Turriano, którego on chyba nigdy nie zrealizował. Już u podnóża bazyliki zaparkowali samochód jak najbliżej szosy. Czasu mieli aż nadto, więc postanowili wejść do domu benedyktynów i piechotą udać się pod krzyż.

Ostatni raz byli tu dwa dni wcześniej. Czas oczekiwania dłużył się nieznośnie. Ale w końcu nadszedł ten moment: Dzień Świętego Jana. „Inne hiszpańskie danie” z przepisu będzie podane dzisiaj. Lepiej znaleźć skarb dziadka Cataliny teraz, niż czekać cały rok, żeby znów spróbować. To specjalne danie przewidziane było na drugą siedemnaście po południu czasu miejscowego. Dokładnie wtedy słońce znajdzie się w najwyższym punkcie nad horyzontem nad krzyżem w Valle de los Caidos. Tak stwierdził pewien doktor astronomii, związany z organizacją Patricka, z którym ten konsultował się poprzedniego dnia. Wyglądało na to, że nie ma rzeczy, której księż z Irlandii nie zdołałby załatwić. Był jak czarodziej, wydobywający z kapelusza wszystko, czego dusza zapagnie.

Karty zostały rozdane. Od wtorku wiedzieli już, czego szukać, kiedy szukać i jak rozpoznać obiekt poszukiwań. Pozostawało tylko czekać dnia, w którym cień krzyża wskaże odpowiednie miejsce. Catalina prawie nie spała wtorkowej nocy, a we środę nie zmrużyła oka. Głębokie cienie pod oczami Patricka wskazywały, że on także miał za sobą długie bezsenne godziny.

W ciągu ostatnich trzydziestu minut przed drugą siedemnaście nie byli w stanie usiedzieć. Zniecierpliwieni, podnieceni, pilnie śledzili cień, który przesunął się powoli z północy na południe.

– Godzina!

Niewiarygodne, Catalina zapomniała zegarka! Zostawiła go w hotelu – i od szóstej rano bez przerwy pytała Patricka o godzinę. Po dziesięciu pierwszych razach grzeczne pełne pytania zmieniły się w zwykłe żądanie: „Godzina!”

– Pięć minut.

Odpowiedzi też się skróciły; Irlandczyk mówił tylko, ile minut jeszcze brakowało.

– Godzina.

– Trzy minuty.

– Godzina.

– Dwie minuty.

– Godzina.

– Minuta.

– Godzina.

– Pół minuty. Na miłość boską, daj spokój! Zwariuję przez ciebie. Powiem, kiedy...

Dwadzieścia sekund.



Przesunięcie się cienia krzyża już od kilku minut wydawało się nieuchwytne, a zatem musiał być bardzo blisko miejsca ukrycia skarbu.

– Dziesięć sekund... dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwie, jedna...

Patrick oderwał oczy od zegarka i wbił spojrzenie w cień, podobnie jak Catalina.

– Tam... – zawołali jednocześnie.

Cień krzyża wskazywał północny wschód i mnóstwo drzew porastających zbocza pobliskich wzgórz. Nie miałyby chyba wielkiego sensu, gdyby dziadek Cataliny wybrał jedno z nich. Cień krzyża był zbyt rozproszony i za duży, by wskazać konkretne drzewo w zielonym gąszczu. Cel musiał być gdzieś bliżej, bardziej rozpoznawalny...

– Tam! – krzyknęła Catalina.

Patrick spojrział, gdzie wskazywała, ale nie mógł niczego dostrzec.

– Tam! – powtórzyła, jakby to wystarczyło. – Widzisz parking po lewej od bazyliki, połączony z placem kamiennymi schodami? To drzewo na parkingu, tam, najdalej od nas? Jest wysokie i ma gałęzie rozpostarte jak ramiona. Nie widzisz? – dopytywała już zniecierpliwiona, bo chciała jak najszybciej zbiec na dół. – Jest na linii krzyża i lewego rogu frontonu bazyliki.

Nowe wskazówki pozwoliły w końcu Patrickowi znaleźć drzewo.

– Tak! Widzę je! Widzę!

Zadyszani z wysiłku dotarli do drzewa. Musieli schodzić na piechotę, biegiem, spod krzyża, bo kolejka linowa nie działała. Rozzłoszczeni, wymyślali niemal tymi samymi przekleństwami, jedno po angielsku, drugie po hiszpańsku, kiedy się o tym dowiedzieli. Mieli tylko dwa wyjścia: wracać tą samą drogą, którą weszli, a potem jechać samochodem na parking, gdzie rośło drzewo, albo czekać, aż kolejka zostanie uruchomiona.

Ich szalony bieg w dół, a potem niemal samobójcza jazda górską drogą do parkingu sprawiły, że dotarli na miejsce w niecałe pół godziny. Jeszcze sapali ze zmęczenia, gdy podeszli pod samotne drzewo, drzewo dziadka. Kawałek puzzla wypadł Catalinie z rąk, na trawę otaczającą pień. Na tym pniu, w jego dolnej części dojrzała identyczny zarys węzła, niemal ukryty pomiędzy wysokimi chwastami. Ręce jej drżały z emocji.

– Ty to zrób – poprosiła Patricka.

Nie powiedziała jasno, co powinien zrobić. Uważała, że to oczywiste. Wyrwijąc bez zastanowienia chwasty i rozgrzebując ziemię, zaczął wykopywać dziurę u stóp pnia, dokładnie pod węzłem Leonarda da Vinci. Nie musiał długo kopać...

– Co?! Znalazłeś?!

Spojrzął na Catalinę błyszczącymi, zachwyconymi oczami. Prawą ręką przeczesywał poruszoną ziemię. Ostatnie pociągnięcie ręki Patricka Catalina widziała jakby w zwolnionym tempie. Patrick trzymał w dłoni czarną chustę. Spomiędzy jej brzegów wyglądały krawędzie małej metalowej skrzynki.

Dziennik Claude'a Penanta Moja kochana Catalino, wiedziałem, że ci się uda! Byłem tego pewien! Bo to jesteś ty, prawda? A niejeden z tych bękartów, którzy mnie śledzą.

Tak, moja droga wnusiu. Ta gra zrobiła się bardzo niebezpieczna. Tak bardzo, że zacząłem się zastanawiać, czy powinienem cię do tego mieszać. W końcu zdecydowałem jednak, że tak, bo sprawa jest zbyt wielkiej wagi. Znaczy więcej niż moje życie i nawet więcej – wybaczone, że tak mówię, ale to prawda – niż twoje. Dotychczas udawało mi się zmylić pogonię i jestem przekonany że nie doszli za mną aż do tego drzewa, gdzie, jak teraz wiesz, ukryłem swój dziennik wraz z pozostałymi dwoma dokumentami, których sens niebawem zrozumiesz. Spodziewam się, że kuferek się sprawdzi i że moje słowa, spisane na tych kartkach, nie znikną, zatarte przez naturę. Gdyby tak było, trzeba się z tym pogodzić. Nic nie dzieje się bez woli Bożej. Ale pozwól, że ci opowiem, jak zaczęła się moja przygoda. Wiem, że to

nieważne, ale wszyscy ludzie, włącznie ze mną, pragną, żeby pamiętano o ich czynach, żeby pozostali w czyimś sercu wtedy, gdy już nie mogą nic zrobić, bo po prostu nie żyją.

Miałem nie więcej niż półtora metra wzrostu, kiedy już wiedziałem, jaki będzie cel mego życia, co nada mu sens albo też zmieni je w bezużyteczne. Po raz pierwszy dowiedziałem się o Zakonie Syjonu w wieku dziesięciu lat, dzięki książce z biblioteki ojca, której nikt, nawet on, nigdy chyba nie otworzył. Wiele lat później, po ukończeniu studiów historii i archeologii, doszedłem do wniosku, że było to dzieło pełne niedokładności, bardziej fantastyczne niż ściśle, raczej wytwór wyobraźni autora niż owoc dociekliwych i obiektywnych poszukiwań prawdy. Nie wiem na pewno, czy to właśnie ta książka sprawiła, że zająłem się Zakonem Syjonu, a także tysiącletnią legendą o potomkach Chrystusa i Marii Magdaleny, ale możliwe, że tak. Byłem zawsze chłopcem przedwcześnie dojrzałym, ale w końcu tylko chłopcem. I dlatego, przejęty duchem rycerzy króla Artura, historii o Okrągłym Stole, poświęciłem życie poszukiwaniom prawdziwego Graala. Czy można sobie wyobrazić bardziej szczytną misję życiową? Czy jest godniejsza pasja, niż ta? W sześćdziesiąt lat po zadaniu sobie pierwszy raz tego pytania odpowiem tak samo: nie ma. Nic na tym świecie nie zasługuje bardziej na poświęcenie temu całego życia, a nawet duszy, niż znalezienie Świętego Graala, świętej krwi, następców krwi boskiej i królewskiej, krwi Syna Bożego. A oni ciągle istnieją. O tak, kochana Catalino, żyją wśród nas! Zawsze żyli, chociaż nawet sami nie wiedzieli, kim są. Ale nie chcę wybiegać naprzód w opowieści. Musisz mi wybaczyć mój entuzjazm. Obawiam się, że jak każdy stary człowiek poddaję się wspomnieniom leżącym na sercu, zamiast chronologicznie relacjonować wydarzenia.

A zatem ciągnijmy dalej nić mojego eposu, moich poszukiwań. Już dopowiedziałem, jak to się zaczęło, teraz zatem trzeba by powiedzieć, jak się dalej rozwijało. Chociaż w tej części znajdziesz duży skrót. Słaba pamięć nie pozwala mi dokładnie odtworzyć, co robiłem – robiłem tyle rzeczy, moja wnuczko – podczas mojej niespokojnej i długoletniej egzystencji. Poza tym nie mam dużo czasu, bo są ważniejsze sprawy do omówienia.

Z drugiej strony, jeśli dotarłaś aż tutaj, to i tak wiesz już o mnie bardzo dużo. Także to, mam nadzieję, że nie byłem szalony, nigdy. Paranoiczne zachowanie, jakie od kilku miesięcy prezentuję, które tak martwi kochanego Bernarda – mówię o moim przyjacielu, Bernardzie d'Allaines'ie, człowieku bez wad, oprócz tej, że wybrał zawód adwokata – jest niestety usprawiedliwione. Nie wiem dokładnie, kiedy zaczęto mnie śledzić, ale na pewno ktoś za mną chodzi i obserwuje każdy mój krok. To stwierdzone. Dlatego poprosiłem Bernarda, by ukrył koperty w naprawdę bezpiecznym miejscu, poza kancelarią. Założę się, że dobrze zrobiłem.

Wiesz oczywiście, że współczesny Zakon Syjonu to wymysł, przede wszystkim tych dwóch gości: Plantarda i Cheriseya. Myślę, że mogę stwierdzić bezbłędnie, iż w ciągu dwudziestu lat z ich ust nie padło ani jedno słowo prawdy. Każdy, kto zada sobie trud zanalizowania wszystkich tych kłamstw, zorientuje się wcześniej czy później, jak ja, że to tylko wymysły. Ale zakon jako taki wymysłem nie jest. Ani też prawdziwe istnienie następców Chrystusa, jak udało mi się odkryć. Poświęciłem temu całe życie, jak już mówiłem kilkakrotnie, i dla tej sprawy musiałem działać tak, a nie inaczej. Wiele rzeczy, z których nie mogę być dumny, robiłem bez najmniejszego wahania. By znaleźć ślady potomków Jezusa, popełniałem ciężkie grzechy. Przede wszystkim kłamałem, kradłem i wymuszałem. Doświadczyłem też każdego z grzechów głównych – z wyjątkiem rozpusty – i to nie z czystej cnotliwości, ale ponieważ nie pomogłaby mi osiągnąć celu. Myślę, że można by powiedzieć, że zaprzedałem duszę diabłu, chociaż dla wyższych racji. I nie wiem, czy Bóg każe mi za to zapłacić, chociaż, mówiąc uczciwie, nie mam wielkiej nadziei, że tego nie zrobi. On wybacza – ale nie zapomina.

Ale znowu odbiegłem od tematu. Wróćmy do przełomowego momentu moich poszukiwań, który przesądził o moim zwycięstwie. Stało się to wtedy, kiedy w końcu znalazłem podziemną kaplicę Świętej Katarzyny, pod podwórcem fortecy w Gisors. Zakładam, że znasz

jej historię i już słyszałaś powszechną opinię, iż kaplicę odnalazł Roger Lhomoy. Niech tak pozostanie dla potomności. Moja próżność nie jest aż tak wielka; mogę się przedzierać w wariata, narwańca i oddać Lhomoyowi sławę, a samemu zyskać jeszcze jeden pożądaný sekret. Mam tylko nadzieję, że mój obecny prześladowca nie ma nic wspólnego ze śmiercią Rogera. Byłby to inny grzech, dodany do długiej listy moich przewinień. Kaplica! Nie wyobrażasz sobie, jak długo jej szukałem, wnusiu. Wszystkie moje mozolne badania prowadziły do tej tajemniczej kaplicy, najbardziej sekretnej twierdzy zakonu. Zawsze wiedziałem, że jest w niej ukryte coś bezcennego. Nie mówię o żadnym skarbie, chociaż owszem, skarb o ogromnej wartości też był tam ukryty. Chodzi jednak o wskazówkę, jak odzyskać utracony trop dynastii Jezusa, która gdzieś zaginęła w czasach rewolucji francuskiej z winy tego poronionego płodu demokracji nazwiskiem Robespierre. W tamtych ponurych czasach członków zakonu wytępiono do nogi, w niektórych przypadkach wyjątkowo bestialsko, jak tych nieszczęsnych, których zamurowano w pobliżu mostu nad Sekwaną.

Bardzo niewielu ludzi zakonu znało umiejscowienie kaplicy. Dlatego muszę oddać należny hołd księżce, którą odkryłem, Znaki z Nieba. Nigdy nie wiedziałem, kto ją napisał ani dlaczego autor uznał za stosowne przedstawić sposób znalezienia kaplicy. Oczywiście, nie zrobił tego wprost, ale dał wskazówki, które umożliwiały jej odnalezienie temu, kto wiedział to, co ja, i miał taką wiarę oraz upór, jak ja. Instrukcje mieściły się na jednej ze stron książki; na tej właśnie, którą mi zrabowano. Chociaż pierwszy nie rzuciłbym kamieniem w tego złodzieja, bo przecież ja sam też ją ukradłem – z Ermitażu. A dokładnie – najpierw zapłaciłem pracownikowi muzeum, żeby pozwolił mi przeczytać rękopis, potem dałem mu jeszcze raz piękną sumkę za tę najważniejszą stronę, gdzie były wskazówki, jak trafić do kaplicy Świętej Katarzyny – na mapie bez nazw. Długo trwało, zanim te nazwy znalazłem. Zwiedziłem nieskończoną liczbę zamków w całej Francji, musiałem przeglądać tomy dokumentów i rękopisów; podczas tej długiej drogi lista moich grzechów spęczniała bardzo. Ale w końcu mi się udało. Sądzę, że z Bożą pomocą. Zamek, o który chodziło w rękopisie, znajdował się w Gisors. Przekonałem się o tym, kiedy przybyłem tam w początkach 1944 roku, ale w końcu znowu zwątpiłem – nie wyobrażasz sobie męczarni, jakie przeżywałem z powodu tej niepewności. Nietrudno mi przyszło kupić sobie łaski szefa garnizonu niemieckiego i jego oficerów. Niemal wszyscy ludzie są tacy sami, niezależnie od języka, którym mówią: większość jest gotowa się sprzedać, byleby za odpowiednią cenę. A jednak w instrukcjach rękopisu coś się nie zgadzało, i przysiągłbym, że autor wprowadził błędny zapis naumyślnie – by zniechęcić ludzi słabego ducha. Ale ja się nie poddałem. I w końcu znalazłem kaplicę ostatniej nocy mojego pobytu w Gisors, kiedy alianci lądowali już na plażach Normandii, odzyskując na nowo Francję.

Jakaż rozkosz wtedy czułem, Boże mój! Taką, jakiej nigdy jeszcze nie przeżyłem... Nie, to nieprawda. Przeżyłem rozkosz nawet większą, taką że omal serce nie wyskoczyło mi z piersi. To wtedy, kiedy w końcu go zobaczyłem. Potomka dynastii. Ale o tym opowiem później.

Nie wiedziałem właściwie, co znajdę w kaplicy Świętej Katarzyny. Miałem jednak pewne wskazówki: jak już wspominałem, myślałem, że to musi być coś, co pomoże mi odnaleźć trop potomków dynastii po zniszczeniu zakonu, i sądziłem, że to najprawdopodobniej będzie genealogia. To, że autorem tej genealogii mógł być Leonardo da Vinci, przyszło mi do głowy pierwszy raz po długim pobycie we Włoszech, w połowie lat dwudziestych. Moje badania zakonu zawiodły mnie aż tam, chociaż nie odkryłem wtedy niczego szczególnego. Ale po powrocie do Francji, pewnego ranka moją uwagę zwróciła osobliwa wiadomość w jakimś dzienniku. Mowa była o miejscowości w pobliżu San Marino, zwanej Cesenatico, gdzie dokonano niezwykłego odkrycia. Otóż znaleziono nurka. Z początków XVI wieku. Wyobrażasz sobie?! Dziennikarz, autor artykułu, zasięgał opinii różnych historyków. Okazało się, że w jednej z kieszeni nurka znaleziono monetę, wenecki dukat wybitý w roku 1503. W tym okresie Leonardo da Vinci pracował jako inżynier wojskowy pod rozkazami papieża

Aleksandra VI i jego syna, Cezara Borgii. A krój stroju do chodzenia pod wodą niemal dokładnie odpowiadał rysunkowi z Kodeksu da Vinci. Początkowo nie zastanawiałem się zbyt nad tym zdarzeniem, ale potem wysnułem hipotezę, którą sam uznałem za absurdalną, chociaż z czasem nauczyłem się, że absurd bardzo często bywa rolą, na której sieje się prawdę.

Wiedziałem, że da Vinci był wielkim mistrzem Zakonu Syjonu. A Cezar Borgia, widząc swój zbliżający się upadek po śmierci ojca, papieża, starał się wszelkimi sposobami odzyskać władzę. Odkopałem nawet stare plotki, wiążące jego osobę z jakimś dziwnym projektem związanym z Całunem Chrystusa, rzecz niewątpliwie godną zbadania, której jednak tutaj nie ma sensu opisywać. Prawdziwym odkryciem było to, że Cezar Borgia starał się zdobyć przedmioty władzy, przede wszystkim duchowej. Mogłyby mu posłużyć do osiągnięcia materialnych celów. A co miałyby większą wartość niż potomstwo Chrystusa? I tak zacząłem wiązać osobę Cezara Borgii z Leonardem da Vinci, strażnikiem potomków dynastii, wielkim mistrzem zakonu.

Być może Borgia uwięził kogoś z potomków Chrystusa, a da Vinci postanowił przeciwstawić się swojemu panu i uwolnić pojmanego. Nurek nie byłby zatem człowiekiem Borgii, ale zakonu.

Ten szalony pomysł spowodował, że jeździłem po całej Europie w poszukiwaniu rękopisów da Vinci, w nadziei, że znajdę dowód na moją teorię. Zwiedzałem biblioteki, kościoły, klasztory, muzea... Wszystkie miejsca, gdzie mogłyby znajdować się rękopisy florenckiego geniusza, choćby ich autentyczność była wątpliwa.

W samym środku II wojny światowej, w Paryżu odbyła się aukcja zbioru pism Leonarda da Vinci. Pojechałem tam, żeby je zdobyć. Cóż za rozczarowanie! Kiedy już trzymałem pisma w rękach, okazało się, że chodzi o kompendium pospolitych przepisów i błahych notatek kuchennych. Jeszcze dzisiaj wątpię w oryginalność tego nieciekawego rękopisu. Chociaż nie jest dobrze tak o nim mówić, bo w końcu posłużył mi, by cię doprowadzić do tego mojego maleńkiego skarbu. Rywalizując z autorem Znaków z Nieba, któremu tyle zawdzięczam – właściwie wszystko – włączyłem do rękopisu da Vinci własną mapę. A ty zdołałaś wstawić do niej nazwy.

Ale nie będę ci przecież tłumaczył, jak do tego doszłaś. Sama wiesz najlepiej, moja kochana...

Co znalazłem w kaplicy Świętej Katarzyny? Książkę z notatkami Leonarda da Vinci, a w rzeczywistości spisane dzieje potomków Chrystusa. Ale znalezienie tej genealogii nie było łatwe, bo, jak należało się spodziewać, da Vinci dobrze ją ukrył w pospolitej książce rachunkowej. A w jaki sposób, to zaraz wytłumaczę.

Po opuszczeniu Gisors – a musiałem to zrobić błyskawicznie, bo podłożyłem ładunek wybuchowy na podwórzu zamkowym – udałem się do Hiszpanii. Sytuacja w miasteczku mogła stać się dla mnie kłopotliwa, bo wielu, jeśli nie wszyscy, uważało mnie za kolaboranta. Chociaż w pewnym sensie byłem niewinny, bo przecież nie kolaborowałem z faszystami, tylko im płaciłem – i to dużo – za to, żeby to oni chcieli kolaborować ze mną. Rozumiem, że różnica jest subtelna, ale diabeł tkwi właśnie w szczegółach. Przez to wszystko nie miałem nawet czasu sprawdzić dokładnie, co właściwie znalazłem. Zobaczyłem tylko, że to zwyczajna książka rachunkowa. Byłem zaniepokojony, ale powiedziałem sobie, że musi tu chodzić o kamuflaż i że genealogia pewnie jest ukryta w tekście. Nie spałem przez dwa dni, aż dotarłem do granicy w Hendaye. Po przybyciu do Hiszpanii całą energię mogłem poświęcić książce. Jakież wtedy czułem straszliwe rozczarowanie, jaką nieopisaną rozpacz! W pewnej chwili sądziłem, że życie skończyło się dla mnie, że mój płomień już gaśnie, właśnie wtedy, gdy powinien rozbłysnąć na zawsze. Doszedłem do wniosku, że książka rachunkowa nie kryje niczego, co sobie wyobrażałem. Nie znalazłem w niej genealogii prawdziwej dynastii Jezusa Chrystusa.

Przeglądałem jedną po drugiej kartki rękopisu, uważnie sprawdzałem pod lupą każdy milimetr papieru, poszedłem nawet do lekarza, by zrobił prześwietlenie, które mogłoby wykryć jakiś inny dokument wewnątrz okładki albo w grzbiecie. Robiłem z tą książką wszystko, co mi wpadło do głowy, ale nie znalazłem nic szczególnego; wyłącznie te przekłete, niekończące się, głupie liczby. Po tygodniu bezowocnych starań, pewnej nocy w desperacji trzepnąłem rękopisem o ścianę. Pamiętam, że otworzył się, jakby miał usta i krzyczał z bólu z powodu mojego okrutnego postępowania. Nadal otwarty, leżał na podłodze przez całą noc i następny dzień, kiedy poszedłem do winiarni topić swoje smutki w koniaku. Wróciłem koło ósmej wieczorem. Znowu spojrzałem na monotonne rachunki, których nienawidziłem już z całej duszy. Ale teraz zobaczyłem tam także zaskakujące i piękne znaki, słowa pisane wytwornymi literami w doskonale równych liniach. Wstyd przyznać, ale przypisałem ten cud nadmiarowi alkoholu. Pomyślałem, że te litery nie są prawdziwe, ale że moje pragnienie dopatrzenia się czegoś na tych kartach, w połączeniu z wpływem koniaku, sprawiło, że pojawiły mi się przed oczami. Dzięki Bogu, myliłem się. Litery były tam. Rzeczywiste, namacalne.

Niestety nie wytrzeźwiałem natychmiast, nawet wobec tak cudownego odkrycia. Dlatego niesłusznie znowu winiłem alkohol za to, iż nie zrozumiałem ani słowa z tak pięknie i subtelnie wypisanych tekstów. Alkohol zaś naprawdę winien był temu, że padłem jak zabity niebawem po swoim odkryciu, zanim zdołałem znaleźć sens w tym galimatiasie. Obudziłem się okropnie spragniony, z potwornym bólem głowy. Był już rano, a ja leżałem na podłodze obok rękopisu. Z niepokojem szybko sprawdziłem kartki. Ale słowa, te cudowne słowa zniknęły! Znowu wściekłem się na alkohol, że wywołuje mi w głowie fałszywe iluzje. Ale i w tym wypadku alkohol był niewinny.

Nie zasnąłem już. Długie godziny, aż do rana i potem przez całe przedpołudnie siedziałem w tym samym miejscu, wpatrzony w kartkę pełną liczb, marząc, żeby znowu stał się cud i ukazały się słowa. I, proszę bardzo. Początkowo litery zaczęły pojawiać się delikatnie, słabo widoczne, ale kiedy światło słoneczne padło na kartkę, stawały się coraz wyraźniejsze. Proces ten trwał wiele godzin, a wniosek, do którego doszedłem, był jedynym logicznym wytłumaczeniem zjawiska, chociaż wydawał się nieprawdopodobny: słowa napisane zostały specjalnym atramentem, światłoczułą substancją, o niezwykle powolnej reakcji, tak że tylko bardzo długie ekspozowanie go na światło słoneczne sprawiało, że pismo stawało się widoczne. A to, już samo w sobie fascynujące – pamiętaj, że mówimy o rękopisie z XVI wieku – było takie tym bardziej, że atrament stawał się ponownie niewidoczny, kiedy światło zniknęło, na przykład z nadejściem nocy albo po zamknięciu książki. Oto dlaczego nie widziałem liter, kiedy obudziłem się rano.

Możesz sobie wyobrazić, z jakim szaleńczym entuzjazmem zabrałem się do kopiowania tajemnych słów – przyspieszyłem proces, układając kartki w pełnym świetle słońca. Okazało się, że pismo nie było to samo w całym rękopisie, ale że się zmieniało. Różne osoby w rozmaitych epokach wprowadzały kolejne zapiski. Ja zdołałem rozpoznać tylko autora pierwszego pisma: Leonarda da Vinci.

Kiedy skończyłem kopiowanie, otrzymałem długą listę słów bez znaczenia, po prostu szereg liter połączonych ze sobą. Natychmiast zrozumiałem, że to jedno zabezpieczenie więcej. Tekst był nie tylko pisany cudownym światłoczułym atramentem, ale jeszcze w dodatku zakodowany.

Nigdy nie zajmowałem się kryptografią, moje zainteresowania zawsze szły innymi drogami, więc zaraz się zorientowałem, że ten kod mnie przerasta. Mimo to nie mogłem się oprzeć pokusie próby odczytania tego, co skrywał tekst. Działiałem intuicyjnie.

Kod był trudny. I to nie moja opinia laika. Tak powiedział mi pewien geniusz w dziedzinie kryptografii. Anglik. A wiesz, czym się zajmowali w 1944 wszyscy angielscy geniusze matematyczni? Odczytywaniem wiadomości zaszyfrowanych przez Niemców maszynami

Enigma. Informacje zaszyfrowane były w tak skomplikowany sposób, że Anglicy musieli skonstruować specjalną maszynę, by te szyfry złamać\*.[\* Właściwie kod Enigmy rozszyfrowali polscy specjaliści dekryptażu z Uniwersytetu Poznańskiego: Rejewski, Różycki i Zygalski w 1932 roku]

Zastępowała ona tysiąc ludzkich mózgów pracujących równocześnie, chłodno, mechanicznie i bez zmęczenia. Takie urządzenie nazwano później komputerem, i z czasem zaczęto go używać na całym świecie. Ale w tamtych czasach istniało tylko kilka, najpierw w Anglii w tajnych siedzibach wywiadu brytyjskiego w Bletchley Park, potem w Stanach Zjednoczonych Ameryki. To był jeden z najlepiej strzeżonych sekretów w czasie wojny, ale ja go znałem, bo ów matematyk, mój stary przyjaciel, którego nazwiska nie musisz znać, szczegółowo opowiadał mi przed wojną historię rozwoju tych fantastycznych, genialnych umysłów. Do rozkodowania tekstu Leonarda mój przyjaciel musiał poprosić jednego z kolegów, bo sam nie zdołał tego zrobić. A zatem odczytanie kodu nie było możliwe nie tylko dla ludzi z epoki Leonarda, ale dla każdego, kto by próbował – przez wszystkie te stulecia aż do pojawienia się komputerów.

W końcu klucz do tekstu Leonarda został znaleziony i mogłem przeczytać zapiski, co dla moich oczu było balsamem, błogosławieństwem. Ta niewinna książka rachunkowa kryła świętą genealogię, od epoki Chrystusa aż do końca XVIII wieku. Ponad trzydzieści lat zajęło mi uzupełnianie imion, dat i miejsc w okresie pomiędzy ostatnim potomkiem, wymienionym w genealogii, a tym, który żyje jeszcze w naszych czasach. Podczas wojen poginęło mnóstwo rejestrów kościelnych, miejskich i innych instytucji publicznych. Dlatego niemal niemożliwe było odszukanie zyciorysów tych niewielu osób w okresie ponad półtora wieku. Już niemal straciłem ślad, a cudem go odnalazłem na południu Francji. Ale nigdy, ani przez chwilę wciągu tych wszystkich lat poszukiwań nie wątpiłem, że osiągnę cel.

I tak się stało. Znalazłem go, Catalino. Znalazłem potomka dynastii w końcu 1976 roku. Mieszka w Madrycie, pod numerem 2 na ulicy Carpinteros (Cieśli), na parterze po prawej (co za rozkoszny zbieg okoliczności; Jezus z Na – za retu był przecież cieślą). Gdy go zobaczyłem, musiałem uczynić nadludzki wysiłek, by nie wybuchnąć płaczem i nie rzucić mu się do stóp. Nazywa się Manuel Colom. Takie zwykłe nazwisko, prawda? Był więźniem po wojnie domowej, w 1947 i pracował przy budowie Valle de los Caidos, by skrócić okres kary.

Kiedy go spotkałem w połowie lat siedemdziesiątych, jego żona akurat zmarła. Miał z nią syna, który jest kolejnym potomkiem Chrystusa i może kontynuować dynastię. Synowie są błogosławieństwem. Chociaż czasami nie spełniają nadziei ojców.

Uwielbiałem twoją matkę, ale od początku wiedziałem, że nigdy nie uwierzy w prawdziwość tego wszystkiego. Dlatego postanowiłem ten sekret powierzyć tobie, kochana Catalino. W przeciwieństwie do mojej córki, ty zawsze wszystkim się interesowałaś, wszystko chciałaś wiedzieć, o wszystko pytałaś. A poszukiwanie prawdy zawsze zaczyna się od prostego pytania. Poza tym otrzymałem znak z nieba. Rodzice nadali ci imię Catalina, takie jakie nosiła patronka kaplicy w Gisors i matka Leonarda da Vinci. Wydaje ci się to zwykłym zbiegiem okoliczności? Jeżeli tak jest, odpowiedz mi: czy przeznaczenie nie jest zawsze „zbiegiem okoliczności”? I czy nie miałem racji? Dziękuję, moja Catalino.

Twój kochający cię dziadek Claude

56.

Dunkierka, 1795

Boże Narodzenie minęło; rodzinę Saint-Clair czekało już niedługo kolejne święto. Starsza córka, Irene, piękna zarówno fizycznie, jak i duchowo, miała wyjść za mąż za chłopca, pół-Hiszpana. Od lat pracował w porcie Calais. Życie nie było dla niego łaskawe. Bardzo

wcześnie stracił ojca, a matka zmarła przy jego urodzeniu. Miał tylko siebie. Początkowo był dokerem, potem tragarzem, wreszcie zaokrętował się na statek. Teraz stał się już kapitanem. W planach miał powrót do Hiszpanii i zamieszkanie w Barcelonie. Chciał zająć się handlem morskim z portami nad Morzem Śródziemnym i sprzedawać tam cenne katalońskie tekstylia.

Ojciec Ireńę niezbyt lubił tego chłopaka, Roberta Coloma. A ściślej mówiąc, ojciec Ireńę nie darzył sympatią Hiszpanów. Uważał ich za ludzi nieustępliwych i fanatycznych, chociaż sam mógł za takiego uchodzić przez swoje nieprzejednane opinie. Był jednak porządnym szlachetnym człowiekiem i córka zdołała go przekonać, że jej narzeczony to dobry chłopak, honorowy, lojalny, pracowity. Ojciec porzucił uprzedzenia, kiedy poznał do głębi Roberta. Zorientował się, że córka mówiła prawdę. W końcu pobłogosławił młodą parę.

Był to szczęśliwy związek. Ireńę i Robert ogromnie kochali się nawzajem. Już nawet ze względu na życie, jakie przyszło jej wieść, młoda małżonka uważała się za wybrankę losu. A z czasem, sądziła, życie zacznie być dla nich obojga jeszcze bardziej szczodre... Czego więcej mogła pragnąć wiejska dziewczyna...? Ale wewnątrz poruszała ją jakaś nieznana siła, której nie potrafiła zrozumieć. Tajemna siła powodowała, że kobieta wyobrażała sobie los o wiele lepszy niż dotychczas.

Nigdy nie zdołała zrozumieć, co to za siła, ale zawsze ją czuła w sobie.

Kilka dni po ślubie młodzi małżonkowie udali się na południową granicę. Tak, jak chciał Roberto, a co Ireńę zaakceptowała, zachwycona perspektywą przygody, nowego życia. Osiedli w Barcelonie i tam spędzili wspólnie wiele chwil radosnych i smutnych, jak każda rodzina. Bóg obdarzył ich czwórką dzieci, dwiema córkami i dwoma chłopcami; wszyscy oni rośli zdrowo pod sklepieniem niebieskim, chronieni przez słońce i księżyc, gwiazdy, powietrze...; bo tak jak ptakom niebieskim nie potrzeba niczego, czegóż miałoby brakować dzieciom Boga...?

57.

Madryt, 2004

– Co tutaj? – spytała Catalina. Stali razem z Patrickiem przy drzwiach numeru 2 na ulicy Carpinteros w Madrycie, dokąd pojechali wprost z Valle de los Caidos. By upewnić się, że dobrze trafili, Irlandczyk wyjął z plecaka dziennik Claude'a Penanta, w którym był adres.

– Tak. Na parterze, po prawej... Ojej! – zawołał nagle, gdy zdjęcie dziadka Cataliny, które niechcący wyciągnął razem z dziennikiem, upadło na ziemię.

Catalina podniosła je pierwsza i wtedy jej wzrok zatrzymał się na dedykacji na odwrocie: „Moja droga Catalino, ufaj tylko samej sobie”.

Kiedy zobaczyła tę dedykację po raz pierwszy, stwierdziła tylko, że to typowa rada, jaką pewnie każdy starzejący się dziadek daje swojej wnuczce. Ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, rozumiała wyraźne przesłanie: Nie ufaj nikomu. Przyszło jej to do głowy nagle, ale uparcie tkwiło. Wręcz pałaco.

Bez widocznego powodu opanował ją głęboki smutek.

– Możesz poczekać na mnie tutaj? – poprosiła nieśmiało, jakby z poczuciem winy. Na szczęście Patrick przyjął to ze zrozumieniem, a nawet namawiał, by weszła tam sama. Powiedział, że wykonała ciężką pracę, więc należy jej się ta maleńka uprzejmość. Miał mnóstwo czasu, by potem rozmawiać z następcą Chrystusa.

Catalina zadzwoniła domofonem. Serce zabiło jej szybciej, kiedy mocny głos spytał: „Kto tam?” Zgodnie z ustalonym wcześniej planem wyjaśniła, że jest dziennikarką i przygotowuje artykuł na temat wykorzystywania więźniów politycznych do budowy w Valle de los Caidos. Mężczyzna był chętny do rozmowy. Brama otworzyła się z brzękiem i metalicznym szczękiem zamka. Catalina weszła i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Patricka na ulicy.

Właściciel mieszkania numer 2 na ulicy Carpinteros był człowiekiem niewysokim, ale dobrze zbudowanym; sprawiał wrażenie kogoś, kto w swoim długim, siedemdziesięcioletnim życiu pracował dużo i ciężko.

– Pan Manuel Colom? – spytała Catalina z głębokim wzruszeniem, które jednak postarała się jak najlepiej ukryć.

– Tak, to ja.

– Jestem Catalina Pe... Garcia – powiedziała, podając tym razem swoje hiszpańskie nazwisko, i uścisnęła mężczyźnie dłoń. – Mogę wejść?

– Proszę.

Manuel cofnął się, potem zamknął drzwi. Kiedy to robił, zderzył się lekko z Cataliną, bo stanęła jak słup w korytarzu, zamiast wejść do środka, jak się tego spodziewał. Oczy miała utkwione w coś, co wisiało na ścianie.

– Piękne, co? Mam ich więcej porozwieszanych w innych pokojach, ale ten najbardziej lubię. To mój jedyny nałóg. I papierosy, chociaż nie uważam, żeby palenie było wadą.

– Najbardziej pan lubi Ostatnią Wieczerzę da Vinci? – spytała Catalina.

– Właśnie. Myślę, że to najtrudniejszy obraz, jaki ułożyłem z puzzli, ale warto było się wysilić. Najgorsze, że brakuje mi jednego kawałka.

– Brakuje panu jednego kawałka? – powtórzyła Catalina jak zahipnotyzowana, dosłownie z sercem w gardle.

– Tak. Tutaj, widzi pani? – Manuel wskazał puste miejsce, które zamalował, by je ukryć. – Po prostu przepadł. To się czasem zdarza.

– Tak, jestem pewna, że czasami poszczególne elementy giną.

– Dobrze się pani czuje? Nie wygląda pani najlepiej.

– Och, to pewnie z gorąca.

Tak, straszny upał. Też mnie powala. Kawka, i będzie pani jak nowo narodzona. Proszę siadać. Zaraz przyniosę. Właśnie zaparzyłem.

Catalina przysiadła na starej kanapie, wypłowiła jej i gdzieniegdzie połatanej.

– Z lodem? – zawołał z kuchni.

– Chętnie - odparła.

Kiedy wyszedł z pokoju, zerwała się i rzuciła w kierunku układanki Ostatnia Wieczerza, sprawdzić jeszcze raz to, co już wiedziała. Kawałek, który dostała od dziadka, z pewnością zdobyty przez niego również grzesznym sposobem, idealnie wypełniał lukę. Tak, Manuel był członkiem dynastii Chrystusa. Jawnie dowodził tego pasujący kawałek puzzla. Teraz łamigłówka dziadka została całkowicie rozwiązana.

Catalina usłyszała w korytarzu znajomy szczeł filizanek niesionych na tacy i czym prędzej wróciła na kanapę.

– Nie ma to jak świeżo zaparzona kawa – stwierdził Manuel, wciągając z rozkoszą zapach unoszący się nad ekspresem. – W Cuelgamuros prawdziwa kawa to był naprawdę luksus.

– Cuelgamuros?

– Tak, Cuelgamuros. Dla tych, którzy nie spływali tam krwawym potem, to się nazywa Valle de los Caidos.

– Och, przepraszam, nie wiedziałam.

– Nieważne.

Ależ ważne, zaprzeczyła w duchu Catalina. Kiedy siedzieli już oboje, popijając kawę z pełnych, aż przelewających się filizanek, Manuel powiedział:

– No dobrze, od czego mam zacząć?

Catalina nie miała najmniejszego pojęcia, o co pytać.

– No od samego początku – wymamrotała niepewnie.

– Tak, oczywiście. Od tego trzeba zawsze zaczynać, prawda? – Wypił solidny łyk kawy. – Urodziłem się pod Madrytem, w górach, bardzo blisko Cuelgamuros. Moja rodzina zawsze



pracowała na roli, ja zresztą też. Nigdy nie mieszałem się do polityki. W gruncie rzeczy uważam, że oni wszyscy to mniej więcej taka sama hołota. Dla mnie najważniejsze było, żeby nie padało za dużo w zimie, żeby słońce zbyt nie wypaliło wszystkiego latem, czy plaga chrząszczy nie zeżarła moich plonów. Życie rolnika jest proste. Ale któregoś dnia musiałem pojechać do Madrytu, coś załatwić. To było w połowie lat czterdziestych. Dokładnie w 1947. I, dotychczas nie wiem dobrze, jak znalazłem się w tłumie manifestujących studentów. Były tam panny wołające o wolność i wykrzykujące przeciwko Franco, aż zjawiła się policja i zaczęła walić pałami na prawo i lewo. Ludzie rzucili się do ucieczki. Każdy biegł w swoją stronę. Wielu prysnęło, a mnie, Bogu ducha winnego, złapali. I jeszcze dostałem dobre manto od policjanta, kiedy powiedziałem, że zupełnie przypadkowo byłem wśród manifestantów. O, tu mam bliznę. Widzi pani? Wskazał głęboką dziurę w podbródku. – W końcu wyładowałem w ciemnicy. Przez dwa dni nie pozwalali mi z nikim rozmawiać. Moi rodzice strasznie się martwili, kiedy tyle czasu nie dawałem znaku życia. Myślałem, że w końcu zostanę wypuszczony, kiedy się okaże, że nie jestem studentem, ale nie. Jakiś gówniany gryziopiórek musiał dojść do wniosku, że należę do czerwonych. Po sześciu miesiącach więzienia bez żadnych konkretnych oskarżeń straciłem nadzieję. A potem nagle któregoś dnia przyszli i wyciągnęli mnie z celi. Radość, że mnie wypuszczają, trwała jednak krótko. Zawieźli mnie do sądu w Carabanchel na rozprawę przeciw masonom i komunistom. Nie byłem jedynym oskarżonym. Razem ze mną sądzili dziesięciu innych. Istny cyrk. Dostałem pięć lat. Wyobraża sobie pani moją rozpacz, kiedy usłyszałem, że mam gnść w więzieniu przez pięć długich lat? Całkiem upadłem na duchu. Dzięki Bogu, w początku 1948 ci z Patronatu Odkupienia Win przez Pracę wysłali mnie do Cuelgamuros, bo przysięgam, powiesiłbym się w celi, zanim minęłoby pięć lat. Praca tam pozwoliła mi nie tylko bardzo skrócić okres kary, ale w dodatku mogłem być na powietrzu, oddychać normalnie, a nie dusić się w zasikanych murach. Cuelgamuros nie otaczały zasieki i strażnicy w zasadzie nie byli wrednymi sukinsynami. Niektórych nawet uważałem za całkiem przyzwoitych facetów. No, a poza tym woleli nie zadzierać z więźniami. Chociaż musieli nas pilnować, nie mieli broni. Nawet pan Amos, jeden z szefów. Na jednego strażnika przypadało nas co najmniej dwudziestu i myślę, że bali się, że moglibyśmy się zbuntować i roznieść ich na kawałki. Uzbrojeni byli tylko strażnicy z żandarmerii, którzy często obchodzili teren i pilnowali wejścia do doliny. Ale ci też nie wtrącali się do niczego. I nie mieli powodu. Niemal wszyscy trzymaliśmy się w ryzach. Wśród więźniów byli donosiciele albo agenci służb bezpieczeństwa, nie wiem, ale czasami strażnicy wchodzili do baraków w środku nocy i zabierali kogoś, kto przygotowywał ucieczkę albo mówił za dużo czy za głośno. Nie zazdroścę im tego, co z nimi potem robili, proszę mi wierzyć.

W Cuelgamuros podzielili nas na trzy oddziały. Jeden pracował na dole przy klasztorze benedyktyńców, drugi przy wejściu na teren i trzeci w krypcie. Ja byłem w tym trzecim. Wolałbym robotę przy klasztorze, bo ci mieli najlepiej. Nawet im nieźle płacili za nadgodziny. Ale nie mogłem narzekać. Przynajmniej nie musiałem kuć w skałę i robić nasypów pod drogę wejściową. Ci nieszczęśnicy naprawdę ostro harowali. W moim oddziale, który pracował przy wykopach pod kryptę, praca była ciężka, ale do zniesienia, chociaż niebezpieczna, bo sprzątaaliśmy resztki pozostałe po wysadzaniu skał dynamitem. Niejednemu spadał na głowę odłamek skały i kładł go trupem na miejscu. Mówi się, że wiara przenosi góry, ale my i bez wiary je przenosiliśmy. A za taki cud płacili grosze. Dostawaliśmy pół pesety za dzień pracy, wpisywano to na nasz rachunek i mogliśmy wziąć wszystko przy wyjściu z kryminału.

Jemu też płacili tak samo nędznie – dodał nagle Manuel i Catalina nie zdążyła się zorientować, o kim mowa. – A przecież to mądry chłop, po studiach, a nie półanalfabeta jak ja. – Wzrok Manuela stał się teraz zamyślony i zagubiony. Głos, dotychczas tak rażny, zabrzmiał smutno. – Był lekarzem. Skierowali go do biura. To on mi pisał listy, które

wysyłałem do rodziny. Do diabła, pamiętam, że były tak dobrze napisane, że kiedy mój ojciec dostał pierwszy list, przyjechał do Cuelgamuros następnego niedzieli, w dniu odwiedzin, pewien, że mnie rąbnęli, a ktoś inny teraz podszywa się przede mną. – Manuel uśmiechnął się na to wspomnienie. Miał bardzo miły uśmiech. – Wspaniały facet, ten Manuel Colom. Trochę zbyt milczący, ale cudowny człowiek.

Catalina się wyprostowała. Chyba się przesłyszała.

– Manuel Colom? Ten lekarz nazywał się tak samo jak pan?

– Och, przepraszam, rzeczywiście, jeszcze tego nie wyjaśniłem. Tak naprawdę nie on nazywał się tak jak ja, ale ja się nazywam tak jak on.

Pokój zaczął wirować Catalinie przed oczami. Co to miało znaczyć? Czy ten człowiek był Manuelem Colodem, poszukiwanym potomkiem Chrystusa? Kawałek puzzla wskazywał, że tak. Układanki były jego, nie odziedziczył ich po poprzednim właścicielu, prawdziwym następcy dynastii, który mógł opuścić dom, zanim dziadek tu dotarł.

– Ale pan jest Manuel Colom, prawda? Przedtem pan tak powiedział, kiedy się witaliśmy.

– No, no, spokojnie. Proszę oddychać głęboko, bo gotowa pani zemdleć. Skąd to przerażenie? Zaraz wszystko wytłumaczę.

Na to czekała, ale mimo rady Manuela oddychała szybko jak mały ptaszek, któremu zabrakło powietrza.

– Prawdziwy Manuel Colom to był ten lekarz, o którym opowiadam. Ja tylko pożyczyłem sobie jego imię i nazwisko. Naprawdę nazywam się Jose Mateo, chociaż już tyle lat minęło, od kiedy zmieniłem swoje dane, że czasami o tym zapominam. Myślę, że teraz nawet nie byłoby możliwe udowodnić, że nie jestem Manuel Colom, bo bomba zniszczyła archiwum w mojej parafii w czasie wojny domowej. Ale to nieważne. Wróćmy do rzeczy. Manuel i ja spaliliśmy jeden nad drugim na pryzkach w baraku. To się nazywa „sprawiedliwość społeczna”, co? – Zaśmiał się tak, aż złapał go kaszel. – Doktor i chłop śpiący w tej samej szopie z glinianą polepą i blaszanym dachem, w lecie rozpalonej jak piec, a w zimie przypominającej lodówkę; obaj tak samo zżerani przez pluskwy.

Jak już mówiłem, Manuel Colom to był mądry facet. A w Cuelgamuros tylko bardzo mądrzy albo idioci mogli planować ucieczkę. Wielu złapano, jeszcze zanim spróbowali dać nogę. Ale to zdarzało się przede wszystkim idiotom, którzy nie potrafili trzymać gęby na kłódkę. Znasz to powiedzenie: Do zamkniętych ust mucha nie wleci. Manuel dobrze o tym wiedział. Nikt się nie domyślał, że szykuje ucieczkę, aż do chwili, kiedy przeszedł do działania. Wtedy zresztą też tylko ja się zorientowałem i to zupełnie przypadkiem. Obudził mnie. Spaliliśmy jeden nad drugim, a od przybycia do Cuelgamuros sen miałem bardzo lekki. Wszystkiego nam tam brakowało, ale zawsze znalazł się drań, który chciał coś zwędzić. A ja byłem na czarnej liście, bo co dwa tygodnie dostawałem od rodziców kielbasę, kaszanekę, ser, no, takie rzeczy. Niejeden raz musiałem kopać kogoś w pysk w środku nocy, kiedy grzebał w moich manatkach. Trzeba było uważać i spać z otwartymi oczami, jak to mówią. Więc Manuel mnie obudził. Była, nie wiem, może trzecia, może czwarta w nocy. Ale nie zamierzał zabierać mi kielbasy, tylko szykował się do ucieczki. Wtedy zapragnąłem zwać razem z nim. Moje względnie wygodne życie w Cuelgamuros miało się niedługo skończyć. Dowiedziałem się, że w następnym tygodniu przenoszą mnie do wykopów przy drodze wjazdowej, bo potrzebowali tam więcej ludzi, a zobaczyli, że jestem silny. Co prawda chęć ucieczki była szaleństwem, ale poprosiłem Manuela, żeby pozwolił mi pójść z nim. Taki nieszczęśnik, jak ja, nie miałby żadnej możliwości samotnej ucieczki. Jasne, mogłem próbować wydostać się z doliny. Przecież zbyt nie pilnowali. Ale nie zaszedłbym daleko. Trzeba było mieć papiery i głowę do tego, żeby przejść do Portugalii czy Francji.

Jasne, że odmówił, bo miał papiery tylko dla jednego. Ale nalegałem i poprosiłem, żeby mnie chociaż doprowadził do granicy, a dalej jakoś sobie poradzę. W końcu się zgodził, pewnie dlatego, że bał się obudzić innych, a może myślał, że doniosę na niego strażnikom,

kiedy wyjdzie z baraku? I zresztą wcale nie miałbym mu tego za złe, gdyby tak podejrzewał. Prawie mnie nie znał, chociaż pisał mi listy i spalił prycza w pryczę. No, i dzięki niemu żyję. Drogo zapłacił za ten prezent dla mnie...

Manuel miał poważny powód, żeby uciekać. Od jakiegoś czasu w obozie wśród więźniów krążyły plotki. Przeważnie to były głupstwa. Ludzie lubią wymyślać różne bzdury, zwłaszcza kiedy nie mają już innych tematów do rozmowy. Dlatego nie wierzyłem w to, co gadają. Ale potem okazało się, że to prawda. Manuel spotykał się potajemnie z córką bogacza z okolicy, który prowadził interesy z dostawcami i dlatego często bywał na budowie. Ona miała na imię Carmen i była oczkiem w głowie ojca. – Spojrzenie Manuela znowu stało się dalekie i marzące. Catalina dopiero potem pojęła, dlaczego. – Carmen zawsze chciała towarzyszyć ojcu podczas wizyt w Cuelgamuros, a on w końcu jej na to pozwalał, chociaż twierdził, że panience nie wypada być w tak mało godnym miejscu, jak obóz pracy przymusowej, pełen mężczyzn, z których wielu nie miało kobiety od lat. Po kilku takich odwiedzinach Manuel i Carmen zakochali się w sobie. Już samo to było wystarczająco niebezpieczne. Kiedyś jeden z więźniów powiedział Carmen jakiś komplement w obecności jej ojca. Po pół godzinie strażnicy wzięli chłopaka i zbili kijami. Ale Manuel nie bał się niczego i dalej spotykali się potajemnie. Po niedługim czasie Carmen zaszła w ciążę. I wtedy postanowili razem uciec do Francji. Gdyby tego nie zrobili, ojciec wywiózłby Carmen gdzieś daleko, a dziecko trafiłoby do przytułku. No i współczułbym Manuelowi, gdyby się dowiedziano, że to on jest ojcem dziecka.

A zatem jedyne, co mogli zrobić, żeby nadal być razem i mieć dziecko, to uciec. Dokumenty i przepustki zdobyła Carmen dzięki pewnemu koledze z uniwersytetu, jednemu z tych maminsyneków, z forszą i kontaktami.

W tej sytuacji Manuel zrobił mi wielką przejęmość, że mnie ze sobą zabrał. Postanowił tylko jeden warunek. Kazał przysiąc, że zajmę się przesmuglowaniem Carmen i dziecka do Francji, gdyby jemu coś się stało. Zgodziłem się, oczywiście. Jego plan był dość prosty. Dostać się na górę i dotrzeć do Eskurialu, gdzie Carmen będzie czekała przy fabryce ojca, skąd mogli ukraść samochód. Potem mieli jechać aż do granicy. Jeżeli wszystko poszłoby po myśli, to w godzinie porannego apelu, kiedy straż zauważyłaby brak więźnia, byłiby już w Portugalii. Potem planowali podróż do Porto, a stamtąd statkiem do Francji, bo w Portugalii także rządzą faszyci. Tak przedstawiał się pierwotny plan, do którego teraz jeszcze dołączyłem ja. Dla mnie podróż miała się skończyć na granicy Portugalii. Tam, według mojego planu, chciałem przejść przez zieloną granicę, a potem jakoś dostać się na statek do Francji albo Ameryki.

To był czwartek, piąty sierpnia 1948. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Kiedy wyszliśmy z baraku, panowała noc czarna jak smoła. Świeciły tylko gwiazdy. Chyba nigdy nie widziałem ich tyle, ile owej nocy nad łąkami wokół Cuelgamuros. Wydawało mi się, że tak gęsty mrok nam sprzyja. Jeżeli my sami nie możemy dojrzeć własnych stóp, uważałem, że strażnikom będzie jeszcze trudniej dostrzec cokolwiek. I nie myliłem się. Ale nie na wiele nam się to zdało... Zaczęliśmy się wspinać po stoku góry w kierunku Eskunalu. Nie zdążyliśmy ująć nawet trzysta metrów, kiedy natknęliśmy się na patrol żandarmerii. Nie zobaczyli nas, ale my też ich nie widzieliśmy. Zorientowaliśmy się, że tam są, kiedy jeden z nich zapalił papierosa. A ludzie gadają, że tytoń to zguba... Dla mnie to było ocalenie. Ruszyliśmy drogą przez kryptę. Chcieliśmy zrobić okrążenie i znowu pójść w stronę Eskunalu. Wtedy upadłem. Przekląte te moje nogi. Potknąłem się o kamień i runąłem twarzą na ziemię. Wstrzymałem oddech, słysząc, jaki wywołałem zamęt. Serce mi chyba stanęło, kiedy zawołali za nami: „Stać!” i padł strzał. Manuel ukląkł obok mnie. Poczuliśmy, jak mnie szarpie, potem wstałem przy jego pomocy. Niemal wyrwał mi ramię. Nie widziałem jego twarzy. W ciemnościach błyszczały mu tylko białka oczu. Ale wyobrażam sobie, jaką miał minę. Nie wiem, czy wytrzymałbym ten widok w biały dzień. Powiedział mi tylko, żebym

biegł. I zrobiłem to. Na Boga, zrobiłem to! Gnałem jak opętany. Nie zauważyłem, że Manuel nie biegnie za mną, aż usłyszałem kolejny strzał i okrzyk bólu. Pobiegł inną drogą, rozumie pani? Żeby zmylić strażników i dać mi szansę ucieczki. A przecież miał o wiele więcej do stracenia niż ja. Umarł u stóp krzyża. To znaczy tam, gdzie potem postawili ten idiotyczny olbrzymi kamienny krzyż. Przysięgłbym, że dokładnie tam.

Catalinę przejęły do żywego pełne bólu słowa staruszka. Nie wiedziała, co powiedzieć. Mogła myśleć jedynie o tym, że Manuel Colom, człowiek, który oddał za niego życie, umarł w miejscu, gdzie teraz wznosi się krzyż Valle de los Caidos, był naprawdę bardzo blisko Jezusa, bo był przecież jego potomkiem.

– Biegłem i płakałem. Za plecami słyszałem krzyki zaalarmowanych strażników, ale zdrów i cały dotarłem do Eskunalu. Tam czekała Carmen. Kiedy tylko mnie zobaczyła, wybuchnęła płaczem, bo natychmiast zrozumiała, co się stało. Włożyłem rękę do kieszeni spodni, by podać jej chusteczkę. Wtedy zauważyłem, że Manuel włożył mi tam dokumenty i przepustkę. Wobec tego dalej działaliśmy według planu; a co innego nam pozostało? Po kilku dniach dotarliśmy do Saint Jean de Luz we Francji. Francuzi nie traktowali nas źle, a kiedy przyszedł moment zarejestrowania się, użyłem dokumentów Manuela. I tak przestałem być Jose Mateo i stałem się Manuelem Colomem. Początki we Francji były bardzo ciężkie. A życie stało się jeszcze cięższe, od kiedy Carmen urodziła ślicznego chłopca, któremu dała imię po ojcu. Robiłem wszystko, żeby pod koniec dnia mieć na kawałek chleba dla nas trojga.

Byłem dokerem w porcie, pracowałem na dniówkę w winnicy, jako murarz... już nie pamiętam, czego nie robiłem. Mieszkaliśmy we trójkę, bo tak wychodziło taniej – a także dlatego, że między nami zaczęło się rodzić uczucie. Tak po dwóch latach, przeżytych zawsze na granicy głodu i w obawie, czy starczy nawet na najniższy czynsz, zaczęło iść ku lepszemu. Znalazłem porządną pracę i wynająłem małe mieszkanie w Bordeaux. Nic szczególnego. Tylko jeden pokój; z kuchni, saloniku i łazieneczki korzystaliśmy wspólnie z innymi lokatorami. Ale mieszkanie było czyste, a spanie na kanapie, nie na podłodze, było błogosławieństwem dla moich nerek. Cóż, myślę, że się kochaliśmy. Chcę powiedzieć, Carmen i ja. Tyle przeszliśmy razem, a ona była naprawdę cudowną kobietą. I silną. Mój Boże, tysiąc razy silniejszą niż ja. Od tamtej nocy w Eskunalu tylko raz widziałem, jak płacze, wtedy, kiedy urodził się jej synek.

Pobraliśmy się w Bordeaux w dzień Nowego Roku 1952. Adoptowałem Manuela, a potem urodził nam się jeszcze syn, nazwaliśmy go Diego. Mam już wnuki od nich obu. Carmen serce topniało, kiedy je widziała. Krótko, bo pierwszy wnuk... właściwie pierwsze wnuki, bo to były bliźnięta, urodziły się w grudniu 1976, a miesiąc potem rak zabrał mi moją Carmen. Za kilka dni powinienem już zostać pradziadkiem. Życie toczy się dalej, prawda? Nie takie samo, ale się toczy. Niedługo i ja będę razem z moją kochaną Carmen, mam nadzieję, że tam w górze, gdzie mówią, że jest niebo. Hm, nawet znów zacząłem wierzyć w te głupstwa. Dlatego jestem pewny, że spotkamy się z Carmen. Ale dajmy spokój tym smutnym historiom! Chce pani jeszcze kawy?

– Chętnie się napiję, dziękuję.

Tak naprawdę Catalina nie miała już ochoty na kawę. Chciała po prostu zostać przez chwilę sama, w ciszy, żeby poukładać sobie w głowie to, co przed chwilą usłyszała. Jeśli wszystko było prawdą, a musiało być, to Manuel Colom z tego domu naprawdę nazywał się Jose Mateo i nie należał do dynastii Chrystusa. Dziadek pomylił osoby. Nic dziwnego, skoro zgodnie z dokumentami Jose był Manuelem Colomem. Tylko on sam mógłby zdementować ten fakt, jak to przed chwilą zrobił w długiej opowieści. Jasne, że dziadkowi nie zdradził swojego prawdziwego nazwiska. Spotkali się w 1976, zaraz po śmierci Franco, kiedy nie było jeszcze pewne, w jakim kierunku politycznym pójdzie państwo. W takich okolicznościach Jose niezmiernie by ryzykował, ujawniając swoją więzienną przeszłość i prawdziwą tożsamość. Teraz mógł to zrobić bez wahania.

Zadziwiająco, że dziadek nie dotarł do autentycznego potomka, jak święcie wierzył. Catalina przypomniała sobie historię Mojżesza, który po wyzwoleniu ludu Izraela i przeprowadzeniu go przez pustynię do Ziemi Obiecanej, został przez Boga pozbawiony możliwości zobaczenia tej ziemi. Dziadek całe życie poświęcił szukaniu potomków dynastii Jezusa. Przeszedł długą i ciężką drogę przez pustynię. I także nie zdołał zobaczyć swojej Ziemi Obiecanej. I być może został nawet ciężiej ukarany, bo wierzył, że ją zobaczył.

Bóg wybacza, ale nie zapomina, przypomniała sobie nagle Catalina i wstrząsnął nią dreszcz.

Kolejny dreszcz, tym razem ze strachu, przeszył ją, gdy usłyszała strzał. Rozległ się po całym domu jak huk armatni. Zerwała się gwałtownie i zawadziła o tacę z pustymi filiżankami. Porcelana spadła i roztrzaskała się w kawałki.

– Niecee!

Dostrzegła w korytarzu ciemną strużkę krwi, coraz szerzej rozptywającej się po białych kafkach podłogi kuchennej. W przejściu leżał Jose. Nie żył. Dopadli go ludzie Pierre'a, mimo tak wielkiej ostrożności Patricka! Kula przeszła głowę Jose na wylot.

Catalina usłyszała hałas spadających na podłogę przedmiotów. Morderca nadal tu był. Catalina gnana furią przebiegła przez korytarz i wpadła do kuchni w momencie, kiedy jakaś postać usiłowała uciec przez okno. Rzuciła się w tym kierunku, skoczyła i upadła na bok. Krzyknęła z bólu. W rękę trzymała coś, co dopiero po chwili rozpoznała: to kominiarka. Zdarła ją z głowy mordercy. Czowała tylko wściekłość, kiedy zobaczyła, że zabójca zatrzymał się i patrzył na nią z nienawistnym uśmiechem.

– Ty?!

Pierre, ten sam Pierre, który próbował ją porwać, a według zapewnień Patricka już nie żył. W końcu zrozumiała. Szok był straszny. Nigdy sobie tego nie daruje. Nigdy. To ona ponosiła winę za śmierć Jose. Nikt więcej. Dwa razy dała się oszukać Patrickowi. Wszystko okazało się jedynie dobrze wyreżyserowanym spektaklem: porwanie, akcja ratunkowa. Zadbali nawet o sztuczną krew. Obaj, Pierre i Patrick, wykonywali to samo Opus Dei. Jak mogła być tak naiwna, tak niewiarygodnie głupia? To ona doprowadziła ich do Jose. Ona go zabiła.

Postanowiła nie płakać. Nie zasłużyła na tę ulgę. Z rękami i ubraniem poplamionymi krwią wyszła z domu. Przebiegła przed przerażonymi sąsiadami, nie zwracając na nich uwagi.

Usłyszała pisk opon i zobaczyła szybko odjeżdżający samochód. Na chodniku, przed nią, Patrick otwierał drzwi auta.

– Sukinsyn! – wrzasnęła z najwyższą pogardą. – To wy go zabiliście i mojego dziadka. Uciekał przed wami. Obyś się smażył w piekle... Ale dlaczego? – Nie oczekiwała odpowiedzi, a mimo to ją otrzymała.

– Bo taka jest wola Boga.

– Nie mieszaj do tego Boga, ty draniu!

– Ci potomkowie to wykolejenie – oświadczył zimnym tonem Patrick, pomijając nikczemne obelgi Cataliny.

– A ja? Wyślesz Pierre'a, żeby i mnie zabił? Jak się ten drań naprawdę nazywa? Podaj mi chociaż prawdziwe imię mojego zabójcy... Brzydę się tobą. Tchórz! Wysyłasz innych, żeby odwalili za ciebie brudną robotę.

– Jestem kapłanem, nie mordercą. A ty nie martw się o swoje nędzne życie. Nie zabijamy niewinnych.

– Ha! Mój Boże! A co wam zrobił ten biedny człowiek, czym zawinił?

– Tym, że istniał – odpowiedział zimno Patrick.

Catalina zrozumiała okrutną rzeczywistość. Ta myśl wstrząsnęła nią tak, że musiała oprzeć się o samochód Patricka, żeby nie upaść. Na tylnym siedzeniu leżał plecak, w którym były wszystkie jej dokumenty, dowody.

– Nie on jeden umrze... – wyszeptała.

– Żegnaj.

Patrick próbował zamknąć drzwiczki, ale Catalina nie pozwalała. Musiał wysiąść. Odepchnąć ją tak, aż upadła na ziemię.

Znów rozległ się pisk opon i ryk silnika, wchodzącego w najwyższe obroty. Catalina została na chodniku, patrząc bezradnie, jak samochód odjeżdża.

Z daleka rozległa się syrena karetki pogotowia.

## Epilog

Kiedy do domu Jose weszła policja, zatrzymali Catalinę. Resztę dnia i dużą część nocy odpowiadała na ich pytania. Na szczęście dla niej wielu sąsiadów potwierdziło, że jakiś mężczyzna wyszedł przez kuchenne okno, a potem uciekł samochodem. Gdyby nie to, prawdopodobnie oskarżono by ją o zabójstwo. Czyż sprawiedliwości nie stałoby się zadość? Była winna śmierci Jose, chociaż to nie ona nacisnęła spust.

Przez pierwszy tydzień po zdarzeniu prawie nie wychodziła z domu. Kiedy już musiała, rzucała podejrzliwe spojrzenia na każdego i na wszystko, spodziewając się, że w każdym momencie kula może położyć kres także i jej życiu. Ale nic takiego sienie wydarzyło. Nikt jej nie śledził, nie wchodził po kryjomu do mieszkania, nie zamierzał zabić. Była to jedyna prawda, jaką usłyszała od Patricka.

Postanowiła wziąć jeszcze dłuższy urlop. Wróciła do Gisors. Chciała być z dala od Hiszpanii, bliżej kogoś, kto nie wypytywałby bez przerwy, co się stało, jak ciotka, reszta rodziny, przyjaciele i koledzy z pracy. Potrzebowała ciszy i milczenia Alberta. On nie zadał ani jednego pytania. Może tylko, jaka jest pogoda w Madrycie. Był dobrym człowiekiem, godnym zaufania. Ale nawet jemu nie mogła wyjawiać tajemnicy, którą знаła tylko ona.

Nie tylko Jose zginął tamtego dnia. Catalina próbowała uprzedzić policję. Za późno. Wszyscy już nie żyli. Wszystkich zamordowano. Zabili syna i wnuka Jose; a także żonę wnuka, która, zgodnie z nieludzkim kryterium Patricka, była winna, bo nosiła w sobie przyszłego potomka Chrystusa.

Dla Patricka i jego ludzi nie istniał Jose Mateo, ale Manuel Colom, mieszkający na ulicy Carpinteros pod numerem 2, człowiek, który był ostatnim potomkiem świętej krwi, Świętego Graala, znalezionej przez dziadka Cataliny.

Uratował się tylko jeden członek rodziny: nieślubne dziecko Carmen i prawdziwego Manuela Coloma. W oczach zabójców był tylko adoptowanym synem potomka dynastii i dlatego ani on, ani jego ród nie miał – ich zdaniem – w żyłach krwi Jezusa Chrystusa.

Mylili się jednak. Tylko Catalina wiedziała, jak bardzo. Nikt na świecie nie wiedział o tym – z wyjątkiem niej.

Ten jedyny, który przeżył, nosił imię Manuel, jak jego prawdziwy ojciec. I miał dwoje dzieci – bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. Catalina zobaczyła ich na pogrzebie Jose. To byli prawdziwi potomkowie, ci, na których spoczywał ciężar kontynuowania dynastii.

Catalina dorzuciła jeszcze jedną szczapę do kominka w pokoju dziadka. Nie zapaliła lampy. Płomień ognia dawał wystarczająco dużo światła, żeby pisać.

Na biurku leżał zeszyt, który kupiła tego popołudnia. Usiadła i otworzyła go na pierwszej stronie. Zastanawiała się przez chwilę, a potem zaczęła pisać. Szczapy na kominku cicho trzeszczały. Pomarańczowe cienie płomieni tańczyły na ścianach pokoju.

Manuel Colom Gonzalez.

Urodzony w Barcelonie, 9 kwietnia 1924.

Naręczony Carmen Estiarte López.

Zginął na polach w Cuelgamuros 5 sierpnia 1948.

Manuel Colom Estiarte (syn Gonzaleza).

Urodzony w Bordeaux 3 lutego 1949. Był adoptowany przez Manuela Coloma Gonzaleza, w rzeczywistości: Jose Mateo Vi I leną, który ożenił się z Carmen Estiarte López w dniu Nowego Roku 1952, także w Bordeaux. Ożenił się w Madrycie z Eleną Rodriguez Huertas 7 listopada 1974.

Ines Colom Rodriguez i Mateo Colom Rodriguez (bliźnięta, dzieci Manuela Coloma Estiarte). Urodzeni w Madrycie 25 grudnia 1976.

Oto są ostatni potomkowie dynastii Chrystusa. Oto cała prawda.

Post tenebras lux (Po ciemnościach następuje światło).